

P. 9785 Chr. Arch.

DLP III/P - 4-3-80 8222

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/388-2/389 1980



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

- I. M. BOCHEŃSKI : **O SENSIE ŻYCIA**
- P. LIDA : **POLACY, LITWINI, BIAŁORUSINI**
- A. ZINOWIEW : **O STALINIE I STALINIZMIE**
- WŁ. ODOJEWSKI : **ODEJŚĆ, ZAPOMNIEĆ, ŻYĆ...**

SPIS RZECZY

J. M. Bocheński:	<i>O sensie życia</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	17
P. Lida:	<i>Polacy, Litwini, Białorusini</i>	35
Aleksander Zinowiew:	<i>O Stalinie i stalinistach</i>	63
Włodzimierz Odojewski:	<i>Odejsć, zapomnieć, żyć...</i>	71

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>Kryzys irański</i>	103
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	112

K R A J

Witold Sulimirski:	<i>Sytuacja PRL na międzynarodowym rynku finansowym</i>	117
Wojciech Wolski:	<i>Szkic do portretu młodego pokolenia</i>	123
Zygmunt Stankiewicz:	<i>Śląski dramat ekologiczny</i>	132

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	141
Willem Hejl:	<i>Farsa w wykonaniu praskim</i>	149
Włodzimierz Brylewski:	<i>W poszukiwaniu Boga</i>	152
E. Zagiell:	<i>Kronika litewska</i>	157
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	159

SPRAWY I TROSKI

Jan Dołęga:	<i>Rzymskie Polaków rozmowy</i>	162
-------------	---------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski:	<i>100 picassów</i>	167
—	<i>Konkurs na esej o całopaleniu</i>	170

CI, CO ODESZLI

Konstanty A. Jeleński:	<i>Zygmunt Hertz, mój przyjaciel</i>	171
Józef Czapski:	<i>Przez morze przepłynął</i>	174

POLEMIKI

O. Aleksander Hauke-Ligowski, O.P.:	<i>List do Redaktora</i>	177
Andrzej Koraszewski:	<i>Szkielet w narodowej szafie</i>	186

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Gadulstwa rok nowy</i>	194
---------	---------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Jerzy Pietrkiewicz:	<i>Poetycki profil Karola Wojtyły</i>	198
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Edukacja kołymska</i>	210
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	214



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	216
---	----------------------------------	-----



W. Chylicka, G. Herling-Grudziński, Grupa Polaków, Rosjan i Ukraińców z Mo-nachium, J. Ulatowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	221
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	224
—	<i>Sprostowanie</i>	224

DOKUMENTY

Jan Szczepański:	<i>Po wizycie</i>	225
Jan Szczepański:	<i>Możliwości lat osiemdziesiątych</i>	229

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1980

INSTYTUT



LITERACKI

Witold SULIMIRSKI, ur. w 1933 r. we Lwowie. Studia średnie w Anglii. Ukończył Uniwersytet Cambridge w 1953 r. i Université de Strasbourg 1953-1955. Wolna Europa 1955-1956. W 1956 r. wyemigrował do USA i od 1957 pracuje w banku Irving Trust Company, w którym obecnie zajmuje stanowisko *vice-president* z odpowiedzialnością za dział europejski. Jest również skarbnikiem Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA) — po raz 23-ci — \$ 38,00	F. 152,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — po raz 5-ty — DM. 60,00	F. 125,00
M. D., Calapan Oriental Mindoro (Filipiny)	F. 500,00
Tadeusz Farbisz, Flyinge (Szwecja) — po raz 10-ty	F. 115,00
Halina i Krzysztof Grodzicy, Buenos Aires — \$US. 97,00 ..	F. 388,00
Grono Przyjaciół z Monachium — zamiast kwiatów na grób śp. Hilarego Krzysztofiaka — DM. 480,00	F. 1.056,00
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada) — po raz 13-ty — z czego połowę jako wyraz głębokiej czci i hołdu dla dwojga zmarłych w 1979 r. najgorętszych przyjaciół i orędowników <i>Kultury</i> w Kanadzie: śp. Niny Sereda z Montrealu i śp. Komandora C. F. Namieśniowskiego z Ottawy; drugą połowę dedykuje tym (nielicznym wprawdzie) czytelnikom <i>Kultury</i> , którzy w pewnych momentach, nie zgadzając się z jakąś decyzją Redaktora, demonstracyjnie wymawiają prenumeratę <i>Kultury</i> ... <i>Kultury</i> , którą chlubić się będą przyszłe pokolenia polskich patriotów.	F. 400,00
Roman M. Kabara, Nowy Jork — po raz 8-my — \$ 10,00	F. 40,00
Piotr Kalinowski, Paryż — po raz 8-my	F. 100,00
Ernest Kosmowski, Honfleur (Francja) — po raz 5-ty	F. 500,00
Dr Jan Kurdwanowski, Paterson, N.J. (USA) — po raz 2-gi — \$ 250,00	F. 1.000,00
Prof. Kazimierz Laski, Wiedeń — po raz 4-ty	F. 235,00
Fr. Prause, Niamey (Niger) — po raz 18-ty	F. 100,00
Rodzina — dla uczczenia pamięci śp. Marii L. Potulickiej, zmarłej 12. 11. 1979 r. w Los Angeles, Cal. (USA) — \$ 50,00	F. 200,00
J. i Cz. Seremak, Santa Monica, Cal. (USA) — po raz 5-ty — zamiast kwiatów na trumnę śp. Marii L. Potulickiej — \$ 30,00	F. 120,00
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA) — po raz 13-ty — \$ 58,00	F. 232,00
F. R. Strociak, Park Ridge, Ill. (USA) — po raz 20-ty — \$ 45,00	F. 180,00
H. Świdarska, Londyn	F. 200,00
Ewa Szpikowska, Toronto, Ont. (Kanada) — zamiast życzeń świątecznych — po raz 2-gi	F. 100,00
Towarzystwo Przyjaciół <i>Kultury</i> w Lund	F. 320,00
Łucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA) — po raz 14-ty — \$ 58,00	F. 232,00
Bezimiennie z Canberra (Australia) — po raz 4-ty	F. 447,60
Bezimiennie z Guelph, Ont. (Kanada) — po raz 15-ty — \$US. 84,50	F. 337,00
Bezimiennie z Los Angeles, Cal. (USA) — po raz 8-my \$US. 20,50	F. 82,00
Bezimiennie z USA — po raz 4-ty	F. 1.583,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Claremont, Cal. (USA) — nagrodę <i>Zeszytów Historycznych</i> przekazuje na Kasę Pomocy Naukowej TKN	F. 4.000,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 240)

O sensie życia

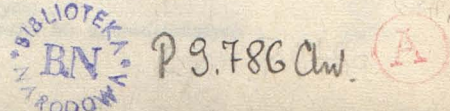
Ogłaszam tutaj niektóre wyniki rozmyślań nad życiem ludzkim, jego sensem i tym podobnymi zagadnieniami, należącymi do tak zwanej filozofii życia. Zebrałem je w ciągu wielu lat bytowania, które było, śmiem twierdzić, nawet jak na nasze ciekawe czasy, bogate w przeżycia. Starałem się zrozumieć, co się właściwie dzieje, używając przy tym pewnych narzędzi myślenia, nauczonych w filozofii. Te wyniki były dla mnie cenne. Nieraz pozwoliły mi po prostu nie stracić nadziei; kiedy indziej uchroniły od pochopnego przyjęcia zabobonów, wierutnych fałszów, które wokoło mnie opowiadano. Być może, że przydadzą się one także komuś innemu.

Chodzi o pytania, które, jak sądzę, każdy człowiek sobie prędzej czy później postawi. Tym bardziej zajmowali się nimi od tysiącleci myśliciele. Byłoby też zuchwałością twierdzić, że wszystko co tutaj piszę jest nowe. Sądzę nawet, że w moich rozważaniach jest bardzo niewiele rzeczy, których by nie można było znaleźć u moich poprzedników. Ale o to przecież nie chodzi: zależy mi tylko na prawdzie, nie na oryginalności (nawet i to zdanie nie jest oryginalne: sformułował je Ludwik Wittgenstein).

Co to jest sens życia? Można by odpowiedzieć na to pytanie zestawiając zwroty, w których wyrażenie „sens życia” występuje, czyli stosując dobrą analityczną metodę. Chcę jednak tutaj użyć innego sposobu a mianowicie podejść do sprawy od konkretnego przykładu utraty tego sensu. Bo z nim jest podobnie jak ze zdrowiem: czym jest i jak jest ważne odkrywamy dopiero, gdyśmy je stracili.

Rozdział z przygotowywanej książki.

1980 N 1596



Oto więc mój przykład, nie wymyślony, ale rzeczywiście przeżyty. Mój dawny student i przyjaciel, nazwijmy go Andrzejem, ma lat dwadzieścia pięć, jest zdrowy, przystojny, bardzo inteligentny — czytałem jego rozprawę doktorską: pierwszej klasy. Jest sportowcem — uważam go za doskonałego pilota i spadochroniarza. W dodatku jest bardzo bogaty. Jeśli mnie intuicja nie myli, gdziekolwiek on się pojawi, serduszka panienek zaczynają bić szybciej. I nic dziwnego: jeśli o kim, to o nim można powiedzieć, że się w czepku urodził. Otóż parę miesięcy temu spotkałem go w barze, w opłakanym stanie: siedział sam, skurczony, oczy podbite, obraz fizycznej ruiny. Wyglądał tak, jak by sobie jakieś trutki wstrzykiwał. Pytam się go: co się dzieje? „Moje życie sensu nie ma”. A dlaczego? Zawód miłosny? Nawet nie. Po prostu to wszystko sensu nie ma.

Oczywiście zacząłem się zastanawiać, jakby mu pomóc w odnalezieniu tego sensu. A że się nie mało logiką parałem, pokusa była znaczna, aby mu przedłożyć taki oto syllogizm: „Życie człowieka młodego, zdrowego itd. ma sens; otóż ty jesteś człowiekiem młodym, zdrowym itd.; a więc twoje życie ma sens”. Tylko, że to by się na nic nie zdało: stosowanie takiego rozumowania do jego położenia, do sprawy sensu jego życia, sensu nie ma — jest bezcelowe.

Dlaczego? Dlatego, że mamy tu do czynienia z czymś, co z ogólnikami (w rodzaju mojego „każdy człowiek itd.”) nie ma nic wspólnego. Dlatego, że sprawa sensu życia jest sprawą w najwyższym stopniu indywidualną, osobistą, prywatną. Jest nawet, jeśli się nie mylę, podwójnie prywatną. W wypadku Andrzeja chodzi o sens *jego* życia i o sens tego życia *dla niego*. Andrzejowi jest najzupełniej obojętne czy i o ile jego życie ma sens dla mnie czy dla ciebie, dla Społeczeństwa, Proletariatu, Sprawy i tym podobnych. Rzecz w tym, że ono *dla niego* sensu nie ma. Mówienie o sensie życia „w ogóle” i wszelka próba przekonywania takiego Andrzeja z ogólnego stanowiska są skazane na niepowodzenie.

Piszę więc moje pierwsze twierdzenie:

1. 1. Sprawa sensu życia jest sprawą prywatną.

Wyjaśniam. Chodzi najpierw o to, że nie ma sensu mówić o sensie życia zbiorowości, na przykład narodu: chodzi zawsze o życie jednostki. Następnie mamy do czynienia ze sprawą o tyle prywatną, że zbiorowość (to jest inni ludzie) są wobec niej bezsilni. Naturalnie, że utrata sensu życia może być w pewnych

warunkach skutkiem pewnych układów społecznych, ale bezpośredniego wpływu na ten sens inni ludzie, a więc i zbiorowość, nie mają. Mamy do czynienia ze sprawą prywatną.

Wydaje mi się, że należy na to położyć nacisk, bo żyjemy w okresie rozpasanej propagandy „społecznej”. Jesteśmy wszyscy tak strasznie uspołecznieni, że nawet istnienia spraw prywatnych nie dostrzegamy. A tymczasem właśnie najważniejsze sprawy człowieka są czysto prywatne — tak, obok sensu życia, cierpienie, miłość, śmierć i tym podobne. O tym jednak jeszcze później.

Moje twierdzenie daje, przy całej swojej banalności, pewien — jak mówią Francuzi — *bouquet spirituel* — obrok duchowy, a mianowicie regułę postępowania. Sformułował ją, znacznie lepiej niżbym ja potrafił, poeta (poeci są moim zdaniem mistrzami w takich sprawach), a mianowicie Kipling, w pierwszych wierszach „Do mojego syna”:

*If you can keep your head when all around you
Are losing theirs and blaming it on you
If you can trust yourself, when all men doubt you...*

Ja to rozumiem tak: sensu życia nikt mi nie da. Muszę go znaleźć i zachować sam. Bo *keep my head* znaczy między innymi to właśnie. Nikt mi tu nie pomoże.

Stwierdzenie prywatności sensu życia jest pierwszym krokiem w jego analizie. Posiada on wprawdzie pewne znaczenie, ale jest małym, powiedziałbym formalnym, krokiem. Trzeba nam dalej pytać: co to jest sens życia? Co znaczy tutaj „sens”?

Mówimy o sensie i bezsensie przede wszystkim gdy chodzi o słowa, znaki, mowę: dane wyrażenie ma sens dla mnie, jeśli ja jego znaczenie rozumiem, a jest bezsensowne, gdy tak nie jest. Na przykład wyrażenie „krowa” ma sens dla mnie, natomiast „wokra” go nie ma (dla Chińczyka zapewne i „krowa” i „wokra” są równie bezsensowne). Takie jest pierwsze, najpospolitsze znaczenie słowa „sens”. Ale w tym znaczeniu na pewno go nie używamy, gdy mówimy o sensie życia. Życie nie może przecież mieć znaczenia — przynajmniej w tym słowa znaczeniu — w którym wyrażenie je posiada. Ma natomiast, albo przynajmniej może mieć, *wartość*. (Nawiasem mówiąc wartość ma coś, co jest dla mnie znaczne, z czego wynika, że jakieś pokrewieństwo między sensem życia a sensem wyrażenia przecież istnieje — choć go wytłumaczyć nie potrafię).

Powiedzmy więc, że moje życie ma sens kiedy ja uważam, sądzę, czuję itd., że ono ma wartość dla mnie, czyli, prostszymi

słowami, kiedy uważam, czuję itd., że *warto żyć*. To jest, zdaje mi się, jasne.

Nieco ściślej:

1. 2. *Życie danego człowieka ma dla niego w danej chwili sens, kiedy on w tej chwili sądzi, czuje itd., że warto mu żyć.*

Ale kiedy tak jest? W jakich okolicznościach i pod jakimi warunkami? Istnieje jeden wypadek, w którym o sensie życia nie można wątpić: a mianowicie wtedy, kiedy istnieje jakiś cel do którego się dąży, który chciałoby się osiągnąć. Oto ilustracja na tym samym naszym Andrzeju. Odbyłem kiedyś z nim lot wysokogórski w złej pogodzie. Andrzej był kopilotem, z obowiązkiem, jak zwykle w lotach na widoczność, dbania o mechanikę. Nawalił nam silnik: oblodzenie gaźnika. Trzeba było widzieć mojego Andrzeja w tym impasie. Przez dobrych dziesięć minut był całkowicie pochłonięty przez swoje zadanie, skoncentrowany, z wolą napiętą w jednym kierunku tylko — aby doprowadzić maszynę do porządku. Ja pilotowałem, więc to do mnie nie należało, ale mogłem go z ukosa obserwować. Był wspaniały i udało mu się dokonać tego, czego chciał, a mianowicie przywrócić normalne obroty silnika. O sensie życia Andrzeja w czasie tych minut nie można było rozsądnie wątpić, bo on miał cel: uruchomienie maszyny, to jest uratowanie samolotu i naszej skóry. Kiedy taki cel komuś jasno przyświeca, sens życia, że tak powiem, automatycznie jest.

1. 3. *Jeśli w danej chwili istnieje cel do którego dany człowiek dąży, jego życie ma w tej chwili sens.*

I znowu obrok duchowy czyli regułka moralna: kiedy twój sens życia jest zagrożony, staraj sobie znaleźć cel, do którego mógłbyś intensywnie dążyć. To jest rada, którą dałem niedawno na pół sparaliżowanemu przyjacielowi, zagrożonemu próżnią, jaką za sobą pociąga utrata sensu życia. Powiedziałem mu: dyktuj twoje pamiętniki. A kiedy mi jego żona powiedziała, że to będzie dla niego miłą rozrywką, zaprzeczyłem gwałtownie: on potrzebuje nie rozrywki, ale poważnego celu. Niech więc myśli o tych pamiętnikach jako o ważnej rzeczy, która ma się ukazać drukiem. Sens życia zaraz się znajdzie.

Jak dotąd rozważania moje poruszały się na płaszczyźnie spraw prostych, żeby nie powiedzieć banalnych. Może niejedyn Czytelnik oburzy się nawet, że cenny papier na takie banały

marnuję. Odpowiedziałbym mu, że mam do banałów, jako logik, bardzo wielki szacunek — bo ostatecznie cała logika jest zbiorem banalności. Można się z niej np. dowiedzieć, że deszcz pada albo nie pada i że jeśli krowa ryczy, to krowa ryczy. Na to, powie mi ktoś, wielkiej mądrości nie potrzeba. Tylko, że w logice z tych banałów wyszło coś, co znowu tak bez znaczenia nie jest: cybernetyka, a więc ta ogromna rzecz, która w tej chwili nasz sposób życia gruntownie przemienia, a w której nikt poza logikami niczego nie rozumie. No ale o tym później. Na razie chciałbym tylko powiedzieć, że wypada nam teraz wyjść z banalności, że tak powiem łatwych, do nieco trudniejszych. Tak to zawsze w logice się dzieje. Trzeba więc będzie trochę wysiłku.

Idzie o takie oto zagadnienie: czy nasze twierdzenie 1. 3 da się odwrócić? Czy skoro ono jest prawdziwe, prawdziwe jest także twierdzenie odwrotne:

(F 1. 1) *Jeśli życie danego człowieka ma sens w danej chwili, to on dąży w tej chwili do jakiegoś celu.*

Możemy sobie w stosunku do tego zdania postawić dwa pytania: po pierwsze, czy ono z poprzedniego twierdzenia (1. 3) wynika?, po drugie, czy niezależnie od tego jest prawdziwe? Odpowiedź na pierwsze pytanie jest łatwa, przynajmniej dla logika: F 1. 1 z 1. 3 nie wynika. To dlatego, że całkiem ogólnie z „jeśli A to B” nie wynika „jeśli B to A”. Na przykład, z tego że, jeśli jestem słoniem, to jestem zwierzęciem, wcale nie wynika, że jeśli jestem zwierzęciem, to jestem słoniem. Bo ja wprawdzie jestem na pewno zwierzęciem, ale jako żywo nie słoniem — przynajmniej w dosłownym „słonia” znaczeniu. A więc, kto przyjmuje pierwsze nasze twierdzenie (1. 3) nie musi, logicznie, przyjąć także jego odwrócenia (F 1. 1).

Teraz: uwaga! Z tego, że tak jest, wcale jeszcze nie wynika, aby drugie twierdzenie musiało być fałszywe. Bo nieraz coś z jakichś prawdziwych przesłanek nie wynika, a przecież jest prawdziwe. Na przykład, to że dziś deszcz pada, nie wynika z tego, że istnieje księżyc — ale to nie przeszkadza, że dziś rzeczywiście deszcz pada. Nasze twierdzenie (F 1. 1) mogłoby więc być mimo wszystko prawdziwe.

W rzeczy samej widzę, że wielu znacznych myślicieli uważało je za takie — to jest sądziło, że istnienie celu jest co najmniej koniecznym warunkiem istnienia sensu życia. Tak, jeśli się nie mylę (choć nie całkiem wyraźnie) Arystoteles. Tak bodaj większość myślicieli chrześcijańskich. Tak wreszcie egzystencjaliści pierwszej połowy naszego wieku. Jeśli więc autorytet ma jaką-

kolwiek wartość w takich sprawach, to trzeba powiedzieć, że mamy tu dość ważki argument za przyjęciem owej tezy (F 1. 1). Mimo to po długim namyśle przyszedłem do przekonania, że ona jest fałszywa. Chcę jej zadać kłam i będę się starał wykazać prawdziwość twierdzenia przeciwnego, a mianowicie, że istnienie celu, do którego się dąży, nie jest koniecznym warunkiem istnienia sensu życia.

1. 4. *Istnieją chwile, w których dany człowiek do żadnego celu nie dąży, a w których jego życie ma przecież sens.*

Zdaję sobie sprawę, że wygłaszam tu coś nie tylko bardzo niepopularnego, ale nawet pozornie sprzecznego ze zdrowym rozsądkiem. Bo na pierwszy rzut oka sens życia zdaje się być tak bardzo z owym dążeniem związany, że bez dążenia zdaje się nie być możliwego sensu. J. P. Sartre ogłosił kiedyś świetną sztukę teatralną pt. „Le Mur” (Mur), w której opisuje położenie człowieka skazanego na śmierć. Ten człowiek nie może już do niczego dążyć, bo nie ma żadnej przyszłości — za parę godzin będzie rozstrzelany. Jego życie jest najzupełniej pozbawione sensu. Zdawałoby się więc, że życie nie da się pomyśleć bez dążenia.

Nawiasem mówiąc egzystencjaliści, a więc Sartre i przede wszystkim Heidegger, podbudowują ten pogląd swoistą teorią istnienia („egzystencji”) ludzkiej. Sądzą bowiem, że to co jest w człowieku istotnie człowieczego, a więc owa „Egzystencja” (*Dasein* u Heideggera) jest jakimś rzucaniem się wprzód, projektem (po niemiecku *Ent-wurf*). Być dla człowieka to *to samo* co być wypiętym ku czemuś, ku przyszłej swojej egzystencji. Naturalnie, jeśli tak jest, to bez dążenia nie może być sensu życia, bo człowiek bez owego rzucania się wprzód w ogóle nie istnieje. Jego istnienie jest rzucaniem się, dążeniem. I ten pogląd wydaje mi się z gruntu fałszywy. Co prawda nasze istnienie bardzo często, zapewne w znacznej większości chwil, łączy się z dążeniem. Ale wydaje mi się, że dążeniem nie jest. A jeśli tak, to może być sens życia bez dążenia.

Aby uzasadnić to mniemanie, wystarczy przytoczyć parę przykładów chwil, w których człowiek do niczego nie dąży, ale jego życie ma przecież sens i, co więcej, istnieje on bardzo intensywnie. Przytoczę dwa takie przykłady.

Najpierw przeżycie z wakacji. Po kąpeli morskiej leżę na piasku, zażywam wiatru i słońca. Żadne czarne myśli o bezsensie życia mi do głowy nie przychodzą, żyję oczywiście całkiem dobrze, sensownie, intensywnie — a przecież do niczego nie dążę. Mamy tutaj wypadek, w którym sens życia jest, ale żad-

nego dążenia nie ma. Co prawda, kiedy ten przykład moim egzystencjalistycznym przyjaciółom przytoczyłem, krzyknęli chórem i z oburzeniem, że takie życie jest życiem zwierzęcym, że i pies słońca i wiatru używa. Na co powiedziałem im, że ja tak ogromnej różnicy między człowiekiem a zwierzęciem nie widzę (o tym będzie mowa, gdy przyjdziemy do humanizmu) i że nie sądzę byśmy mieli prawo naszej miłej sobocie owej egzystencji odmawiać. Ale mniejsza z tym. Mam lepszy przykład.

Opowiadają o Riemannie, że kiedy wykończył swój genialny system nie-euklidesowej geometrii, zwierzył się przyjacielowi z wielkiego przeżycia. Miał, mówił, jakby intuicję całości systemu w jego pięknie — i chwilę takiej radości, że niewielu ludziom, jak sądził, danym było przeżyć coś równie wielkiego. Ja się teraz pytam: gdzie było, w chwili tego estetycznego uniesienia, dążenie? Jaki cel chciał wtedy Riemann osiągnąć? Oczywiście żadnego. Żył po prostu w chwili obecnej, używał duchowego widoku systemu. A kto odważy się powiedzieć, że on w tej chwili nie istniał, albo że nie istniał w sposób ludzki? Psy przecież nie-euklidesowych geometrii nie tworzą! I kto ośmieli się twierdzić, że jego życie nie miało sensu w tej chwili? Powiem więcej: jeśli życie ludzkie ma w ogóle sens, to przede wszystkim w chwilach takiego kontemplacyjnego używania.

Tak więc pozostaje przy moim twierdzeniu 1. 4: są chwile, w których dążenia nie ma, a sens życia przecież jest. Widzimy teraz, że ten sens istnieje w dwóch wypadkach: kiedy człowiek do czegoś dąży i kiedy oddaje się używaniu chwili obecnej. Stawiam więc następane twierdzenie:

1. 5. *Życie danego człowieka ma sens wtedy i tylko wtedy kiedy albo istnieje cel, do którego on w tej chwili dąży, albo on tej chwili używa.*

I skoro używanie chwili jest jednym z dwu sposobów nadania życiu sensu, wolno na marginesie naszego zdania sformułować jeszcze inną regułę moralną: umieć żyć w chwili obecnej i używać jej!

To przykazanie łatwiej napisać niż wprowadzić w życie. Żyjemy w okresie aktywizmu, pod obstrzałem propagandy, która stara się w nas wmówić, że dobre, wielkie, piękne jest tylko działanie, że człowiek powinien bez przestanku ku czemuś dążyć, pędzić naprzód bez chwili odpoczynku, żyć w ruchu i dążeniu, że nie-działanie jest czymś złym, marnym, „anty-społecznym”, pogardy godnym. W takim położeniu nie łatwo jest zrozumieć wartość, znaczenie używania chwili, życia w teraźniejszości —

a tym bardziej nauczyć się z tej chwili korzystać. Inaczej mówiąc, człowiek dzisiejszy musi się wychować przez świadomy wysiłek do postawy kontemplacyjnej. Ona sama nie przyjdzie — jeśli się dam ponosić fali publicznej opinii, zostaną do śmierci niewolnikami aktywizmu, pędzonym od jednego celu do innego, bez przerwy, bez wytchnienia.

Skąd się ten aktywizm bierze? Ma zapewne wiele korzeni. Jednym z nich jest niewątpliwie kolektywizm, mniemanie, zgodnie z którym mamy żyć tylko i wyłącznie dla Społeczeństwa (przez bardzo wielkie „S”), tego bałwana współczesnego. Mamy więc pracować, działać, rzucać się aby osiągnąć dla tegoż Społeczeństwa jak największe wyniki. Tym kolektywistycznym zaboronem zajmę się jeszcze w jednym z następnych rozważań — na razie wystarczy powiedzieć, że moim skromnym zdaniem sprawa sensu mojego życia jest moją osobistą sprawą i wydaje mi się moralnie w porządku gdy staram się ten sens na mój sposób zapewnić, czy to się Społeczeństwu podoba, czy nie.

Wypada jednak podkreślić, że powyższa polemika dotyczy dążenia ku jakiemuś celowi, a nie samego działania. Bo działanie może być używaniem. Co więcej, każde używanie chwili, jak np. owo Riemanowskie, jest pewnego rodzaju działaniem — tylko nie jest działaniem celowym. Jeśli o mnie uchodzi, zaliczam do najprzyjemniejszych przeżyć moje samotne loty wieczorne na niskiej wysokości. Biorę mały samolot i lecę na jakichś 500 do 700 stóp nad ziemią, bez celu, po prostu aby lecieć i rozkoszować się krajobrazem, który w promieniach zachodzącego słońca jest zawsze wyjątkowo piękny. Pilotuję, więc działam, ale nie dążę do żadnego celu. Otóż moje życie ma rzadko tyle sensu co w czasie takich lotów. Kto nie ma niesamowitego przywileju jakim jest prawo lotu, może zażyć czegoś podobnego po prostu podczas wieczornej przechadzki. Działanie nie jest więc koniecznym dążeniem ku jakiemuś celowi, może być używaniem.

Ale mówiąc, że takie używanie daje życiu sens, nie twierdzę bynajmniej, że *tylko ono* je daje. W rzeczy samej, nasze życie i jego sens są w większości chwil związane z jakimś dążeniem, z jakimś celem. Jedyny pogląd, z którym się pogodzić nie umiem, to ten, który zacieśnia sens życia do dążenia ku jakiemuś celowi. Ten pogląd jest moim zdaniem nie tylko sprzeczny z doświadczeniem, ale prowadzi poza tym do katastrofalnych konsekwencji.

W związku z dążeniem do celów nasuwa się mianowicie pytanie dotyczące szeregu dążeń. Ma ono kapitalne znaczenie dla sprawy sensu życia i tak właśnie bywało pojmowane w dziejach filozofii, zwłaszcza ostatnio. Jak wiadomo, cele do których dążymy są często wzajemnie podporządkowane: dążę do pierwszego celu *A*, aby następnie dążyć do drugiego *B* i tak dalej.

Na przykład chcę pójść na dworzec (*A*) po to, aby tam kupić bilet kolejowy (*B*), to znowu aby pojechać do Genewy (*C*) i tak dalej. Pytanie brzmi: czy życie ludzkie należy sobie wyobrażać jako jeden jedyny szereg celów, wzajemnie sobie podporządkowanych — czy przeciwnie wypada przyjąć, że składa się ono z wielu małych, wzajemnie niezależnych szeregów dążeń i celów? Pierwsze stanowisko było tradycyjnie zajmowane przez myślicieli chrześcijańskich i przez egzystencjalistów. W obu wypadkach zakładano także, że sensu życia należy szukać właśnie w owym jednym wielkim szeregu dążeń.

Jestem zdania, że ten pogląd jest podwójnie fałszywy i chcę mu przeciwstawić parę następných twierdzeń.

1. 6. Życie ludzkie nie jest normalnie jednym jedynym szeregiem wzajemnie sobie podporządkowanych dążeń, ale składa się z wielu takich niezależnych szeregów.

Chodzi tutaj po prostu o stwierdzenie pewnego faktu.

Mój znajomy, niejaki Benedykt, gospodarz z okolicy naszego miasta, jest dobrym przykładem owej wielości życiowych szeregów. Jeśli się nie mylę, jego głównym celem w życiu jest skrzyżować z powodzeniem żubry z krowami i temu zadaniu poświęca się z zapałem. Podejrzewam nawet, że owe żubro-krowy stanowią główny sens jego życia. Ale nie jedyny. Benedykt jest także dobrym ojcem rodziny i jego dzieci odgrywają niewątpliwie wielką rolę w nadaniu temu życiu bogatego sensu. Jest poza tym członkiem Partii Postępowo-Konserwatywnej: zasiada z jej ramienia w radzie gminnej i nie kryje, że jego ambicją — a więc celem — jest zostać członkiem parlamentu kantonálnego. No i spotykam go na zebraniach filatelistów, gdzie przyznał mi się że marzy o skompletowaniu swojej serii *Pro Juventute*.

Myślę, że to jest bogate i sensowne życie. Co więcej, sądzę, że to jest wypadek normalny. Co prawda nie każdy człowiek może mieć aż tyle celów, jak mój przyjaciel — nie każdy ma np. żubry w swojej oborze — ale choć ma mniej celów, ma ich mimo wszystko kilka. Nie chcę przy tym przeczyć, że możliwy jest też wypadek, w którym człowiek ma tylko jeden cel w życiu. Tylko, że taki wypadek skłonny jestem uważać za nienormalny.

Powyższe twierdzenie (1. 6) jest tak oczywiste, że przeciwnicy a mianowicie ci, co bronią teorii monistycznej, jedynego szeregu, nie śmiają mu wprost przeczyć. Uciekają się za to do różnych, jak mówią „metafizycznych” albo „egzystencjalnych” rozważań. Powiadają na przykład, że człowiek „wirtualnie” zawsze dąży do jednego tylko celu. Albo, że jego „autentyczna”

egzystencja ku niemu się „rzuca”, jak mówią. Mówi się też czasem, że człowiek zawsze dąży do szczęścia, że więc cel jest jeden. Ale te wywody, albo są najzupełniej niezrozumiałe (przynajmniej dla mnie), albo oczywiście błędne, jak w ostatnim wypadku: bo szczęście w tym kontekście jest pojęciem oderwanym: może być urzeczywistnione tylko, w jakimś konkretnym celu — a takich nie tylko może być, ale i jest zwykle wiele i różnych.

To jest pierwsze twierdzenie. W drugim chodzi o rozprawienie się z poglądem, zgodnie z którym sens życia byłby identyczny z sensem owego jedynego szeregu dążeń. Tak myślą — jeśli ich dobrze rozumiem — Heidegger, a za nim Sartre. Obaj dochodzą przy tym do różnych, ale równie makabrycznych wniosków. Wspólne jest im stwierdzenie, że ów jedyny szereg dążeń jest przerywany przez śmierć. Ona jest — zdaniem Heideggera — ostatnim „projektem” (*Ent-wurf*) człowieka, a więc zamyka cały szereg projektów, tj. dążeń, tak jak ostatni akord zamyka melodię. Podobnie więc jak ten akord — śmierć nadaje sens całości. Śmierć byłaby więc sensem życia. U Sartre’a przeciwnie, ona nie tylko nie jest sensem życia, ale, przerywając szereg dążeń, pozbawia ostatnie z nich sensu, a więc i przedostatnie i przed-przedostatnie, tak że całość zapada się w próżnię bezsensu. Życie ludzkie jest — jak powiada Sartre w innym kontekście — *une passion inutile*.

Te rozumowania zakładają dwie przesłanki: że życie człowieka ma tylko wtedy sens, gdy on do czegoś dąży i że to życie jest jednym jedynym szeregiem wzajemnie podporządkowanych celów. Powiedziałem już, że uważam obie za fałszywe. Pierwszą, bo życie ma sens niekiedy także gdy do niczego nie dążymy, ale po prostu używamy chwili (1. 4). Drugą, bo w życiu mamy wiele niezależnych szeregów dążeń (1. 6). Ale jeśli się te przesłanki przyjmie, trzeba też przyjąć wniosek, jaki Sartre z nich wyciąga (jego krytyka Heideggera jest przekonywująca). Możemy więc twierdzić że:

1. 7. Jeśli życie człowieka ma sens tylko wtedy, gdy on do czegoś dąży i jeśli to życie jest jednym szeregiem wzajemnie sobie podporządkowanych dążeń — to życie tego człowieka w ogóle sensu nie ma.

Nasuwa się tu naturalnie pytanie, czy następnik tego twierdzenia jest prawdziwy: czy prawdą jest że życie ludzkie sensu nie ma? Jeśli jest fałszywy, to jest jeśli życie ludzkie ma faktycznie sens, to przynajmniej jedna z obu przesłanek naszych

egzystencjalistów byłaby też fałszywa, a to niezależnie od naszych powyższych rozważań. Ale z tym przechodzimy do innej dziedziny. Dotąd mowa była o *istocie* życia, o tym *czym* ono jest. Trzeba teraz powiedzieć słowo o jego *istnieniu*, starać się odpowiedzieć na pytanie, czy ono jest, czy życie ludzkie rzeczywiście ma sens.

Jest w Starym Testamencie słynne zdanie: *haweł hawelim bakol haweł* — w polskim (co prawda nie całkiem ścisłym) przekładzie: „marność nad marnościami i wszystko marność”. Wszystko, co człowiek może spotkać w życiu, do czego może dążyć i czego może używać jest marne, nie warte zachodu, nie ma więc sensu. A więc i samo nasze życie nie ma sensu. Autor biblijny uzasadnia swoje twierdzenie powołując się na doświadczenie swojego bogatego życia. Nie znalazł, powiada, niczego co by było warte zachodu, ani w bogactwie, ani we władzy, ani w rozkoszach. Wszystko wydało mu się marne, bez wartości.

Ten pogląd — albo, powiedzmy ostrożniej: tę interpretację biblijnego zdania — chcę nazwać tutaj „hawelizmem”. Jest on w najróżniejszych kręgach kulturalnych bardzo rozpowszechniony. Tak np. buddyzm, (przynajmniej, w postaci uchodzącej za pierwotną) jest skrajnie hawelistyczny. Ale i u nas nie brak zwolenników tego rodzaju pesymizmu. Na przykład, znajdujemy go u pisarzy chrześcijańskich, a także i u wielu niechrześcijańskich nowoczesnych myślicieli.

Toteż hawelizm wywierał w dziejach i wywiera ciągle jeszcze ogromny wpływ na ludzi. Jai sam byłem w ciągu długich lat jego zwolennikiem (i ofiarą), tak dalece, że będąc kiedyś w Izraelu kazałem sobie wyrycić owe hebrajskie zdanie na płycie, która do dziś dnia wisi na ścianie mojej pracowni. Ale powoli przyszedłem do przekonania, że hawelizm jest złowrogim głupstwem. Aby się o jego fałszywości przekonać, wystarczy je zanalizować. Ta analiza przybiera taką mniej więcej postać:

Nie można wątpić, że niektórzy ludzie przeżywają niekiedy chwile, w których ich życie sensu nie ma — jak na przykład mój Andrzej. Tylko, że hawelizm twierdzi znacznie więcej, a mianowicie, mówi to samo o wszystkich ludziach i wszystkich chwilach ich życia. Można to sformułować tak:

(F 1. 2) Życie żadnego człowieka nie ma w żadnej chwili sensu.

A że życie człowieka ma dokładnie wtedy sens, kiedy albo istnieje cel, do którego on w tej chwili dąży, albo on tej chwili używa (1. 5), wynika z powyższego twierdzenia także że:



(F 1. 3) *Żaden człowiek w żadnej chwili ani nie dąży do jakiegoś celu, ani nie używa tej chwili.*

To ostatnie zdanie jest oczywiście fałszywe. Aby tego dowiedzieć wystarczyłoby wykazać, że istnieje choćby jeden człowiek i jedna chwila, w której ten człowiek do czegoś dąży. W rzeczywistości pewne jest znacznie mocniejsze twierdzenie, a mianowicie, że znakomita większość ludzi dąży do czegoś w znakomitej większości chwil. Przeczyć temu może tylko ten, kto np. nigdy nie cierpiał na ból zębów, nie był głodny, nie pragnął na serio kobiety, ani nie wziął udziału w zawodach sportowych. Otóż życie normalnych ludzi jest pełne takich sytuacji. A skoro życie ma sens, gdy człowiek do czegoś dąży, wolno postawić twierdzenie, że:

1. 8. *Życie większości ludzi ma sens w większości chwil.*

To znaczy, że hawelizm jest fałszem.

Ale jeśli tak jest, jak to się dzieje, że tylu ludzi i to często bardzo inteligentnych, a nawet genialnych, mogło mu hołdować? Moim zdaniem było to możliwe tylko dzięki pomieszaniu dwu pojęć: sensu życia i szczęścia, przy czym to ostatnie było rozumiane w pewien swoisty sposób. Pierwszą rzeczą, którą wypada tutaj podkreślić, to więc nie-tożsamość obu. Innymi słowami, że można doskonale nie być szczęśliwym w pewnej chwili, a mimo to mieć, w tej samej chwili, sens życia. Oto przykład.

Wczoraj właśnie słuchałem w telewizji wspomnień Szwajcara, byłego więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych — było w nich około 50 Szwajcarów. Przedstawiał w sposób prosty i bez nienawiści, ale wstrząsająco, okrucieństwo życia w kaciecie. Nie ulega wątpliwości, że szczęśliwy tam nie był — tym bardziej, że jego własna ojczyzna zabroniła przystania mu swetra (zakaz wywozu wełny!), który był mu tak bardzo potrzebny. Ale ten człowiek miał przecież sens w życiu: chciał przeżyć i w rzeczy samej przeżył te okropne czasy. Sens życia i *szczęście* to więc nie to samo.

W dodatku słowo „szczęście” ma dwa różne znaczenia. W jednym oznacza stan zupełnego, jeśli wolno się tak wyrazić, stuprocentowego zadowolenia, zaspokojenia wszystkich potrzeb bez reszty, i to z gwarancją wiecznego trwania. Nietrudno pojąć, że tak rozumiane szczęście jest pojęciem granicznym, ideałem, którego nikt w życiu nigdy osiągnąć nie może. W drugim zna-

czeniu używamy słowa „szczęście” i pokrewnych gdy mówimy np. o szczęśliwym małżeństwie. Takie szczęście nie musi być całkowite — szczęśliwi małżonkowie mogą na przykład cierpieć na ból zębów — a przede wszystkim nie łączy się bynajmniej z gwarancją, że istnieć będzie bez końca. Ten drugi rodzaj szczęścia może być, w przeciwieństwie do pierwszego, urzeczywistniony i, jeśli się nie mylę, niejeden znalazł je w swoim życiu. Pierwszy rodzaj szczęścia nazwę tutaj „bezwzględny”, a drugi „względny”.

Mamy więc do czynienia nie z jednym, ale z aż trzema różnymi pojęciami: (1) sens życia, (2) szczęście względne, (3) szczęście bezwzględne.

Zastanawiając się nad hawelizmem i jego ogromnym powodzeniem, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w jego kontekście nazywa się „marnością” brak szczęścia bezwzględnego. To znaczy, że wszystko co nie przynosi owego stuprocentowego zadowolenia, jest marne. Że nawet w chwilach największego szczęścia względnego — w objęciach kochanej kobiety, w chwili sportowego tryumfu i tym podobnych — czegoś człowiekowi brak. Że, jak to pięknie powiedział jeden z największych myślicieli naszego kręgu, Augustyn z Hippony: „niespokojne jest serce nasze aż spocznie w Tobie, Panie”, to jest aż posiadzie Absolut, którego posiadanie samo jedno może dać szczęście bezwzględne.

Tylko, że to samo słówko „marność” sugeruje coś innego jeszcze: że o rzeczy, które nie są Absolutem nie należy się troszczyć, że nie trzeba zabiegać o ich uzyskanie ani ich używać. Że nie ma sensu rozkoszować się przemijającą chwilą. Ale to jest właśnie, tak mi się przynajmniej wydaje, wierutne i złowrogie głupstwo. Głupstwo, bo nikt nie może żyć według tej recepty. Złowrogie, bo kto by mimo wszystko urzeczywistnił ten ideał, pozabawiłby się praktycznie wszystkiego, co normalnie nadaje życiu piękno i wartość.

Muszę jednak przyznać, że wielu zwolenników hawelizmu potrafiło w jakiś dziwny sposób połączyć swoje hawelistyczne wierzenie z wielkim dynamizmem życiowym — a więc z dążeniem do ziemskich celów i z umiejętnością rozkoszowania się wieloma spośród owych „marność”. Bergson wykazał nawet w swoich „Dwóch źródłach”, że mało znamy w dziejach postaci tak dynamicznych, jak mistycy. W rzeczy samej trudno sobie wyobrazić ludzi bardziej czynnych, niż np. uczniowie Buddy czy Ciankary, albo mistycy chrześcijańscy, że św. Teresa z Awila na czele. Najbardziej uderzającym przykładem tej dziwnej syntezy jest powiedzenie przypisywane św. Karolowi Boromeuszowi (który, nawiasem mówiąc, był tytanem czynu). Zapytany podczas gry w szachy (bo on grywał w szachy!), co by zrobił gdyby się

dowiedział, że za chwilę umrze, oświadczył, że pociągnąłby jeszcze więź. Tak więc owe „marności” nie były dla niego aż tak marne.

Że ta synteza hawelizmu z sensem i zdrowym rozsądkiem w życiu jest możliwa, to jest fakt, któremu przeczyć niepodobna. A na pytanie jak ona jest możliwa, trzeba szukać odpowiedzi u mistyków. Dla mnie istotne jest tylko, że hawelizm rozumiany jako potępienie względnego szczęścia i, co za tym idzie sprowadzenie życia do jednego łańcucha dążeń, mających tylko jeden cel — pozagrobowy, jest fałszem. Główny wniosek, jaki z tych rozważań wyciągam brzmi: nie trzeba pogardzać małymi celami i przemijającymi chwilami użycia.



Takie są więc wyniki moich rozmyślań o sensie życia. On jest moją sprawą prywatną, w której mogę polegać tylko na sobie. Dążenie do jakiegoś celu nadaje najczęściej ten sens mojemu życiu: trzeba mi więc dbać, aby mi nie brakło celów. Ale sens znaleźć można nie tylko w dążeniu, bo daje je także, i w wysokiej mierze, używanie chwili. Umieć jej używać, potrafić cieszyć się tym, co mi jest dane teraz, obecnie, jest bardzo wielką rzeczą: wypada mi świadomie się jej uczyć. Życie ludzkie nie jest jednym jedynym szeregiem dążeń, ale składa się na nie cały pęk małych szeregów. Nie trzeba się dać uwieść przez Jedno Jedyne, przez Wielką Sprawę, ale umieć zadowalać się wielością małych i przelotnych zadowoleń.

Ubocznie wynikało z tych rozważań odrzucenie trzech dla sensu życia szkodliwych mitologii: Społecznictwa, aktywizmu i hawelizmu. Nieprawdą jest, że sprawa sensu życia jest sprawą społeczną; ona jest, jak większość naprawdę ważnych dla mnie rzeczy, moją sprawą osobistą. Nieprawdą jest, że tylko dążenie do celu może dać sens życiu, że trzeba tylko i wyłącznie dążyć do celów. Nieprawdą jest także, że tylko bezwzględne szczęście ma wartość, że małe i przemijające chwile zadowolenia są „marnościami”.

Płytką i małą filozofia, powie mi ktoś. Zapewne. Tylko że, ona mi się wydaje prawdziwa, podczas gdy „głębokie” i „wielkie” filozofie są fałszywe. Co gorzej, sądzę, że były powodem wielu nieszczęść wielu ludzi. Podczas gdy ta mała filozofia, która jest bodaj mądrością zwykłych ludzi, może dać człowiekowi to trochę szczęścia, jakie jest w ogóle na tym świecie możliwe.

J. M. BOCHEŃSKI

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 23 września 1979

Wielkie opowiadania mienią się jak drogocenne kamienie. Od spojrzenia, od chwili zależy który załom zaświeci się drobną, jasną wiązką. Pokonanie śmierci, ten jest załom główny w *Śmierci Iwana Iljicza* Tołstoja. Proces umierania, ten załom połyskuje wciąż w mojej obecnej lekturze. I zdaje się teraz przyćmiewać pokonanie śmierci, a nawet odsuwać je niekiedy w pustkę moralistycznej abstrakcji.

Ból, rosnący z dnia na dzień, z godziny na godzinę, ból Iwana Iljicza nawiedza półsenny majak: on i jego ból wpychani są do wąskiego, czarnego worka, ale choć wpychani są głębiej i głębiej, nie mogą dosięgnąć dna. Chciałby go dosięgnąć i boi się zarazem. Przepycha się wreszcie, dotyka dna i budzi się. Jego opuchnięte, ciężkie nogi spoczywają na ramionach Gerasima. „Zostaw mnie samego, Gerasim”. Ledwie zamykają się drzwi za wychodzącym, Iwan Iljicz nie umie dłużej powstrzymać płaczu. „Płakał nad swoją bezradnością, nad swoją straszną samotnością, nad okrucieństwem człowieka, nad okrucieństwem Boga, nad nieobecnością Boga. Czemuś to wszystko uczynił? Czemuś mnie do tego doprowadził? Czemu, czemu mężczyz mnie tak okropnie? Nie oczekiwał odpowiedzi, płakał gdyż nie było i nie mogło być żadnej odpowiedzi. Ból zaostrzył się znowu”.

Mijają dwa tygodnie. Przeniesiony z łóżka na sofę, całymi dniami nie odrywa wzroku od ściany. W bólu i samotności wraca ustawicznie do tego samego pytania: „Co to jest? Czyżby Śmierć?”. Wewnętrzny głos odpowiada: „Tak, Śmierć”. „Dlaczego te męki?”. Głos odpowiada: „Bez żadnego powodu, po prostu są”. Poza tą odpowiedzią, prócz niej, nie ma nic. Ota-

czają go bliscy, umiera w sercu ludnego miasta, a przecież czuje się tak samotny jakby opuszczono go w czeluście morza lub ziemi.

W tołstojowskim opisie procesu umierania zaciera się stopniowo granica między bólem fizycznym i samotnością. Wzmagają się razem, nierozzerwalnie splecione. Aż do punktu całkowitej identyfikacji, w którym nie wiadomo już co jest czym: ból fizyczny samotnością, czy samotność bólem fizycznym. Istnieje podobno nowela Olieszy (mówi mi o tym M.), gdzie umieranie wyraża się powolną utratą otaczających przedmiotów. U Tołstoja odbywa się powolna utrata otaczających ludzi: im są bliżej, tym bardziej się oddalają. Za czyjąkolwiek miałoby się to stać sprawą, Boga czy samospowiednika jak w agonii Iwana Iljicza, oby umierający, każdy umierający, zdołał przed zamknięciem na zawsze oczu wyrwać się z kleszczów bólu, czyli zadając mu na krótko bodaj kłam, uwierzyć że w obliczu śmierci nie jest sam. A jednak, a jednak... Błysnął główny żałom w opowiadaniu Tołstoja.

Neapol, 13 października

Ernst Niezwiastny opowiada o swoim zderzeniu z Chruszczowem (stuknęła właśnie piętnasta rocznica „odstawki” autora „tajnego raportu”) w moskiewskim Maneżu, w roku 1962. Sposób urzędzenia wystawy zalatywał prowokacją. Wyeksponowano „nowoczesnych”, zepchnięto na drugi plan „socrealistów”, celowo „zażydono” grupę „nowoczesnych”. Chodziło o „lekcję pogładową” na użytek (czy użydek) Chruszczowa. Połknął natychmiast haczyk. Rozejrzawszy się po sali, ryknął: „Sobacze gówno”. Dalsze komentarze: „Osioł lepiej potrafi mazać swoim ogonem”; „żrecie pieniądze państwowe, a produkujecie gówno”. Niezwiastny zaawansował, w objaśnieniach członków świty Wódza, do rangi „naczelnego podżegacza”. Wódz ruszył na rzeźbiarza z pochylonym łbem, wrzeszcząc wniebogłosy „pederasta”. Na co Niezwiastny: „Nikita Sergejewicz, dajcie mi tu zaraz dziewczynkę, a pokażę wam jaki ze mnie pederasta”. Wódz zarechotał wesoło, po czym zasępił się ponownie. Rzeźbiarz próbował mu wytłumaczyć, że nie zna się na sztuce. „Jakże to? Byłem górnikiem i nie znałem się na sztuce, byłem funkcjonariuszem partyjnym i nie znałem się na sztuce, a dziś jestem pierwszym sekretarzem i premierem i ciągle nie znam się na sztuce? Dla kogo więc pracujecie, dla kogo rzeźbicie?”. Niezwiastny powołał się na pochlebne opinie komunistycznych artystów na Zachodzie, jak Picasso i Guttuso. Nikita wybuchnął: „Mnie się wasze rzeźby nie podobają, a ja jestem na świecie komunista nu-

mer jeden”. I po namyśle: „Naprawdę nie rozumiecie, że wszyscy cudzoziemcy są wrogami?”. Jeszcze trochę porykiwania i konkluzja: „W waszej duszy walczą anioł i diabeł; jeśli zwycięży diabeł, zniszczymy was; jeśli zwycięży anioł, pomożemy wam”. Operacja anielska miała polegać na publicznym akcie skruchy tej treści: „Nikita Sergejewicz, jestem wam wdzięczny za waszą krytykę, która pomogła mi w mojej pracy i w moim rozwoju twórczym”. Na taki projekt deklaracji diabeł w duszy rzeźbiarza wierzgnął gwałtownie, nie pomogły zakłęcia i nalegania partyjnych doktorów anielskich. Niebawem nastąpił upadek Chruszczowa. Archanielski Wódz na emeryturze wielokrotnie zapraszał do siebie rogatego rzeźbiarza, rzeźbiarz odmawiał by uniknąć „żałosnych dyskusji o sztuce”. Ale po śmierci Chruszczowa zgodził się na prośbę rodziny wyrzeźbić mu nagrobek, co było jakoby ostatnią wolą zmarłego. W ten sposób, na cmentarzu Nowodiewiczym w Moskwie, sztuka sowiecka wzięła szlachetny odwet na sowieckiej polityce.

Relacja jest ciekawa i pouczająca, niestety kończy się dość dziwnym wyznaniem. Niezwiastny zadaje sobie pytanie dlaczego właściwie wyjechał z ZSSR, skoro nie uważa się za „dysydenta” i bardzo tego określenia nie lubi. Okazuje się, że do wyjazdu skłonił go bunt „romantycznego ducha”. Ów duch i wychowanie w nim przywiodły go, w okresie rozterki, do refleksji o władzy której można nie kochać, ale która musi przynajmniej być wyrazem „groźnej i demonicznej siły”. Tymczasem zaś władza sowiecka znajdowała się w rękach „lumpenów, gnomów i karłów”, czczonych co więcej i pasowanych na „bohaterów” przez własny naród i świat cały. To obrażało artystę do głębi. „Zgadzałem się na potworności, lecz trawiła mnie potrzeba by były chociaż odrobinę estetyczne. A te pospolite filisterskie potworności ludożerców w kurtkach, kitłaszających się we własnym kłamstwie, rujnowały mnie moralnie”.

Można naturalnie zapytać czy *użas* lat stalinowskich, nie taki znów pospolity i filisterski, był w dostatecznym stopniu wyrazem „groźnej i demonicznej siły”, by w oczach artysty zasłużyć na miano „choć odrobinę estetycznego”. Ale po co? Luminarze nowej emigracji rosyjskiej robią ostatnio wrażenie „lekkotrawnych psychicznie”, jak mawiał Gałczyński. Toczy się od pewnego czasu wyścig oryginalności: kto kogo zakasuje takim pomysłem, że błyskawicznie podwyższy o parę kresek swoje notowania na giełdzie międzynarodowej, zmuszając publiczność do rozdziawienia gęb ze zdumienia. Siniawski prezentuje się w *Le Monde* jako „liberalny słowianofil otwarty na Zachód” (jeszcze takiego dotąd nie widziano). Zinowiew, w wywiadzie na łamach

Herald Tribune, występuje jako „człowiek Zachodu zmuszony do życia w Rosji”; i, prawdopodobnie dla uwierzytelnienia tej wizytówki, oświadcza że „gdyby miał do wyboru między Sołżenicynem i obecnymi przywódcami sowieckimi, wybrałby obecnych przywódców sowieckich”. W wyścigu Niezwiastny zdobył niewątpliwie, w każdym razie dotychczas, palmę pierwszeństwa. Sęk tylko w tym, że jego niebotyczne głupstwo nie jest całkowicie oryginalne. Ma swój prawdziwie (i schyłkowo) romantyczny rodowód w naszym stuleciu.

Stefan George był poetą wieszczącym nadejście Męza, który będzie uosobieniem groźnej i demonicznej siły. Jeden jego wiersz, z roku 1921, przytacza słusznie Sebastian Haffner w książce *Anmerkungen zu Hitler* jako „niemal skrojony na miarę dla Hitlera”. Ruch narodowo-socjalistyczny przywłaszczył sobie Stefana George, widział w nim „swojego poetę”. Gdy przyzywany gorąco Mąż objął w końcu władzę, a w Berlinie postanowiono w roku 1933 uroczystie celebrować sześćdziesiątą piątą rocznicę urodzin Wieszca, biedny i przerażony George uciekł do Szwajcarii, gdzie wkrótce potem zmarł. Było pewnie w tej ucieczce coś z estetycznego obrzydzenia wobec groźnej i demonicznej siły rzeczywiście wcielonej. Jednym z najgorliwszych i najwierniejszych członków *Stefan George-Kreis*, i równocześnie fanatycznym wyznawcą Hitlera, był hrabia Claus von Stauffenberg. Tak, ten sam, wykonawca nieudanego zamachu na Hitlera 20 lipca 1944. Usiłował wtedy zabić nie demonicznego i groźnego Męza z wiersza Stefana George, lecz niemieckiego ludożercę w kurtce. „Jest do napisania — powiada Haffner — rozdział niemieckiej historii intelektualnej pod tytułem *George-Hitler-Stauffenberg*”. Byłby to rozdział o zmierzchu europejskiego „ducha romantycznego”, o tym jak w naszej epoce „socjalizacji człowieka” (według definicji Hitlera w rozmowie z Rauschningiem) „groźna i demoniczna siła” znaczy *nieuchronnie* tyle co „ludożercy w kurtkach”.

(Nawiasem mówiąc. Pełna wypowiedź Hitlera, przytoczona przez Rauschninga: „Do czego nam to wszystko potrzebne — socjalizacja banków i fabryk... Jakże to ma znaczenie, jeśli mocno biorę w garść ludzi dyscypliną, z której nie mogą się wymknąć... Socjalizujemy ludzi”.

Jeden z pierwszych dostrzegł znamię nowej epoki Kafka, na początku lat dwudziestych. W tomiku Gustawa Janucha *Rozmowy z Kafką* jest kilka uderzająco przenikliwych uwag o nowej ludzkości, wdrażanej do maszerowania w karnych szeregach.

„Socjalizacja ludzi” może być cechą nawet dwudziestowiecznej teokracji. Czytam wywiad sławnej dziennikarki włoskiej Oriany Fallaci z Khomeinim. Groźny i demoniczny *Imam*, pro-

szony o wyjaśnienie zakazu słuchania muzyki w Iranie: „Muzyka zaćmiewa umysły, działa jak narkotyk. Wasza muzyka, zachodnia. Nie pobudza do zrywu, usypia. I odciąga naszą młodzież od służby dla dobra kraju, zatruwa ją”. „Także muzyka Bacha, Beethovena, Verdiego?”. „Nie znam tych nazwisk. Jeśli nie zaćmiewają umysłów, nie będą zakazani. Niektóre wasze kompozycje nie są zakazane, na przykład marsze. Chcemy muzyki, która zagrzewa do czynu i pracy, jak marsze; muzyki, która nie paraliżuje. Tak, wasze marsze są dozwolone”.

20 października

Cesarz Ryszarda Kapuścińskiego ma ponoć w kraju niesłabnące powodzenie. Warto się zastanowić dlaczego. Książka jest zgrabna, pomysłowa (mimo nadmiernego małpowania Gombrowicza z *Trans-Atlantyku*), ale trudno ją uważać za ewenement literacki. I mało też prawdopodobne, by w Polsce zrodziło się nagle tak gwałtowne zainteresowanie przewrotem w Etiopii, tronem i detronizacją Negusa. A więc?

Kapuściński wpisał w historię upadku Hajle Sellasje studium władzy całkowicie oderwanej od rzeczywistości, władcy izolowanego całkowicie od podwładnych. Podskórnym tematem jego książki jest Pałac: bardziej niż konkretny, anachroniczny pałac cesarski w Addis Abebie, Pałac jako taki, mała władcza Głowa nasadzona na ciężki odretwiały Korpus, bez żadnej z nim komunikacji społecznej. Komunikację społeczną zastępuje „sztuka rządzenia”. Prawo? Im mglistsze i nieuchwytniejsze, im więcej zawiera ogólników, tym lepiej dla władcy. Dwór, rząd? Dobry dworzanin czy dygnitarz rządowy to taki, który z rękami związanymi korupcją, złodziejstwem i udziałem w zbrodniach oddaje się w ręce władcy; głupi i sprzedajny, lecz wierny i „dyspozycyjny”. Opinia publiczna? Dopuszczalna wyłącznie jako świadectwo lojalności wobec władcy. Historia kraju? Tolerowana jedynie w granicach użyteczności dla „wizerunku” władcy. Naród? Domena policji i wojska. Nastroje ludności? Reguluje je mechanizm donosów. Państwo? Rozległa posiadłość prywatna władcy. Właściciel cesarstwa Etiopii spokrewniony jest z właścicielami innych równie rozległych lub rozleglejszych jeszcze włości, które nazywa się także państwami, jakkolwiek nie muszą koniecznie być monarchiami. Anachroniczne w portrecie Negusa są atrybuty i dekoracje władzy, nie zasady władania. Prawda, w cesarstwie Etiopii brak cesarskiej monopartii. Ale tradycyjny ustrój monarchiczny może się bez niej obyć.

Warunkiem trwania, nawet bardzo długiego, takiego systemu

jest jego immobilizm. Słysząc trzeszczenie i pojawiają się rysy, gdy immobilizm przestaje być odporny na aplikowane mu próby „reform” i „korektur”. Wiadomo: najgorszy jest zły rząd, który stara się sam poprawić; rządzonym prostują się grzbiety, rządzącym płaczą nogi. Zachwiany gmach władzy absolutnej posiada zawsze jeden „zdrowy” — dla rządzących i dla rządzonych — filar: wojsko. Cesarz Etiopii podpisuje akt detronizacji, oficerowie ładują go do samochodu i wywożą z pałacu. Po pewnym czasie każą strzelać do tych, którzy wyobrażali sobie przewrót inaczej; przeważnie do studentów, uznanych teraz za „przeżytki starego porządku”. Ten rozdział wykracza już jednak poza ramy *Cesarza*.

Znamienne że w fanta-politycznej powieści o przyszłości ZSSR, *Tout est calme à Moscou* Sesemanna, wojskowy zamach stanu jest jedynym wyjściem z immobilizmu systemu sowieckiego. Któryś z generalskich spiskowców przypisuje Tołstojowi pogląd, że „w Rosji można zmienić wszystko z wojskiem, nic przeciw wojsku”. Dewiza Rosji cesarskiej ma obowiązywać w neo-cesarskiej. Futurologiczna powieść Sesemanna urywa się za wcześnie, by czytelnik zorientował się do kogo każą strzelać po udanym przewrocie wojskowi sowieccy.

23 października

Wiedziałem że Joyce, podczas swego długoletniego pobytu w Trieście, przywiązał się do Włoch i polubił Włochów. Ale nie zdawałem sobie sprawy jak daleko zaszła jego „italianizacja”. Urodzonym w Trieście dzieciom nadał włoskie imiona Lucia i Giorgio. W domu mówiło się i po angielsku i po włosku. A w latach 1907-1912 cała poboczna, dziennikarsko-eseistyczna, „produkcja” Joyce’a odbywała się w języku „emigracyjnej przystani” (był to zresztą okres, w którym na właściwym warsztacie miał tylko częściową przeróbkę *Portrait of the Artist*). Z wydanego ostatnio tomu *Scritti italiani* widzę jak pisał po włosku. Wybornie! Ze swadą, z elegancją, z zawijasami stylistycznymi, które zdumiewają pod piórem cudzoziemca. A przede wszystkim — bez śladów odruchowego tłumaczenia w myśli z własnego języka na obcy, co w podobnych wypadkach jest zjawiskiem nagminnym.

W artykułach i felietonach do triesteńskiego *Piccolo della Sera* dominują tematy irlandzkie. Esejem jest tekst odczytu, wygłoszonego na triesteńskiej Wszechnicy, *Weryzm i idealizm w literaturze angielskiej: Defoe i Blake*.

Kiedy po wojnie osiedliłem się w Londynie, jedną z moich pierwszych lektur był *Journal of the Plague Year* Daniela Defoe (za radą Potworowskiego, który później twierdził — słusznie, jak sądzę — że nauki wyniesione z tej lektury zaowocowały w *Innym Świecie*). Użyty przez Joyce’a w tytule odczytu „weryzm” jest określeniem wyświechtanym, niewiele znaczy, równie mało jak formułka Anthony Burgess’a w przedmowie do świeżego, kieszonkowego wydania *Dziennika roku dżumy*, że „Defoe był naszym pierwszym wielkim powieściopisarzem, gdyż był naszym pierwszym wielkim dziennikarzem”. Do istoty rzeczy zbliża się za to Burgess, przypominając że „Defoe był purytaninem podejrzliwym wobec sztuki”. To właśnie rozumiał Joyce: „Nie ma u Defoe ani za grosz liryzmu, sztuki dla samej sztuki, czy sentymentu społecznego. Londyński siodlarz-narrator chodzi po opustoszałych ulicach miasta, przystaje nasłuchując gdy z domów dobiegają okrzyki strachu i udręki, omija zarażonych, czyta zarządzenia władz miejskich, gawędzi z rzadkimi przechodniami żującymi chosnek i rutę, narzeka na straże nocne, dyskutuje z przewoźnikiem w Blackwell, skrupulatnie prowadzi swoją statystykę, wspina się na szczyt wzgórza w Greenwich i oblicza w przybliżeniu ile osób schroniło się na statkach zakotwiczonych u brzegów Tamizy, chwali, piętnuje, często płacze, czasem się modli. I kończy opowieść czterema kulawymi wierszami, prosząc czytelnika by był dla nich wyrozumiały. Są chropowate, powiada, lecz szczerze. Brzmiały tak: *Straszna dżuma spadła na Londyn / w roku 1665 / Zmiotła sto tysięcy dusz / A przecież ja żyję!*”. Jak z tego widać, dodaje Joyce, w *Dzienniku roku dżumy* „gwiazda poezji świeci przez swoją nieobecność”. Świetne zdanie, najlepsze ze wszystkiego co czytałem o książce Defoe. Ale trzeba je brać niemal dosłownie: martwe światło odepchniętej świadomości gwiazdy poezji; klucz narracyjny w opisach kataklizmów i plag.

Dzieciństwo Daniela Defoe upłynęło pod znakiem Biblii, codziennie przepisywał z niej przykuty do stołka stronicę zadane przez matkę.

24 października

Ogromna (przeszło siedemset stronic), nudna, pedantyczna, dłubacka biografia Camusa pióra Herberta Lottmana może służyć za przykład jak, nadmuchując wybitnego pisarza ponad wszelką godziwą miarę, pomniejsza go się w oczach admiraatorów. Coś nieoś da się z kartkowania tomiska ocalić. W roku 1950 Faulkner dostał nagrodę Nobla. Na wiadomość o tym Camus wpisał do dziennika, bez słowa komentarza, refleksję Faulknera o współ-

czesnej literaturze. Odnoszę się sceptycznie (powiedział Faulkner w wywiadzie z jakimś dziennikarzem) do młodego pokolenia pisarzy, którzy nie wiedzą jak pisać o odwiecznych prawdach — o dumie, honorze, bólu; źródłem współczesnego nihilizmu jest strach; gdy pisarze przestaną się bać, zaczną znowu powstawać trwałe dzieła.

W tym samym 1950 roku umarł Orwell. W przedmowie do nowego wydania 1984 Broński cytuje fragment jego eseju z roku 1940, zakończony zdaniem: „Dobre powieści piszą ludzie, którzy się *nie boją*”. Nie boją się patrzeć w otchłań pod naszymi stopami, jak Orwell w 1984. Broński trafnie wskazuje rosnącą i coraz bardziej uniwersalną aktualność książki w naszym wieku raka totalitarnego. Trafnie również podkreśla mężny pesymizm Orwella, wolny od hysterii i ukrytej zgody na kapitulację. Dzisiejszymi nihilistami są wczorajsi krótkowzroczni i tchórzliwi konformiści, a nie ludzie pokroju Orwella którzy widzą ostro niebezpieczeństwo i jednocześnie nie rezygnują z wiary w duchowe i moralne rezerwy człowieka.

Orwell skończył swoją powieść w roku 1948, sądzi się powszechnie że nadał jej tytuł przedstawiając w dacie dwie ostatnie cyfry. Wiadomo już dziś (z listu do Gleba Struwego), że o istnieniu powieści Zamiatina *M y* dowiedział się po narodzinach pomysłu własnej. Nie wiedział natomiast, to pewne, że w roku powstania powieści Zamiatina, czyli 1920, wyszła w Moskwie krótka opowieść Iwana Kremniowa *Podróż mojego brata Aleksiego do kraju chłopskiej utopii*, której „przyszłościowa” akcja rozgrywa się w roku... 1984. Była to utopia pogodna, nieledwie arkadyjska, skierowana przeciw niepohamowanemu pędowi do industrializacji i urbanizacji. Pod pseudonimem Kremniowa krył się eser Aleksander Czajanow, ceniony ekonomista, dyrektor Instytutu Rolnego w Moskwie, gorliwy propagator dobrowolnej spółdzielczości wiejskiej. Odczytywany wraz z powieściami Zamiatina i Orwella, *Rok 1984* Czajanowa zawiera w gruncie rzeczy analogiczne ostrzeżenie, choć w odwróconej formie bukolicznej: przed „kolektywizmem oligarchicznym”, przed „butem miażdżącym ludzką twarz”, przed okrutną, bezduszną, totalitarną cywilizacją ludzi — numerów. Orwellovsko-zamiatinowski był los samego autora: około roku 1930, u progu przymusowej kolektywizacji, aresztowało go GPU i odtąd stał się *un-person* na obszarze kraju zdążającego ku przyszłości Jedyne go Państwa.

31 października

Czy wenecka powieść Oskara Miłosza *Miłosne wtajemniczenie*

podoba się Czesławowi Miłoszowi? Stroniczka poświęcona jej w *Ziemi Ulro*, raczej powściągliwa, ogranicza się do wyłożenia tematu i sensu *Miłosnego wtajemniczenia*: tematem jest nienasytanie, sens tkwi w pożądanu Wszystkiego, przy czym miłość odgrywa rolę zasłony skrywającej „inny wymiar”. Nawet taka zwięzła, i ścisła zresztą, prezentacja *Miłosnego wtajemniczenia* skłania do zadumy nad swoistym *genius loci*: niedokończona powieść wenecka Fredericka Rolfe (Barona Corvo) nazywa się *The Desire and Pursuit of the Whole*.

Ja uważam wenecką powieść Oskara Miłosza za prawie arcydzieło. Prawie, gdyż jest trochę zanadto rozgadana, chociaż taka niby powinna być z racji przyrodzonego gadulstwa bohatera-narratora i obsesyjno-maniakalnej miłości o której w swoim niepowstrzymanym monologu opowiada. Trudno: Oskar Miłosz zapłacił obniżeniem napięcia poetyckiego za obowiązki wobec charakteru postaci. Z posłowie Jonasa Griniusa (chyba Litwina) do włoskiego przekładu wynikałoby, że sam autor po latach traktował *Miłosne wtajemniczenie* dość lekceważąco, określając je mianem „aneddoty”; i czuł się odrobinę zażenowany rozsiyanymi w powieści „nieprzyzwoitościami”, zwłaszcza gdy rząd litewski mianował go swoim posłem w Paryżu, a paryscy kiperzy literaccy nadali mu tytuł „filozofa mistycznego”. Pół biedy jeszcze z zażenowaniem świeżo upieczonego posła w dyplomatycznym fraku. Natomiast „filozof mistyczny” nie miał z pewnością powodu wstydić się *Miłosnego wtajemniczenia*. Na odwrót: „Intelekt (mówi bohater-narrator), zdolność drugorzędna, został człowiekowi dany z jedynym celem wyjaśnienia mu fundamentalnej wagi Uczucia, oraz prowadzenia go w poszukiwaniach samej zasady Bytu. Zanim podejmiemy wielki podbój Nieba, nauczmy się uważać nasz drogi Rozum nie za wartość niezależną i określoną, lecz tylko za uzupełnienie ciemnej i niezbadanej mocy wewnętrznej. Niestety! Umiemy ledwo ledwo kochać, a chcielibyśmy myśleć w sposób doskonały!”.

Nie znam, a w każdym razie nie przypominam sobie w tej chwili, utworu w którym z taką sugestywnością opisany byłby daremny wysiłek przedarcia się poza surową i dotykającą rzeczywistość, ku... Ku czemu? Ku „innemu wymiarowi”, według Czesława Miłosza. Ku „Bogu Miłości”, według Jonasa Griniusa. Ku „strasznej tajemnicy świata”, według bohatera-narratora *Miłosnego wtajemniczenia*. I wiecznej, dlatego właśnie strasznej.

Zastanawiam się, czy ocena powieści Oskara Miłosza możliwa jest bez zauważenia w niej jednego elementu. Wypadki dziejące się w Wenecji opowiadane są w Neapolu. Jest to, nie tylko kompozycyjnie, jakby neapolitańska oprawa weneckiego obrazu. Neapol, kwintesencja materialności, gdzie nie istnieje nic czego

nie można dotknąć ręką. Wenecja, kwintesencja snu, gdzie wszystko zdaje się często być odbiciem odbicia w niekończącym się, lustrzanym łańcuchu. Gdybym chciał, z myślą o *Miłosnym wajemniczeniu*, wskazać świadomy u Oskara Miłosza (który Włochy znał dobrze i widział w nich swoją „prawdziwą, być może, ojczyznę”) efekt neapolitańskiego „obramowania” i weneckiego „płótna”, przytoczyłbym wers Eliota: „Człowiek nie potrafi wytrzymać za wiele rzeczywistości”; stosując go do Wenecji; słysząc jego pusty dźwięk w Neapolu.

Dzień Zaduszny

Suchy, ostry wiatr od morza, *tramontana*. Dmie w szkliste powietrze nad zatoką. Powleka morze ołowianym odcieniem. Nasyca światło słoneczne chłodnym blaskiem. Obrysowuje grubym konturem i nasącza ciemnym fioletem wulkan, półwysep, wyspę.

Na cmentarz, do Poggioreale: od wczesnego rana cały ruch uliczny zmierza w tym samym kierunku. Kiedy nasz tramwaj zajeżdża na plac przed jedną z bram cmentarnych, oblega ją już duży tłum. Gwarny, pstry, z nareczami kwiatów i torbami wypchanymi jedzeniem, obficie przetkany dziećmi, którym u progu cmentarza kupuje się słodycze, baloniki, plastikowe śmigła na parykach. Dzień Umarłych? *Festa*, wspólne Święto Żywych i Umarłych! Za murem, na pochyłości zbrocza, las wieżyczek: kaplice, grobowce rodzinne, zbiorowe groby konfraternii dzielcowych.

Nie odwiedza się tu tylko własnych, najbliższych umarłych. Żywi krążą alejami o poetycznych nazwach, zaglądają do cudzych grobowców, odczytują napisy na płytach i tabliczkach, głośno wymieniają informacje, cieszą się jeśli udaje im się napotkać umarłych znajomych, lub takich o których cokolwiek słyszeli. W porze obiadowej wszystkie ławki w alejach są zajęte, wiatr porywa papiery z odwijanych pakunków i znosi je razem z liśćmi, dzieci bawią się między grobami. Z megafonów ukrytych w gałęziach drzew płynie ciurkiem nieokreślona muzyka, ni to żałobna ni pogodna.

Odkąd zamieszkałem w Neapolu, uderzała mnie ta zażyłość ze śmiercią. Parokrotnie o niej pisałem: o euforycznym czyszczeniu kości na Poggioreale, o całowaniu i pieszczeniu „cudownych czaszek” w katakumbach kościelnych, gdzie w XVII stuleciu grzebano bezimienne ofiary dżumy. W ciągu tylu lat powinienem się był z nią oswoić, albo przynajmniej rozumieć ją na tyle,

by mnie za każdym razem nie zaskakiwała. Ale nie takie to łatwe. Stosunek Neapolitańczyków do śmierci, odarty z Nieznanego, będzie mi zawsze uprzytamniał jak bardzo jestem w tym mieście obcy; i jak bardzo jest mi ono obce. Układałem na ten temat rozmaite „teorie”, każda po jakimś czasie przestawała mi wystarczać. Zjawisko sięga czegoś tak głęboko wrośniętego, że nie uchwyci go nawet w części żadna rozumowa „interpretacja”. Tutaj poufałość ze śmiercią jest fizyczna i naturalna, jak gdyby Poggioreale było nie cmentarzem, lecz odmienną nieco od innych, „specjalną” dzielnicą Neapolu.

11 listopada

Po rosyjsku *poputcziki*, po angielsku *fellow-travellers*, po francusku *compagnons de route*, po włosku *compagni di strada* albo (dokładniej i dosadniej) *utili idioti*. Historyk angielski David Caute napisał o nich książkę, której jeszcze nie dostałem. Recenzja Jacques Julliarda w *Nouvel Observateur* wskazuje, że Caute wiele rzeczy dopowiedział nareszcie do kropki. Jedną, na przykład, dla mnie nową i niespodzianą. Wiązano zwykle urdzaj na „użytecznych idiotów” z szerszym zjawiskiem „zdrady klerków”, nie zadając sobie trudu sprawdzenia jak ewoluował sam oskarżyciel, Julien Benda. *Zdrada klerków* wyszła w roku 1927. Po procesie Rajka, w roku 1949, Benda oświadczył: „Voltaire był wierny roli klerka w sprawie Calasa, Zola w sprawie Dreyfusa; czuję się podobny do nich w mojej obronie wyroku skazującego Rajka”. Dopiero posadziwszy naczelnego prokuratora Bendę na ławie oskarżonych, obok tych którym wytoczył był niegdyś proces w swej głośnej książce, można ocenić rozmiary i postępy „zdrady klerków” jako wylęgarni „użytecznych idiotów”.

Sprawiła mi przyjemność następująca uwaga Julliarda: „Powie ktoś że koniec *compagnons de route* nie tłumaczy się śmiercią Stalina, lecz ujawnieniem jego zbrodni przez Chruszczowa. Nie jestem tego pewien. *Compagnons de route*, przeważnie intelektualści, nie mogli nie wiedzieć. W większości wypadków wyrekli się kultu ZSSR nie kiedy dowiedzieli się co się tam działo, ale kiedy dowiedzieli się że wszyscy o tym wiedzą”. Zawsze tak sądziłem. I autorom ewentualnych przyszłych powieści o fascynacji, jaką wśród intelektualistów i na Zachodzie i na Wschodzie budził za życia Stalina „despotyczny socjalizm”, radziłbym nie przeoczać tego ważnego punktu. Fascynował ich bardziej „despotyczny”, niż „socjalizm”. Dopóty jednak, dopóki *arcana imperii* (czy, jeśli kto woli, „nieuniknione koszty” posłuszeń-

stwa „prawom rozwojowym” i „konieczności historycznej”) stanowiły sekret, zastrzeżony dla elity, zamknięty przed „ludnością”. Oczywiście na Wschodzie „ludność” znała sekret aż nadto dobrze, skoro poznawała go na własnej skórze. Ale nie miała prawa go znać. I to, prócz strachu i korupcji, wystarczało by w granicach imperium zdobywać intelektualnych akolitów władzy despotycznej; a poza jego granicami, bez udziału strachu natomiast z walmym udziałem szantażu „postępowości” i nacisków „środowiska”, werbować wciąż nowe zastępy „użytecznych idiotów”.

14 listopada

Oglądałem przed tygodniem *Carceri Piranesiego* w podziemnym korytarzu Zamku Anioła w Rzymie. Jakże przeżycie! Wspaniałe, zagadkowe od dwóch przeszło stuleci szych nabierają, przy skąym świetle w półmroku lochów, enigmatyczności w stanie czystym: takiej, o której nie śmie się już nic mówić, by jej nie spłoszyć zbędnym lub nieostrożnym słowem. Napisano o *Więzieniach* setki rozpraw analitycznych. Że są płodem niepowściąganego niczym fantazji na pograniczu majaczenia; że powstawały, gdy Piranesi chorował na malarię i spalała go gorączka; że wyrażają doskonałą bezcelowość; że odtwarzają zmorę senną samotności i zagubienia w świecie; że wolno je nazwać bezmierną Wieżą Babel i dziełem *noir cerveau*; że przewijają się w nich motyw „wiecznego powrotu”; że są „więzieniami metafizycznymi”; że złożyły się na nie *acedia* i „lęk egzystencjalny”.

Kiedy o tym wszystkim czytam w katalogu wystawy i w kilku szkicach o Piranesim z mojej biblioteki, odnajduję słaby tylko cień chwil jakie przeżyłem przed *Więzieniami* w Zamku Anioła. Zapisać co czułem? Przecież będą to także słowa, a ja w każdym ze szychów Piranesiego widziałem niewyraźną słowami, ukrytą głęboko w ludzkich sercach grozę Sądu Ostatecznego, który odbywa się codziennie.

22 listopada

Pisząc o nagłej epidemii bzika (może lepiej byłoby mówić o chorobie błędniaka) wśród prominentów nowej emigracji rosyjskiej, miałem również na stole wywiad z profesorem Etkindem w *Die Zeit*. Machnąłem po namyśle ręką, żeby nie mnożyć zasmucających przykładów: jeden mniej, jeden więcej, zjawisko jest i tak dostatecznie wyraźne. Nie, nie powinienem był pomijać wywiadu z Etkindem. Pod pewnymi względami zasługuje nawet

na szczególną uwagę. Zakończenie, bo ono jest tu ważne, brzmi tak:

Etkind: Sołżenicyn zbudował sobie ideał. Ideał świętej Rosji, z nowym carem i cerkwią prawosławną na szczycie.

Dziennikarz niemiecki: Ideał, na dobrą sprawę, stalinowski.

Etkind: Nie wiem, nie sformułowałbym tego — proszę wybaczyć — w sposób tak prymitywny. Raczej ideał leninowski: ktokolwiek rządzi krajem, ma kościół kształtujący ideologię kraju. Rząd i kościół, znany to również z Francji Ludwika XIII. Voltaire chciał zastąpić kardynała filozofem. Sołżenicynowi nie jest potrzebny żaden filozof. Ani żaden kardynał. Jest mu potrzebny *ayatollah*.

(Pamiętam jak prasa „postępowa” na Zachodzie zareagowała na triumfalny wjazd Khomeiniego do Teheranu. Pisano o „autentycznym przywódcy ludowym” rewolty przeciw Szachowi. Potem miny stopniowo rzedły, aż obłąkany *Imam* stał się symbolem reakcji. Przydomek *ayatollah* przyczepiono Wojtyłę, co miało oznaczać że nowy papież zawiódł oczekiwania „obozu postępu”. Kolej teraz na Sołżenicyna).

W dzisiejszym *Giornale* Sołżenicyn odpowiada Etkindowi. Pisze, że nawet propaganda sowiecka nie posunęła się w atakach na niego tak daleko. Skarży się na „nieuczciwy chwyt polityczny”, nazywając go „trikiem perskim”: „Okrucieństwa fanatyzmu muzułmańskiego podrzuca się odrodzeniu chrześcijańskiemu w Rosji; sypie się „perski proszek” w oczy tym, którzy z trudem usiłują podnieść się z ziemi choćby na kolana”. I dotyka istoty rzeczy: „Istnieją osoby wysoce rozwinięte intelektualnie i politycznie, którym brak jednak całkowicie pewnego wymiaru duchowego; brak do tego stopnia, że są niewrażliwe na religię, jakby pozbawione były w ogóle organu nieodzownego do jej pojmowania; profesor Etkind daje niestety dowód przynależności do tej kategorii osób, gdy zestawia prawosławie z ideologią leninowską”.

Nie jest to kwestia wiary i niewiary, lecz właśnie elementarnej wrażliwości. Można być agnastykiem, a jednocześnie rozumieć znaczenie i potrzebę religii w życiu ludzi i narodów. Zwłaszcza w krajach podbitych przez „ideologię leninowską”. Spustoszenia jakich dokonał tam „ideologiczny” pomiot „filozofów” są może niewyobrażalne dla przeciętnego „wolterianina” na Zachodzie, ale powinny chyba być znane „wolterianinowi” świeżo przybytemu z Leningradu. Włoski historyk i socjalista Valiani przytoczył niedawno, w sprawozdaniu ze swej podróży

do Budapesztu, krzyk rozpaczy robotnicy węgierskiej: „Odebrali moim dzieciom Boga, nic im w zamian nie dając”. Etkind, któremu los oszczędził pobytu na Archipelagu, mógłby podumać trochę o wzmiankach na temat *religiozników* w nowelach kołymskich Szałamowa i w drugim tomie pamiętnika byłej adeptki „leninizmu” Jewgienii Ginzburg. Cały problem przebudzenia religijnego w Rosji — trudny, skomplikowany, dramatyczny — sprowadzać do pomówienia wielkiego pisarza o ciągoty „ayatolliczne”!

Podobno Andropow, uzasadniając przed towarzyszami z Politbiura swój projekt wyrzucania z ZSSR nonkonformistycznych pisarzy, uczonych i artystów, zachwalał go argumentem: „Wszystkich ich jak pająki do jednej bańki, zobaczycie co z tego wyniknie”.

24 listopada

Sir (od tygodnia były Sir) Anthony Blunt, znakomity historyk sztuki którego w Neapolu uważa się za Neapolitańczyka *honoris causa* z tytułu jego częstych wizyt i studiów nad barokiem neapolitańskim, doradca artystyczny królowej, okazał się „czwartym człowiekiem” w aferze szpiegowskiej Philby-MacLean-Burgess. Według własnych zeznań szpiegował na rzecz Sowietów przez całą wojnę, służąc w różnych komórkach wywiadu angielskiego. Prawdopodobnie jego udział w kwartecie (albo w kwintecie: tropi się obecnie „piątego człowieka”) trwał długo jeszcze po wojnie. W roku 1964, w rok po ucieczce Kima Philby do Moskwy, przyparto wreszcie Sira do muru, wydobyto z niego przyznanie się do winy i ubito z nim targ: nietykalność za pełną spowiedź i współdziałanie. Nietykalność obejmowała automatycznie zaszczytną funkcję w pałacu królewskim. Królowa, rzekomo w nic niewtajemniczona, korzystała nadal z usług swego doradcy artystycznego. I korzystałaby do jego śmierci lub zasłużonej emerytury, gdyby nie ukazanie się demaskatorskiej książki Andrew Boyle’a *Klimat zdrady*.

Klimat zdrady sięga lat trzydziestych w Cambridge. Młody Blunt został „komunistą a w każdym razie marksistą” w imię „antyfaszyzmu”. Spełniał wówczas rolę uniwersyteckiego „łowcy talentów” (w sztuce szpiegowskiej) na przyszły użytek agenta sowieckiego w Londynie. I on i odkryci przez niego utalentowani koledzy mieli się dopiero przygotowywać do nadchodzących zadań. Blunt dojrzał do tych zadań w roku 1940, w okresie przymierza Stalina z Hitlerem. To przymierze nie zrodziło wahań

w sumieniu „antyfaszysty”? Najmniejszych — było ze strony Rosji koniecznością taktyczną dla zyskania na czasie. No więc kiedy poczuł się nieswojo w skórze szpiega sowieckiego? Po wojnie, w miarę napływu i „kumulatywnego” działania informacji o ZSSR. Przed wojną, jak też w jej pierwszej fazie do czerwca 1941, nie było widocznie żadnych możliwości wyrobienia sobie poglądu na „twierdzą i opokę antyfaszyzmu”. A czerwiec podsycił szpiegowską powinność.

Orwell wiedział co mówi, twierdząc w jednym ze swoich esejów, że komunistyczna czy komunizująca inteligencja angielska owych lat uczuciem patriotyzmu darzyła raczej ZSSR, niż własny kraj. „Dajmy spokój — zaklinał — nonsensom o obronie wolności przed faszyzmem”.

W rozmowie z przyjacielem o *Klimacie zdrady* Blunt uraczył go finezyjną i aluzyjną powiastką. „Armia florentyńska biła się z armią papieską, i Benvenuto Cellini był po stronie florentyńskiej. Podczas przerwy w bitwie dobiegł z linii papieskich głos: „Benvenuto, papież chce byś dla niego pracował”. Cellini rzucił broń, przeszedł do armii papieskiej i stał się złotnikiem papieża. Ukończywszy pracę wrócił do Florencji, gdzie przyjęto go z honorami i radością, gdyż był wielkim artystą”. Ta nuta elitarnych pychy — ludzi wybitnych nie obowiązują potoczne prawa, zasady, lojalności — odzywa się również w wydanej w roku 1952 książce Alana Moorhead’a *Zdrójcy — Podwójne życie Fuchsa, Pontecorvo i Nunn May’a*.

27 listopada

Zdarza mi się czasem słyszeć zarzut „nocnego czarnowidztwa” pod adresem mojego dziennika.

Leonardo Sciascia, najciekawszy dziś moim zdaniem pisarz włoski, wydał ostatnio swój dziennik dość zbliżony w założeniu i stylu do mojego: zapisy typu kronikarskiego z towarzyszeniem komentarzy i refleksji, przy wystrzeganiu się pokus i maniery dziennika osobistego, „intymnego”, który na ogół staje się — jeżeli przeznaczony jest do druku — strojeniem min przed lustrem w egotyczno-publicznym konfesjonale, pod przemożną władzą dylematu „do twarzy mi z tym czy nie do twarzy?”. Sciascia zatytułował swój dziennik *Nero su nero*, czyli *Czarno na czarnym*. „Tytuł chce być parodystyczną odpowiedzią na zarzut pesymizmu, jaki mi się zazwyczaj stawia: czarne pismo na czarnej stronie rzeczywistości”. Bardzo stosowny dla dziennika tytuł w naszych świetlanych czasach.

1 grudnia

Większość admiratorów Piero della Francesca osiąga szczytowy punkt swego zachwyty przed dwoma jego obrazami, *Zmartwychwstaniem* w Borgo San Sepolcro i *Biczowaniem Chrystusa* w Urbino. Huxley pasował *Zmartwychwstanie* w głośnym niegdyś eseju na *the best, the greatest picture in the world*. Zwolennicy prymatu *Biczowania*, nie wdając się w próżną zabawę „naj” na skalę światową, mają też w zanadrzu sporo dobrych argumentów. Może jednak należałoby zamknąć spór kompromisowym twierdzeniem: każdy z tych obrazów jest wielki; jeszcze większe są łącznie.

Łącznie bowiem rozpraszają pewne złudzenie, szczególnie wyraźne u Huxley'a. Na poparcie swego wyboru pisze on, że Piero wydaje mu się malarzem inspirowanym przez „religię *Zywołów* Plutarcha, która nie jest chrześcijaństwem, lecz uwielbieniem tego co godne podziwu w człowieku”; gdyż Mistrz „mało obchodził dramat życia i religii”. Huxley nie dostrzega dramatyczności w *Biczowaniu*, a Chrystus w *Zmartwychwstaniu* jest dlań „raczej plutarchowym bohaterem, niż Chrystusem konwencjonalnej religii: twarz surowa i zamyślona, zimne oczy, cała postać wyrażająca siłę fizyczną i intelektualną”. Również w eseju Herberta o malarstwie Piera mowa o „postaci zwycięzcy, który w lewej ręce trzyma krzepko proporzec, a prawą przytrzymuje całun jak senatorską togę; mądra, dzika twarz o przepaścistych oczach”. Byłem i ja przed laty bliski tego widzenia, chociaż wzrok Chrystusa ze *Zmartwychwstania* nasuwał mi ambiwalentne wrażenie „triumfatora i pokonanego”.

Dramatyczność *Biczowania*, której nie zauważył Huxley, tkwi w dziwnej aurze obojętności i bezosobowości. Nie przepadam za Berensonem, drażni mnie i śmieszy jego teoria „walorów dotykowych”, ale tutaj trzeba mu przyznać rację: Piero lubił bezosobowość, nieobecność uczuć jawnych, nie interesowały go emocje malowanych postaci, a przecież nie ma *Biczowania* bardziej przejmującego od obrazu w Urbino. To samo dotyczy *Zmartwychwstania*. Kiedy się oba obrazy widzi łącznie, podobna jeśli nie identyczna aura obojętności i bezosobowości udziela się scenie wstania Chrystusa z grobu, przed którym śpi czterech strażników rzymskich — odpowiednik trzech skamieniałych figur na pierwszym planie obrazu w Urbino, odwróconych plecami do Chrystusa biczowanego obojętnie na drugim. Chrystus nie jest u Piera „plutarchowym bohaterem”, ani zwycięzcą i triumfotorem, lecz jednym z wielu w strumieniu egzystencji, tyle że z świeżym odblaskiem śmierci w twarzy równie niewzruszonej jak ta z którą

przyjmował, przywiązany do kolumny, smagnięcia bata. Piero mówi po prostu w swych dwóch obrazach: jest czas biczowania i czas zmartwychwstania. Nikt naturalnie od niego, z większą powściągliwością i znajomością ludzkiego losu, z mocniejszym sprzężeniem nędzy i dostojęstwa człowieka, nie pokazał w malarstwie dramatu życia i religii.

2 grudnia

Machiavelli rozważa w *Księciu* „dobre lub złe posługiwanie się okrucieństwami”. Warto posłuchać jego recepty, by uprzedzić sobie lepiej jakie zaszyły zmiany w nowoczesnym księciu. „Dobrze użytymi okrucieństwami mogą nazywać się te (jeżeli o złem wolno powiedzieć, że jest dobrem), które popełnia się raz jeden z konieczności, dla ubezpieczenia się, nie powtarza się ich później, a które nadto przynoszą możliwie największy pożytek poddanym. Złe użytymi są takie, które choćby z początku nieliczne, z biegiem czasu mnożą się zamiast stawać się rzadszymi. Ci, którzy używają pierwszego sposobu, mogą z pomocą boską i ludzką przynieść swemu państwu pewną korzyść, jak na przykład Agatokles król Syrakuz. Dla drugich jest rzeczą niemożliwą utrzymać się. Z tego należy wyciągnąć wniosek, że zdobywca, uchwyciwszy władzę, powinien przygotować i popełnić naraz wszystkie nieodzowne okrucieństwa, aby nie wracając do nich codziennie i nie powtarzając ich, mógł dodać ludziom otuchy i pozyskać ich dobrodziejstwami. Kto czyni inaczej, czy to przez tchórzostwo, czy złą radę, jest zmuszony trzymać ciągle nóż w ręku i nie może nigdy polegać na swych poddanych, którzy wskutek ustawicznych i świeżych krzywd nie mogą nabrać do niego zaufania. Albowiem krzywdy powinno się wyrządzać wszystkie naraz, aby krócej doznawane, mniej tym samym krzywdziły, natomiast dobrodziejstwa świadczyć trzeba po trosze, aby lepiej smakowały”.

Recepta *segretario fiorentino*, zalecająca stosowanie terroru gwałtownego i krótkotrwałego po którym następuje okres wielkoduszności władcy, jest dziś przestarzała. W epoce „socjalizacji ludzi” despotyzm, dosiadłszy tygrysa, nie ma innego wyjścia jak ścisnąć ciągle nóż w ręku. I może utrzymać się na jego grzbiecie nie tyle próbą obłaskawienia po ciosie oszałamiającym, ile zameczając go i zniżając codziennie terrorem permanentnym. W roku 1931 (opowiada Weissberg-Cybulski w *Wielkiej czystce*) krążyła wśród członków partii w Moskwie zakazana anegdota. Jagoda zapytał któregoś dnia Stalina: „Co byście woleli, towarzyszu Stalin, czy żeby członkowie partii byli wobec was lojalni z przekonania czy ze strachu?”. Stalin odpowiedział bez namysłu:

„Ze strachu”. Po czym, zapytany przez Jagodę dlaczego, wyjaśnił: „Bo przekonania się zmieniają, ale strach pozostaje”. Jest tedy nonsensem mówić o nowoczesnym despotyzmie „oświeconym”, a samoogłiwaniem się oczekiwać go, upatrując dobre wróżby w osłabieniu terroru. Terror w „socjalizmie despotycznym” może być regulowany, jak reguluje się ciśnienie, nigdy zaniechany całkowicie na rzecz dozowanych po trosze i tym więcej smakowanych dobrodziejstw.

Machiavelli dawał dobre rady renesansowemu księciu świadomy pewnych jednak granic wytrzymałości indywidualnej i społecznej człowieka. Nie uznaje ich nowoczesny despotyzm, a raczej uznaje lecz chce je zniszczyć doszczętnie strachem. Zetrzeć na miał „twarde jądro” w człowieku: czy to w ogóle do pomyslenia? Kto mówi: nie, jest człowiekiem wierzącym, religijnym, choćby stronił od świątyń Boga i słowem „człowieczeństwo” zastępował słowo „dusza”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nowość wydawnicza

OFICYNĄ POETÓW I MALARZY
146 BRIDGE ARCH, SUTTON WALK,
LONDON SE1 8XU

PETER RAINA

STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI

PRYMAS POLSKI

Tom I

Str. 576. Liczne ilustracje. Cena £ 8.00.

Pierwszy tom o życiu i działalności Prymasa Polski obejmuje jego lata młodości i okres nauki; myśli młodego księdza o przebudowie ustroju społecznego; okres wojny; czasy biskupie oraz pierwsze lata prymasowskie do aresztowania we wrześniu 1953 roku. Poruszane są także sporne problemy między Kościołem i państwem oraz światopoglądy katolików wobec zagadnień życia narodowego. Opracowanie zostało dokonane na podstawie dotychczas niepublikowanych źródeł archiwalnych.

Polacy, Litwini, Białorusini

Szukanie możliwości rzeczywistego dialogu i porozumienia między bliskimi sobie przez historię, kulturę i granice narodami — polskim, litewskim, białoruskim i ukraińskim — jest dla wszystkich wymienionych tu stron sprawą ogromnej wagi. Od wielu lat stara się jej służyć paryska *Kultura*. Wydaje się jednak, że w wypowiedziach na jej łamach istnieje pewna dysproporcja. Liczniejsze są głosy (lub też relacje o nich), ze strony litewskiej, ukraińskiej czy białoruskiej, niż polskiej. Jeśli tak jest, to w istniejących warunkach nietrudno to wyjaśnić.

Dla prasy i środków masowego przekazu w kraju tematy dotyczące mniejszości narodowych w niektórych okolicach terenów północno-wschodnich i wschodnich, jak również ogromnej liczby Polaków mieszkających bezpośrednio poza granicą wschodnią — stanowią tabu. Stąd bliższa znajomość tych zagadnień wśród ogółu inteligencji w Polsce jest niemal żadna. Tym bardziej na emigracji. Jedynie mieszkańcom danego terenu znane są pewne problemy lokalne. Na tym tle u przeciętnego obywatela PRL istnieje dziwna obojętność na los Polaków za granicą wschodnią, jeśli pominąć powiązania rodzinne. Jej źródłem jest zupełny brak informacji na ten temat i nieznanostwo najnowszej historii. Dlatego też Polacy przyjeżdżający niekiedy z ZSRR do rodzin w kraju, wyjeżdżają stąd zawiedzeni i rozgoryczeni powszechną niewiedzą o ich istnieniu i losie, a co za tym idzie także i obojętnością.

I. POLACY — LITWINI

1. Od lat dwudziestych poczynając — czy nawet wcześniej — utrwaliło się wiele negatywnych schematów, które do dziś

fatalnie ciężą na stosunkach polsko-litewskich. Przykładem ich przełamania może być ciekawy i cenny dwugłos Cz. Miłosza i T. Venclowy (*Kultura* Nr 1/2, 1979). Wypowiedź tego ostatniego, jako przedstawiciela społeczności litewskiej, wydaje się szczególnie ważna. Tam jednak, gdzie autor nie opiera się na własnych przemyśleniach i spostrzeżeniach, lecz na pogłoskach, jego wypowiedź odbiega od rzeczywistości i nie służy dobrej sprawie. Chodzi tu o jedno z końcowych zdań, w których Autor wyraża swe oburzenie na skutek złego traktowania Litwinów w „Kraju sejneńskim”. Tym bardziej, że jak pisze „robi to Kościół polski mający tyle zasługi” (*tamże*, str. 34).

Zdaje się, że i wcześniej wypowiedziano podobne opinie na łamach prasy emigracyjnej, czy nawet krajowej, ukazującej się poza cenzurą. Nie są mi one znane. O ile mi wiadomo, ze strony polskiej na emigracji nie wypowiedziano się na ten temat. Nie powinno się jednak pozostawiać bez wyjaśnień tego rodzaju zarzutów, ze względu na ich różne negatywne konsekwencje.

2. A oto co każdy, znający Sejny i okolicę może łatwo ustalić w powyższej sprawie i co powinno być znane, jeśli wypowiedzi na ten temat mają służyć czemuś dobremu.

Wszędzie tam gdzie są Litwini (dotyczy to kilku parafii), jest w całej pełni zapewnione duszpasterstwo litewskie i nauczanie katechizmu w tym języku. Prowadzi je grupa kilku księży, którzy już to czują się Litwinami, już to *con amore* opanowali literacki język litewski, by móc służyć Litwinom (ks. Jan J. Mac-ko). Tak jest w głównym skupisku litewskim, Puńsku (2,5 tys. parafian), gdzie ofiarnie pracuje ks. Dźermejko. Ponieważ większość stanowią tu Litwini, dwie msze św. są po litewsku, a jedna po polsku. Duszpasterstwo litewskie istnieje ponadto w Żagarach, Smolnikach i Sejnach.

Miasteczko Sejny, ze względu na swoją przeszłość historyczno-kościelną oraz istniejącą tu prokatedrę (mającą tytuł bazyliki), zostało wybrane przez grupę aktywistów, na miejsce manifestacji w tej właśnie świątyni na rzecz Litwinów. Żąda się w nich wprowadzenia nabożeństw litewskich do prokatedry. Ponieważ jednak ludność litewska w Sejnach stanowi zaledwie 5% i o 300 m. od prokatedry ma ona własny kościół do całkowitej i wyłącznej dyspozycji — żądanie to nie jest spełniane (o przyczynach tej odmowy za chwilę).

Wspomniana grupa zorganizowała szereg wystąpień w tej sprawie, w ciągu ostatnich kilku lat. Były to m.in. wystąpienia w czasie koronacji przez kard. Wyszyńskiego cudownej figury Matki Boskiej Sejneńskiej w roku 1976 (rozwinęcie transpa-

rentów z wyżej wymienionymi żądaniem, śpiewy, okrzyki). Kiedy indziej zakłócanie nabożeństw w bazylice śpiewem litewskim, niekiedy ulicznych piosenek przez grupę podpitych 20-30 osób itp.

Jest rzeczą widoczną i znaną, że działalność ta jest dziełem zawsze tej samej grupy, mającej niekiedy charakter bojówki. Gdy bp M. Sasinowski polecił podjąć budowę kościoła dla Litwinów w miejscowości mającej 18 km do świątyni parafialnej, akcja tego zespołu osób udaremniła realizację tego planu.

3. Według zgodnej opinii bp łomżyński M. Sasinowski, w trosce o zaspokojenie potrzeb grupy Litwinów w jego diecezji wykazał maksymalną troskę i rzetelność. Jest znany jako człowiek prawy i niezdolny do tolerowania krzywdy w dziedzinie praw religijnych kogokolwiek. Można sądzić, że rozumie je lepiej niż inni, ponieważ przed ostatnią wojną i w czasie wojny dzielił losy polskiej emigracji we Francji i Anglii. Zarzuty pod jego adresem są szczególnie krzywdzące.

4. Dla każdego kto zechce zapoznać się na miejscu z rzeczywistą sytuacją religijną mniejszości litewskiej w okolicy Sejn — i to bez sięgania do oficjalnych kościelnych źródeł informacji — staje się rzeczą najwyraźniej widoczną, że w całej sprawie nie chodzi wcale o jakieś upośledzenie, czy krzywdę w dziedzinie praw religijnych mniejszości etnicznej. Chodzi natomiast o to, by posługując się tymi pozorami i zarzutami nadać jak najszybszy rozgłos obecności grupy Litwinów na tym terenie, rozbudzić nienawiść i stworzyć problem polityczny.

Ogół ludności litewskiej — w akcji tej nie bierze udziału, nie manifestuje żadnej wrogości, poczucia krzywdy w jakiejś dziedzinie, czy też żądań, mając pełną opiekę religijną według swoich potrzeb. Widać natomiast działalność manipulowanej z zewnątrz grupy. Posługuje się ona bez żadnych skrupułów oszczerstwami i kłamstwem, prowokacją oraz rozbudzaniem nienawiści narodowej.

Istotną sprawą jest jednak ukryte podłoże i tło tej działalności. Stanowi je obecność wielkich bogactw naturalnych w Suwalszczyźnie, takich jak węgiel, ruda żelazna i inne. Według opinii osób śledzących akcję prowadzoną przez grupę inspiratorów, wprowadzenie dziś języka litewskiego do prokatedry w Sejnach, to jutro przyłączenie, oczywiście „dobrowolne”, „Kraju sejneńskiego” do ZSRR. I tej sprawie służą świadomie, czy nieświadomie podtrzymywane krzywdzące opinie o niesprawiedliwym traktowaniu Litwinów przez Kościół polski.

5. Należy podać kilka danych liczbowych dotyczących ludności litewskiej. Podają je za wydawnictwami litewskimi (głównie za M. Pożarskas, *Stosunki Litwy Radzieckiej i Polski Ludowej*, Kaunas, 1974). Nie są one najnowsze, lecz brak mi w tej chwili innych. Otóż w roku 1966 mieszkało w Polsce około 30 tys. Litwinów, z czego większość w byłych powiatach Sejny i Suwałki (*tamże*, str. 56), co stanowi jedynie drobny procent żyjącej tu ludności. Ponadto grupy Litwinów osiedliły się w Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu i Krakowie. W roku 1957 Litwini zorganizowali Litewskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, które w osiem lat później miało już 43 kółka oraz oddział warszawski. W roku 1972 Towarzystwo liczyło 1.718 członków (*Aušra*, nr 18, 1972). Oddziały Towarzystwa działają w Warszawie i Wrocławiu, rozwijając bardzo ożywioną działalność kulturalną. M.in. organizowane są wycieczki do Litwy Radzieckiej, spotkania z gośćmi przybywającymi z Litwy itp. Wychodzi także prasa w języku litewskim. Zarząd Główny Litewskiego Tow. Społeczno-Kulturalnego wydaje czasopismo *Aušra* (Jutrzenka), a jego oddział warszawski miesięcznik naukowo-kulturalny Towarzystwa „Varsnos” Istnieje także szkolnictwo w języku litewskim, w tym liceum w Puńsku, z litewskim językiem wykładowym. W samym tylko b. powiecie sejneńskim przed kilku laty istniało 7 litewskich zespołów amatorskich. Kiedy w czerwcu 1972 roku obchodzono w Sejnach 50-lecie utworzenia ZSRR, to przybyło nań około 2 tys. przedstawicieli społeczeństwa Litwy Radzieckiej z „Wilniusa, Kaunasu, Wareny, Alytusu, Luzdijaj, Kapsukas, Wilkawiszkin, Szakiai” (M. Pożarskas, *ju.*, str. 41).

By nie przedłużać podają tu tylko przykładowe wyliczenie niektórych instytucji i wydarzeń, ale nawet ono pokazuje zupełną nieporównywalność sytuacji kulturalno-narodowej Polaków na Litwie, jakkolwiek są oni około dziesięciu razy liczniejsi, niż Litwini w Polsce. O wydawaniu prasy polskiej na wzór litewskiej w Polsce lub o zorganizowaniu polskiego towarzystwa społeczno-kulturalnego na Litwie — nie może być mowy. Wysunięcie samej myśli byłoby sprawą nierealną i niebezpieczną. Polacy mają do dyspozycji, gdy chodzi o prasę, czterostronicowy dziennik *Czerwony Sztandar*, organ KC Komunistycznej Partii Litwy, którego ubóstwo treściowe i martwota tłumaczeń różnych tekstów oficjalnych jest czymś głęboko przygnębiającym. Większość artykułów i doniesień nie jest nawet pisana przez Polaków i Polakiem nie jest redaktor naczelny.

6. Chodzi nam jednak przede wszystkim o porównanie sytuacji religijnej Polaków żyjących na Litwie. Na wstępie podają

niedużo koniecznych tu liczb. Otóż w roku 1970 jedynie w Wilnie, według litewskich danych oficjalnych, mieszkało 68,3 tys. Polaków (St. Adlis, *Lietuvos TSR Guventoje*, Vilnius 1973, str. 104-107). Natomiast w całej republice ogólnosowiecki spis ludności z tego samego roku wykazywał 240 tys. ludności polskiej.

Według powszechnej opinii miejscowych Polaków rzeczywiste liczby są znacznie wyższe. W samym tylko Wilnie mieszka bowiem tysiące Polaków z pobliskiej Białorusi, to znaczy Wileńszczyzny przyłączonej do tej republiki i tam zapisanych jako Białorusini. Korzystają oni oczywiście z duszpasterstwa w języku polskim.

W Wilnie na siedem otwartych kościołów (nie licząc Kalwarii), w czterech są nabożeństwa na przemian po litewsku i po polsku (łącznie z Ostrą Bramą). Natomiast w dwóch (Św. Anna i Św. Mikołaj) odbywają się nabożeństwa jedynie po litewsku, a jeden z kościołów (Św. Ducha, dawniej Dominikanów) jest oddany wyłącznie dla Polaków. Duszpasterzem polskim jest tu od dawna ks. Bekisz, liczący dziś 85 lat i od dłuższego już czasu niezdolny do normalnej pracy. Jego pomocnikiem jest Litwin, ks. Józef Jodogajlis, człowiek o złotym sercu dla wszystkich, lecz również liczący już ponad 70 lat. Do kościoła tego kieruje się także ludność polska z Białorusi. Lecz z braku sił u księży duszpasterstwo w tym kościele nie może się równać z żadnym z prowadzonych w kościołach wileńskich. Wystarczy powiedzieć, że jeśli w każdym z kościołów bywają w ciągu roku setki ślubów i chrztów, to w kościele Św. Ducha w ubiegłym roku był zaledwie jeden chrzest i jeden ślub.

Ludność polska w Wilnie i na Litwie, według ogólnej opinii jest bardziej wierna praktykom religijnym i Kościołowi, niż litewska. Uzasadnia się to faktem, że nie jest ona związana z aparatem władzy przez różne stanowiska w administracji, partii i innych instytucjach państwowych, jak litewska i dlatego ma w dziedzinie religijnej większą swobodę. Jej udział w świadczeniach materialnych na Kościół jest ogromny.

7. Można i należy postawić hierarchii kościelnej na Litwie poważny zarzut religijnego zaniedbania Polaków, gdy chodzi o opiekę duszpasterską w języku polskim zarówno w Wilnie, jego okolicy, jak i gdzie indziej. A oto uzasadnienie tego zarzutu. W ubiegłych kilkunastu latach Seminarium Duchowne w Kownie opuściła niewielka grupa młodych księży Polaków. Otóż z reguły ci księża nie są kierowani do parafii polskich, lecz litewskich, gdzie nie ma Polaków, lub też nabożeństw dla nich.

Jest to nie tylko krzywda dla tych ostatnich, ale i powodowanie szkody dla całego Kościoła z pobudek nacjonalistycznych. Obecnie jest rzeczą znaną, że ludność polska w Kowieńszczyźnie pozbawiona celowo duszpasterstwa w języku rodzimym w okresie międzywojennym i później, zrażona i zniechęcona, uległa powoli zubożeniu religijnemu i laicyzacji. To samo może zagrażać polskim parafiom wokół Wilna, które już dziś mają niekiedy księży litewskich słabo znających język polski, nie uczących się go i niechętnych Polakom. Dopiero w roku bieżącym po raz pierwszy od zakończenia wojny, do jednego z kościołów na peryferiach Wilna (M. Boskiej Dobrej Rady) skierowano młodego księdza Polaka (jest nim H. J. Błażewicz). Być może jest to znak pomyślnych przemian w tej dziedzinie o zasadniczym przecież znaczeniu dla Kościoła.

8. Prasa litewska na początku tego wieku rzuciła hasło, że całą ludność mieszkającą na Litwie należy uznać za Litwinów, z których część uległa polonizacji i mówi po polsku. To samo zdanie przyjmowane jest obecnie przez niektórych księży litewskich, lecz w rozumieniu programu duszpasterskiego. Byłby to program antykościelny w tej mierze, w jakiej prowadziłyby niemal jedną piątą stanu posiadania Kościoła na Litwie do zubożenia religijnego.

Ludność polska w Wilnie z reguły uskarża się na częsty brak troski u księży litewskich, w podejściu do jej potrzeb. Wyraża się to w braku zainteresowania polskimi ceremoniami religijnymi, śpiewem, kazaniem itd., w przeciwieństwie do tych samych zagadnień litewskich. Trzeba niewątpliwie wyższego poziomu duchowego, by nie robić tu różnic. Nikt też nie ma prawa żądać sympatii do Polaków. Lecz można i należy oczekiwać sprawiedliwości z pobudek chrześcijańskich.

To co powiedziano wyżej nie oznacza, że nie ma wśród księży litewskich przykładów prawdziwej postawy kapłańskiej w samym Wilnie i gdzie indziej. Nie robią oni żadnych różnic między ludźmi na tle narodowości. Zanotujmy tu ważny fakt pozytywny. Od niedawna dla Polaków w Kownie, w kościele Św. Krzyża (pokarmelicki) została wprowadzona msza św. w języku polskim w każdą niedzielę o godz. 14.00 (mało dogodna godzina). Odprawia ją ks. Statkiewicz, nie najlepiej jednak znający język polski.

Osiągnięcie to jest efektem długoletnich starań, poczynając od lat 60-tych. Delegacje z Kowna udawały się z prośbami o pomoc do księży polskich do Wilna w sprawie nabożeństw

i szkoły polskiej w tym mieście, gdzie mieszka około 30 tys. Polaków (a więc mniej więcej tyle co cała ludność litewska w PRL).

Decydującym faktem, jak się zdaje, był memoriał ostatniego żyjącego kanonika honorowego kapituły wileńskiej, ks. Chomskiego, liczącego 95 lat i pełniącego nadal obowiązki proboszcza w Białej Wace k. Wilna. Memoriał o otwarciu nabożeństw w Kownie skierowany był do biskupów litewskich i kard. Wyszyńskiego. Jego skutek był na szczęście pomyślny. Warto tu dodać, że niewielka grupa Litwinów w Warszawie ma nabożeństwa w języku litewskim w doskonale położonej kaplicy w centrum miasta.

9. Jeden z emigracyjnych tygodników litewskich w Kanadzie, T. Ż., pisze m.in., że: „Litwini dużo ucierpieli od Polaków i nadal cierpią np. problem Sejn” (por. *Kultura*, nr 1-2, 1979), str. 151). Mówi się słusznie, że wyliczanie wzajemnych krzywd daleko nie prowadzi. Ale tu nie należy ukrywać bolesnych faktów, jeśli miały miejsce. Ich ukazanie i nazwanie po imieniu może bowiem rozładować ukryte kompleksy i pozwolić spojrzeć na bolesne wydarzenia w należytych proporcjach. W tym wypadku dla ich zachowania należałoby także pokazać to, co ucierpieli Polacy na Litwie w okresie dwudziestolecia, a następnie w czasie okupacji (ruch szaulisów). Inaczej rozmowa nie jest *fair play*.

10. Można zrozumieć obecną niechęć do Polaków. Nowoczesna Litwa tworzyła się przecież przez odcinanie się od Polski, a i obecnie wpływy kultury polskiej przez obecność silnego liczebnie elementu polskiego i całe dziedzictwo kulturalne (choćby historia Uniwersytetu USB, który obchodzi swe 400-lecie) — są nadal silne. Lecz nie można rezygnować z etycznych zasad kanalizujących i sublimujących pierwotne siły plemiennej niechęci czy wrogości. Nie prowadzi to bowiem do żadnego pozytywnego rozwiązania. Chodzi o to, co T. Venclowa w odniesieniu do tego problemu nazywa „humanizacją uczuć”, uważając to słusznie za sprawę najważniejszą. Jest rzeczą znamionną, jak stosunkowo często u dużej części kierowniczej grupy, jaką jest w pewnym sensie duchowieństwo litewskie na Wileńszczyźnie, zauważa się w stosunku do Polaków zastępowanie motywacji religijnej i etycznej przez motywację etniczną. Jest to dla misji Kościoła rzecz niezwykle groźna. Jednocześnie jest ona na rękę polityce podziału, skłócenia i nienawiści między obydwojema narodami prowadzonej od lat przez Rosję. Polityka ta jest, jak zwykle, bardzo zręczna, co można obserwować obecnie na Litwie.

I tak w środowiskach polskich w okolicach Wilna można spotkać na codzień opinię: „gdyby nie Rosjanie, do których można się odwołać przeciwko Litwinom, to by nam tu ciężko było”. Można by podać długą listę spraw z reguły lokalnych, lecz dla strony polskiej uczuciowo i prestiżowo ważnych, jak p. n. poniższa. Gdy w roku 1966 zmarł w Święcianach miejscowy proboszcz, parafianie wystawili mu nagrobek z napisem polskim. Nowy proboszcz Litwin usunął napis polski i wstawił litewski. Na prośby o przywrócenie pierwotnego napisu nie reagował. W tej sytuacji Polacy zwrócili się do ministra kultu w Moskwie i ten wydał decyzję zgodną z żądaniem Polaków.

Zdaniem niektórych Litwinów z tzw. Litwy Kowieńskiej, wiele tarć i trudności wynika stąd, że do Wilna i na Wileńszczyznę napłynęło w czasie wojny i po wojnie wiele osób związanych ideowo z ruchem szaulisów, często o niższym poziomie moralnym i nastawionych nacjonalistycznie. Litwini z północno-zachodnich terenów kraju są zadowoleni z przemian, które się tej grupy i nie zazdroszczą Polakom ich sąsiedztwa.

Należy dodać, że wobec Litwinów Rosjanie będą umiejętnie bronić ich interesów przeciwko Polakom, celem umocnienia się władzy i rządów. Wyrazem tej polityki jest odpowiednie ujęcie najnowszej historii, wydawnictw popularnych, programów szkolnych itp. Pod koniec 1977 roku z wizytą na Litwie była grupa biskupów katolickich z NRD (był to rok dość uroczyste obchodzonego w Ostrej Bramie jubileuszu 50-lecia koronacji obrazu M. M. Ostrobramskiej). Po tej wizycie ówczesny minister kultu w Wilnie, jedno ze szkoleniowych zebrań swego personelu w lutym 1978 roku poświęcił sprawie stosunku do Kościoła polskiego. W swojej wypowiedzi m.in. stwierdził: „Polscy biskupi ciągle chcieliby wydawać swoje dyrektywy także i dla Litwy. Biskupi litewscy odrzucili to kategorycznie. My również to odrzucamy. Nadszedł czas, by z tym skończyć. Trzeba nawiązywać kontakt z Kościołem katolickim w NRD”. Wypowiedź ta stała się później znana i, jak się zdaje, jest ona potwierdzeniem istniejących tu od dawna tendencji.

11. Istnieją także przykłady, nietrudne do zaobserwowania, ukazujące zdecydowaną postawę niektórych przedstawicieli kleru litewskiego, co do duszpasterstwa w języku polskim na Białorusi. Postawa ta wyraża się opinią, że język ten powinien być eliminowany na rzecz białoruskiego. Oczywiście oczekiwanie wiernych na tych ziemiach nie jest brane w rachubę. Wyżej stawia się dążenie do osłabienia elementu polskiego, który na Litwie uważany jest za groźniejszy, w pewnym sensie, od rosyjskiego.

Podobną postawę zajmują dwaj księża litewscy, którzy (jako jedyni dotychczas) za zgodą władz sowieckich i kościelnych oraz na prośbę wiernych podjęli od niedawna pracę w polskich parafiach na Ukrainie (za Zbruczem). W tym wypadku zapewne nie bez znaczenia jest fakt, że księża ci nie mówią na codzień po polsku, nie znając na tyle tego języka, podobnie jak duża część ich parafian. Jeśli sprawują liturgię w tym języku (raczej zbliżonym do polskiego), to dlatego, że takie jest oczekiwanie wiernych.

Sprawa stosunku do języka polskiego u niektórych księży litewskich może być interesującym przykładem jak gdyby powrotu do czasów sprzed unii, gdy Litwini i Rusini byli w stanie walki z Polakami. A to leży w planach polityki ZSRR zmierzającej do połączenia w jedno Litwy i Białorusi w dalekosiężnie planowanym rozwoju tego mocarstwa. Plany te są jednocześnie likwidacją dawnej idei Jagiellońskiej.

12. Na emigracji spotyka się opinię, że obecnie na Litwie nie dokonuje się litwinizacja Polaków, lecz przede wszystkim rusyfikacja. Opinii tej, niestety, słuszności przyznać nie można, wobec nagminnie spotykanych faktów w terenie. Wśród Polaków nie tylko w Kownie, lecz także w okolicach Wilna łatwo jest spotkać ludzi, którym przy wyrabianiu dowodu osobistego wpisano litewskie brzmienie nazwiska i imienia oraz narodowość litewską, bez pytania o ich zgodę. Rzadko kto podejmuje trudną walkę w tej sprawie, lub odkłada ją na później (np. do zmiany dowodu osobistego).

Przy zapisywaniu imion dzieci nowonarodzonych, w urzędach bez ceremonii wpisuje się nie tyle imiona co nazwy litewskie, takie jak (dla dziewcząt): Audra (burza), Saulutė (słoneczko), Tajmutė (piosenka), Rasa (rosa) itp. Litewska pisownia nazwisk znanych Polaków, nawet spośród żyjących obecnie w Polsce, jest czymś spotykanym na co dzień. Wystarczy zwiedzić muzeum obrazów w dawnej Katedrze wileńskiej, by się o tym przekonać. Na Rosie, jako przykład w tym względzie, można oglądać nowy nagrobek twórcy pomnika grunwaldzkiego i żołnierza polskiego w Wilnie w roku 1918, Antoniego Wiwulskiego, z nazwiskiem litewskim (Vivulskas) i takimże napisem.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Litwini chcą ukazać twórców swojej kultury. Ale wzbogacanie ich liczby przez odcinanie tych osób od znanego związku z polskością w ich twórczości i życiu, jest rzeczą niegodną słusznych dążeń narodowych i nie prowadzącą, na dłuższą metę, do zamierzonego celu.

13. Wracając do kwestii życia religijnego należy stwierdzić,

że nie ma porównania w trosce o duszpasterską obsługę i opiekę ludności polskiej na Litwie i litewskiej w Polsce. Polacy na Litwie ciągle oczekują sprawiedliwości w tym, co w sposób widoczny leży w zakresie realnych możliwości litewskiego Kościoła katolickiego. Chodzi najpierw o kierowanie duszpasterzy Polaków dla parafii polskich przez wykorzystanie istniejących sił osobowych, tak w stosunku do Wilna, jak i innych terenów.

Następnie chodzi o pełną i życzliwą akceptację kandydatów z rodzin polskich do Seminarium Duchownego, tym bardziej, że uzyskało ono ostatnio nowe możliwości liczebnego rozwoju. Z Seminarium wiąże się także sprawa nauki języka polskiego dla tych seminarzystów narodowości litewskiej, którzy będą pracować wśród Polaków.

Są to postulaty podstawowe, wypływające z samej religijnej misji Kościoła katolickiego. Nadziejże budzi stosunkowo szybki liczebny rozwój tak ważnej instytucji, jaką jest Seminarium Duchowne. W roku 1978/79 liczyło ono 73 studentów, a na rok 1979/80 pozwolono przyjąć aż 20 nowych kandydatów (warunki działalności Seminarium i panujące w nim stosunki na skutek nacisków władz policyjnych, to oddzielny problem).

Zagadnienie to nie jest, rzecz jasna, zagadnieniem tylko polskim, lecz żywotnym problemem Kościoła katolickiego na tych ziemiach w ogóle i poszerzeniem praw osoby ludzkiej w tak ważnej dziedzinie, jak życie religijne. Kościół katolicki na Litwie w okresie powojennym zawdzięcza wiele Polakom. Po stronie polskiej nie istnieją bowiem uprzedzenia w stosunku do Litwinów. Przyjeżdżającym z kraju do Wilna Polakom ich znajomi zarzucają niekiedy litwomanię. Jest to spowodowane wyrażanym często uznaniem dla zwartości i samoobrony Litwinów, o której słyszą oni w Polsce z radiostacji zachodnich.

Pomimo dużych trudności i kontroli trafiło z Polski na Litwę, dzięki świadomej i ideowej grupie Polaków, wiele pozycji z literatury religijnej i teologicznej. Korzysta się z niej szeroko przy formacji kandydatów do kapłaństwa i w duszpasterstwie. Książki te są także tłumaczone i powielane służąc następnie pogłębianiu wiedzy religijnej.

W ubiegłych kilku latach Kościół litewski uzyskał zgodę na druk pewnej ilości modlitewników dla wiernych. Obecnie jest już w druku dobrze przygotowany skrót nauki katolickiej w języku litewskim, uważany za bardzo ważną pozycję. Istnieje jednak na Litwie paląca potrzeba modlitewnika w języku polskim. Jednocześnie nie widać kto ze starych już i zapracowanych księży polskich mógłby się podjąć jego opracowania, choćby w formie

tłumaczenia na polski wydania litewskiego, co, być może, ułatwiłoby jego zatwierdzenie. Sprawa ta wymaga stanowczego poparcia ze strony księży litewskich.

Były administrator wileński, ks. Cz. Kriwajtis był zdania, że Polacy otrzymują książeczki do nabożeństwa od swoich krewnych w Polsce i dlatego nie popierał powyższego projektu. Jest to opinia niesłuszna i krzywdząca stronę polską. Nawet w Polsce od wielu już lat tego rodzaju książeczki są praktycznie nie do znalezienia i nie do nabycia w bardzo nielicznych zresztą sklepach katolickich. Następnie tylko niewielki procent jadących do Wilna odważa się zabierać tego rodzaju pozycję, nawet jeśli nie ma świadomości o zakazie i nieprzyjemnościach związanych ze znalezieniem przez celników rosyjskich przedmiotów religijnych, sprawiają, że tylko część jadących osób je zabiera. Zwłaszcza gdy wiezie się nieco za dużo „ciuchów” i przedmiotów na prezenty i na sprzedaż, co jest rzeczą nagminną. Ostatnio nawet i polscy celnicy zaczynają je kwestionować i zatrzymywać, zwłaszcza gdy chodzi o obywateli sowieckich. W sumie polskie książeczki do nabożeństwa jakie są w rękach pewnej części wiernych, głównie stare, absolutnie nie zaspakajają istniejących potrzeb liczącej kilkaset tysięcy ludności. Dlatego też w Ostrej Bramie i gdzie indziej, widzi się niekiedy osoby z ręcznie przepisywanymi modlitewnikami.

14. Jak wiadomo do pierwszej wojny światowej na ziemiach dzisiejszej Litwy istniało, ogólnie biorąc, zgodne współzycie ludności języka litewskiego i polskiego w życiu religijnym. W kościołach respektowano wzajemnie prawa językowe i do dziś ta tradycja odgrywa w Wilnie bardzo ważną rolę. Czy ten stan, pomimo wszystkich przemian, nie powinien być przyjęty jako programowa zasada, postulat czy ideał, do którego należy dążyć wszędzie tam, gdzie jest ludność mówiąca po polsku?

Rozwój stosunków międzynarodowych nie idzie bynajmniej w kierunku uniformizacji i zniszczenia odrębności kulturalnej i językowej różnych grup narodowych w obrębie jednego państwa (chodzi tu o świat zachodni). Przeciwnie, jesteśmy świadkami jej budzenia się uznania praw i szukania rozwiązań dla zgodnego ułożenia się uznania praw i szukania rozwiązań dla zgodnego ułożenia stosunków między poszczególnymi grupami. Ich odrębności językowe i inne są uznawane za kulturalne bogactwo kraju, które jest często zagrożone przez zubożającą je kulturę masową. Przykładem może tu być współczesna Belgia, Szwajcaria czy Hiszpania, by na tych tylko krajach poprzestać.

II. POLACY — BIAŁORUSINI

1. Pod tym ogólnikowym tytułem pragnę zwrócić uwagę jedynie na pewne aspekty religijnego i narodowego dramatu ludności polskiej zamieszkałej na dzisiejszej Białorusi (głównie zachodniej). Pomijam tu w zasadzie ten problem w stosunku do ziem, które pozostały za granicą wschodnią po traktacie ryskim. Poddane one zostały, jak wiadomo, bezwzględnej depolonizacji przez deportacje na Syberię i do Kazachstanu (po r. 1930) oraz stopniowe zniszczenie dawnych instytucji polskich, duszpasterstwa, zabytków itp. Może warto jedynie podać jeden przykład ukazujący położenie Polaków na tych właśnie ziemiach po zakończeniu wojny polsko-boszewickiej oraz sytuację w chwili obecnej na ziemiach włączonych do Białorusi po roku 1944.

Otóż we wrogim Polsce państwie, które świeżo zakończyło z nią wojnę, istnieje na Białorusi w latach 20-tych szkolnictwo polskie, wychodzi prasa w języku polskim, pracują księża polscy, co prawda nieliczni. I tak w 1925 roku żyje tu 300 tys. Polaków, którzy mają 145 szkół polskich, w których pracuje 235 nauczycieli. W Mińsku istnieje polskie „technikum” pedagogiczne, które liczy 126 uczniów i 22 nauczycieli. Na uniwersytecie białoruskim studiuje w tym czasie 385 studentów Polaków. Wychodzi dziennik polski *Młot* (1.500 egz.) i tygodnik *Gwiazda Młodzieży* (1.000 egz.), jednakże w minimalnym nakładzie. Komuniści polscy zasiadają jako Polacy w urzędach, szkołach i innych instytucjach (*Wychodźca* 30. 8. 1925, Warszawa).

2. Dziś PRL i Białoruś to nie wrogie, lecz bratnie kraje, o czym bez przerwy zaświadczały obydwie strony. Białoruś powiększyła się obecnie nie tylko o ogromny teren do niedawna należący do Polski, lecz także o ludność polską. Jej liczba podniosła się wielokrotnie, jakkolwiek oficjalnie tylko o niemal 1/4, a to dzięki szczególnego rodzaju zabiegom, o których za chwilę. Według spisu ludności z roku 1970 na Białorusi liczone bowiem 382 tys. Polaków.

Tymczasem, pomimo oficjalnego i sławionego braterstwa ludność polska nie ma tu ani jednej szkoły, ani jednej instytucji polskiej, ani jednej gazety. Może ktoś spośród gorliwie zapewnających o braterstwie i współpracy zechciałby wyjaśnić ten pozorny paradoks.

3. Przejdźmy do nieco późniejszej historii. Z chwilą zajęcia przez Rosjan wschodnich terenów R.P. i po powojennym

exodus’ie pewnej części ludności polskiej na zachód, działaniem o zasadniczym znaczeniu narodowym stał się każdorazowy spis ludności. Jego założeniem bezwzględnie realizowanym była narzucona, prawna zmiana narodowości przytłaczającej większości żywiołu polskiego. Dokonywano jej przez zapisywanie Polaków jako Białorusinów, wbrew oświadczeniom, oczywistym dowodom i protestom zainteresowanych. Okazywanie metryk, dowodów osobistych, własnych, czy rodziców, nie miało najczęściej znaczenia. Na wsi, gdzie osobiste dokumenty dopiero obecnie zaczyna się ludności wydawać (na Łotwie posiadała je o wiele wcześniej), zadanie to było ułatwione, gdyż ludzie nie otrzymywali dowodów zmiany swej narodowości. Tylko osobom najbardziej obrotnym czy inteligentnym udawało się obronić swoją narodowość w urzędowym zapisie.

W miasteczkach, czy miastach powiatowych (rejon), gdzie dowody wydawano, ludność polska nie chciała ich brać. Rzucano je na podłogę lub za okno, czym władza nie bardzo się przejmowała, zapewniając, że wszyscy sami po nie przyjdą. Było to całkiem zgodne z prawdą, ponieważ bez dokumentu osobistego nikt nie mógł być zatrudniony w przedsiębiorstwie państwowym (poza kołchozami) i był pozbawiony środków do życia.

Obecnie metody w tej dziedzinie są nieco mniej drastyczne, lecz nadal realizują ten sam cel: bezwzględne pomniejszanie liczebności elementu polskiego. Wprawdzie na skutek usilnych nalegań wpisuje się i narodowość polską, lecz określoną liczbę Polaków reguluje „rejspałkom” wykreślając następnie u siebie dokonane poprzednio zapisy, według swoich planów czy też odgórnych wskazań. Taka jest powszechna opinia ludności polskiej na Białorusi i na Ukrainie.

Zmiana wpisu dokonywana jest także przy wymianie starych dowodów osobistych. Jednak ich najnowsza wersja, ostatnio dopiero wprowadzana, nie posiada w ogóle metryki narodowości. Wydaje się, że jest to pomyślane jako sposób likwidacji odrębności etnicznych różnych grup narodowych, w tym także i polskiej. Jest ona liczniejsza niż np. etniczna grupa estońska a nawet łotewska, lecz nie posiada własnej republiki, co ją skazuje na bez porównania szybsze wynarodowienie, pomimo niemałego przyrostu naturalnego (w 1960 r. liczone w ZSRR 1.430 tys. Polaków, a w 1970 już tylko 1.160, co oznacza niezwykle spadek, bo aż o 18 %).

4. W latach 1944/45 inne metody stosowano wobec poborowych, u których wybór narodowości decydował o skierowaniu do armii polskiej lub sowieckiej. Ponieważ wybór narodowości

polskiej wśród poborowych był powszechny, stosowano odpowiednią presję, by go zmienić. Metody były różne. Np. ogół zgromadzonych dzielono na grupy i wyprowadzano je kolejno za wzgórze, skąd rozlegały się serie z broni maszynowej. Nie zdarzyło się, według uczestników tych wydarzeń, by ta próba, pozornego zresztą rozstrzelania, była skuteczna. Zawsze padała odpowiedź: „Strzelajcie, my Polacy”.

W innych wypadkach rozebranych do naga, poborowych upierających się przy narodowości polskiej kierowano do pracy w lesie, redukując do minimum pożywienie. Był to jednak tylko pewien epizod w ogólnej polityce narodowościowej. Miała ona bowiem założenia bardziej przemyślane i długofalowe.

5. Na terenach bardziej odległych od nowej granicy polskiej, w takich powiatach, jak Braśław, Dżisna, Głębokie, Mołodeczno, Oszmiana, Wołożyn, Stołpce, Baranowicze, Łuniniec, Pińsk, Stolin, nacisk na zmianę narodowości był bezwzględny i tylko niewielki procent ludności mógł pozostać w zapisach przy polskiej. Natomiast o wiele większą swobodę pozostawiono w zachodnich rejonach obłasci Grodno i Brześć. Zasada ta stosowana jest do chwili obecnej.

Jej przeprowadzenie pozwoliło utrzymać oficjalną liczbę ludności polskiej na Białorusi, jak wspomniano, tylko o niecałą jedną czwartą wyższą obecnie, od stanu z lat 20-tych. Jak bardzo nie odpowiada ona rzeczywistości świadczy np. fakt, że na wymienionych wyżej terenach o zmniejszonej liczbie Polaków, można spotkać wioski czysto polskie i katolickie, w których jednak zaledwie kilka rodzin czy osób obroniło zapis: narodowość polska, pomimo ogólnego jej wyboru przez wszystkich.

6. Jednakże odpowiednio przeprowadzony spis ludności jest tylko przesłanką do dalszych działań w kierunku wynarodowienia i rusyfikacji. Służy temu przede wszystkim bezwzględne odcięcie od kultury polskiej w postaci szkoły, pism, książek, znajomości historii i łączności z krajem. Nawet wyjazd do rodziny w Polsce jest sprawą trudną, a niekiedy wprost niemożliwą. Książki polskie wysyłane na Białoruś giną lub są zwracane, a ostatnio robi to już polska poczta podporządkowana, jak widać, nadrzędnej tu polityce rosyjskiej.

Podpisywane porozumienia międzynarodowe nie mają żadnego znaczenia lub raczej mają duże znaczenie negatywne. Układ w Helsinkach mówiący o poszerzeniu wymiany i współpracy pomiędzy państwami, podpisany także przez ZSRR, został natychmiast zinterpretowany jako próba ideologicznego „rozmiękcze-

nia” socjalizmu. Stało się to powodem nowych ograniczeń i zaostrzonej kontroli granicznej. Dodatkowo została ona wzmocniona obecnie, po wyborze Jana Pawła II (listy wysłane do ZSRR w czasie jego pobytu w Polsce masowo ginęły).

Tu nasuwa się dygresja ilustrująca skuteczność tych metod. Gdy przed kilku laty, po oficjalnym przyjęciu działaczy Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Mińsku, znalazłem się w rodzinie polskiej, zagadnąłem żartobliwie 14-letniego synka moich gospodarzy: „A ty kim jesteś Polakiem czy Rosjaninem?”. Odpowiedź była natychmiastowa i zdecydowana: „Ja Polakiem nie chcę być, bo u Polaków gierojów niet”. Odpowiedź ta wskazuje na ważny proces, zgodny z zamierzeniami polityki rosyjskiej, którym jest wynarodowienie młodszych pokoleń, głównie przez szkołę.

Programy szkolne, a przede wszystkim historia, mówią jedynie o polskim imperializmie, ucisku, gwałtach i wyzysku. Brak jest jakichkolwiek pozytywnych wzmianek o wartościach czy osiągnięciach kultury polskiej. Naukowe opracowania dotyczące omawianych tu terenów mają podobne założenia i za wszelką cenę starają się pomniejszyć znaczenie i zasięg wpływów kultury polskiej na dzisiejszej Białorusi.

Ponieważ Polacy zajmują tutaj, podobnie zresztą, jak i gdzie indziej, najniższe pozycje społeczne i odpowiedni procent kończących wyższe studia jest niższy w stosunku do Rosjan, Litwinów i Ukraińców, tylko rzadko wybitniejsze jednostki dochodzą do pełnej świadomości narodowej. Są one jednak zwykle osamotnione i rozproszone po ogromnym terytorium Rosji, gdzie otrzymują korzystne stanowiska, których w rodzinnych stronach nigdy by nie mogły osiągnąć.

7. Od zakończenia wojny, zwłaszcza w ostatnim czasie, udoskonalono system ruszczenia imion i nazwisk polskich. Ma on swoje duże osiągnięcia. Część ludności, poddana wielostronnym działaniom zmonopolizowanych środków masowego przekazu, zaczyna w obronie swoich cech polskich obojętnieć.

Gdy rodzice zgłaszają w „sielsowiecie” nowonarodzone niemowlę, to urzędnik wyciąga z szuflady listę imion i każe wybierać. Oczywiście nie ma na niej imion polskich. Dla dziewczynek przewidziane są takie, jak Zoja, Zanna, Oksana, Swietlana, a dla chłopców: Anatoli, Sierioża, Siergiej itp. Gdy jednego z księży wezwano do Grodno i postawiono mu zarzut, że na chrzcie nadaje dzieciom imiona polskie, obronił się odpowiedzią: „a wy co robicie?”.

Zmieniane są także i nazwiska. I tak Zacharzewski staje się, oczywiście bez wiedzy rodziców — Zacharew, Łukaszewicz — Łukaszew (przykłady autentyczne) itp. Zmiana ta wychodzi nagle przy „wybieraniu” dowodu osobistego w wieku lat 16. Przedtem dzieci w szkole podstawowej figurują pod nazwiskiem rodziców. Proces powtórnej zmiany jest sprawą niezwykle trudną i niewielu go rozpoczyna. W odpowiedzi na swoje starania słyszą bowiem stanowcze stwierdzenie: „Tu nie Polska, tu Białoruś”.

8. W istniejących obecnie warunkach polskość na Białorusi, na terenach należących do RP przed rokiem 1939, traci bardzo szybko. Tym bardziej, że rosyjska najczęściej szkoła, zwłaszcza u chłopców, rozbudza szybko dumę z wielkości i osiągnięć ZSRR (wszystkie, największe wynalazki techniczne i naukowe, o których mówią podręczniki szkolne, są oczywiście dziełem Rosjan). Niekiedy duma ta przeradza się w szowinizm rosyjski, pociągający za sobą, jak świadczą przykłady psychiczną przemianę osób. Jej wyrazem jest np. zabranianie matce, przez 16-go chłopca ze starej polskiej rodziny, mówienia po polsku.

Polityka wynarodowienia osiąga nierzadko podwójny cel: zruszczenie lub rusyfikację oraz ateizację młodszego pokolenia. Ta ostatnia ma niewątpliwie wiele przyczyn, które łatwo tu podać. Niemniej powszechna opinia i katolików i księży jest następująca: „ci co się teraz dobrowolnie piszą na Ruskich, przestają chodzić do kościoła, bo wtedy łatwiej jest żyć”. Dotyczy to zwłaszcza okolic podmiejskich, gdzie ludność polska osiąga wyższą stopę życiową, buduje własne domy na wsi i kupuje samochody, itp. Idzie za tym wyraźne zubożenie religijne i narodowe, zresztą także na tle dużej ignorancji w obu dziedzinach.

Prof. A. Kwilecki z Poznania napisał przed kilku laty, że Polacy żyjący w krajach socjalistycznych „nie są zagrożeni polityką asymilacyjną i dyskryminacyjną rządów państw zamieszkania” (*Przegląd Zachodni*, 5/6, 1975, str. 9). Jeśli pisał to z dobrą wiarą, w co można wątpić, to powyższa relacja pozwala ocenić słuszność tej opinii w stosunku do ZSRR.

9. Bardziej złożoną i bolesną staje się powoli kwestia narodowości na gruncie kościelnym. Chodzi w niej o język w liturgii i nauczaniu wiernych. Nie należy ukrywać istniejących trudności, pomyłek i krzywd. Zanim do niektórych spośród nich przejdziemy, kilka danych liczbowych, o które tu niełatwo.

Ogólna liczba katolików na dzisiejszej Białorusi, szacowana jest przez samego ministra kultu w Mińsku, Zaleskiego na około

2.200 tys., a być może i więcej. Podał ją w roku 1978, w prywatnej rozmowie zmarłemu ostatnio (sierpień 1979) ks. P. Pupiniowi z Rubieżewicz. By ją nieco uzasadnić należy podać, że władze zbierają bardzo skrupulatnie przesłanki do swoich ocen szacunkowych. I tak, żądają one od wszystkich księży danych liczbowych co do ilości spowiedzi, komunii św., chrztów, ślubów, święconych wielkanocnych, poświęceń kredy oraz sprawozdań co do liczby obecnych na głównych uroczystościach kościelnych, takich jak Boże Narodzenie i Wielkanoc. Jednocześnie prowadzą własne obserwacje i obliczenia. Do podanej wyżej liczby katolików (chodzi zawsze o obrządek łaciński, bo inny nie istnieje) wchodzi także i ci, którzy do roku 1939 pozostawali poza granicą wschodnią. Po zajęciu tych ziem przez Niemców w roku 1941 nastąpiło tu ogromne odrodzenie religijne, które do dziś ma niemałe znaczenie. Niekiedy ludność zachowuje zatajone przed władzami ośrodki religijne, w postaci ukrytych obrazów, których policja ciągle poszukuje. W okolicach Mińska słynie np. w ten sposób ukrywany ciągle obraz św. Rocha. Wokół tych symboli religijnych, przechowanych pomimo najcięższych prześladowań religijnych w latach trzydziestych, gromadzą się duże grupy wiernych na modlitwy i śpiewy, naturalnie w języku polskim, gdyż innych praktycznie nie znają. W sumie według powyższych ocen, co piąty mieszkaniec Białorusi byłby katolikiem. Zdaniem wielu miejscowych księży jest to liczba dużo niższa, niż rzeczywista.

10. W tej chwili otwartych jest na Białorusi jedynie 87 kościołów i pracuje 52, w przytłaczającej większości starych i często chorych, księży. Mają oni za sobą więzienia i łagry za czasów stalinowskich, co niekiedy jest ważnym argumentem w rozmowach z władzami.

Praktyki religijne i praca duszpasterska wyglądają tu nieco inaczej, niż w normalnych warunkach. I tak np. w niektórych okolicach, kilkanaście nieistniejących już parafii, w których kościoły zostały zniszczone lub zamknięte, obchodzi swoje doroczne, odwieczne odpusty w najbliższej i istniejącej jeszcze parafii mającej — swego duszpasterza. (Jeszcze przed kilku laty można było na tych odpustach oglądać charakterystyczny dla ludności polskich wiosek typ antropologiczny i strój ich mieszkańców: wygolona twarz z sumiastym wąsem u najstarszych mężczyzn, eleganckie buty z cholewami u nieco młodszych itp.). Jeden z duszpasterzy w rejonie Mińska (po stronie polskiej sprzed roku 1939) wobec wielkiego napływu wiernych do spowiedzi zaczął ostatnio stosować rozgrzeszenie zbiorowe (podobny wypadek

istnieje na Ukrainie w parafii Hreczany-Chmielnick). Budzi to jednak sprzeciwy i krytykę innych księży. Wskazują oni, podając przykłady, że wobec braku głębszego uświadomienia religijnego na tych terenach takie rozgrzeszenie staje się źródłem różnych nadużyć i utwierdzania się w błędach.

Oficjalnym językiem w liturgii, od zakończenia Soboru, stał się tu powszechnie, z inicjatywy księży, język polski, którym zastąpiono łacinę. Być może, jest to jedna z największych, popełnionych tu pomyłek. Obecnie staje się ona powoli przyczyną napięć i podziałów na tle narodowym, jak dotychczas, co prawda, w ograniczonym zasięgu. Ich wynik będzie sprawą największej wagi dla Kościoła katolickiego na tych ziemiach. Kwestią języka polskiego w kościołach od kilkunastu już lat interesują się także władze państwowe na Białorusi i na Ukrainie i sondują opinię księży, co do ewentualnego wprowadzenia do kościołów języka białoruskiego lub ukraińskiego. Jak dotychczas jednak, nie ma w tej sprawie żadnych nacisków.

O co chodzi? Otóż język polski dla dużej części powojennego pokolenia przedwojennych województw wschodnich staje się mało zrozumiały. Pokolenie najmłodsze i katolicy zza granicy po traktacie ryskim rozumieją go tylko w małym stopniu, a niekiedy nawet niemal wcale, gdy chodzi o jego formę literacką. Przy udzielaniu sakramentów i w pracy poza kościołem księży korzystają więc z języka rosyjskiego czy białoruskiego. Wymaga tego konieczność, jeśli sakrament (ślub, chrzest, spowiedź itd.) czy pouczenie mają być zrozumiałe.

Jednocześnie jednak ta sama ludność, która na co dzień często nie mówi już po polsku, w kościele modli się i śpiewa tylko w tym języku i stanowczo pragnie go słyszeć w liturgii i w kazaniach. Jest tu on dla niej, jak pokazują różne doświadczenia, czymś drogim i cennym, czego zdecydowanie broni. Jest to interesujący problem psychologiczny. Język polski, podobnie jak łacina, stał się tu symbolem odrębności wyznaniowej, kulturalnej i narodowej, zakorzenionym w głębokich pokładach psychiki, dzięki wielu cierpieniom zań ponoszonym w dalszej i bliższej przeszłości. Jednocześnie stał się on wyrazem nieokreślonej nadziei na jakąś zmianę na lepsze w dziedzinie religijnej. Ma to zresztą także, jak za chwilę zobaczymy, swoje ważne uzasadnienie praktyczne.

Toteż wszelkie próby przechodzenia na miejscowy język białoruski w liturgii i głoszeniu kazań są natychmiast przez ludność odrzucane, chociaż w cichym udzielaniu sakramentów, jak już wspomniano, przyjmuje go ona, jak rzecz zupełnie naturalną.

11. Jeden z duszpasterzy z dawnej, nadgranicznej parafii (Krasne, ok. 40 km od Mińska) w wygłaszanych kazaniach zaczął niekiedy używać języka rosyjskiego ze względu na przybywającą tu ludność spoza dawnej granicy wschodniej. Spotkało się to z wdzięcznym przyjęciem. Lecz ponieważ poszerzało w sposób widoczny zasięg wpływu religijnego i przyciągało ogół mieszkańców, władze zakazały tej praktyki. Na marginesie tej kwestii warto zauważyć, że o ile język rosyjski w kazaniach przyjmowany jest spokojnie, o tyle białoruski budzi natychmiastowy sprzeciw u słuchaczy.

Obecnie na 52 pracujących na Białorusi księży, tylko jeden z nich programowo i wyłącznie prowadzi od lat kilkunastu już pracę duszpasterską w języku białoruskim. Jest nim ks. Czerniawski, marianin, fanatycznie oddany idei i sprawie białoruskiej na terenie kościelnym. To negatywne określenie nie oznacza bynajmniej odmawiania mu prawa do patriotyzmu białoruskiego, który jest równie uzasadniony jak polski, litewski czy rosyjski. Ale też, jak każdy z nich musi podlegać ocenie i normom moralnym, jeśli ma się przerodzić w nacjonalizm i szowinizm. Normy te nakazują, w walce o własne prawa szanować uczucia i prawa innych.

Ponieważ działalność ks. Czerniawskiego jest już od lat sprawą publiczną i powszechnie znaną, może i powinna być oceniana. Ks. Czerniawski jest absolutnie przekonany, czemu daje spontaniczny wyraz przy każdej okazji, że dla dobra Kościoła należy wprowadzić w całej pełni i bez wyjątku język białoruski do duszpasterstwa na terenie całej „republiki”. Można bronić słuszności lub niesłuszności tej opinii.

12. Za jej niesłusznością przemawiają dwa argumenty zasadnicze. Pierwszym jest to, że cały okres powojenny pokazuje wyraźnie regres języka białoruskiego na wszystkich płaszczyznach życia społecznego. Dobrym przykładem jest tu szybki i ciągły spadek liczby szkół z białoruskim językiem wykładowym. A wiadomo, jak ważną rolę w tej dziedzinie spełnia szkolnictwo. Powyższy przykład dowodzi w sposób widoczny, że język miejscowy jest jedynie etapem w ogólnej polityce do języka rosyjskiego.

Argument drugi dotyczy sfery czysto religijnej. Jak wiadomo od kilkuset już lat, bo od początków katolickiego Kościoła łaćwińskiego na tych ziemiach, liturgia, nauczanie oficjalne, kościelny śpiew wiernych spełniający doniosłą rolę religijną itp., opierały się na języku łaćwińskim i polskim.

W toczonej się tutaj dramatycznej, a niekiedy tragicznej walce

z prawosławiem i rusyfikacją języki te, każdy na swój sposób, broniły odrębności i niezależności religijnej w murach kościoła. Nawet język łaciński stał się dla ogółu czymś bliskim i co do ducha zrozumiałym. Do dziś można spotkać najstarsze na wsi babcie, które z zapałem i dumą potrafią wyśpiewać po łacinie *Te Deum, Gloria, Pater noster* itp. I do chwili obecnej zarówno publiczna, jak i prywatna pobożność wiernych opiera się na języku polskim.

Chodzi tu o bogaty zestaw tradycyjnych, od wieków śpiewanych pieśni religijnych, modlitw, książeczek do nabożeństwa i praktyk pobożnych, które dla ogółu ludności stanowią nieoceniony wprost zasób form wyrażania uczuć i przekonań religijnych zwłaszcza przy braku pełnego wymiaru duszpasterstwa.

Dlatego próby zasadniczej przecież zmiany przez nadanie im charakteru białoruskiego co do języka i ducha, w obecnych warunkach odcięcia od religijnej książki, drukarni, swobody nauczania (ks. Czerniawski sam tłumaczy na białoruski teksty liturgiczne) — trzeba uznać za szaleństwo i działanie na szkodę Kościoła.

Przed kilku laty ks. Czerniawski w gronie kolegów księży wypowiedział skargę w związku ze swoją bezowocną podróżą do Rzymu: „miałem być biskupem i zacząć robienie porządku na Białorusi, ale ci Polacy, piśsudczycy, nie dopuścili”. Odpowiedź jednego z obecnych księży, obecnie już nieżyjącego (ks. P. Pupina), według jego osobistej relacji była następująca: „Czy ty wiesz, że zamiast życia, ty miałeś przynieść śmierć?”. Dyskusji na ten temat nie kontynuowano.

13. Jako rzecz nie ulegającą wątpliwości należy chyba przyjąć, że w całej sprawie o której tu mowa, w pierwszym rzędzie muszą być brane pod uwagę oczekiwania, życzenia i prawa ludności w dziedzinie religijnej. Bo kto ma je wreszcie respektować w tym kraju, jeśli nie Kościół i jego kapłani?

Oczekiwania te zaś są aż nadto wyraźnie manifestowane przede wszystkim w związku z pracą ks. Czerniawskiego. Rozpoczęcie przez niego, przed kilkunastu laty kazań w języku białoruskim w parafii Wiszniew, spowodowało masowe opuszczenie Kościoła przez obecnych. Powtarzało się to wielokrotnie, lecz wobec wielkiej odległości innych parafii, ludność zaczęła je tolerować. Gdy niedawno ks. Czerniawski zaczął dojeżdżać do opuszczonej przez zmarłego proboszcza parafii Traby i podobnie jak u siebie rozpoczął liturgię i kazanie po białorusku, cały kościół zaczął głośno płakać. Wobec tego padły słowa: „jak wy będziecie płakać, tak ja tu nie będę przyjeżdżał”. Kościół się pozornie

uspokoił, bo to oznaczało groźbę całkowitego pozbawienia kapłana. Lecz w kościołach pod opieką ks. Czerniawskiego liczba wiernych jest wyjątkowo mała, w stosunku do kościołów sąsiednich.

By zamówić mszę św. ludność nierzadko udaje się do Wilna i tam też wypowiada swoje bóle i skargi. Jest rzeczą interesującą, że u swych litewskich konfratrów ks. Czerniawski znajduje całkowite moralne poparcie swoich wysiłków.

14. A oto kilka z wielu różnych scen i dyskusji mających często miejsce na wspomnianych parafiach, scen szeroko znanych i komentowanych.

Modlącym się i śpiewającym w kościele po polsku ludziom, ks. Czerniawski zwraca uwagę: „wy po białorusku macie się modlić”. Odpowiedź napomnianych: „A z czego mamy się modlić, kiedy nic nie ma? Z obłoków? A my i tak Polacy”. Ks. Czerniawski: „Jakie wy Polacy kiedy wy żyjecie na Białorusi i białoruski chleb jecie”. Odpowiedź pada na tej samej płaszczyźnie: „A to czemu wy, ojczyńka, amerykańską pszenicę je i na Białorusi żyje? Trzeba do Ameryki”.

Innym razem konkluzja podobnej dyskusji jest następująca: „Ja bym wstawił inne mózgi i wam i waszym księżom, żeby oni mądrzejsi byli”. „Ot i dobrze, że tak nie można” — pada odpowiedź.

Na tle tego rodzaju sytuacji doszło do faktu niesłychanego, jak na Białorusi. Duża parafia Raków (k. Mińska) nie przyjęła propozycji ks. Czerniawskiego dojeżdżania do otwartego tam kościoła z posługą duszpasterską.

15. Z kolei kilka innego rodzaju przykładów rzucających pewne światło na złożony problem języka na tych terenach dziwnego przemieszania narodowego, kulturalnego, językowego i religijnego. Wiązą się one z osobą ks. K., najbardziej zapewne barwnej postaci wśród księży na Białorusi (trudno jest niekiedy używać tej nazwy geograficznej, gdy się pomyśli o przyłączonych do tej „republiki” 40 parafiach archidiecezji wileńskiej). Erudyta o nieprzeciętnej inteligencji, doktor po rzymskich studiach i świetny narrator. Chociaż liczy już sobie 85 lat, nie ujęły mu one nic z pełnej sprawności umysłowej i szybkiego refleksu w dowcipnej lub ciętej odpowiedzi. Choć nie pełni już funkcji proboszcza, zapraszany jest z kazaniem, które są dobrym, jasnym i mądrym pouczeniem dla ludzi. Białorusin z serca i czynu, wywodzący się z miejscowej biedoty i umiejący jej skutecznie bronić za sanacji, podobno członek białoruskiej „Hromady” w tym okre-

się, a co najciekawsze przy tym wszystkim, zapalony piłsudczyk. Niedawno w kazaniu wygłoszonym w Druskannikach cytował wstęp Marszałka Piłsudskiego do książki o tym pięknym uzdrowisku, za co po nabożeństwie tłumnie całowano go w rękę przed kościołem, a potem codziennie otrzymywał wiele kwiatów przez cały czas swego tam pobytu. Słyszał o książce O. Warszawskiego TJ pomniejszającej Marszałka, szczególnie jego postawę religijną, i określa jej autora w słowach niezbyt parlamentarnych.

Oto seria znaczących obrazków z życia codziennego w relacji ks. K. „Wychodzę w sutannie po południu na spacer za miasto. Spotykam grupę robotników wracających z fabryki. Pozdrawiam po białorusku: 'dobry dzień', odpowiadają 'zdrastwujcie'. Po czemu tak? — pytam. 'U nas teraz po rosyjsku' — pada odpowiedź. Za chwilę idzie grupa dzieci. Ja znów: 'dobry dzień'. Znów odpowiedź: 'zdrastwujcie'. 'Po czemu wy tak odpowiadacie?' — pytam. 'Bo my do rosyjskiej szkoły chodzimy' — odpowiadają chórem dzieci. Wreszcie idzie grupa kobiet, które z daleka pierwsze pozdrawiają mnie po polsku 'Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus'. Zaczyna się rozmowa na temat języka. 'My howorim w domu i na polu po prostemu, ale z Bogiem w kościele i z księdzem po polsku'. A dlaczego? 'Bo nasz język za prosty do Kościoła', wołają wszystkie. 'I nam bardzo nieprzyjemnie, jak ksiądz w kościele odzywa się po prostemu. Wszystko niech będzie na swoim miejscu'”. I oto jeszcze jeden promyk światła w językowym i narodowym labiryncie tych ziem. Nie ma z niego wyjścia tak prostego jak o tym sądzi ks. Czerniawski.

Warto dodać, że o podobnym stosunku ludności do języka białoruskiego, jak u wyżej wymienionej grupy kobiet, mówią również badania sowieckie, prowadzone w ostatnim czasie (por. Akademia Nauk ZSSR, Instytut Jazykoznanija im. Ja. Kołasa. *Polskije gowory w SSSR* pod red. prof. nauk filologicznych W. W. Martynowa. Mińsk. Izdatielstwo *Nauka i Technika*, 1973, t. I-II, nakład 1.050 egz.).

Dodajmy jeszcze konkluzję ogólną. Wyznaczniem narodowości, podobnie jak w Irlandii północnej, nie jest tu język, lecz religia, a raczej wyznanie. Katolicy uważają się za Polaków, prawosławni uważani są za Białorusinów. Wyjątki od zasady „katolik i Polak” są nieliczne i dotyczą głównie inteligencji.

16. Jeżeli życie religijne na Litwie, jego trudności, walka w tej dziedzinie i osiągnięcia są rzeczą stosunkowo dobrze znaną na Zachodzie, to ta sama rzeczywistość na Białorusi stanowi niemal *carte blanche* w świadomości zachodniej, a także i w Polsce.

W emigracyjnej prasie polskiej i innej — ukazują się czasem bałamutne, a niekiedy fałszywe wiadomości na ten temat. W tym wypadku służą one mimowoli złej sprawie, jaką jest skazanie na powolną śmierć wielkiego, gdy chodzi o jego zasięg, Kościoła języka polskiego na tych ziemiach (zwykle bowiem są to dane pomniejszające ogromnie jego stan posiadania). „Kościół na Białorusi skazany jest na wymarcie” — mówią niekiedy pracujący tu, w ogromnej większości starzy i przemęczeni, duszpasterze. „Pan Bóg jakby o nas zapomniał” dorzuca ten czy ów.

Te opinie opierają się na doświadczeniu płynącym ze z górą 30-letniej już bezwzględnej polityki sowieckiej, dotyczącej tych ziem. Istnieje struktura kościelna na Litwie i na Łotwie (diecezje, biskupi, administracja), która nie traci, lecz na wielu odcinkach umacnia i rozwija swój stan posiadania. Nawet na Ukrainie, daleko za Zbruczem, możliwe jest po długich, kilkuletnich staraniach w Moskwie, otwarcie nowej kaplicy, czy sprowadzenie księdza, choć i tu nie istnieje zwykła administracja kościelna, lecz tylko odrębne parafie (w liczbie około 30). Natomiast na Białorusi powojenna presja i terror sprawiły, że sponad kilkuset księży i trzystu z górą kościołów, pozostało dziś zaledwie kilkadziesiąt (87) otwartych świątyń i 52 księży. Ogromna większość zamkniętych kościołów, niekiedy o dużej wartości historycznej i artystycznej ulega szybko zniszczeniu, a niektóre z nich już dawno zostały po barbarzyńsku zdewastowane i zniszczone. Dopiero systematyczna dokumentacja, której nie ma i kto wie czy będzie mogła być w ogóle kiedykolwiek przygotowana wobec zniknięcia wielu świątyń i zasadniczych trudności w dotarciu do pozostałych — ukazałaby pełniej to haniebne dzieło. Dziś wyjątkowo podejmuje się restaurację jakiegoś kościoła zmieniając oczywiście jego przeznaczenie (w ten sposób został odremontowany i przeznaczony na salę koncertową dawny katolicki kościół w Mińsku, gdzie ogromna liczba katolików — podobno jedna czwarta mieszkańców miasta — nadal nie ma żadnej świątyni).

Od zakończenia wojny, poza kilkoma wyjątkami w ostatnich latach, nie pozwolono tu na przykład, choćby z sąsiedniej Łotwy czy Litwy, na żadnego duszpasterza. Liczba około 50 księży bardzo szybko maleje. Ci, którzy pozostają biorą na siebie obsługę kościołów i parafii po zmarłych, co powiększa ich przemęczenie, bo z reguły mają ich po kilka. Niektórzy bowiem, ze względu na wiek i chorobę, nawet własnego kościoła nie są w stanie obsługiwać.

17. W wyniku wielu długotrwałych starań władze poczyniły dobrze obmyślane ustępstwa. Mają one charakter propagando-

wy i w niczym nie zmieniają faktycznego stanu rzeczy. Chodzi tu o kandydatów do kapłaństwa z Białorusi. O pozwolenie naczelników „po diełam kulta” w obłasci zabiega od dawna szereg księży, ze znikomym skutkiem (decyzja zależy w gruncie rzeczy od KGB).

Oto w chwili obecnej cała Białoruś ma trzech seminarzystów. Po jednym w Rydze i Kownie i jednego, jak wieść niesie, w Białymstoku, w Polsce (ta ostatnia wiadomość niesprawdzona). Jeśli pomyśleć, że każdego roku umiera tu przeciętnie dwóch duszpasterzy, a studia w Seminarium trwają 6 lat, to widać w jakim kierunku ciągle idą zmiany.

Można jednak odpowiadać na zarzuty podając, że Białoruś ma także swoich kandydatów do kapłaństwa. Co prawda jest ich w ogóle mało (podaje się liczbę ok. 10), z przyczyn, jak mówią księża, obiektywnych. Przyczyny te, to ucieczka młodzieży ze wsi do miast, lęk przed kontaktem z księdzem, gdyż to pociąga za sobą nieprzyjemności i kłopoty życiowe, rosnąca ignorancja religijna na Białorusi (na co powszechnie skarżą się duszpasterze) oraz chroniczny brak czasu na dodatkowe zajęcia się młodym człowiekiem. Tymczasem jest ono konieczne, ponieważ nawet chłopcy najlepszej woli wykazują duże braki w znajomości katechizmu i wykształceniu ogólnym (jest rzeczą interesującą, że problem kandydatów do Seminarium przedstawia się bez porównania lepiej na Ukrainie za Zbruczem, skąd tylko w roku 1977 było aż 27 zgłoszeń; pozwolenie od władz państwowych na wstąpienie do Seminarium w Rydze uzyskało dwóch; wszyscy kandydaci pochodzili z rodzin polskich).

18. Warto tu podać nieznane, lecz nie budzące zastrzeżeń, bo pochodzące z osobistych relacji wiarygodnych osób — fakty dotyczące polityki religijnej na Białorusi.

Rok 1956. Ks. K.K. zostaje wezwany przed pułkownika KGB w Wilnie. Rozmowa jest krótka i konkretna: „Wy Białorus. Przyjeżdżajcie na Białoruś i powiedzcie wszystkim księżom, jakie mają mieć 'odnaszenie' do Białorusi”. K.K.: „Bardzo chętnie, ale jeden warunek: dajcie biskupa i Seminarium”. Pułkownik: „Po czemu? Białoruś nie prosi. Łotwa i Litwa tak, ale Białoruś nie. Tu nie ma z kim gadać”. Rozmowa nie miała żadnych konsekwencji praktycznych.

Rok 1970. Delegacja jednego z komitetów parafialnych dopominając się o pewne pozwolenie u naczelnika kultu w Grodnie, m.in. stawia pytanie: „Dlaczego na Litwie wolno i to i tamto w Kościele, a u nas nie?”. Odpowiedź naczelnika: „Eto

drugoje dieło. Ot tam zapadnyj narod, bolie kulturnyj i tam nada inacze”.

Rok 1978. W rozmowie ze śp. ks. P. Pupinem na temat otwarcia Kościoła Katolickiego w Mińsku, naczelnik „po diełam kulta” w tym mieście, Maszerew, stwierdza: „ja wolę otworzyć 30 cerkwi, niż jeden kościół”.

Rok 1979. Grupa 27 księży z Białorusi podpisuje petycję do władz wyznaniowych „republik”, w której prosi o otwarcie Seminarium Duchownego i o biskupa dla tego kraju. W uzasadnieniu m.in. powiedziano. „Do nas przychodzą prości ludzie, robotnicy i kołchoźnicy, pytają i żalą się na nas: co wy robicie? Dlaczego zostawiacie nas bez opieki? my się czujemy opuszczeni. Dlaczego się nie staracie żebyśmy i po was mieli księży? Kto nas będzie uczył jak wy umrzecie? Powinno być Seminarium i biskup dla takiej wielkiej Białorusi!”.

Natychmiast po złożeniu petycji wezwano pierwszego z podpisanych ks. Pupina do ministerstwa kultu. Zaczęło się od ostrego rugania, które potem przeszło w nieco spokojniejszą rozmowę. Minister: „Co wy robicie? Jakim prawem występujecie z takim pismem?”. Ks. Pupin: „Nie możecie zabronić nam prosić!”. Minister: „Niech ludzie sami proszą. Wy jesteście tylko zatrudnieni przez komitet i poza służbą w kościele nie macie nic do gadania. W takiej sprawie mogą przyjść tylko sami ludzie”. Ks. Pupis: „A jak wy macie sprawę do Moskwy, to kogo wysyłacie? Kołchoźników? Nie, jadą sami pierwsi sekretarze”.

Obecny, lecz milczący dotychczas przedstawiciel KGB stawia pytanie: „Księży jest coraz mniej, co myślicie robić dalej? Skąd weźmiecie księży?”. Ksiądz: „Zwrócimy się o pomoc do Litwy”. Odpowiedź: „Nie damy”. Ksiądz: „Zwrócimy się o pomoc do Polski”. Odpowiedź: „Nie damy”. Ksiądz: „To my w 'podpolia' zejdziemy, bo wy nas do tego zmuszacie”. Odpowiedź: „Tego nie lizia. Macie kandydatów?”. Ksiądz: „Tak”. Oficer: „Dajcie nam nazwiska”. Ksiądz: „Nie dam”. Oficer: „Dlaczego?”. Ksiądz: „Ja już raz dałem wam nazwisko jednego kandydata i wyście obiecali zgodę na jego wstąpienie do Seminarium. I co? Jego matkę wyrzucili z kołchozu, siostrę zwolnili z pracy, ojciec umarł na serce, bo mu ciągle zarzucali, że źle wychował syna. Dyrektora szkoły, do której on chodził przeniesli, a nauczycieli rozproszyli po całej obłasci za złe wychowywanie młodzieży. Dlatego nie dam wam nazwiska”. Dotychczas wspomniana petycja nie miała żadnych widocznych konsekwencji.

19. Tego rodzaju akty, wymagające odwagi i gotowości na różne szykany, chociaż nie przynoszą bezpośrednich rezultatów,

są ważną formą walki o podstawowe prawa religijne. Walka ta na Białorusi jest szczególnie trudna, wobec tradycyjnej bierności szerszych mas wiernych, szczególnie po ostatniej wojnie pozabawionych warstwy inteligencji. Jednak coraz częściej spotyka się oznaki świadczące o budzeniu się świadomości palących potrzeb oraz odwagi pewnego działania w ramach istniejącego „porządku”. Ich wyrazem są w ostatnich latach, udające się do Moskwy delegacje z Białorusi z prośbami o zgodę na sprowadzenie nowego księdza do parafii, która straciła dotychczasowego duszpasterza na skutek śmierci, zwykle w podeszłym już wieku.

Należy zwrócić uwagę na ciągle ten sam — jak dotychczas — rodzaj odpowiedzi, jaką otrzymują te delegacje. Brzmiały one: „Na Ukrainę księży dajemy, na Białoruś *nikawo*”. Tę samą odpowiedź usłyszał w Moskwie, przed z górą 10 laty, śp. ks. Ingiewicz z Ostrowca, gdy zwracał się tam w podobnej sprawie.

20. Jak widać, dotychczasowa polityka odnośnie Kościoła katolickiego na Białorusi, nie ulega zmianie. Trzeba jednak wierzyć, że przelana tam krew męczenników, ostatniego półwiecza (w samej diecezji pińskiej od roku 1939 zginęło sześćdziesięciu siedmiu księży), cierpienia wyznawców wiary, modlitwy i naciski światowej opinii publicznej, przyniosą zmianę na lepsze za naszych dni.

Wybór papieża z Polski wywołał i tam utajoną i widoczną falę radości, nadziei i ożywienia religijnego. Jednocześnie zaś spowodował nowe natężenie walki z religią i Kościołem w różnej formie — na tle obaw, a nawet strachu władz sowieckich przed odradzającą się siłą katolicyzmu.

Walka ta jest jednak w jakiejś, trudnej do ujęcia, mierze, miarkowana świadomością potrzeby istnienia dostępnych instytucji Kościoła w postaci choćby istniejących parafii. Wynika to z konieczności liczenia się z nastrojami szerokich mas ludności, która swoją postawą opowiada się za Kościołem i broni swej wiary. Mówi się nawet, że postawa i sytuacja cerkwi prawosławnej, dla wielu światlejszych przedstawicieli panującego systemu przestaje być ideałem. Jej całkowite podporządkowanie się władzy sprawiło bowiem, że utraciła ona, to znaczący wpływ na bardziej świadome grupy wiernych. A to sprzyja z kolei szerzeniu się różnych sekt, których działalność wymyka się spod kontroli władzy, co jest zjawiskiem dla niej bardzo niepokojącym.

W kościołach na Białorusi na zwisających z ołtarzy obrusach powtarzają się ofiarnie haftowane słowa znanej pieśni maryjnej: „Matko pociesz, bo płacemy. Matko prowadź, bo zginiemy”.

Wyrażają one tak dobrze ducha tych modlitw, które najczęściej chyba i z głębi serc płyną do niebios w tych świątyniach, tak nielicznych już na tych osnutych dziwną melancholią ziemiach. Przypadkowemu przybyszowi z Polski, gdy się nad tymi słowami zaduma mimowoli nasuwa się myśl: cóż pomogą na takie, jak ten ból, cierpienia i niepokoje słowa i melodie tych wesołych piosenek religijnych, którymi zbyt łatwo i nieopatrnie zastępuje się w Polsce owe, z tak częstego i trudnego losu na naszych ziemiach wyrosłe, stare pieśni?

21. Na koniec, dla pewnego porównania, kilka danych o Białorusinach w Polsce. Według dr. Al. Barszczewskiego, kierownika katedry filologii białoruskiej na Uniwersytecie Warszawskim, liczba Białorusinów ma wynosić obecnie 250 tys. (*Kultura* nr 5, 1979, str. 70). Autor nie podaje źródła, na którym się opiera.

Od roku 1956 istnieje w Białymstoku Białostockie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe i wychodzi tygodnik białoruski *Niwa*. W latach 50-tych istniało 200 szkół podstawowych i 2 lipca, w Bielsku i Hajnówce. Od roku 1956 liczba szkół zmalała o połowę. Skądinąd określa się ich liczbę na ok. 60.

Dodać także należy, co jest sprawą mniej znaną, że Białorusini — jawni lub ukryci — mają swój udział, według ustalonego klucza w organach władz administracyjnych gminnych i wojewódzkich oraz innych instytucjach państwowych. Ich dużą siłą jest cicha świadomość poparcia w Polsce ze strony mocarstwa ze wschodu.

Informacja dr. Barszczewskiego zawiera także wyjaśnienie, że Białorusini katolicy, z nielicznymi wyjątkami, za Białorusinów się nie podają. Ta opinia potwierdza tylko wyżej podaną informację o decydującym znaczeniu wyznania dla poczucia narodowego katolików na obecnej Białorusi i tłumaczy ich opowiadanie się za polskością.

Jednocześnie rzuca ona jeszcze światło na bezwzględną i konsekwentną politykę władz sowieckich wobec Kościoła katolickiego na tych terenach w okresie powojennym. Likwidacja katolicyzmu oznaczałaby także likwidację ostatniego bastionu polskości, którego wpływy przez z górą sześć wieków kształtowały i ducha i kulturę tych ziem.

Chodzi jednak o coś więcej jeszcze. Tereny, o których tu mowa, ze względu na swe położenie geopolityczne, jako ziemie przygraniczne, są niezwykle bogatą i charakterystyczną, wielokulturową, wielojęzyczną i wieloreligijną rzeczywistością społeczną — zachowującą jednak bardzo znaczące elementy jednej, wspól-

nej kultury. Nie jest to kultura rosyjska. Obecnie toczy się walka o wielką stawkę uniformizacji i narzucenia tej właśnie kultury, jeśli to określenie jest tu na miejscu. Bo przecież chodzi tu nie o rozwój, lecz o likwidację współzyczących ze sobą od wieków odrębności. Ukazywanie dostępczej nam o tym prawdy jest ważną formą obrony. Nie należy jej zaniedbywać.

Wiedeń, lipiec 1979.

P. LIDA

Ks. WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI
„WSPOMNIENIA Z KAZACHSTANU”

W październiku ub. roku ukazała się drukiem w „Bibliotece Spotkań” *Wspomnienia z Kazachstanu* ks. prałata Władysława Bukowińskiego (1904-1974), wieloletniego więźnia sowieckich łagrów, duszpasterza Polonii w ZSSR. Spisał on swoje relacje podczas krótkiego pobytu w Polsce.

Pierwsze krajowe wydanie na powielaczu wzbudziło ogromne zainteresowanie.

Wspomnień tych nie pisał zawodowy literat, mimo tego wznuszają one prostotą i autentyzmem. Są niezwykłym świadectwem i dokumentem.

Zamówienia i wpłaty prosimy kierować na adres:

Piotr Jegliński „Spotkania”
95, rue de Sèvres lub **15, Broxholm Rad.,**
75006 Paris **London SE 27**

Cena egzemplarza: F. 18; DM. 10; £ 2.10; \$ 5.

O Stalinie i stalinizmie

Ocena osoby Stalina jest nie do pomyślenia bez oceny epoki, nierozzerwalnie związanej z jego imieniem — epoki stalinizmu. Któż to jest Stalin bez stalinizmu? Człowieczek niskiego wzrostu. Niedouczoney, mało piśmienny seminarzysta. Ospowaty. Z gruzińskim akcentem. Sprytny, mściwy i okrutny. Zostawiał tłuste ślady palców na książkach. Nie za mało tego dla scharakteryzowania człowieka, który po dziś dzień włada umysłami i sercami milionów ludzi?! Kiedy przewalił się huragan demaskowania zbrodni stalinizmu — który zaczął się od słynnego referatu Chruszczowa, a szczytów osiągnął z chwilą publikacji niemniej słynnego „Archipelagu GUŁag” Sołżenicyna — utrwaliło się przekonanie, że okres stalinizmu był jedynie okresem zbrodni, mroczną wyrwą w biegu historii, sam Stalin zaś najbardziej zbrodniczym zbrodniarzem ze wszystkich zbrodniarzy ludzkości. W rezultacie za istotę rzeczy przyjmuje się teraz demaskowanie błędów stalinizmu i wad jego inspiratora. Próby mniej lub bardziej obiektywnych rozważań nad tym okresem i osobą Stalina uważane są za apologetykę stalinizmu. Ja jednak zaryzykuję odstępstwo od demaskatorsko-krytycznej linii i stanę w obronie — nie, nie Stalina i stalinizmu, a tylko możliwości obiektywnego spojrzenia na oba zjawiska. Minał czas, kiedy temat ten budził emocje. Pora już nie tylko demaskować zbrodnie, ale i zastanowić się nad ich historycznym sensem i przyczynami. Czy zbrodnia zrodziła się w mrocznych duszach garstki złoczyńców jako swojego rodzaju odstępstwo od przyzwoitych norm ludzkiej historii, czy też stanowi pouczejący przykład tego, ku czemu nieuchronnie prowadzi wcielanie w życie świetlanych ideałów i marzeń ludzkości — tak oto brzmi pytanie.

Poza tym zdaje mi się, że mam i moralne prawo zaryzykować.

Od młodości nie czułem najmniejszych sympatii do Stalina i stalinizmu. Jeszcze w 1939 roku otwarcie wystąpiłem przeciw kultowi Stalina, za co mnie wyrzucono z komsomołu i z uczelni, posłano do przychodni psychiatrycznej na badania, a potem odstawiono na Łubiankę. W przychodni uznano mnie za psychicznie zdrowego, co by się za liberalnych postalinowskich czasów nie mogło zdarzyć. A z łap organów bezpieczeństwa udało mi się wywinąć. Aż do referatu Chruszczowa moim skrytym powołaniem była antystalinowska propaganda. Muszę przyznać, że nie byłem jedynym. W latach Chruszczowa sprawę krytyki stalinizmu wzięli w swe ręce byli zajadli stalinowcy, a mój antystalinizm stracił sens. Za to miałem czas zastanowić się nad nim spokojnie, czyli bez nienawiści, lecz z przenikliwością.

A moja matka aż do śmierci (umarła w 1968 roku) przechowywała w Ewangelii portret Stalina. Przeszła przez całą grozę kolektywizacji, wojny i lat powojennych. Jeśli by opisać ze szczegółami przez co jej wypadło przejść, zachodni czytelnik by nie uwierzył. A jednak przechowywała zdjęcie Stalina. Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie stanowi klucz do zrozumienia istoty stalinizmu. Rzecz w tym, że niezależnie od całej swej grozy stalinizm był autentycznym carstwem ludu, ludowładztwem w najgłębszym (nie powiem, że i w najlepszym) sensie tego słowa, a sam Stalin autentycznym ludowym przywódcą. Ludowładztwo niekoniecznie jest czymś dobrym. Zezwierżenie stalinizmu było w tym okresie charakterystycznym wyrazem ludowładztwa. Fakt, że stalinizm był zarazem przemocą nad narodem, w niczym temu nie przeczy. Przywódca ludowy niekoniecznie musi być mądrym i dobrym człowiekiem. Wodzowie ludu bywają niekiedy zatwardziałymi łajdakami. A niekiedy widzą naród na wskroś, wiedzą bowiem czym są masy w rzeczywistości, a nie w książkach i doktrynach. Stalin właśnie, a nie Lenin był przywódcą ludu, Lenin miał na to za mało podłości, przypisywanej Stalinowi.

Chcąc odpowiedzieć na pytanie na czym polegała istota stalinizmu, trzeba ustalić czyje interesy wyrażał Stalin, kto za nim szedł. Dlaczego moja matka przechowywała jego podobiznę? Była chłopką. Do kolektywizacji naszej rodzinie wiodło się nie najgorzej. Ale za jaką cenę? Ciężka praca od świtu do nocy. Jakie perspektywy stały przed jej dziećmi (urodziła ich jedenaścioro)? Mogły zostać chłopkami, w najlepszym przypadku rzemieślnikami. Zaczęła się kolektywizacja. Pogrom wsi. Ludzie uciekali do miast. A rezultat? W naszej rodzinie jeden został profesorem, drugi dyrektorem fabryki, trzeci pułkownikiem, troje wyszło na inżynierów. Podobnie działo się w milionach innych rodzin. Nie chcę tu używać wartościującego „źle” i „dobrze”. Chcę tylko powiedzieć, że w tej epoce w kraju dokonywał się

awans milionów ludzi z samych dołów społeczeństwa na majstrów, inżynierów, nauczycieli, lekarzy, artystów, oficerów, uczonych, pisarzy, dyrektorów itp. itd., awans bez precedensu w dziejach ludzkości. Kwestia czy coś podobnego mogło się w Rosji dokonać bez stalinizmu nie ma znaczenia. Dla uczestników tego procesu dokonywał się on w czasach stalinowskich właśnie, i jak się zdawało — dzięki Stalinowi. I w rzeczy samej w niejednym dzięki niemu. Te właśnie miliony ludzi, wciągające w orbitę swoich przeżyć dalsze miliony, były opoką i taranem stalinizmu. Rolę odgrywały tu oczywiście nie tylko rzeczywiste osiągnięcia ludzi, ale i złudzenia. Złudzenia nie co do marksistowskich bajek (w te mało kto wierzył), tylko co do bardzo prościutkich rzeczy: poprawy warunków bytowych i duchowych stosunków między ludźmi. Dla mnie i wielu moich rówieśników własne łóżko z czystą pościelą i trzy posiłki na dzień były szczytem marzeń. Chociaż wielu z nas nie wierzyło w marksistowskie bajki i pojmowało istotę prawdziwego komunizmu, mieliśmy nadzieję na owo własne wyrko i porządny obiad. Nadzieje te przeważały nad negatywnym stosunkiem do rodzącego się społeczeństwa. Chcąc nie chcąc, wiązaliśmy je z imieniem Stalina. Oceniając czyją osobę, trzeba wziąć pod uwagę nie tylko jej obiektywne cechy, ale i jej obraz w świadomości otoczenia. Otóż w świadomości otoczenia Stalin przedstawiał się nie tylko i nie tyle jako łajdak, co jako symbol wielkiego procesu. Była to poważna sprawa, a nie po prostu przemoc garstki okrutnych złoczyńców nad dobrym i oszukanym narodem. Naród oszukany nie był. Nie zapominajcie, że w masowych czystkach stalinowskich, od których ucierpiały miliony zwyczajnych ludzi, aktywny udział brały miliony innych zwyczajnych ludzi. Przy czym jedni i ci sami często grali rolę i katów i ofiar. Prześladowania były wyrazem samodzielnej inicjatywy szerokich mas ludności. Trudno teraz wyjaśnić, kto brał w nich większy udział — wyższe kadry złoczyńców ze Stalinem na czele czy owe szerokie, rzekomo oszukane masy. Żeby skończyć z tym tematem, dorzucę jeszcze jedną heretycką myśl. Ofiary stalinizmu to tylko połowa prawdy o nim. Istnieje i druga połowa, ta właśnie, w której ofiary były pomocnikami i współnikami swoich oprawców. Ofiary były podobne do epoki, która je zrodziła. Groza epoki budowy komunizmu polega nie tyle na istnieniu ofiar, ile na tym, że z selekcji uszedł z życiem i zyskał przewagę typ człowieka, gotów złożyć w ofierze wszystko, z innymi ludźmi włącznie. Stalin był najjaskrawszym wyrazem tej rewolucji psychologicznej. Zdaje mi się, że Stalin był czczony jak Bóg bardziej za represje, niż za swoją niezłomną politykę corocznych groszowych obniżek cen na żywność.

Stalin był następcą Lenina, a stalinizm następstwem leniniz-

mu. Rozmaite są zdania na temat ich wzajemnych zależności. Jedni mówią, że Stalin był wiernym uczniem i kontynuatorem dzieła Lenina. Drudzy, że zdradził sprawę Lenina. Myślę, że i jedni i drudzy na swój sposób mają rację. Istnieje jednak inna różnica w interpretacji, istotniejsza dla oceny Stalina i stalinizmu. Widzę dwa nurty w tym potoku życia, który się przetoczył przez Związek Sowiecki w wyniku rewolucji: nurt konkretno-historyczny i nurt ogólnie-socjologiczny. W pierwszym ludzie rzucali się na czołgi, wymachiwali karabinami, zdobywali centrale telefoniczne, stawiali innych pod ścianę, z gołymi rękami szli na wroga i krzyczeli „hurraaa”... To było widać. W drugim nurcie tymczasem cicho i niepostrzeżenie dojrzewał płód — przyszłe społeczeństwo komunistyczne. Dojrzewał w najbardziej prozaiczny sposób: powstawały niezliczone urzędy i funkcje, rósł i różnicował się aparat władzy, zapuszczający swe macki we wszystkie zakamarki społeczeństwa, mianowano urzędników, dzielono dobra... Kiedy lawina dramatycznej historii cofnęła się w przeszłość i opadł wzniecony przez nią kurz, wyjaśniło się w imię czego właściwie wygłaszano mowy, szczekała broń, wznoszono grzmiące „hurraaa!”. Rzeczywiste nowe społeczeństwo, ze swoim precyzyjnym systemem władzy i zarządzania, było oto już gotowe i wypuściło na arenę swych prawdziwych działaczy. Zatem Lenin i jego gwardia stanowili pierwszy nurt tego procesu, a Stalin ze swoimi współnikami drugi. Nie bez kozery mówiąc o Leninie używa się słowa „gwardia”, a mówiąc o Stalinie — słowa „wspólnicy”... Z imieniem Lenina związany jest tylko przedrewolucyjny okres historii partii i okres, w którym kraj usiłował przetrwać z zarodkiem nowej społeczności w łonie. Z imieniem Stalina związana jest budowa nowego społeczeństwa, przemiana słabego zarodka w potężną dojrzałą istotę. Potężną, podkreślam — niekoniecznie udaną. Krokodyl, jak wiadomo, jest silny, a pożytku z niego mało, chyba tyle, że jego skóra nadaje się na damskie torebki. Lenin to prehistoria prawdziwego komunizmu. Rzeczywista, własna historia komunizmu zaczyna się od Stalina. Tym właśnie, a nie odrażającymi cechami, tłumaczyć należy zwycięstwo Stalina i jego współników (nie gwardii rzecz jasna) nad Trockim, Zinowiewem, Bucharinem i innymi głądziarzami z leninowskiej gwardii (oczywiście). Rzecz nie w tym, że jedni byli inteligentni (Stalin był podobno o niebo głupszy od Trockiego), a drudzy głupi (Trocki był podobno o niebo mądrzejszy od Stalina). Rzecz w zbiegu okoliczności. W tym, jakie siły społeczne wkraczały na scenę historii i przejmowały inicjatywę w niezliczonych dziedzinach życia gigantycznego społeczeństwa. Nie w leninizmie, a w stalinizmie najpełniej wyraża się istota komunizmu. Leninizm to tylko sucha zaprawa

do stalinizmu, zarodek, a ściślej — zaledwie miejsce, w którym dojrzewał płód. Przypadł mu los, na jaki sobie historycznie zasłużył. Tak się zresztą niedawno złożyło, że przeczytałem niektóre dzieła wspomnianych wyżej przeciwników Stalina. Żadnej intelektualnej przewagi nad Stalinem nie zauważyłem. Nie chcę przez to powiedzieć, że Stalin był mądry. Powiedzieć chcę tylko tyle, że jego przeciwnicy nie byli mądrzejsi od niego.

Skoro o rozumie mowa, pora powiedzieć parę słów o Stalinie jako teoretyku. Powszechnie przyjęło się sądzić, że Stalin zwulgaryzował marksizm. Postawcie jednak takie pytanie: co nowego wnieśli do marksizmu sowieccy filozofowie po śmierci Stalina, pomijając nieposkromione pustostawie i rozmaite głupstwa? Postarajcie się bezstronnie odpowiedzieć na to pytanie, a zrodzi się w was być może wątpliwość, czy słowo „wulgaryzacja” jest tu na miejscu. Oczywiście miała miejsce jakaś tam wulgaryzacja poszczególnych myśli twórców marksizmu. Ale czy tylko to? I czy była to rzeczywiście wulgaryzacja? O wulgaryzacji można mówić wtedy kiedy twórcy przedstawiają sobą szczyty (czy też głębie?) mądrości. Jeśli jednak przyjrzeć się bliżej tym twórcom i zastosować surowe kryteria naukowe, okaże się, że nie było czego wulgaryzować. Było co oczyszczać ze słownej ornamentacji. Było co przekładać na normalny ludzki język, żeby uczynić strawnym. Ale wulgaryzować? Nie wiem, czy Stalin jest autorem przypisywanych mu prac. Ale jedno wiem na pewno: dzieła Stalina to właśnie owa mysz, którą urodziła góra tekstów marksizmu. Nic więcej nie można było z nich wycisnąć dla zaspokojenia potrzeb wielkiej rewolucji ideologicznej. A jako teksty ideologiczne, przeznaczone dla milionowych mas ludności o niskim poziomie kulturalnym, były lepsze od wszystkiego, co powstało w literaturze marksistowskiej. Przypisywane Stalinowi dzieło „O materializmie dialektycznym i historycznym” jest najdoskonalszym tworem marksizmu jako ideologii. W rzeczywistości osiągnięcia rewolucji ideologicznej, zrealizowanej pod wezwaniem Stalina, stanowią po dziś dzień podstawę wszelkiej pracy ideologicznej w Związku Sowieckim. Jeśli pragniecie dotrzeć do sedna marksistowskiej nauki, przeczytajcie dzieła Stalina. Niedorzecznym złudzeniem jest przekonanie, że w marksizmie kryją się jakieś intelektualne głębie i subtelnosci, przemilczane bądź zniekształcone przez popularyzatorów, że istnieje jakiś prawdziwy marksizm, nie mający nic wspólnego z ponurymi zjawiskami marksizmu jako państwowej doktryny społeczeństwa komunistycznego. Naturalnie, w dziełach twórców marksizmu jest także coś, co można uznać za przejaw wysokiej kultury ducha. Ale to „coś” nie jest specyficznym płodem marksizmu. Zapożyczono je u poprzedników i współczesnych, przeważnie dokonując na

nich pogromu. Nawiasem mówiąc rozgromienie przeciwników, jakiego dokonali w swych dziełach Marks, Engels i Lenin, przygotowało w swoisty sposób grunt dla pogromów stalinowskich w rzeczywistym komunistycznym społeczeństwie, które zwyciężyło pod ideologicznym sztandarem marksizmu. Stalin był najbardziej autentycznym i wiernym marksistą. Przypisywanie mu roli diabła w chórze aniołów marksizmu nie oczyszcza bynajmniej świetlanego marksizmu od czarnych plam stalinizmu, a usiłuje tylko ukryć właściwą istotę marksizmu, której uderzająco jasnym i wiernym odbiciem był Stalin ze swymi towarzyszami broni.

W okresie stalinizmu uformowano wszystkie organy komunistycznego cielska, określono ich funkcje, wypracowano cały rytuał i wzory postępowania. Po śmierci Stalina zaszyły oczywiście pewne zmiany. Chruszczow np. popadł w gadulstwo — obce Stalinowi — i zaczął się miotać po całym świecie. Ale wizerunek Stalina i tak tkwił w jego świadomości. Breżniew pretenduje do roli drugiego Iljicza. Pod względem gadatliwości i upodobania do podróży przerósł Chruszczowa, choć z uwagi na talenty oratorskie bardziej by doń pasował stalinowski wariant. Ale nie trzeba się znać na psychoanalizie by zaobserwować, że postać Stalina już w młodości oładnęła duszą Breżniewa. Oczywiście, Chruszczow zdemaskował okropności stalinizmu, a Breżniew nie odważa się na stosowanie masowych represji nawet wobec dysydentów, którzy za Stalina byli nie do pomyślenia. Ale czy ma to jakiś związek z ich osobistymi cechami? Antystalinowskie nastroje pojawiły się w kraju i w partii na długo przed referatem Chruszczowa. Referat był raczej wynikiem poprzedzającego go okresu, niż początkiem nowego. Był raczej drogowskazem nowego okresu, aniżeli motorem zmian. Główne przyczyny przemian pozostały w ukryciu. Nawet dysydenci nie chcą o nich mówić. „Liberalizm” Breżniewa też nie jest jego osobistą cechą. Jest to trwała zdobycz rządzących warstw sowieckiego społeczeństwa, które dopiero po śmierci Stalina poczuły się bezpiecznie.

W Związku Sowieckim uważa się oficjalnie, że w okresie stalinowskim naruszono normy życia partyjno-państwowego, a teraz z tym skończono. Ten pogląd bywa krytykowany. Nic podobnego! — rozlegają się głosy krytyki. Wspomniane normy i teraz bywają naruszane. Krytycy uważają, że jeśli w kraju źle się dzieje, to znaczy że narusza się normy. W tym przypadku jednak zarówno oficjalny punkt widzenia jak i jego krytyka są pozbawione sensu. W kraju źle się dzieje nie dlatego, że naruszane są normy życia partyjno-państwowego, ale dlatego właśnie, że są surowo przestrzegane. Rzecz nie w tym, czy normy są czy nie są przestrzegane, ale co one sobą przedstawiają. A normy te powstały i okrzepły właśnie w okresie stalinowskim. Przecież

nie tak było, że istniały już jakieś normy i dopiero Stalin ze swoją bandą zaczął je naruszać. Gdy Stalin doszedł do władzy, żadnych norm nie było. Powstawały one i krzepły w tym strasznym procesie, który dopiero potem objaśniono jako ich naruszenie. Nie można było przecież naruszać tego, co jeszcze nie istniało. Po prostu proces kształtowania się społeczeństwa rządzi się swoimi prawami, zgodnie z którymi formują się normy przyszłego społeczeństwa. Cały okres stalinowski przebiegał zgodnie z prawami organizującego się społeczeństwa.

Wielu ludzi obawia się teraz, w związku z szykującą się rehabilitacją Stalina, powrotu do stalinizmu. Próżne obawy. Nawet jeśli dojdzie do rehabilitacji, będzie ona połowiczna. Współcześni przywódcy komunistyczni sami mają, jak to się mówi, wąsy i są nie od tego, by samodzielnie wejść w poczet geniuszów wszystkich czasów i narodów. Po co mieliby wskrzeszać rywali ze strasznej przeszłości? Szerokie masy ludności zaś nie mają już tej władzy nad bliźnimi, jaką rozporządzały w okresie stalinowskim. Czas bujnej samowoli narodu na szczęście się skończył. A bez samodzielnego uczestnictwa mas żaden stalinizm nie jest możliwy. Nie chcę przez to powiedzieć, że w Związku Sowieckim nie będzie szło ku gorszemu. Przeciwnie, pogorszenie życia jest możliwe. Ale nie każde pogorszenie jest powrotem do przeszłości. Jest ono możliwe także na drodze niepowstrzymanego marszu naprzód, ku świetlanym ideałom komunizmu. Gnoj, do którego zmierza naród sowiecki, będzie jego nowym twórczym wkładem w chwalebny historię komunizmu.

Na charakterystykę jednostki składa się wszystko, co się z nią wiąże: pogłoski, plotki, dowcipy. Zwróćcie uwagę, że istnieje cała seria dowcipów o Leninie, w których Lenin jest śmieszny. Dowcipów o Stalinie było wiele. Ale śmieszny w nich nigdy nie był. Stalin do postaci jakoś do kpinek nieodpowiednia. Chruszczow jest komiczny. Breżniew jest komiczny. A Stalin nie. Zdawałoby się, że teraz nie ma się go już co bać. Śmieję się, ile chcesz. A jakoś się nie śmieją. Chodzą słuchy, że Stalina zabili. Ja w to nie wierzę. Raczej było tak, że umarł, a jego towarzysze bali się wejść do jego pokoju nawet po jego śmierci. Byli to po prostu łajdacy, żałosne, tchórzliwe zera. Jako łajdak i zero Stalin się wśród nich wybijał. Stalin pragnął zbudować komunistyczny raj na ziemi i sprawić, żeby wszyscy ludzie się do tego nadawali. Jeśli z jego zamiarów wyrosła przerażająco ponura nikczemność, to jest to kawał jaki zrobiła historia, nie dająca się całkowicie kontrolować, a nie wynik celowego zamiaru łajdaka. Łajdactwo wcale dobrze współżyje ze świetlanymi ideałami. Jeśli te ostatnie dobrze się opłacają, nabierają jeszcze blasku. Stalin i jego zausznicy (nie gwardia, oczywiście!) byli łajdakami, ale przywódcy komunistyczni sami mają, jak to się mówi, wąsy i są

było to łajdactwo szczególnego rodzaju. Łajdactwo społeczne. Bije ono ze wszystkich porów sowieckiego społeczeństwa. Przejawia się w najnormalniejszym biegu życia. To nieuchronny płód świetlanych ideałów. Krótko mówiąc, Stalin był taki jak historyczny proces, który go zrodził. Nie on stworzył ten proces, ale wycisnął na nim piętno, nadał mu swe imię i kształt duchowy. W tym jego siła i jego wielkość. Niewykluczone, że młodzież będzie jeszcze kiedyś tęsknić do stalinowskich czasów. Naród (ten jakoby oszukany i zniewolony) już tęskni i bije brawa na dźwięk jego imienia. Ale chyba aktualni przywódcy kraju i panujące klasy nie dopuszczą do powstania nowego Stalina — nowego zagrożenia dla ich dobrobytu i bezpieczeństwa.

Aleksander ZINOWIEW

ZAPRENUMERUJ **"AN**
POLITYCZNY **EKS"** do ocenzurowanej prasy
KWARTALNIK **EKS** A N E K S
w Polsce

W nr. 21 m.in. Wywiad z *Raymondem Aronem*; *St. Gomułka*: Sytuacja gospodarza Polski; *JĘZYK TOTALITARNY*: *A. Wat*: Semantyka języka stalinowskiego; *J. Etkind*: Polityka i prawda; *K. Mueller*: Komunikacja sterowana; *L. Bod*: Język i polityka; *I. Grudzińska-Gross*: Świat zaarrestowanych słów; *T. Strzyżewski*: Zamiast posłowania do „Czarnej Księgi Cenzury PRL”; „WSPÓŁRZĄDZIC CZY NIE KŁAMAC” — o książce *A. Micewskiego*; *L. Dembiński*, *A. Pospieszalski*.

Uprzednio w nr. 20: *L. Kotakowski*: Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą; *L. Dembiński*: Prawo i władza; *J. Szadek*: Rok 1968 — dziesięć lat później; *K. Dorosz*: Wędrowki ziemią Ulro; UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU ze wstępem *E. Lipińskiego*, komentarzami *W. Brusa*, *J. Drewnowskiego*, *St. Gomułki* oraz dyskusją w niezależnej prasie krajowej z udziałem *W. Niedbała*, *K. Ostaińca*, *A. Skrzętnego* oraz prof. *Karola S.*

ROCZNIE 4 numery — \$ 15; F.fr. 50, w Wielkiej Brytanii — £ 6.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przesyłać na adres:

A N E K S, 61 DORSET ROAD, LONDON W5 4HX ENGLAND.

Odejść, zapomnieć, żyć...

Dźwignąwszy się z łóżka, Katarzyna szarpie za sznurek zaciemniającej pokój rolety, aż papier zwija się z furkotem. Instynktownie cofa twarz, jakby otworzyła drzwiczki rozpalonego pieca. Jest oślepią błyskiem pękającej w pobliżu willi rakiety. Zaraz następnej i jeszcze następnej. Mimo to widzi, jak każda z nich z osobną strugą ognia przegina się i opada na okoliczne dachy. W sąsiednich pokojach trzaskają drzwi i zdradzający panikę tupot bosych stóp odrywa się szybko od drewnianych podłóg na korytarzu. Potem tupot ten słyszy na podeście półpietra, a wreszcie na schodach niżej, aż oddała się, milknie. Ponaglące się nawzajem, spłoszone nawoływania kobiet milkną również. Patrzy w głąb ogrodu poróżowiałą na wierzchołkach drzew i krzewów, niżej zaś w ich cieniu, w ciemności, pulsującą zaskoczeniem, poruszającą się beładną, przerażoną bieganiną. I nagle znowu słyszy, te same co przedtem wewnątrz willi, głosy kobiet (tylko że już na dole przed willą), wzbierające zdumieniem, wyczekiwaniem, niedowierzające.

Łuna zachodzi na niebo, rozlewa się szeroko i prędko. Za sadami na skraju miasteczka płoną stogi, jakaś szopa na siano, sterty zgrabionego na pobocze pola suszu łąt i liści. Bliżej, przy torach dymią kolejowe magazyny, lecz ognia prawie nie widać, jakby nie mógł się przebić przez blaszane dachy, tylko te czarne, gęste kłęby dobywające się wszystkimi szparami i otworami. Gdzieś opodal szyby trzaskają z gorąca, ulicą z łoskotem przelatuje ciągnięty przez konie beczkowiec ochotniczej straży pożarnej; woźnica strzela batem, jak szalony, krzyczy. Nagle w paru miejscach jednocześnie zaczynają popiskiwać i krztusić się skąpymi

Fragment przygotowywanej do druku powieści, będącej kontynuacją cyklu: „Wyspa ocalenia”, „Zmierzch świata”, „Zasypie wszystko, zawieje”.

haustami wody podwórzowe pompy, chrapliwie odzywa się i zaraz milknie syrena olejarni, żałośnie ryczy uwiecznione ogniem w pobliżu w oborze bydło i samotny głos starej kobiety zawodzi tuż obok za płotem, pełen najgorszych przeczuć, choć bez słów.

Wciąż jeszcze stoi przy oknie nie ruszając się i wszystkie te dźwięki są od niej dalekie, niby przytłumione szybą, choć przecież okno jest uchylone. Jedyne przez kilka sekund słyszy wyraźniej, jak owady szeleszczą w zieleni na murze niezmordowane, wytrwałe, podniecone, lecz i ten dźwięk z jej świadomości przepada, jakby musnął ją sen. A jednak nie śpi. Jest przytomna, umysł pracuje, myśl gna za myślą, choć nie rozumie ich sensu. Potem (jak gdyby z tępej niemocy ciała, w której nie ma nic prócz bólu, zdołała się otrząsnąć) wyłania się na zewnątrz siebie i słyszy już nie tylko głosy biegających po ogrodzie kobiet, ale i wściekłą strzelaninę karabinową w okolicy niemieckiego garnizonu również. I detonacje granatów, i jak cekaem zaczyna popruwać po dachach, brukach i płotach zacinającymi się seriami, jakby szukał celu, gonił za nim, dopadał go na krótko i próbował się weń wstrzelać, ten zaś mu umykał, i później jeszcze, że głosy rozbiegłych po ogrodzie kobiet się oddalają. Mówi do siebie w zdumieniu, poruszając zeschniętymi na papier wargami: „Partyzanci uderzyli na garnizon...”, jakby dopiero teraz zrobiła to odkrycie, nie pamiętając wcale, że właśnie ta myśl poderwała ją przed chwilą z łóżka, ani że wypowiedziała ją już parokrotnie.

Wtedy dopiero, poprzez narastającą wrzawę miasteczka, dotkliwiej uderza jej słuch zacichła nagle pustka willi i ogrodu, i zdaje jej się, jakby zaczynała ją wzywać i wciągać. Tylko że wciąż nie może się na nic zdecydować. Nawet nie wie, czy musi. Wciąż cała obezwładniona jest bólem, który (mimo że ona się nie rusza) rozkrawa jej biodra, brzuch i podbrzusze, i jej piersi płoną. I to centrum bólu tam niżej też czuje, gorące, opuchnięte i, jakby z niej wszystko z wnętrza miało zaraz wylecieć. A nawet, gdy tak stoi, w osłupieniu patrząc na jasność rozprzestrzeniającego się pożaru, czuje piekącą, lepką wilgoć, jak spływa jej po udach i od razu wstrząsać nią zaczynają dreszcze. Nie rozumie tylko, czy z bólu, czy z obrzydzenia, ale nie zastanawia się nad tym. Bo nagle wie, co robi. Odrywa się od okna i dotykając ściany, niepewnym krokiem ślepej idzie do pomieszczenia po przeciwnej stronie korytarza. Myśli, że jeśli się nie umyje, umrze. Czerpie z blaszanej beczki wiadro wody, wiesza je na łańcuchu zwisającym od sufitu, pociąga za sznur u wiadra i kurczy się nagle bez oddechu pod spływającym strumieniem. Lecz wkrótce jest po wszystkim. A potem stojąc pod tym prymitywnym prysznicem w zimnym świetle mlecznej żarówki u sufitu, ledwo ćmiącej, namydla się z uważną dokładnością od stóp

do głowy, spłukuje, jeszcze raz namydla i jeszcze raz spłukuje, jakby nie śpieszyło jej się wcale, jakby to nie była ta jedyna chwila tak wyczekiwana przez nią prawie miesiąc, od kiedy zarębiła ją w łapance i wraz z innymi, wyselekcjonowanymi z tłumu kobietami zamknęli w tym żołnierskim burdelu, zainstalowanym w willi dawnego właściciela gorzelni, jedyna chwila nadająca się do ucieczki, na którą czekała modląc się i złorzecząc, w końcu już nawet nie do Boga, ale różnych ciemnych, tajemniczych sił, coś przecież istnieć musi, skoro Bóg milczy, teraz zaś, kiedy właśnie ta chwila, zdawało się, nadeszła, nic z tamtego dzikiego, nieokreślonego pragnienia w niej nie pozostało. Nieokreślony niepokój, poczucie czegoś niespełnionego, zaprzepaszczonego, porzuczonego za sobą w śmiertelnym znużeniu i cierpieniu. Nic więcej.

Aż zimno wody przenika w głąb mięśni, do samych kości. Katarzyna poddaje mu się jeszcze przez chwilę, czując jak napełnia ją, łagodząc ból, jak gdyby go z niej wyplukiwało, prawie pozwalało jej o nim zapomnieć i wtedy dopiero w głowie pojawia się myśl o ucieczce. Jest to zrazu myśl drobna, płytka, nie poruszająca żadnego włókna nerwu naprawdę, niemal bez znaczenia, może pierwszy ślad myśli, raczej jej zapowiedź, niż myśl prawdziwa. Więc robi parę kroków, szukając stopami kawałka suchej posadzki i z powolną starannością zaczyna wycierać się ręcznikiem. Jest wciąż skupiona na tej czynności jedynie. A potem, wróciwszy do pokoju, który tu zajmuje od miesiąca, równie powoli się ubiera. W jego napełnionym blaskiem od pożaru wnętrzu jest tak bardzo jasno, że gdy rozczesuje pozlepiane wilgocią włosy, widzi siebie w lustrze, niby w dzień, dokładnie, jak nie widziała się od dawna: ściągniętą, ziemistą twarz, oczy upokorzone, umarłe. Jeszcze wpatruje się w swe odbicie, jeszcze opuszkami palców dotyka uważnie czoła, powiek, ust, policzków, w których nie ma życia i ledwo sama siebie rozpoznaje. W końcu nie wie, co mogłaby więcej zrobić, więc opuszcza pokój, choć ciągle nie zdecydowała się, co ma przedsięwziąć. Ale wiedziona instynktem, a może jakimś dawnym, tyle że zapomnianym teraz postanowieniem, schodzi po schodach na parter i przez pusty przedsionek do ogrodu. Cały czas, na korytarzu, na schodach, w przedsionku przyświecał jej pożar, na progu willi wydaje jej się nawet, że słyszy trzask ognia, lecz złudzenie pryska. Ogród wionie na nią resztką dziennego upału rozrzedzonego, zwilżonego już przez noc, jest pusty, po drugiej stronie parkanu ktoś wykrzykuje po niemiecku rozkazy, mężczyźni w ciężkich butach biegną ulicą, łomocząc gwoździemi w podeszwach o bruk, a wzmagająca się strzelanina przetacza się w prawo i lewo, jakby przesypany kamieniem. Po małej przerwie odzywa się jeszcze inny dźwięk, blaszany jakiś, cienki, wydłużony przezeraźliwie, o wciąż

rosnącym, potem obniżającym się i znowu rosnącym, aż do ukłucia pod skroniami, nateżeniu, lecz nie potrafi ustalić kierunku skąd dźwięk ów nadciąga, ani jego źródła. Idąc ścieżką wsłuchuje się w kołatanie serca, a tysiące głosów mężczyzn, którymi zdaje się tętnić płonąca ciemność, oplatają ją, dotykają jej całej i znowu zadają cierpienie. Wreszcie to pragnienie, ta myśl „uciekać” przebija się przez jej wyczerpanie i otepienie, staje się wyraźna, krzycząca, nieokiełznana, przynaglająca i Katarzyna zaczyna biec.

Ale nie ma w niej lęku, że nie zdąży, że nie znajdzie miejsca, gdzie mogłaby się schronić, zanim stacjonujący w miasteczku Niemcy i ci z miejscowej jednostki szupo ochłoną z zaskoczenia, zamkną w okolicy rynku dostęp, odrzuca partyzantów na powrót ku lasom. Ani lęku, że zostanie schwytana. Przebiegając opodal strzelających mężczyzn (o których wie: czy są w mundurach, czy nie — nie należą do swoich), nie dostrzega ich, albo zaraz po dostrzeżeniu pozbywa się ze świadomości. Słyszając za sobą krzyki nakazujące jej się zatrzymać, nawołujące, kim jest, słuch jej krzyków tych po prostu nie przyjmuje, odrzuca je od siebie. Nie pochyła się też, ani nie przypada do ziemi, kiedy z trzaskiem wbijająca się w płot albo odskakująca od bruku kula każe się domyślać, że była posłana w jej kierunku właśnie. Nie ma w niej nawet lęku, że nie starczy sił i dlatego ucieczka się nie uda, bo już się udała, z powrotem jej tam nie zawloką, muszą zastrzelić w ucieczce, a przecież o to chodziło, aby samemu wybrać sobie chwilę śmierci, nie zaś przez nich mieć wybraną.

Nieważne, czy dokładnie tak myślała biegnąc oświetloną poząrem ulicą w stronę, gdzie spodziewała się natknąć na atakujących swoich, czy też inaczej, bo może tylko o tym, żeby biec. Później była przekonana, że właśnie tak, że nie mogła inaczej. Przez cały czas bowiem, zamknięta razem z tymi kobietami z łapanek, wśród których były i Polki, i Żydówki, i Ukrainki, nawet dwie Rosjanki i Cyganka też, o niczym innym chyba nie myślała, tylko że najpóźniej po miesiącu (albo wcześniej, jeżeli oni uznaliby je za wykończone, do niczego więcej nie przydatne), zawiozą je ciężarówką na skraj lasu i rozstrzelają, już świeżą partię kobiet na wymianę mając w pogotowiu. Tak szeptały między sobą sprzątaczkę przychodzące wcześniej rano, kiedy one jeszcze spały, milknące zaraz znacząco, przestraszone, zmieszane, kiedy któraś z nich, obudzona chrobotem ryżowych szczotek trących drewno, pluskiem wody, stukiem przesuwanych mebli, wstała, wyszła ze swego pokoju, pojawiając się na schodach prowadzących w dół na parter. Tak półgębkiem mówili mleczarz i piekarz, zwożący koło dziewiętej do kuchni prowiant. To było wreszcie w spojzeniach przechodniów, zwalniających nieraz kroku i spoglądają-

cych ukradkiem ponad żywopłotem na osłonięte, najczęściej nawet w dzień, okna. Więc one nie mogły tego z myśli i rozmów się pozbyć. Zwłaszcza tej posłyszanej od stróża, gdy sobie podchmielił, opowieści o likwidacji jakichś kobiet przedtem. Że jak je ci z plutonu egzekucyjnego pod lasem rozstrzelali, to byli kompletnie pijani, nie strzelali celnie i potem ziemia nad dołem, w który je wrzucili, poruszała się nazajutrz jeszcze. Więc chyba wtedy, kiedy biegła, to nie było w niej lęku, tylko szalona pewność granicząca z radością, że nie umrze, jak tamte, najwyżej inaczej. I może dlatego ten bieg był tak lekki. Gdzieś w głębi największego pożaru znajdował się cel. Nie musiała o nim myśleć. Był dla niej zupełnie jasny i dlatego w czasie, kiedy mieszkańcy miasteczka kryli się po piwnicach, albo leżeli rozplaszczeni w płytkich schronach wykopanych za płotami w ogrodach, jej bieg był nie tylko lekki, ale i łatwy. Jej stopy odrywały się od ziemi, jakby nie podnosiły żadnego ciężaru, a ciało nie znało już żadnego wyczerpania, które przecież ostatnio rosło z dnia na dzień większe i jeszcze niedawno, przed minutami zaledwie, w niej było. Lecz w pewnej chwili pada. Nie żeby dostała kulą, albo coś podcięło jej nogi. Może się nawet nie potknęła wcale. Prędkiej zderzyła z czymś, albo otarła o twardą przeszkodę, której tam nie powinno było być. Myśli o tym jednak dopiero po paru sekundach. Kiedy już leży na bruku, próbując unieść się na rękach, kiedy zatrzymuje się w pół ruchu, oddychając głośno z trudem. Bo ta przeszkoda, której się nie spodziewała, to zamknięta brama w murze okalającym kościół świętego Jerzego, zwykle otwarta przecież dzień i noc, przez którą można było, minawszy cmentarz, gdzie od lat już nie chowano, dostać się na tył dziedzińca dawnych garnizonowych koszar. Teraz zaś leży pod tą bramą i murem, zupełnie blisko miejsca gdzie rynek łączy się z targowym placem, bliżej jest ratusz, nieco dalej fronton koszar i sżyszy, jak strzelanina oddala się ku działkowemu ogródkom nad rzeką, ku unickiemu cmentarzowi i widzi w luce między placem, a koszarami, jak cały ogień cekaemów z narożnikowych wieżyczek koncentruje się na stoku przeciwległego brzegu rzeki. I natychmiast miasteczko przycicha, jakby wymieciono je nagle zarówno z tych, co atakowali, jak i tych, co atak odpierali, jakby przytłoczyło w piersi swój oddech, zaczęło się, nasłuchując z uchem przy ziemi, czy to już koniec.

Tylko jej własny oddech nie chce się uspokoić. Więc zaciska pięść na piersi, uprzymniając sobie z gniewem, że się spóźniła. Starła się jak mogła, biegła jak szalona, a nie przychodzi jej do głowy, że biegła w złym kierunku. Oni przecież przyszli odbić z rąk Niemców swoich, nie zaś wyzwalać jakiś tam żołnierski burdel. Jakże mogła sądzić, że znalazłszy się w pobliżu, już

przez to tylko będzie bezpieczna. Ale po chwili przestaje się nad tym zastanawiać. Oddech wciąż nie chce się uspokoić, wciąż gając zaś powietrze pełne drobin sadzy, krztusi się okropnie. Od płonącego więzienia ciągnie przy ziemi dym i ogarnia ją sobą, jak ciemnym skrzydłem. Z bocznych uliczek nadbiegają już szupowcy, zaczynają kłębić się przy bramie więziennej czarni, nie-ludscy, wykrzykujący coś niezrozumiale w nieprzeniknionej głąb bramy i okien. Zbiera szybko myśli i już wie, że teraz po odepchnięciu ataku, zaczną przeszukiwać uliczkę po uliczkę, dom po domu. I natychmiast odkrywa, gdzie jest. Odkrywa i to, że od pewnego czasu nie biegnie, ale leży pod murem obok kościelnej bramy, tamci zaś są blisko, kłębią się jak szczury i ma wrażenie, jakby z podniecającej, niemal radosnej rzeczywistości, w której biegła (choć może wcale nie wiedziała, że biegnie, przynajmniej nie myślała o tym) przeniosła się błyskawicznie w rzeczywistość inną, przenikającą do głębi wszystkie nerwy drzeniem. Czując szamoczące się serce, jedną ręką próbuje podeprzeć się i unieść, drugą przyciska dalej do piersi, łapie otwartymi ustami oddech, a wargi i zęby ma wyschnięte. I znowu ten znany ból mięśni i ścięgien powraca, oplata biodra, pęta niewidzialnymi więzami, to drzenie podnosi się od łydek przez uda w górę, choć mówi sobie: „Podnieś się. Biegnij. Na Boga, biegnij! Jeszcze trochę! Już niedaleko!”, ale jej ciało nie poddaje się nakazom woli.

Potem w promieniu wzroku i słuchu zaczyna się coś poruszać. Potem trzeszczy szkło pod podeszwami butów, podkuty obcas zgrzyta na kamieniu, ona zaś jeszcze dobitniej słyszy oddech zziębnięty i okropny, jak podwyższa się aż do jęzku i w końcu pojmuję, że to jej własny. Odwraca głowę i nagle tego zmierzającego w swoją stronę mężczyznę widzi. W czarnym mundurze. Ze zwisającym z ramienia na pasie maszynowym pistoletem. I jak ten pistolet się kołysze, ledwo podtrzymywany przez niego ręką. Twarz mężczyzny jest pogrążona wciąż jeszcze w cieniu, niemal niewidoczna, jak u dziecka mała, tylko głowa podświetlona od tyłu pożarem przybiera nienaturalny kształt głów z kościelnych malowideł. Wreszcie wychyla się z cienia do końca i na chwilę, w pełgającym blasku płonących budynków, ukazuje zupełnie wyraźnie należąca do niej twarz. Jest bez śladu emocji, martwa, płaska, bez zarostu. I Katarzyna, której myśli formują się niezwykle powoli, mówi sobie: „Gdybym tylko zdołała wydostać się za bramę, pewnie byłabym uratowana”, bo jej myślenie stopiło się w jedno z bólem pętającym nogi i biodra, i nie przychodzi jej jeszcze do głowy, by o bramie zapomnieć, ażeby poderwać się z ziemi i pobiec wzdłuż muru. Tymczasem pistolet zwisający z ramienia tego w czarnym mundurze podnosi się, przy-

bierając pozycję pionową. Widzi to wszystko w zwolnionym, rozciągniętym tempie zamglone, rozmazane w kłębiącym się wo-koło rdzawym od ognia, duszącym dymem powietrzu. I naciska plecami mur, cofa się, próbuje wtopić weń niemal, wciąż się cofa, nie ruszając się z miejsca. Aż jej ciało znowu ulega ślepemu nakazowi. I rzeczywiście porusza się, i podrywa. I jakkolwiek ta słabość wciąż w niej jest tak wielka, że wydaje się jej: nie robi więcej nad kilka kroków, biegnie. Kule krótkimi seriami trzaskają po murze, prują tynk, wzbijają tumany pyłu, ten wciska się do ust, zatyka oddech, ale mur się zaraz kończy. Wtedy w ślepej panice rzuca się w wąskie przejście prowadzące ku jakimś składom węgla, i już jest nowa ulica, tylko że teraz słyszy prócz pojedynczego tupotu butów za sobą, także jeszcze inny z boku, zachodzący drogę od strony kościoła, od plebanii. I nie ma czasu na więcej nad jedną myśl: „To mnie już mają...”, pełną niewymiernego zdumienia, ten tupot bowiem jest tak blisko, że zaraz droga biegnącego przetnie się z jej drogą. Coś jednak, jak smuga ognia palącego, uderza ją płasko po głowie, duszna, lepka ciemność przypiera ją do płotu, natychmiast całe powietrze w płucach zatrzymuje się i, jakby zostało z wnętrza przez jakiś otwór wysane, nie ma go wcale. I Katarzyna czuje, jak osuwa się na kolana. A wtedy twarda dłoń wyciągnięta spoza odemkniętej ogrodowej furtki łapie ją żelaznym uchwytem za łokieć i szarpie ku sobie. Toczy się za tą dłonią i, kiedy pada w wyschnięte badyle, w kurz, przez głowę, która znajduje się osobno, jakby odrąbana, przelatuje jeszcze pytanie: „Więc to koniec?”. Ta obca dłoń przygniata ją do ziemi, druga równie twarda, pełna sękatych zgrubień i splekana zaciska się na jej ustach, żeby stłumić za głośny oddech, albo krzyk, gdyby krzyknąć miała. Potem dwaj mężczyźni przebiegają po przeciwnej stronie płotu, może nawet trzej, ich nogi migają poprzez sztachety krótko i nikną. A potem tupot podkuty butów przepada za rogiem i już zupełnie, ale to zupełnie nic więcej nie pamięta. Świadomość bowiem urywa się ostatecznie.

I natychmiast jest znowu wciągnięta z powrotem w tę duszną, wilgotną, spoconą, lepącą się ciemność tamtego ciasnego pokoju w willi dawnego właściciela gorzelni. Obca ręka już nie przygniatała jej do ziemi, druga zaś nie zaciskała się na jej ustach, obie były ruchliwe, napastliwe, biegające po jej ciele natrętnie, obmacywały piersi, brzuch, pośladki, ugniatały i szarpały, mój Boże, krzyczała w myśli, jakby mu było wszystkiego za mało, jeszcze musi dręczyć, żeby wydusić te różne odgłosy, westchnienia, jęki, bez których mu pewnie nie stwardnieje, przeklęty, krzyczała w myśli, czując jak jego palce wciśnięte między jej uda stawały się coraz bardziej niecierpliwie, wymagające, rozka-

zujące, wymuszające reakcję, poddanie się, więc się poddała i udawała, że wzdycha i jęczała, nawet krzyczała też, zresztą jęczała naprawdę, to bolało, błagając w myślach, Boże, żeby już wreszcie skończył, by mogła złapać tchu zanim przyjdzie następny, i zaraz poczuła jego tłusty, wilgotny, gorący, owłosiony brzuch, jak ją przygniata, jak rozwiera, aż zdawało się trzeszczeć gdzieś w panewkach bioder, ten duszący, kośli smród potu też poczuła wzmocniony, i jak to twardsze teraz niż drewno, wbite w nią poruszało się niby w ranie. Wreszcie jednak naprawdę skończył. Potem wycierał się papierową serwetą, zapinał, a potem sobie poszedł. Więc rozprostowała szybko nogi, wyciągnęła się, żeby poczuć palcami stóp chłód metalowych prętów oparcia łóżka i nie mogąc uchwycić jednej logicznej, całej myśli, bo wirowały w jej głowie obłądnym kołowrotem pokawałkowane, w strzępach, nie mając siły którejś z nich przytrzymać, nawet wytrzeć się nie mając siły, a co dopiero umyć, oddychała równo, powoli, tylko równo i powoli, myśląc z męką, serce się wkrótce uspokoi, uda i łydki przestaną dygotać jak w febrze, równo i powoli, nieprzerwanie, wdech, wydech, znowu wdech, z uwagą, bo jeśli nastąpiłaby jakaś mała choćby przerwa między oddechami, serce mogłoby pęknąć, runęłaby w dół, w niekończącą się pod nią pustkę i więcej nie potrafiłaby się podźwignąć, choć już usłyszała na schodach kroki następnego i serce podskoczyło do gardła, to wciąż równo jeszcze i powoli, wdech, wydech, wdech, lecz te kroki już się zbliżyły, drzwi trzasnęły głośno, wszedł, nic nie mówiąc ściągnął buty, zaczął się rozbierać, jego ręka wyciągnęła się zaraz niecierpliwie ku jej biodru, chwyciła za brzuch, znowu zabolało, spróbowała jej wymknąć się na drugi koniec łóżka, ale już ją trzymał, już ścisnął, przygniatał, rozwierał, wbijał się w nią i ona krzyczała, krzyczała nieludzko, obłądnie, coraz głośniejsze, zachłystując się, krztusząc się tym krzykiem, że już dość, nie mogę więcej, nie mam siły, nie wytrzymam tego, choć z jej ust nie wydobył się nawet słaby jęk.

A wtedy otaczająca ją szalenie ciemność pęka na dwoje, rozstępuje się na chwilę, i widzi mężczyznę i kobietę schylonych nad sobą po obu swych stronach, o twarzach podobnie chłopskich, grubych, ogorzałych, upartych. Ich oczy patrzą na nią z napiętą uwagą, ręce przytrzymują silnie jej ramiona, unieruchamiając jej próbujące się wyrwać z ich uchwytu ciało, ale nie zadają mu żadnego gwałtu. Gdy rzuca spojrzenie do tyłu, czując, że z jej głową coś niepojętego się dzieje, widzi jeszcze jedną kobietę, dużo starszą, niemal staruszkę. Tylko dłonie tej kobiety są młode, szybkie, sprawne, choć całe we krwi, i migają w powietrzu jakimiś przedmiotami z błyszczącej stali, gdy tymczasem wewnątrz głowy Katarzyny coś porusza się, chrupie i się

przelewa. Jej ciało oswobodzone jest nagle z bólu, w ogóle z wszelkiego uczucia, lekkie, małoważne, i to nawet dobrze, że tak jest, tylko wokół czaszki zaciska się żelazna obręcz zimna i huczy w głębi, i szumi. Wreszcie jednak całe otoczenie znowu od niej ucieka, a ta rozwartą na dwoje ciemność z powrotem zwiera się w jedno.

I długo, bardzo długo nie było nic prócz nieprzeniknionej ciemności tylko. Potem zapaliło się w niej w dali światło i posłyszała głos kobiecy. Wpierw swoje imię i nazwisko. Że wdowa, mówił ten głos krótkimi, siekanymi zdaniami, jakby w zadyszcze. Mąż oficer. Wzięty do niewoli sowieckiej we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Obóz w Kozielsku, tak? Ale to był już głos inny, męski. W Kozielsku, tak, znowu ten kobiecy. Jakby to miało coś wspólnego z jej obecną sytuacją, czy w Kozielsku, czy gdzie indziej. Gdzieś w górze na północy, tak. A potem znaleziono go w katyńskim lasu. W zbiorowym dole. Ona była na wsi, u rodziny. Męża, oczywiście. Ewakuowała się potem z tego domu do pobliskiego miasteczka. Gdy Ukraińcy spalili parę okolicznych wsi i nie było już bezpiecznie. Ale nie długo trwało, a i w miasteczku był pogrom. Udało jej się w czas zbiec. I trwało to niezmiernie długo, zanim w owym głosie kobiecym rozpoznała głos własny, jak relacjonuje dzieje ostatnich miesięcy, właśnie tak, krótkimi, siekanymi zdaniami, w odpowiedzi na pytania zadawane przez przesłuchującego ją oficera niemieckiego, który siedzi po przeciwnej stronie stołu. Potem jeszcze pytał o papiery. A ona odpowiedziała zgodnie z prawdą, że nie, nie ma żadnych. Rozdzieliła się z rodziną przeciw. Zostały w miasteczku, u tych ludzi, gdzie mieszkała z matką męża. Mogłaby poświadczyć. Ale się rozdzieliły. Zresztą wybuchł pożar, chyba wszystko spłonęło. Skąd wie o pożarze? Bo powróciła. Nikogo nie zastała ze swoich. Może ktoś inny mógłby poświadczyć, znają ją tam w okolicy. Dlaczego tam nie została? Bała się, że ją banda jakaś ogarnie. Dlatego uciekła znowu. Właśnie próbowała się przedostać do swoich, do znajomych. Jeszcze tu i ówdzie są w okolicy. Więc gdyby nie ci, co jej nie dopuścili do pociągu, byłaby pewnie już gdzieś dotarła. On zaś patrzył na nią nawet niegroźnie, zupełnie obojętnie, jakby myślał o czymś odległym, pytając według wyuczonego schematu i jej odpowiedzi niewiele go obchodziły, albo wcale. Nawet nie notował, kręcąc zaostrozonymi jak szpilka ołówkiem w palcach, a potem już na nią nie patrzył. Aż pojawili się w drzwiach znowu ci sami szupowcy, co ją przedtem wygarnęli z poczekalni kolejowego przystanku i wtedy pokazał na nią kiwnięciem głowy i powiedział: „Jeszcze jedna. Też możecie zabrać”.

W grupie stłoczonych razem kobiet stała później przed budynkiem z wyblakłej cegły w słońcu, w powietrzu pełnym miłego, rozpylonego równomiernie pyłu. Wiatr niósł go wciskającym się we wszystkie pory skóry tumanem przez wybrukowaną kamieniami polnymi ulicę, wymiatając go ze szpar pomiędzy nimi coraz więcej i więcej, a one, ustawiając się pod eskortą tych z szupo przy krawężniku w pojedynczym szeregu, przytrzymywały skraje sukni i spódnic, szarpanych podmuchami. Posuwały się zwolna do przodu i z trudem jedna po drugiej wspinały się na odkrytą platformę ciężarówka. Ci z eskorty przypatrywali się beznamiętnie, bez złości, bez okrucieństwa w oczach, jakby były powietrzem. Wreszcie ciężarówka ruszyła. Białawy pył zakłębił się, wiatr wraz z pędem zatykał przez jakiś czas oddech. Zbiły się w gromadkę, wciskały między ramiona głowy. Potem jednak ciężarówka wypadła na równinę, pognąła między gołymi, zszarzałymi od słońca i deszczu polami, wiatr jak gdyby rozproszył się nieco i już można było mówić. Jedna z tych kobiet (wcale nie taka młoda, jak inne, ale piękna) zaniosła się histerycznym płaczem. Nie było w nim też, nawet żalu, rozpaczy tylko, bezsilność i wściekłość. „On powiedział, do burdelu! Do burdelu! Do burdelu z tobą, powiedział ten wieprz! Do burdelu, ten przeklęty wieprz...” krzyczała poprzez swój płacz bez łez, a ci z eskorty, z których trzech siedziało z tyłu, trzech zaś na przodzie, patrzyli teraz ciekawie, tyle że bezosobowo zupełnie, nie zatrzymując wzroku na żadnej z nich osobno. „Do burdelu, powiedział! Do burdelu!”. Aż któraś inna, może znajoma albo siostra, bo już przedtem tę krzyczącą kobietę podtrzymywała za ramiona, uderzyła ją płasko rozprostowaną dłonią w twarz i tamta zamilkła. Otwarte szeroko oczy uderzone były puste, zapadnięte tak bardzo w głąb czaszki, że choć Katarzyna widziała jeszcze na ich dnie zmaconą czerń źrenic, zdawało jej się, że przestają być oczami, stając się bardziej otworami tylko, jak u trupa.

Ciężarówka podskakiwała na wybojach drogi i jej ciało też podskakiwało w ich rytm. Była śpiąca i zmęczona, miała za sobą trzy dni wędrówki kolejami, podwodami i pieszo, choć nie zrobiła przez ten czas więcej nad sto kilometrów, wielokrotnie się cofając i omijając niepewne miejsca. Przymknawszy oczy znalazła się pomiędzy snem i jawą, zawieszona w samym środku bez jednej myśli, słysząc, ale nie chcąc słyszeć rozpaczliwych głosów kobiet, ich łkania, ani nagłego milczenia, zatracając zdolność rachuby czasu i oceny przebywanej odległości. A jednak, kiedy ciężarówka w zwalniającym rytmie kół, inaczej już podskakujących na bruku, wjechała między zabudowania i Katarzyna otworzyła oczy, to pomyślała, że jazda nie trwała dłużej niż godzinę, półtora może, bo od razu rozpoznała miasteczko Krzyżtopól, skąd

zaczęła się jej wędrówka. Stąd uciekła podczas pogromu przed dwoma tygodniami, od tego miejsca starała się w ostatnich dniach oddalić jak najprędzej i stąd też niedaleko już było do jej własnego domu, gdyby zechciała wracać, gdyby było do kogo wracać i po co, i wreszcie, gdyby mogła.

Ciężarówka przecięła miasteczko wzdłuż i przyhamowała przed willą w ogrodzie; mieszkał w niej, jak pamiętała, przed wojną właściciel gorzelni z rodziną, wywieziony na wschód jeszcze za Sowietów. Kiedy ciężarówka wtoczyła się w bramę i zatrzymała na wyźwirowanym placu z tyłu willi, na schody wyszły dwie chude, o szpiczastych, jakichś wyschniętych rysach twarzy kobiety, ubrane podług półwojskowego szyku i w kolorze khaki, a potem w drzwiach pojawił się mężczyzna w czarnym mundurze SS. Stali tam wszyscy i z podwyższenia schodów patrzyli, jak eskortujący ciężarówkę szupowcy opuszczają z tyłu platformy klapę i przywiezione kobiety, jedna po drugiej przygotowują się do zejścia, a potem niezgrabnie poczynają opuszczać się na ziemię. Pies, czarny wilczur, owczarek, który wyskoczył z budy szofera i krążył zdenerwowany wokoło, rozszedkał się zajądło. Ta kobieta, która przed godziną albo więcej, kiedy w innym miasteczku załadowywano je na ciężarówkę, szlochała i krzyczała, nagle jakby ocknęła się ze snu, znowu zaczęła krzyczeć: „Do burdelu z tobą, powiedział ten wieprz! Do burdelu...”, tyle że tamta, która przedtem ją podtrzymywała i uderzeniem w twarz uspokoiła, nie powiedziała teraz nic, nie zareagowała nawet jednym ruchem, nie spojrzała. Więc tylko krzyk tamtej nasilał się do granic wytrzymałości, miesząc w głowie.

Jest dzień, gdy wraca jej na krótko przytomność, w każdym razie jest jasno. Jakiś refleks światła, może słonecznego, może innego, trudno dociec, drży w pajęczynach między belkami powały. Oddalają się, to przybliżają, i ma wrażenie, że ich delikatne, blade nitki porusza wiatr, albo przeciąg. Ale potem uświadamia sobie, że tak nie jest. Poruszają się nie tylko pajęczyny wiszące między belkami, także same belki, w ogóle cała powała też, nawet ściany, jakby wszystko było czymś niepewnym, chwilowym, nie posiadało stałego miejsca w przestrzeni, zaraz miało przepaść. I widzi, że powała podnosi się nad jej głowę wyżej i krótko potem łagodnie opada, jakby oddychała, belki zaś w górze rozstępują się wszcz, to znowu przybliżają do siebie, prawie że się stykając, a te wiszące między nimi siatki pajęczne zaczynają się wtedy naprężać, prostować, i po jakimś czasie znowu się przysuwają do siebie z powrotem, falując i obwisając w dół. Cały widok jest zamglony, mało wyraźny, wątpliwy, niemal nieprawdziwy. Nieprawdziwe wydają się Katarzynie również głosy w pobliżu: mężczyzny — twarde, stanowczy, spokojny,

zdecydowany, kobiety — pełen wahania i wewnętrznej irytacji. Po namyśle dochodzi do przekonania, że nawet własne ciało leżące na czymś niewygodnym, kłującym w plecy, też czyni na niej wrażenie czegoś nieprawdziwego, prawie że nie zasługującego na uwagę. Zapada się w głąb i znowu unosi w górę, jakby należało do kogoś innego, nie do niej, ona zaś była tylko obojętnym widzem. Potem głosy w pobliżu milkną, albo się oddalają, bo słyszeć przestaje je stopniowo, jakby ulatywały w przestrzeń i wkrótce w ogóle wszystko od niej się oddala i ulatuje. Ona sama też, tyle że w przeciwnym kierunku.

Chwilę później znalazła się w swym domu na wsi, w Glebach. Wciąż było to przed paroma miesiącami. Bo pamiętała dokładnie, jak wiele zdarzyło się potem, co wolałaby zapomnieć i co być może kiedyś jej się uda, kiedy upłyną lata i zmienią się krajobrazy. Właśnie zbliżał się wieczór, a było to tego samego dnia, kiedy jej szwagier, Paweł Woynowicz i wuj August, sędzia, powrócili z podróży do Smoleńska i dalej, w każdym razie do miejsc, gdzie rozkopany wzdłuż i wszerz las, nazywano w niemieckich gazetach Kozimi Górkami, albo Katyniem, skąd mieli przywieźć zwłoki jej męża, Aleksego, by je, jak kategorycznie domagała się świekra, pogrzebać, na rodzinnym cmentarzu.

Siedziała na łożku w swej sypialni zgięta we dwoje, z nogami podkulonymi pod siebie, zdrętwiała, prawie bez czucia i, trzymając oburącz głowę, zawodziła niegłośno. Było to, jak płacz wyczerpanego dziecka, które nie chce zwrócić na siebie uwagi, zresztą i tak nikogo w pobliżu nie ma, sobie samemu więc się skarży, nie wiedząc dlaczego. To trwało długo, straciła poczucie czasu. W końcu zabrakło jej łez i siedziała dalej bez ruchu w milczeniu. Resztki dziennego światła dawno zapadły za szpaler białodrzewu na skraj ogrodu i za świerki, niebo pociemniało; nie zauważyła tego. Wiatr, który powiał od wschodu z równin po pierwszym zaraz zmierzchu, niósł zapachy upalnej, gwałtownej wiosny chylącej się ku latu, prędkiego kwitnienia, zawiązywania się owoców, dojrzewania, był ciepły, wilgotny, duszny. Nie zauważyła także, jak w zatoce nieba między drzewami zapaliła się pierwsza gwiazda, ani że później rozmigotały się wyżej niezliczone. Siedziała ciągle bez ruchu, patrząc w okno, ale nie widząc, co za nim. Nie była zrozpaczona, ani wstrząśnięta, nie było w niej nawet cierpienia, tylko pustka, a przez tę pustkę przeciągające wolno myśli, jak utrudzone konie. Aleksey umarł, to prawda, nie ma nawet jego sponiewieranego przez oprawców ciała, nawet grób jego jest wątpliwy. Ale przecież Aleksey umarł już dawno, zimą trzydziestego dziewiątego roku, dokładnie w dzień sylwestrowy, właśnie wtedy, kiedy dotarła do niej od niego kartka pocztowa z głębi Rosji, stamtąd, skąd od dziecka się wie-

działo, że wraca się rzadko, najczęściej nigdy, ta pierwsza kartka z wiadomością, że żyje, przebywa w jenieckim obozie w Kozielsku, jest zdrow, że za nią tęskni i ją pozdrawia, ostemplowana przez pocztę sowiecką, następnie niemiecką, przesłana do ich domu w Glebach, z Gleb zaś przywieziona przez fornała z folwarku, który wiedział, gdzie się ze świekłą ukrywały.

Właściwie jednak stało się to jeszcze wcześniej. Aleksey umierał dzień w dzień, noc w noc, cały czas od tamtego końca sierpnia, kiedy zmobilizowany pojechał na wojskowy punkt zborny do powiatowego miasteczka, ona zaś została w domu w Glebach zbyt młoda i w swej młodości samotna, ażeby mógł żyć w niej dalej bez podsycań swego życia dotykiem ciała. Zbyt krótko należeli do siebie, zbyt namiętnie, ale i niepewnie się kochali. Umierał w niej na zapchanych pieszymi i wozami drogach w kurzu, upale, znoju, w strachu tamtego września bez jednej chmury na niebie, pod bombami z niemieckich samolotów, na które, leżąc płasko w jakiejś bruździe polnej lub rowie, patrzyło się w osłupieniu, jak zawracały, pikowały w dół i siekły w tłum z pokładowej broni; umierał potem w czasie tej krótkiej ucieczki w przeciwną stronę na zachód przed następującymi im na pięty od wschodu sowieckimi wojskami; i kiedy ze świekłą i Pawłem, Aleksego bratem, zostali na jednej z dróg przez tamtych ogarnięci, obrabowani, zabrani gwałtem do Lwowa i były przesłuchania, groza więzienia i dalsze ucieczki; i później jesienią też umierał, kiedy parę tygodni mieszkali w podzielonym przez obu okupantów Przemyślu, ciągle w narastającym lęku przed aresztowaniem, w niepewności, podczas dni i nocy straszliwego czekania na sposobność przejścia po moście na Sanie na niemiecką stronę, jakby tam miało być lepiej, i kiedy wreszcie jednego dnia o świcie ich przepuszczono, i nie było lepiej wcale; a nawet później, kiedy jakiś przypadkiem spotkany znajomy oficer, uciekinier z sowieckiego transportu powiedział, że chyba Aleksemu się udało, bo skoro jemu się udało, ludność miejscowa pomagała przecież, a strażnicy często byli pijani, dlaczego by nie miało udać się Aleksemu także, to on dalej wciąż w niej umierał; choć zaraz po rozmowie z tym oficerem postanowili wracać na wschód i powtórnie przedostali się przez San, tyle że już nie po moście, jak przedtem, lecz któregoś dnia o świcie we mgle, w deszczu, chłopską łódką przez rwący powodzią nurt, pod kulami straży granicznych rażących z obu brzegów; i potem, kiedy przez wiele tygodni przedzierali się w swoje strony, bo przecież jeżeli Aleksemu udało się z transportu zbiec, to pewnie powrócił do domu i czeka. I później umierał w niej podczas tych okrutnych dni resztek jesieni i zimą, kiedy tułali się w okolicy Gleb pomieszkując kątem u różnych, jak oni sami, zaszczu-

tych ludzi, najczęściej w tych biednych domkach na przedmieściu Krzyżtopola, próbując uniknąć deportacji, gdy byli zziębnięci, głodni, wynędzniali, obdarci i jakże często bezdomni. A sowieckie ciężarówki, pokryte budami z brezentu, zwane „czarnymi wronami”, krążyły już noc w noc po ulicach, ludzie do snu kładli się, żeby nie być zaskoczonymi w bieliźnie, nie zdejmując wierzchniego odzienia, a potem z drobnym węzełkiem pod pachą wychodzili przed bramę, wdrapywali się na ciężarówkę i nikt już ich najczęściej więcej nie oglądał na oczy.

Wszystko, co dotyczyło Aleksego, jeżeli nie wypaliło się w niej dawno, zepchnięte zostało w tak odległy zaułek pamięci, że odżyć jeszcze mogło w jakichś chwilach jedynie szczególnych. Lecz dotychczas nie odżyło. Nawet w postaci lęku. A przecież powinno było. Chociażby, kiedy Paweł, jego rodzony brat, tylko parę lat od niego młodszy (teraz tym bardziej podobny) patrzył na nią wzrokiem tamtego, i jego wzrok opierał się na jej twarzy z siłą i uporem, i na niej całej, i szedł za nią gdziekolwiek była, w jakąkolwiek stronę by się nie poruszyła (choć chwyciła jego spojrzenia i zatrzymywała), sprawiając, że pod dotykem tego wzroku ciało jej sztywniało, napinało się, stawało odpychające, mięśnie robiły się jak z żelaza i bolały, a skóra odskakiwała, jakby jej rzeczywiście dotknął. Bo nie chciałyby przeżyć tamtego wszystkiego po raz drugi, przynajmniej w tej samej postaci. Nie potrafiłaby już tak ulegle poddać się obcej sile unicestwiającej własne pragnienia i tęsknoty, sprawiającej, że myśli nawet, nawet sny upodobniałyby się do czyichś pragnień, tęsknot, myśli i snów, co zwań miłością, mającą zapierać w piersi oddech jednością ciała i uczuć, choć nie przekonała się nigdy, czy istotnie, czy też to chwila tylko i potem wszystko pryska; zabrakło na to czasu.

Zwłaszcza zaś wspomnienie Aleksego winno było odżyć tamtej upalnej niedzieli niedawno, kiedy oddała się jego kuzynowi, Piotrowi. Mimo że po Aleksym był jej pierwszym mężczyzną — też nie odżyło. Ani w postaci lęku, ani ostrzeżenia, ani wyrzutu, tym bardziej jasnowidzącego widma, swym pojawieniem się wywołującego przecucie rozstania w bólu, upokorzeniu i zawodzie. Nie, tego dnia, kiedy wyrwała się z Gleb do niedalekiej Czupryni, domu jej dzieciństwa, gdzie znowu od jakiegoś czasu mieszkali jej dawni opiekunowie, Czerestwieńscy, wspomnienia Aleksego nie przywołało nic. A przecież sceneria do tego, co zdarzyć się miało, była podobna. Wieczór po dniu upalnym, bezwietrznym, w odorującym zapachu czeremchy. Wzmocniony zapach ziemi, oddychającej z ulgą zieleni. Szelest osiadającej rosy na trawach, szmer liści glicynii, choć nie dotykał ich najłżejszy podmuch i gęsta, przesłodzona woń jej kwiatów. W taki wieczór właśnie kiedyś Aleksy powiedział, że ją kocha, dłoń kładąc na jej ramie-

niu ruchem zniewalającym, mieszającym myśli. W ten niedawny wieczór niedzielny (w mroku zrujnowanej oranżerii na skraju parku, gdzie siedziała przy kamiennym stole na kamiennej ławeczce) jego kuzyn, Piotr Czerestwieński, również położył dłoń na jej ramieniu, lecz zapytał tylko, co jej dolega, czy płakała, „Nie bój się, to ja” uspokajając, i usiłował zajrzeć w oczy (choć mrok zamazywał nawet rysy twarzy, więc jej oczy były głęboko ukryte), bo wydawało mu się, że się przełękała, że zdrząła.

A tego dnia rano przy śniadaniu przyrzekli sobie nie mówić o wojnie. Chociaż jeden dzień. I że będzie tak, jak przed laty, kiedy jeszcze byli dziećmi, mieszkali w tym domu razem się wychowując, biegali po parku i do lasu, grali w krokieta na trawnikach, kąpali się w pobliskim potoku, jeszcze nie rozdzieleni jej wcześniejszą dojrzałością i wkrótce zamążpójściem. Bo dnia poprzedniego były właśnie długie rozmowy o pożarach okolicznych wsi, bandyckich pogromach, o bratobójczo wyrzynającej się miejscowej ludności, niemieckich pacyfikacjach i odwetowych akcjach partyzantów a także ta wieczorna rozmowa, w której zrozumiała, że i jego wciągnął w swą krwawą otchłań ten Kainowy czas, że stał się on nagle dojrzałym mężczyzną i już na jawie śni ponury sen, będący snem niemal wszystkich mężczyzn tej ziemi (zanim go nie spełnili z karabinem w rękę), żeby iść zabijać.

Więc tego dnia od rana przyrzekli sobie nie mówić słowa o wojnie. A potem cały dzień rzeczywiście był taki, jak niegdyś. I kiedy jedli śniadanie na tarasie, w tym nie wytrawionym jeszcze przez słońce z rosy zapachu kwiatów na klombach, tylko we dwoje, przedzieleni stołem okrytym niebieskim obrusem, a potem przechadzali się po parku główną aleją i bocznymi, i znowu główną aleją, od bramy i z powrotem. I kiedy późnym przedpołudniem pojechali do Nikoryczy do kościoła i siedzieli obok siebie w dębowej ławie zatopieni w duszącym dymie kadzideł, wśród ciżby wiernych, zanoszących do Boga głośne modlitwy o koniec wojny, o życie i zbawienie. I potem, kiedy znowu powracali leśną drogą wśród zębatach górą drzew, jak mury fortecy, w cieniu, w powietrzu ciągnącym, jak przez tunel, uderzającym gdzieś na skraju lasu w ścianę upału i zawracającym, aby wionąć im w twarz. I przez falujące dojrzewającym zbożem pola, gotowego niebawem do zżęcia, choć wielu traciło nadzieję, czy zdoła je jeszcze ktokolwiek zebrać. Wciąż nie wspominając tamtego ani słowem, mimo że mieli to nieraz na samym brzegu ust. I kiedy jedli obiad i znowu gdzieś potem spacerowali. I że zбочa na skraju parku przypatrywali się wsi w dolinie po przeciwnej stronie potoku, gdzie kobiety krzątały się w obejściach, mężczyzn zaś nie widać było wcale, ale nie poruszyli tej sprawy ani słowem. I ich oczy spotykały się często.

I dłonie. A ramiona dotykały się, ocierały o siebie, opierały, splatały, kiedy on brał ją pod ramię, i niejednokrotnie dłoń zaciskała się na dłoni. A potem jego nagle nie było, nawet przy stole przy kolacji. I przeszukała cały dom i park, a już zbliżał się wieczór, miała wracać do Gleb, do siebie. Więc przestraszyła się, że on zrobił to, co sobie ostatnio był wbił do głowy, poszedł do jakiegoś oddziału, przecież sam mówił: miał z partyzantką kontakt. I siedziała potem zdruzgotana w mroku zrujnowanej oranżerii, nie mając sił iść na drugi skraj parku do domu Czerestwieńskich, pożegnać się, przy pożegnaniu zaś powiedzieć, że wiedziała, że już wczoraj jej, co uczyni, oznajmił, i potem, jak najzwyczajniej, poprosić o konie, żeby mogła jechać. I myślała z tępą rozpaczą, że w ten sposób oni wszyscy odchodzą: mężczyźni, których kochała. Właśnie tak: „Odeszli wszyscy mężczyźni, których kochałam...” myślała, w czasie przeszłym, dokonanym. I może jednak w tejże samej chwili, w jakimś refleksie przypomnienia, jeżeli to w ogóle było przypomnienie, pomyślała także o Aleksym i myśl ta przestraszyła ją jeszcze bardziej, ale tylko na krótko, bo zaraz trząsk żwiru albo szkła pod butami idącego mężczyzny, kazał jej podnieść głowę i niemal krzyknęła. Więc jakkolwiek lęk o Piotra był dziecinny, naiwny, bo nie znika się chyba bez słowa i nie takiego dnia, kiedy obojgu im było dobrze i byli szczęśliwi, to jednak drżała na całym ciele i kiedy, chcąc się opanować, wstała, zachwiała się, a on musiał ją podtrzymać. Wtedy oba jego ramiona otoczyły ją i poczuła, jak zaciskają się na jej ramionach i zaraz zabrakło jej w płucach powietrza. Choć jego ramiona nie miały siły władczej, zagarniającej, obezwładniającej, nakazującej poddanie, nie żądały niczego dla siebie, nawet nie prosiły. Pragnęły ją tylko uspokoić, były pełne niepokoju i niepewności, czy coś się jej jednak nie przytrafiło, chciały ją pocieszyć, jeżeli pocieszenia pragnęła, podnieść na duchu, jeżeli podniesienia na duchu potrzebowała i dopiero, kiedy to drżenie jej ciała na niego przeniknęło, zrozumiała, jaki on jeszcze jest młody, jak z tej młodości instynktownie wyrывa się do spraw i czynów, które są udziałem dojrzałych mężczyzn tej ziemi, bez względu na konsekwencje, jakie muszą potem ponosić, i to, że jak gdyby się żegna, a ona nie zdołała go powstrzymać. I ogarnęła ją fala współczucia i żalu. I zaraz pojęła, jak bardzo go kocha, a również, że tak było zawsze, jak gdyby Aleksy w jej życiu w ogóle nigdy nie istniał. Wtedy poczuła, jak mięśnie jego ramion napięły się, pragną oderwać się od niej, być może on im to nakazuje, one zaś nie są mu posłuszne, i odsunęła się odruchowo, ale natychmiast zapomniała, co ją do tego skłoniło, oparła twarz o jego twarz i było znowu, jak kiedyś przed laty, kiedy spłótnięty ramiona szli o zmierzchu ścieżką obok oranżerii, by w głębi pa-

rowu kąpać się w potoku. I pociągnęła go za sobą. Potem biegli deptając śnieg opadłych na trawniki płatków jaśminu, pozbawionych już wszelkiego zapachu. A potem byli już nad brzegiem i, w biegu zrzucając z siebie wszystko, przedostali się wpływ na drugą stronę. Ona zaś krzyczała jeszcze, też jak wtedy: „Złap mnie, spróbuj mnie złapać! Jestem szybsza!”, ale nie była i złapał ją zaraz na tej płytkiej wodzie, przy łasze piaszczystej, niżej skalnego progu. Więc raptem poczuła całe jego gorące, rozpalone ciało, choć mokra skóra po wierzchu była chłodna. Jego napięte mięśnie, i to drżenie wewnątrz też poczuła znowu, wciąż nie zanikające w nim ani trochę, a nawet rosące. I wtedy to się stało naprawdę. Tam pod tym księżycem już w pełni, jak miedziany krążek, rozlewającym się zamglonym światłem na parów, ścianę parku nad parowem i rozmigotaną wodę potoku przelewającą się w wirach i wśród kamieni. Pod niebem głębokim i dalekim, rozgwieżdzonym niezliczonymi obcymi światłami jeszcze dalej i głębiej. Wśród szepczącego sitowia i głośniejszego bełkotu wody na skalnym progu. Na tej piaszczystej łasze wysuszonej na popiół przez żar minionego dnia. Bo tam otworzyła mu swe ciało, aby wiedział wszystko.

To wspomnienie Aleksego nie odżyło (przynajmniej tak, jak winno było) także wtedy, kiedy nadeszło urzędowe zawiadomienie Czerwonego Krzyża o identyfikacji jego zwłok, i wkrótce zrozumiała, że tamtego wieczoru pomyliła się, bo to, co między nią a Piotrem zaszło, jest tylko sprawą między mężczyzną a kobietą, nieważącą nic, albo niewiele wobec spraw między samymi mężczyznami, w każdym razie dla niego, tak młodego i tak fanatycznie ślepo w swej młodości wierzącego w konieczność znalezienia sobie miejsca na mapie tej ziemi i wojny. Więc już zaczął się zawód i ból; upokorzenie jeszcze nie, choć i to miało wkrótce przyjść. Toteż, kiedy otrzymała to zawiadomienie Czerwonego Krzyża, to było tak, jakby jakimś niewidzialnym skrzydłem dotknął ją los, lecz nie miał żadnego kształtu, ani imienia, w każdym razie postaci Aleksego. Więc tylko stało się coś takiego, jak gdyby osłupiała. Może nawet na krótko zamarło w niej i wokół niej wszystko, czas nagle przystanął, nie znaczył nic, ona sama nic w nim nie znaczyła i nie była nigdzie. Pamięć z jakichś ciemnych zaułków świadomości przemówiła potem znowu złowieszczymi zdaniem: „Tak odchodzą oni wszyscy, mężczyźni, których kochałam”, co mogło dotyczyć zarówno Aleksego, jak Piotra, ale nie była pewna i, mnąc to zawiadomienie w palcach, milczała, bo była tylko zawiedziona i samotna, tym bardziej samotna, że zawiedziona.

Już na pewno jednak wspomnienie Aleksego nie odżyło póź-

niej, kiedy Paweł, jego brat przyszedł wieczorem do jej pokoju, stał za jej plecami, za fotelem, w którym siedziała patrząc w okno, w pulsujący coraz głośniejszymi owadami mrok, niczego nie widząc i nie słysząc nic; a wkrótce już była noc i on tam znowu stał, może zresztą cały czas. Więc potem uniosła się ostrożnie z fotela i obciągając odruchowo na biodrach suknię, czując przez cienki materiał pod dłońmi pot (choć ciało miała chłodne), szła do sypialni, a jej stopy w jedwabnych pończochach szeleściły o podłogę — jak jej się wydawało — jak świerszcze, wabiąc i drażniąc. On szedł za nią i ta zatykająca, gęsta duszność już się zaczęła, jakby w powietrzu zabrakło raptem tlenu i miała ją zaraz udusić. Tyle że jej pamięć milczała i ona chyba milczała też. Dopiero kiedy stojąc w drzwiach, o coś pytała, ona zaś rozbiierała się w pośpiechu i czekała, aż podniesie roletę i otworzy okno, żeby w poszerzonej przestrzeni płuca znaleźć dla siebie mogły choć trochę tego, co im potrzeba, może ponagliła go: „Otwórz okno, prędzej!”, ale nic więcej. Gdy ta fala wilgotnego powietrza wreszcie napłynęła stamtąd i duszność ustąpiła, od razu przestała Pawła dostrzegać. Później leżała na łóżku na wznak, chłód okrył ją, przeniknął na wskroś. I zaraz posłyszła nasilający się jęk sprężyn łóżka, poruszanych długim dreszczem swego ciała. Wciąż nie widziała Pawła, nie słyszała, przez chwilę wydawało jej się nawet, że może w ogóle już go nie było w pobliżu. Ale nie, był cały czas. Ona na niego patrzyła nawet. Więc kiedy się zbliżył, w gardle miała krzyk. Jak rozpaloną kulkę, albo kawałek żelaza, którego chciałyby się czym prędzej pozbyć, wyrzucić, wypluć, lecz nie mogła i tylko podniosła oczy. I patrzyła nieruchomo na jego rozgorączkowaną twarz tak nisko pochyloną nad swoją twarzą, że gdyby nie półmrok, mogłaby zobaczyć ją w jego rozszerzonych źrenicach odbitą, jak w lustrze. W jej głowie dalej jednak nie było nic, prócz tej jednej myśli, że w gardle ma rozpalony kawałek żelaza. Bo że on przyjdzie, wiedziała od dawna. Skoro po odejściu Aleksego została w ich rodzinie i później, kiedy powrócili do Gleb, w ich domu, to on uznał, że jego miejsce jest przy niej, a jej przy nim i że ona tego chce. A teraz pewnie pomyślał że to nadeszła ta odpowiednia chwila, aby Aleksego jej zastąpił, jeżeli Aleksego śmierć jest urzędowo potwierdzona, jej milczenie tłumacząc sobie na swoją korzyść, i może sądząc, że ból, który w niej winien być, on potrafi ukoić. I nie czuła nawet jego rąk, błądzących po swoim ciele, ani potem też nic. Ta jedna myśl w niej tylko była, ten krzyk, który wcale nie był krzykiem, lecz rozpalonym kawałkiem żelaza, kulką żaru, której należało się za wszelką cenę pozbyć, bo inaczej spłynie w głąb i przepali na wylot wnętrza. Więc się wreszcie uzewnętrznił.

W tym gwałtownym wybuchu śmiechu, którego jej pewnie nie zapomni Paweł nigdy, nawet wtedy, kiedy ona zrobi wiele, ażeby tak się stało. Z półotwartych, wykrzywionych ust, w rozpaczliwych konwulsjach ciała, które wiło się całe, choć dalej leżało skamieniałe, nie drgnęło nawet jednym mięśniem, jakby głowa i korpus nie należały do siebie, śmiech ten z niej wytryskał długą chwilę jak plwocina, coraz głośniejszy, aż do pisku, który dopiero tam gdzieś wysoko przestał być raptem słyszalny.

Wtedy nagle zasnęła. Może nawet jeszcze zanim był sobie poszedł. W każdym razie, kiedy się znowu przebudziła, a nie spała długo, bo księżyc za oknem stał w tym samym miejscu nad wierchołkami białodrzewu co przedtem, to jego już nie było. Zanim jednak zasnęła ponownie, nie pomyślała ani o Aleksym, ani o Pawle, jego bracie, i co się stało. W ogóle nie przyszło jej do głowy pytanie, czy stało się cokolwiek. Dopiero zasypiając, już właściwie w półśnie, więcej nawet w półśnie, niż na jawie, zaprzętała ją przez chwilę nieostra, mglista myśl, czy Pawła nie nawiedziła jakaś drobna przynajmniej wątpliwość, czy aby — niezależnie od tego, co ona czuła i chciała — nie łamie on obyczaju i że to się później mści. Choć naprawdę nie czuła nic. Nawet nazajutrz, kiedy kazała pokojówce zmienić pościel i ta spojrzała na nią znacząco, a może tylko uważniej, niż trzeba było, bo pościel zmieniała w sobotę, natomiast zaczął się dopiero wtorek.

Wspomnienie Aleksego nie odżyło w niej ani tego dnia, ani w następne. Czyżby winno było odżyć teraz? Gdy usłyszała tę straszliwą opowieść wuja Augusta o tym, co razem z Pawłem, w tej o setki kilometrów oddalonej miejscowości pod Smoleńskiem, widzieli? Bo przecież, gdyby pomyślała, że rodzina oczekuje po niej rozpacz, albo cierpienia, zdziwiłaby się. Tyle że w ten sposób nie pomyślała wcale. Oni tego po niej nie oczekiwali. I dla nich Aleksy umarł dawno. Z Pawłem już dawno dzieliła dach nad głową i stół, a teraz będzie dzielić i sypialnię, świekra zaś i przedtem, i teraz myślała jedynie o jak najrychlejszym wydaniu jej za niego za męża. Więc oczekiwano po niej, żeby się zgodziła i pozwoliła życiu popłynąć dalej. Dlaczego zatem płakała? Dlaczego jej głowa zataczała się bezwiednie i bezwolnie tym rozpaczliwym, odwiecznym ruchem kobiet wiejskich raz w jedną, raz w drugą stronę między podtrzymującymi ją dłońmi, pełna myśli zmęczonych, ciemnych i bez jakiegokolwiek nadziei? Czyżby płacz jej był wyrazem pustki i znużenia? A może lęku przed wspomnieniem Aleksego? Że będzie musiała tę jego mękę raz jeszcze przeżyć? Przybliżoną tamtą relacją wuja Augusta? Ale przecież wszystko wiedziała już przedtem z gazet, z opowieści ludzi postronnych, z tradycji wojen na tych ziemiach,

przekazywanej z ust do ust, zwłaszcza wojen z Rosjanami, z pamięci tych, co doświadczyli najazdu bolszewickiego w dwudziestym roku i widzieli, co oni z jeńcami, zwłaszcza oficerami, robili, kulka w głowę i kwita. A może był wyrazem lęku, że będzie musiała ten odrealniony, bo przecież nie obojętny obraz Aleksego, pogrążony dotychczas w odmętach pamięci, chroniący ją jednak przed agresywnością świata, zastąpić innym, przywiezionym przez wuja i Pawła z katyńskiego lasku i może ten nowy obraz nie da jej już spokoju i pójdzie za nią wszędzie, jakby była w czymś winna jego męki? Nie wiedziała, nie próbowała się nawet dowiedzieć.

Leżała tak chyba parę godzin. Wieczór dawno się skończył, zaczęła noc. Ciemność, która ją otaczała, zrazu przefiltrowana światłem skrawka księżyca, stała się gęsta, spoista. Było duszno i parno. Przez otwarte okno z dworu nachodziły raz po raz fale powietrza wilgotnego i ciężkiego, które z trudem brały w siebie płuca, daleko za drzewami błyskało, ale nagłe wybuchy blasku gasły natychmiast i odgłos grzmotu nie docierał. Gdzieś opodal w zaroślach przed domem niespokojnie kwilił zbudzony ptak, umilkły nocne owady, wiatr nie poruszał liśćmi winorośli na murze. Nie miała siły dzwignąć się z łóżka, nawet zdjęć suknię, choć wrzynała się w pachy i było jej niewygodnie. Gdy zacisnęła powieki, pojawiał się zawsze ten sam obraz — z opowieści wuja Augusta. Wtedy szybko otwierała oczy, obraz przepadał i ciemność wokoło była znów niezmacona. Więc w pewnej chwili pomyślała, że się Aleksego boi. Ale nie, to nie mogło być prawdą. Nie bała się chyba nigdy. Nie mogła teraz znieść tylko żalu, jaki w niej wzbudzał i myśli, że niczego już nie zmieni, że los Aleksego tak właśnie się dokonał, i ona musiała przeżyć go o lata, a nie wiedziała po co, choć tak była młoda. Potem zmęczenie ją zmoгло wreszcie i już nie otwierała więcej oczu, nie broniła się. Więc te obrazy powróciły, zaczęły płynąć pod powiekami jeden po drugim, niczym nie zatrzymywane. I wydało jej się, jak gdyby była tam z nimi — z wujem Augustem i Pawłem — w tym miejscu, które dawniej ledwo potrafiła sobie wyobrazić.

Więc była tam i widziała, jak podchodzili pod wzniesienie wydeptaną przez ludzi świeżo ścieżką przez las. W tym upale już niemal pełnego lata, choć dopiero była późna wiosna. I las wkrótce ustąpił i otworzył widok na polanę. Ale zanim jeszcze ją ujrzeli, zanim drzewa ustąpiły niskim wrzosom, jałowcom i paprociom, jeszcze idąc między wspinającym się dumnie ku niebu podwójnym szpalerem świerków, już bliskość tego miejsca poczuli, kiedy uderzył ich w twarze i zmusił do zwolnienia kroku, niektórych zaś idących z nimi ludzi nawet do zatrzymania się,

a może odwrotu, ten zgęszczony, jak oleista ciecz, przerażający zaduch nieludzkiego podeptania, upodlenia i śmierci. Ten z niczym innym nie dający się porównać zaduch rozkładających się w upale ciał, przyklejający się do skóry, zatykający nozdrza, wtłaczający z powrotem oddech w piersi, zbijający z nóg i mącący myśli. I potem stali na polanie, widząc jej zrytą łopatami powierzchni, sterty zerwanej darni, zwały czarnej, przerośniętej żyłami piasku ziemi, te doły rozkopane wszczep i w głąb, jak w otchłań piekła, w którą opuszczali się, lub z której wygrzebywali się mężczyźni z owiazanymi kawałkiem materiału do połowy twarzami, odziani szczelnie w brezentowe ubrania po pachy, dźwigający rozpięte na noszach szczątki tamtych i te szczątki, jeszcze z daleka człękoksztatne, jeszcze nierozpadłe, jeszcze w rozpoznawalnych mundurach ułożone rzędami na ziemi obok dołów — wszystko to widzieli w tym oleistym, przysysawającym się do skóry twarzy i rąk powietrzu drgającym w upale nad dołami, nad polaną, nawet wyżej nad lasem też. I później nastała cisza, jaka zwykle przychodzi, gdy serce zaprzestaje tłuc się po piersi oszalałe i żołądek nie podrywa się już do gardła, bo mózg więcej o tym nie myśli w kategoriach fizycznych i to ma raptem zupełnie inny wymiar. Ta cisza, która może stała również w tym skażonym powietrzu, bo nie odezwał się w okolicy żaden ptak, nie skrzypiały korony drzew, ani nie szumiały liście, nie słyhać było szmeru igliwia, ani oddechu wiatru, choć ciągnął on górą i dotykał ich wierzchołków, a nawet głosy pracujących przy wydobywaniu zwłok mężczyzn brzmiały wstrzemięźliwie i ściszone. I w tej zaległej w nich i wokoło nich ciszy szli ku pierwszemu z dołów, może nie słysząc także głosów unurzanych w brunatno galaretowatej mazi mężczyzn, którzy dłonie mieli czarne, twarze zaś, ledwo widoczne spod okrywającego je do połowy kawałka materiału, białe, jak kreda i świecące się potem, a może właśnie tamci zamilkli. Bo pochylający się nad dołem Paweł zaczął chyba wtedy właśnie krzyżeć i jego krzyk unieruchomił najbliższych stojących. Poruszył się tylko niemiecki strażnik, siedzący wyżej na zwale ziemi nad dołem na rozkładanym polowym krzeselku i mężczyzna w białym kitlu, liczący głośno wydobyte trupy, przestał je liczyć i się ku nim odwrócił. Paweł krzychał, że znalazł brata, że go widzi i wuj August, chcąc go uspokoić, coś mówił do niego, nawet chwycił go za ramię, ale jego głos ginął, nie miał siły, był zupełnie bez znaczenia. I wtedy Paweł wyszarpnął ramię z dłoni wuja, bo i chwyt tej dłoni nie miał siły, był także zupełnie bez znaczenia, może Paweł wcale go nie poczuł, zresztą nawet gdyby poczuł, i tak nic nie zdołałoby go powstrzymać, pewnie tylko myśl, że znalazł brata kołatała się w jego głowie, nic więcej, i zaraz zaczął tam

schodzić w głąb, czarna ziemia zaś usuwała się spod jego butów, toczyła wilgotnymi pecynami w dół, zielonkawa woda, którą podeszły ułożone warstwami lub splątane bezładnie trupy, chlupała i ten mieszkający zmysły odór rozkładu i gnicia wzmocnił się, jeżeli jeszcze cokolwiek mogło się wzmocnić, jeżeli to w ogóle było możliwe. Dopiero, gdy podbiegł ten w białym kitlu, laborant może, albo lekarz, razem z wujem Augustem zdołali Pawła powstrzymać. Nim w tę rozbełtaną, zmieszaną z trupimi wydzielinami ziemię, w tę zielonkawą ciecz się zanurzył. Wciąż krzyczącego, jak szalony. Z twarzą spoconą, świecąca się, białą, jak tamtych nad dołem, choć rozgorączkowaną i nieprzytomną, i jak gdyby stygnącą dopiero, gdy chwycili go za ramiona i wykręcili mu ręce. Potem trzymali go, ale zdawało się, nie czuł tego; mówili do niego, ale jego słuch nie przyjmował ani jednego słowa. Wreszcie jednak zamilkł. A potem pobladły stał, jak wrośnięty w ziemię, która już nie usuwała się mu spod nóg, lecz poddawała i cierpliwie znosiła jego ciężar, i wtedy go puścili. Oni obaj stali obok niego: wuj August, dla którego Aleksy był jednej krwi i ten w białym kitlu, człowiek obcy. I wszyscy trzej patrzyli (ona, Katarzyna z nimi teraz również) w głąb dołu, na płaskie jego dno, wuj August i Paweł, którzy widzieli po raz pierwszy i ten obcy, który widział na pewno tysiącrotnie i musiał być zahartowany, ale wszyscy trzej z jednakim przerażeniem, z tą samą rozpaczą, z tym samym gniewem nawet, i nie było żadnej różnicy w wyrazie ich twarzy, tylko różnica typu i wieku.

I widzieli (a ona widziała też zupełnie blisko) tę płataninę ciał po brzegach dołu, jakby je spychano w pośpiechu, bo jedynie na środku ciała tych może wcześniej zastrzelonych ułożone były równo, jak w sęgu kłody drewna, warstwami, wszystkie w mundurach, w zimowych wojskowych płaszczach, gdziekolwiek ze skręconymi do tyłu i drutem skrępowanymi rękami, z palcami rozszczepionymi, rozczapierzonymi, czegoś jak gdyby wzywającymi, kiedy usta już zamilkły, palcami, z których schodziła płatanami skóra; i twarze widzieli pokryte sinozielankawym liszajem pleśni, z zapadniętymi, bielmem wypełnionymi oczodołami, ślepo zwrócone w niebo tych, co leżeli przodem, albo tył głowy z pogruchotaną kulą potylicą tych, co leżeli na brzuchu. Wszystkich ich widzieli w nieludzkim pohańbieniu, zbezczeszczonej w tamtej straszliwej chwili, kiedy ich czas się zatrzymał, kiedy nie dane im było, jak żołnierzom walczyć o życie i zginać śmiertcią, na jaką sobie zasłużyli, lecz dosięgła ich wola kata i strzał od tyłu rozsadzający czaszkę, oddany z jego rozkazu przez tępych, fanatycznych oprawców; w tamtej chwili, którą Paweł i wuj chcieli sobie może wyobrazić choćby na oka mgnienie, lecz nie potrafili, gdyż wyobraźnia się cofała.

Potem wuj odciągnął Pawła stamtąd. Nie zatrzymali się przy żadnym ze stołów, przy których pracowały komisje lekarskie i szli inną świeżo wydeptaną ścieżką, omijając inne rozkopane doły, z których jeden, w kształcie litery el, był już opróżniony do końca, a potem, wydostawszy się z ich zasięgu, przysiedli gdzieś na pniu i, ścisząc głosy do szeptu, mówili coś do siebie, co nie było zresztą wcale ważne, bo ich myśli znajdowały się gdzie indziej, co było nawet zupełnie bez znaczenia w obliczu tego, co zobaczyli. Już wiedzieli nawet, że przyjechali na próżno. Wprawdzie nigdy i nigdzie nie zdobyliby tej wiedzy, która pozostała im na zawsze, że przekazywać ją będą musieli swoim dzieciom, a te dalej swoim dzieciom, co człowiek uczynić potrafi człowiekowi, to jednak ciało Aleksego nie powróci z nimi do ziemi ojców, nie spocznie wśród bliskich na rodzinnym cmentarzu, ale zostanie właśnie tu. Bo Aleksego w żadnym z dołów, które widzieli z bliska lub ominęli z daleka, nie było już, zidentyfikowano go przed paroma tygodniami i pochowano w innym zbiorowym grobie (inaczej zresztą nie otrzymaliby do Gleb owego zawiadomienia Czerwonego Krzyża, które nadeszło kilka dni temu). I wkrótce już znali numer przyczepiony do papierowego worka, w który jego ciało włożono, zanim je pogrzebano ponownie. Ale także wiedzieli, że i to ich jeszcze czeka: w żalu, w bezsilnym gniewie, jednocześnie wstydzie pochylić się będą musieli nad tym kawałkiem wrogiej, obcej ziemi kryjącej jego umęczone ciało, skłonić się będą musieli tej ziemi nad Aleksym w pokorze nawet, bo ziemia obca, jak swoja, jednakowo grzebie i kryje ludzkie szczątki, dopóki nie staną się w końcu nią samą, czarną ziemią.

Już było niemal południe, kiedy znowu szli łagodnym wznieśieniem, tam gdzie polana się rozszerzała podchodzącym jak gdyby pod nowy las, pod nowe dęby, buki i świerki, które kołysały się w wietrze dmącym górą, słońce zaś stało jeszcze wyżej nad nimi na niebie bez obłoków, bladoniebieskim, zadymlonym mgiełką upału, i cisza, jaka już niżej ich uderzyła, zdawała się większa, niemal doskonała. Nawet, kiedy dołączyli do grupy kobiet i mężczyzn, która się w pewnym miejscu zatrzymała i znowu ujrzeli tych ludzi w brezentach, z owiązanymi twarzami, pod strażą niemieckich żandarmów dźwigających na noszach papierowe worki ze zwłokami. Bo słowa, które padały z ust księdza, towarzyszącego obrządkowi ich grzebania, o krzywdzie i przebaczeniu, o pamięci, ale i zapomnieniu, tej ciszy nie poruszały, jak gdyby wszystko wstrzymało oddech. Nawet ziemia spadająca z łopat i szmer modlitw zgromadzonych ludzi jej nie mąciły. A potem, kiedy słońce jeło skłaniać się ku dołowi horyzontu, stali wreszcie właśnie tam, pochyleni nad tym miejscem, gdzie pod dwumetrową warstwą ziemi, przesypane zapewne

jeszcze wapnem, leżało to, co z Aleksego pozostało. Numer wykalgafowany kopiowym ołówkiem na drewnianej, wąskiej tabliczce już rozmazywał się i zacierał, ale to był ten numer. Takich tabliczek wystawały z mogiły, w prawo i w lewo, setki. I z następnej, i jeszcze z następnej, przecinających skraj polany w poprzek w kilku rzędach. Te najdalej pokrywała już dań, której kwadraty zwoził na taczkach stary człowiek w zimowej uszance na głowie o twarzy muzyka, zamysłonej i zatroskanej, te bliższe zaś były wyschnięte po brzegach, osypujące się na rozdziałające je ścieżki. Stali wciągając w płuca z utrudzeniem tę słodkawomdłącą woń, tutaj nieco rozrzedzoną (i ona, Katarzyna, tam z nimi) i nie mówili do siebie nic. Jak gdyby znaleźli się w samym środku świata opuszczonego, ogołoconego z wszelkiej nadziei — wciąż trwała absolutna cisza. Nie było w niej słyhać ani jednego głosu ptaka, a poruszające się usta starego człowieka przy taczkach, jeżeli w ogóle nie naśladowały tylko jego własnych myśli, nie wydawały żadnego dźwięku. Patrzyli na siebie, ale tak, jak gdyby wcale się nie widzieli, pogrążeni w myślach, którymi każdy z nich był zupełnie osobno, jakkolwiek w promieniu ich wzroku znajdowała się przecież ta sama polana: tam niżej rozkopana, rozryta, z poruszającymi się między dołami i wokół nich figurkami ludzi, jednymi na czarno, w brezentach, innymi na biało, w kitlach i jeszcze innymi w mundurach koloru khaki, z bronią w ręku, pilnujących jednych i drugich; i wyżej, te podłużne groby, które wciąż zapełniały się nowymi ciałami pomordowanych, zamkniętymi w papierowych workach, zrzucanymi z noszy przez rosyjskich jeńców; u ich własnych stóp był ten skrawek ziemi, pod którą leżał Aleksy, nie odgradzony od towarzyszy niczym więcej prócz tabliczek, z których za parę miesięcy, a może wcześniej słońce i deszcze zetrą nawet numery; nieco wyżej zaś te mogiły okryte już darnią, które pręcej czy później zaduszą trawy i zielska, wyrównując je i spłaszczając; wreszcie jeszcze wyżej las, który kołysał się wolno i kłonił we wszystkie strony nie wydając najmniejszego dźwięku. Ale wtedy właśnie, kiedy ich wzrok, ogarnąwszy całe otoczenie, oderwał się także od miejsca, nad którym stali, od tabliczki z Aleksego numerem i innych tabliczek w prawo i lewo, przed nimi i za nimi, posłyszeli pierwszy raz. Słyhać było coraz wyraźniej ostry, przesypany się, trący się szelest. Stali wciąż bez ruchu, ale niemal jednocześnie podnieśli głowy. Potem ich wzrok powędrował w kierunku źródła dźwięku. Więc wtedy znowu zobaczyli korony drzew otaczających polanę, jak poruszają się, jak kłonią naciskane podmuchami wiatru, ale — jak gdyby podniosła się jakaś niewidzialna przesłona — usłyszeli jednocześnie wyraźnie, jak wydają ten ostry, wyraźny, po raz pierwszy tak wyraźny

i mocny szelest, rozlewający się na całą okolicę w rozkołysany, ogłuszający szum.

Lecz w końcu jej sen się wzmocnił, stwardniał, przesłaniając wszystko ciemnością i, choć w szczelinach, które się tam otwierały, widziała jeszcze od czasu do czasu jakiś obraz mający związek z wypadkami, które winna była ujrzeć, ażeby zrozumieć swój stan, może nawet swoje obecne miejsce w świecie i wśród bliskich, to jednak były niewyraźne, niejasne. W jednym z takich przeżyć zobaczyła mężczyzn w wojskowych płaszczach i rogatywkach na głowach, idących drogą wśród lasu. W szarudze, w zacinającym drobno, ale ostro deszczu. Może dwudziestu, może pięćdziesięciu nawet, albo i więcej, w długim szeregu. A prowadzący ich uzbrojeni strażnicy mieli karabiny z nadzianymi na nie cienkimi szpikulcami bagnetów. Oni szli wolno, niepewnie, nie poganiani, ale twarze mieli czujne, jakieś zastygłe, pilnujący ich zaś — nic nie mówiące, bez wyrazu, nieodgadnione, obojętne. W innym przeżyciu okolica już się zmieniła. Nie był to las, ani droga wśród lasu, lecz otwarta przestrzeń. Wojskowych przeganiano po dwóch, po trzech nad prostokątny dół; ziemia wyrzucana na boki wydawała się świeża. Była krótka, brutalna szamotanina. Ciało po ciele zwałało się beładnie w głąb. Choć strzałów nie słyszała. Dopiero w następnym pojawił się dźwięk. Podobna jak gdyby scena nad dołem, w zbliżeniu. Nawet jeśli to był dół już inny. Tylko tutaj kolba zgrzytała na kości i rozlegał się krzyk. Ten krzyk powtarzał się wielokrotnie. I zaraz widziała walącego się na ziemię żywego jeszcze człowieka. Ci uzbrojeni w karabiny skakali mu na plecy, przyciskali do ziemi, wykręcali ręce i wiązali, a jeden z boku strzelał. Jeszcze jednak zanim strzelił, głowa leżącego usiłowała oderwać się od ziemi, obrócić w bok, ażeby może oczy mogły zajrzeć w oczy oprawcy. I zaraz opadała nieżywa. Ale te obrazy migały, jak na starym filmie, sinoczarne i niewyraźne. Nie czuła w nich następstwa czasu. Były wyrwane z jakiegoś szerszego kontekstu. Stawały się zresztą coraz bardziej zamglone, w każdym z nich siekł tylko bez przerwy ten drobny, zimny deszcz, a potem w ogóle przestały się pojawiać. I gdy się zupełnie ocknęła, nie widziała i nie wiedziała już nic.

Usiadła na łóżku i, gdy pomyślała, że musi wstać, zdjąć suknię, ponownie poczuła cisnący się pod powieki płacz. Lecz zapanowała nad nim. Potem rzeczywiście wstała. Gdy wyszła z łazienki, wydawało jej się, że ktoś jest w pokoju obok, prędko jednak zrozumiała, że to odgłosy rozmowy w innej części domu. A więc i inni w tym domu też nie spali. Później, znowu leżąc na łóżku, otuliła się szczelnie kołdrą i wyciągając szyję, słuchała dźwięków zza okna. Burza gdzieś już przewalała się, nie błyskało,

ani nie słycać było grzmotów i niebo się jak gdyby nieco przetarło, choć z dworu dalej napływało do wnętrza pokoju powietrze duszne i parne. W jej umyśle od czasu do czasu zapalało się coś, jak światło i zaraz ulatywało. Myślała o długich strumieniach deszczu, który by przemył z pyłu liście drzew, zwilżył i spulchnił spieczoną ziemię, by mogła zaczerpnąć tchu. Myślała o ludziach przytulonych do łona ziemi, nasłuchujących zbliżających się kroków. O nagłym nieszczęściu. O bezmyślnym okrucieństwie. O bezsilnej rozpaczce. O oczach zmarłych, w których zgasłych źrenicach zostaje podobno obraz mordercy, a może nawet cały obraz zła tego świata. I potem pomyślała, że jej myśli wciąż krążą wokół tamtej opowieści wuja Augusta i Pawła, i własnych majaków, nie mogąc się od nich oderwać. Aleksy umarł naprawdę, teraz już nikt nie miał wątpliwości, a ona, która go kiedyś kochała, nie rozpaczała, nie czuła nic, prócz pustki i przeżalenia przed przyszłością. Już nawet przeczuwając, a nawet wiedząc, co jej przyniesie może. Należała do Piotra, jego kuzyna, sama go wybrała, popchnięta do tego wspomnieniami ich wspólnego dzieciństwa, i ją zawiódł, choć tego nie pojmował i pewnie byłby zdumiony, gdyby mu powiedziała i dlaczego tak prędko wszystko się skończyło. Krótko potem należała do Pawła, jego brata, bo on tego chciał i chciała rodzina. Więc pewnie będzie tak, jak sobie życzą — zostanie jego żoną. I już przeczuwała nawet te dni, kiedy się do niego przywiąże. Jeżeli tylko ta wojna da jej na to dość czasu. I że podobnie, jak przy boku Aleksiego zapomnieć jej przyjdzie o chowanym od lat pod sercem pragnieniu swobodnego, pełnego bycia sobą, istnienia niezafałszowanego, nie skrępowanego tradycją i konwenansami tej rodziny, o pragnieniu zrobienia ze swego życia czegoś absolutnie niepowtarzalnego i to własnymi rękami. Potem pomyślała o kobiecie w ogóle — o braku siły, o poddaniu, uległości, o jej niemożności wyrwania się z tradycyjnej roli. W niej samej też nie było już buntu, jedynie ta pustka, jaką odczuła przebudziwszy się. I patrzyła w nią z pokorą, choć rozpaczliwie niepokodzona i z coraz większym lękiem.

Potem przemyka przed jej oczami znowu jakiś dzień i rzeczywistość bez sprzeciwu leży w ramionach Pawła. I czuje, że tyle już stało się w świecie wokół niej, tyle zaszło między nimi dwójkiem, że nie chciałaby go utracić. Jakkolwiek może zrazu oddała mu się ze strachu tylko, że jest w ciąży z Piotrem. Bo choć teraz wydaje jej się to śmieszne, a nawet mało prawdopodobne, wtedy strach przed ujawnieniem sprzeniewierzenia się regułom tego domu, mógł być autentyczny. Lecz nie chciałaby go utracić, nie, nie chciałaby. Zaraz go jednak traci. On odchodzi, a nawet odszedł dawno, jak Piotr, bo są jeszcze te krwawe sprawy między

mężczyznami, które im wydają się najważniejsze i fatalny wir wojny, jak konwulsje wzburzonego morza wciąga ich obu coraz głębiej. A potem ona ze świekrą ukrywają się w Krzyżtopolu i jest noc, kiedy zaczyna się pogrom i pacyfikacja. Ale nagle zdaje sobie sprawę, że oczy ma otwarte, że wszystko, co widzi, widzi naprawdę i nie chce, i broni się przed wspomnieniem tych wydarzeń, nie chce raz jeszcze ich przeżyć, i po chwili już ich nie ma, przepadają ostatecznie.

Powoli jej wzrok przywyka do wnętrza, w którym się znajduje, i dotyka, sprawdzając i badając nieufnie otaczające ją nieliczne przedmioty. Niczego nie może sobie przypomnieć. Ani tego, co widziała przedtem, ani tego, co widzi teraz. Jest dzień, może poranek dopiero, bo światło jest nieostre, na surowej futrynie okna kładzie się cienką warstwą politory w odcieniu bladej czerwieni; wnętrze nie przypomina mieszkalnego pokoju, prędzej szopę służącą za skład narzędzi ogrodniczych i przyborów pasiecznika. Chłód jednak, sączący się skądś, jak gdyby z zewnątrz, niesie z sobą także zapachy wystygłego jedzenia: kaszy, wieprzowej zasmażki, zsiadłego mleka. Na stropie z belek wiszą fałujące w lekkim przeciągu pajęczyny i, patrząc na nie, mgliście zdaje jej się, że już kiedyś je widziała. Potem przytomnieje do końca.

Wtedy, jak gdyby pierwszy raz, spostrzega również siebie samą. Leży pod spranym, wytartym po brzegach do białości kocem, na czymś w rodzaju pryczy przykrytej zgrzebną surówką, pod którą wybrzusza się w paru miejscach wypchnięty ciężarem jej ciała siennik. Wszystko to widzi kątem oka od dołu w nieco zmienionych proporcjach i z boku, bo nie może się ruszyć. Obok jest stolik, a na nim świeczka w prostym blaszanym lichtarzu. Więc dochodzi do wniosku, że wnętrze, w którym leży, nie jest szopą, lecz chłopską izbą. Dalej jednak nie może sobie niczego przypomnieć. Po pewnym czasie za drewnianą ścianą, przypominającą przepierzenie, słyszy rozmowę mężczyzny z kobietą, ale w ich głosach nie ma podniecenia, są spokojne. I wtedy przypomina sobie, że już je także kiedyś słyszała i że właśnie brzmiały, jakby toczyły ze sobą spór. Usiłując sobie przypomnieć gdzie, męczy się okropnie. W trakcie tego usiłowania znowu zasypia. Ale nie ma snów. Raz tylko widzi ciemność, raz jest wokół niej jasno, lecz najczęściej są to różne refleksy ciemności i światła dość zamazane, jakby we mgle, i wszystko jest nie bardzo rzeczywiste. Rzeczywistą, dotykana wydaje się natomiast kobieta o chłopskiej, szerokiej, opalonej twarzy, która budzi ją, zmuszając do zjedzenia jakichś półpłynnych potraw, albo pomaga jej wstać i się załatwić. Sen jednak w końcu odpowiada jej na pytanie, na które nie mogła znaleźć odpowiedzi na jawie. „Uciekłam”

myśli w tym śnie. „Uciekłam. Udało się” myśli także potem po przebudzeniu się. Przypomina sobie, jak biegła przez miasteczko w stronę ogródków działkowych, gdzie widziała ostatnie ognisko strzelaniny i że znalazła się w pobliżu rzeki. Ale co dalej się z nią działo, pozostaje ukryte w ciemności.

Jej oczy dotykają belek stropu, narzędzi zawieszonych na jednej ze ścian na gwoździach, pod przeciwną ścianą stojące szafy, stołu w pobliżu okna i, zatrzymując się na stoliku ze świeczką w blaszanym lichtarzu, stwierdzają, że świeczka pali się. Lecz nie wie czy pali się na jawie, czy we śnie, jak również, czy na jawie, czy we śnie słyszy znowu głosy obok: kobiety i mężczyzny. Jest w nich jakiś boleśnie monotony, beznadziejny ton, zdradzający znużenie do kresu ludzkich możliwości. Ale odrywa się od nich ze zniecierpliwieniem. Myśli, że coś się jej musiało przydarzyć, na skutek czego znalazła się w jednej z chat rybaków, albo wikliniarzy na skraju miasteczka. Myśl jednak tylko powtarza uparcie: „Więc uciekłam, udało się, udało...”, nic więcej. W końcu udaje jej się bez cudzej pomocy poruszyć na pryczy raz w jedną stronę, raz w drugą. Słyszy chrzęst siana pod sobą w sienniku, towarzyszący tym ruchom, i to napawa ją otuchą większą nawet, niż tamta myśl, choć nie wie, czy poruszyła się na jawie, czy we śnie. A także, kiedy unosi ręce, dotyka szyi, twarzy, czoła i wyżej, nie czując włosów, tylko bandaże. To wciąż nie wie, czy na jawie, czy we śnie. Choć na pewno jest to jej szyja, twarz, czoło i głowa. Potem tych głosów w pobliżu już nie słyszy, świeczka na stoliku obok również się nie pali i ciemność jest chyba prawdziwa, bo nieprzenikniona i trwa bardzo długo. Słyszy w niej ustawiczne bębnienie deszczu o dach i szyby, o dach grubo i głucho, o szyby ciszej, dźwięczniej, i jeszcze, jak woda spływa z okapu dachu strugami raz obfitszymi, raz cieńszymi, zawsze jednak uchwytnymi. Czasem obok tej kobiety z twarzą chłopską, prostą, ciemną, ukazuje się jej twarz innej kobiety, dużo starszej, ale na krótko, bo zaraz widzi wbijaną w mięsień swego ramienia igłę strzykawki i przedko wszystko wokół niej niknie. Często boli ją głowa, może nawet wtedy skarży się z tego powodu, bo kobieta o chłopskiej twarzy podaje jej zaraz lekarstwo. Najczęściej jednak śpi teraz spokojnie i jej sen jest głęboki, pokrępiający, bez zwidzeń i majaków.

Po jakimś czasie czuje się na tyle lepiej, że sama już bez pomocy kobiety (która z mężczyzną mieszka obok, tak że wystarczy tylko zawołać, a usłyszy) przechodzi parę kroków od pryczy i wraca, by się znowu położyć. Rozróżnia głosy, rozumie już rozmowy toczony za ścianą, choć nie przywiązuje do nich wagi, nie nadaje im żadnego znaczenia. Czuje także zapachy: ognia, gotowanego jedzenia, prania. Poznaje po dźwiękach czynności

gospodarskie, po krokach albo poruszanych przedmiotach kobiety albo mężczyzny, albo jeszcze kogoś trzeciego czasem. Czuje się znacznie lepiej. Już wie nawet, że została w strzelaninie ulicznej trafiona w głowę i że rana goi się dobrze. Wie, że to jeszcze musi czas jakiś potrwać, ale niebezpieczeństwo minęło. Nikt jej o nic nie pyta, zwłaszcza ta starsza kobieta, która okazuje się lekarką, choć przychodzi coraz rzadziej, bo też się musi ukrywać. A ona sama nie myśli na razie o tym, co się z nią działo i stało. Nie wykracza wstec poza ową strzelaninę uliczną, nie ma siły. Czasem zadaje sobie pytanie, co z nią będzie, ale czuje wtedy od razu przypływ tak wielkiego, graniczącego z zamroczeniem zmęczenia, że pytanie to odpycha jak najprędzej jak najdalej.

Któregoś dnia budzi się późnym rankiem. Deszcz nie pada, w szybach odbija się blady blask słonecznego światła. Dźwiga się z pryczy i wolno podchodzi do okiennego parapetu, opiera się oń rękami i spogląda na zewnątrz. Na słupie telegraficznym za płotem siedzi nastroszona wrona, czyszcząc i susząc pióra. Ogród przed chatą rozciąga się w mglistym słońcu szary, jakiś zdziwały i surowy, grządki po jarzynach są puste, tu i ówdzie sterczą z nich uschnięte badyle, na których wiszą przezroczyste krople wilgoci. Szparami w oknie ciągnie chłód. Ziemia w cieniu płotu jest biała, dachy okolicznych chat też bielą się cienką pokrywą szronu, który jednak topnieje w oczach, zachodząc po brzegach ciemnym liszajem. Ze strzech i dachówek kąpią kryształicznie przejrzyste krople wody. Jeszcze raz ogarnąwszy ogród wzrokiem, spostrzega mężczyznę, którego parokrotnie tylko widziała w przeblyskach świadomości, ale którego głos zza ściany zna dobrze, jak opatruje na zimę ule, stojące w długim szeregu pod pozbawionymi już liści jabłoniemi. Uświadamia sobie nagle upływ czasu. Gdy uciekła, było jeszcze lato, tymczasem minęła cała ciepła pora jesieni, nastały szarugi i deszcze, szron zwarzył zielen, prawie ogołocił z liści drzewa, wichry niebawem strącały jeszcze te ostatnie, a ona jest wśród obcych, bez domu i nie wie, co z nią będzie. Wraca na pryczę i dłuższy czas nie może się rozgrzać. Zaczyna myśleć o sobie. Pierwszy raz, od kiedy znalazła się w tej izbie, czuje znowu lęk. Przypomina sobie, że jest wojna. To znaczy nigdy nie zapomniała, że jest wojna, ale nie myślała o niej w kategoriach aż tak jak w tej chwili, realnych i z poczuciem jakby zamknięcia w klatce bez wyjścia. Poza tym jednym dniem może wtedy, kiedy Paweł i wuj August powrócili stamtąd, znad tych grobów, spod Smoleńska. Teraz myśli znowu, że jest wojna, że zbliża się front i nie wie, gdzie się podzieje i co zrobi. Rozłączyła się ze świekrą podczas pacyfikacji Krzyżtopola, wuj August wyjechał gdzieś przedtem na wieś po żywność i przepadł, po Pawle dużo wcześniej zniknęła wszelki

śląd. Lecz jeszcze raz udaje jej się to wszystko z wielkim trudem od siebie odsunąć i w końcu na krótko nawet zasypia. Gdy budzi się, nic nie pamięta z tego, co myślała i zrazu pozwala nowym myślom płynąć swobodnie bez określonego kierunku, nie zatrzymując ich na niczym, niczego nimi na dłużej nie dotykając. Po jakimś czasie dopiero uświadamia sobie, że jak gdyby akompaniuje im rozmowa kobiety i mężczyzny za ścianą, której się wprawdzie nie przysłuchuje specjalnie, ale wie, że jej właśnie dotyczy. Kiedy więc głosy milkną, jej myśli konkretyzują się chłodno i trzeźwo na ludziach zza ściany: jeśli ją uratowali, to dalej nic jej nie grozi. I jest przez chwilę pełna jakiejś niesprecyzowanej, lecz pewnej ufności. Wkrótce jednak uświadamia sobie, że wcale nie o tym myśli, że nurtuje ją od dawna zupełnie coś innego. Wtedy tamtą wcześniejszą myśl dopuszcza do głosu, jest to nieubłagane pytanie: „Co oni o mnie wiedzą?”

Tym razem myśli towarzyszące temu pytaniu zdają się być uparte, nie chcą przepaść. Przewraca się gwałtownie z boku na bok, potem znowu na wznak, a wtedy głowę przeszywa krótkie, lecz ostre ukłucie bólu, i siano w sienniku rozszeptuje się szeleszcząco suchą, chichotliwą ironią. Nieruchomieje, przyciskając ręce do bioder, a nawet na chwilę wstrzymuje oddech, ale szept siennika pod nią nie ustaje, może jedynie trochę przycicha. Wtedy, jakby jej ciało było pokryte nie skórą, ale czymś cienkim, przepuszczalnym, jak sito, oblewa się nagle cała od dołu do góry potem. Jest zimny, już zimny wyciskany przez jakąś siłę z wnętrza ciała na wierzch, i od razu jeszcze bardziej ziębnący w zetknięciu z powietrzem, przed którym koc zdaje się wcale nie chronić. Ma wrażenie, że raptem kostnieje i że krew zaczyna nieść w jej żyłach drobne igiełki lodu, które złością do bólu delikatnie ich ścianki, i już trzęsie się, jak w ataku choroby. Bo kiedy tylko postawiła sobie pytanie, co oni o niej wiedzą, musiała zaraz postawić następne, co im powie, i oba pytania ciągną ją gwałtownie wstecz, tam skąd uciekła, gdzie przebywała, jeżeli uciekła, jakkolwiek zapomniła, jak gdyby świadomość o tym miejscu była w niej osobną, obumarłą i obcą cząstką wepchniętą głęboko w ciemne korytarze reszty jej świadomości i każda, najlżejsza próba ożywienia tej cząstki na nowo, wywoływała nie do przełamania opór. Ale słuchając z przerażeniem tego nieustającego w swej ironii szeptu siennika pod sobą, stara się oddychać długimi, pełnymi haustami i z nieubłaganym uporem powtarza: „Co oni o mnie wiedzą? Co im powiem?”. I po jakimś czasie jest lepiej. Odrywa ścierpnięte ręce od bioder, przesuwa je w górę. Lecz przez koszulę czuje zaraz pod dłońmi tę całą zimną wilgoć pokrywającego brzuch potu. Jest tak, jak gdyby ta jakaś osobna, obumarła cząstka jej świadomości usiłowała się z niej

wyzwolić i uciec. Znowu zaczyna się trząść. Więc już dłużej nie może tego znieść: wyrzuca spod koca ramiona na wierzch, krzyżuje je na piersiach obronnie i to przez chwilę pomaga, to drżenie jakby osłabło. Ma jednak wrażenie, że nawet nad bijącym głośno sercem jej pierś jest zimna i zamierająca.

Więc może rzeczywiście jest martwa. I zbliża się do tego miejsca nie ona wcale. Nikły jej cień, albo jeszcze mniej, cień cienia, lub ktoś zgoła zupełnie inny. Choć z najwyższą wyrazistością widzi tę willę otoczoną ogrodem, czarne psy biegające z ujadaniem po ścieżkach, zjeżone, złe, gestapowca na schodach, nieruchomego jak posąg; w najwyższym napięciu, jakby widziała to ona sama; i potem ten pokój, jak klatka, z zasuniętymi na okna storami, śmierdzący karbolem po niedawnej dezynfekcji, aseptycznie biały, w którym jeszcze przez woń wielu dziesiątków mężczyzn, ich pogardy i zwierzęcej siły, przebija się inna: milczącego oporu i gasnącej męki; i potem na łóżku; z tą najwyższą intensywnością autentycznego przeżycia te długie, białe nogi widzi, sprężone śmiertelnym wysiłkiem i w panice wpierające się w prześcieradło, usiłujące dźwignąć ciało, odepchnąć je do tyłu, cofnąć gdzieś poza zasięg tamtych rąk; i to ciało też, miotające się konwulsyjnie, wciskające się w ścianę, rozplaszczające na niej, krzyczące; i wyciągnięte ku niemu, goniące je ręce widzi w najwyższym napięciu wszystkich zmysłów i uwagi, choć na pewno to nie ona wcale. Ale wtedy czuje szarpnięcie za ramię i przestaje krzyżeć.

Pochyliła się nad nią kobieta o chłopskiej, szerokiej twarzy, coś do niej mówi, czego ona nie rozumie, chyba nawet nie słyszy choć widzi poruszające się usta kobiety, a stojący w drzwiach mężczyzna z lampą naftową w dłoni, próbuje rozjaśnić izbę. Jest do połowy nagi, wolną ręką drapie się w zakłopotaniu po piersi, tylko jego profil jest zupełnie nieruchomy. Patrzy błagalnie i też coś mówi do niej. Wreszcie zdolność słyszenia wraca jej powoli. Ale głosy tych ludzi są dalekie, przebijają się z trudem przez powietrze, ledwo pokonując odległość. Kobieta mówi: „Jeżeli sąsiedzi usłyszą, będzie kłopot. Może ktoś donieść”. Wtedy ona pyta: „Co się stało? Krzyczałam?”. A kobieta skwapliwie kiwa głową i odpowiada: „Krzyczała pani przez sen”. Na to ona ostro: „Wcale nie spałam”. Lecz patrzą na nią dziwnie pobłażliwie oboje; w ich oczach jest zarazem coś twardego jeszcze i zdecydowanego, co napawa ją lękiem. Wytrzymuje te spojrzenia i uczucie lęku, jeżeli istotnie nim było, powoli z niej uchodzi. Zamyka oczy i z ich szeptów nie może odgadnąć, czy wciąż jeszcze na nią patrzą, czy już nie. Po chwili odchodzą i za ścianą słyszy ich głosy. Tylko że nie przysłuchuje się im. Słyszy znowu na dworze deszcz, rześiste bębnienie tysięcy kropel o dach i, jak

woda monotonnie sływa z okapu na ziemię. Czuje zimne powietrze, jak parzy ją w nozdrza i uderza tępo w gardło. Skóra jej jest już sucha, gdy zaś dotyka brzucha, pulsuje pod jej palcami chłodny, ale żywy. Znowu powracają tamte myśli. Wpierw pytanie, co oni wiedzą, a potem to drugie, co im powie. To pierwsze jednak przelatuje teraz przez jej głowę szybko, jakby nie było wcale ważne, to drugie dopiero zajmuje ją przez dłuższą chwilę naprawdę. W trakcie myślenia słucha wilgotnego poskrzypywania belek w suficie, jak piszcza i chroboczą myszy pod podłogą, głuchego, głębokiego oddechu komina w ścianie. Chata jest pełna odgłosów. Słyszy także ten szelest siana pod sobą w sienniku, ale nie poddaje się jego ironii; może nawet nie brzmi już wcale ironicznie, tylko jest w nim jakieś zapomniane cierpienie, albo nawet rozpacz. Z wielką ostrożnością oddycha wśród zimna trzymającego ją wciąż jak w kleszczach, a krew płynie wartko w żyłach nie hamowana niczym, jakby igiełki lodu, które niedawno tam były, rozpuściły się w czasie tamtego snu. Teraz sen nie przychodzi, a na pytanie, do którego powracają jej myśli, dalej nie znajduje odpowiedzi. Deszcz bębni monotonnie, a ona z otwartymi oczami wbitymi w nieprzeniknioną ciemność, z mózgiem wypełnionym udręką i obłądnymi majakami, powtarza je z uporem. Wreszcie słyszy za ścianą, jak kobieta z mężczyzną wstają, a prostokąt okna, choć dalej czarny, jak smoła, zaczyna odcinać się wyraźnie od czerni ścian. „Co im powiem? Co im powiem? Co im powiem?”. Po jakimś czasie jednak odsuwa od siebie to pytanie ze wzgardliwą pogardą. Nie powie nic. Wtedy zasypia.

Włodzimierz ODOJEWSKI

NA ŻĄDANIE WYSYŁAMY KATALOG KSIĄŻEK

ANTYKWARYCZNYCH

polskich i rosyjskich

KSIEGARNIA POLSKA

E. NEUSTEIN, P.O.Box 29443, TEL AVIV, ISRAEL

Archiwum polityczne

Kryzys irański

Lista upokorzeń, poprzedzająca atak na Ambasadę amerykańską w Teheranie, jest niezmiernie długa i sięga co najmniej czasów prezydentury Lyndona Johnsona. W roku 1966 „Pueblo” — statek wywiadowczy marynarki Stanów Zjednoczonych, został zaatakowany na wodach międzynarodowych przez jednostkę północno-koreańską. Lyndon Johnson miał dość czasu, aby wysłać z pomocą amerykańskie samoloty bojowe z niezbyt odległych baz. Ale nie wysłał, bo nie chciał Ameryki wplątać w nowy konflikt. Załoga poddała się bez oporu, nie zniszczywszy nawet tajnych dokumentów. Po odsiedzeniu roku w więzieniu północno-koreańskim, wróciła do domów. Wszyscy zostali odznaczeni. Za co? Czy za to, że poddali się bez wystrzału? Nie. Za to, że przecierpieli wiele miesięcy w więzieniu. Dowódcę statku sądzono, ale nie skazano. Posadzono go tylko za biurkiem. Zarówno opinia publiczna jak i dowództwo marynarki najwidoczniej uznały, że pierwszym elementarnym obowiązkiem dowódcy nie jest wykonanie zadania, ale ochrona życia załogi. Nawet kosztem poddania statku. Nixon, który był wówczas w ostrej opozycji do Johnsona, odgrażał się, że on by takiej sprawy nie puścił płazem. W dwa lata później — już za jego prezydentury — ci sami północni-koreańczycy zestrzelili wojskowy samolot transportowy nad wodami międzynarodowymi. Na pewno zachęciła ich do tego poprzednio udana impreza z „Pueblo”. Nixon, nie tylko puścił wszystko płazem, ale w ogóle nie kiwnął palcem, żeby ukarać piratów. Dekorowania załogi już nie było i nie było już kogo posadzić za biurkiem, bo wszyscy — załoga i przewożeni *marines* — zginęli. Nixon również nie chciał przysparzać Ameryce nowych kłopotów z wojowniczym Kim Ir Senem. Kilka lat później, już

po klęsce wietnamskiej, nastąpił wyczyn kambodżańskiego rządu Pol Pota, który zatrzymał amerykański statek rybacki „Mayaguez”. Gerard Ford, który chciał pokazać, że wyleniały orzeł amerykański nie utracił jeszcze całkiem szponów, wysłał jednostki floty, by odszukały statek i ukarały piratów z Khmer Rouge. Przy kilkudziesięciu ofiarach po stronie *marines*, operacja się udała. Statek „Mayaguez” został odzyskany, a załoga uratowana. Trzeba byłoby się jednak cofnąć w te niezbyt odległe lata, żeby przypomnieć sobie jaką wrzawę wszczęła liberalna prasa i tutejsze *mass media*. Liberalni komentatorzy i reporterzy zaaplikowali wobec całego wydarzenia zwykłą arytmetykę. Skoro uratowanych rybaków było mniej niż *marines*, którzy przypłacili operację życiem, jaki sens miała cała wyprawa? Była lekkomyślnym narażeniem życia amerykańskich żołnierzy. Ci, którzy to pisali, nie wiedzieli jeszcze czym jest reżym Pol Pota i ile załóg handlowych statków amerykańskich znalazłoby przytulny azyl w obozach śmierci wyzwolicieli z Khmer Rouge, gdyby przerożony swoją odwagą Ford nie udzielił im tej nauki. Najprostsza logika poucza, że: po pierwsze — przed napastnikiem trzeba się bronić, po drugie — trzeba go ukarać dla zabezpieczenia się przed następnymi atakami. Ta prosta formuła elementarnego rozsądku nie utorowała sobie drogi do superhumanitarnych głów amerykańskich. Ich antylogika była niedwuznaczna i wiodła do absurdalnych konsekwencji. Jeśli życie ludzkie jest najwyższym dobrem, w cieniu którego więdną i nikną wszelkie od wieków uznawane wartości, to pierwszym obowiązkiem Państwa i wszelkich instytucji publicznych, łącznie z armią federalną i stanową, jest ochrona Amerykanów przed ryzykiem śmierci. Reszcie spraw — jak godność narodowa, honor i tym podobnym abstrakcjom można poświęcić umiarkowaną troskę pod warunkiem, że pierwsza zasada pozostanie nienaruszonym dogmatem i normą narodowej polityki.

Wszelako nawet i ta zasada, dająca najwyższy priorytet życiu ludzkiemu, była jednostronna, by nie rzec — jednokierunkowa. Czasami wydawało się, że stosuje się tu niezmiernie osobliwą selekcję. Ze pupilami liberałów nie są wszyscy ludzie, ale tylko ci, którzy okazują najwyższą pogardę nie tylko dla wymiaru sprawiedliwości, ale dla życia innych ludzi — w szczególności tych, którzy mogą stać się ich łatwym łupem. Od szeregu lat prasa liberalna, niektórzy sędziowie i pewne ośrodki uniwersyteckie prowadziły zajadłą walkę w obronie bandytów i wszelkiego rodzaju pomniejszych rzezimieszków przed represyjną działalnością policji w wielkich miastach Ameryki. Policjanci, stykający się z realną rzeczywistością, w której genealogię jako strażnicy porządku nie mogli wnikać, byli mało podatni na liberalizm inte-

lektualnej elity i ferujących wyroki sędziów. Z tego powodu amerykańscy „inżynierowie dusz” starali się wyolbrzymiać każdy objaw brutalności policjantów. Wszystko to miało być podyktowane troską o swobody i przywileje konstytucyjne obywateli. Naprawdę odzwierciedlało tylko troskę o wyczarowany w umysłach intelektualistów świat, w którym wszyscy ludzie są z natury cnotliwi, a zbrodnia jest chorobą. Rzeczywistymi ofiarami w interpretacji liberalnej lewicy byli więc nie zarzynani, ale zarzynający. Jeśli bowiem popełniali zbrodnie, było to wynikiem frustracji i skrzywień psychicznych, za których winę ponosił źle funkcjonujący system. Na rehabilitację przestępców — przeważnie wielokrotnych recydywistów — na szkolenie, rozrywki i inne środki psychicznego oddziaływania — wielkie miasta wydawały setki milionów dolarów. Po jakimś czasie dopiero dostrzeżono ofiary w tradycyjnym, czyli niemodnym, rozumieniu tego słowa. Oczywiście dostrzeżono je pod warunkiem, że były żywe. Albowiem poważna ich liczba, to ludzie okaleczeni na całe życie i często pozbawieni zdolności do pracy. Gdy przyszło pewne otrzeźwienie i zaczęto szukać w budżetach sum na materialną rekompensatę skutków ich inwalidztwa, okazało się, że pieniędzy nie ma, ponieważ miliony wydano i wydaje się nadal na kosztowną i na ogół mało skuteczną rehabilitację zbrodniarzy — sprawców ich inwalidztwa.

Te sprawy — wymienione na początku artykułu wraz z odwróconą moralnością Ameryki, jej hedonizmem, któremu jednocześnie towarzyszyła skłonność do masochistycznego biczowania się za winy popełnione lub niepopełnione w przeszłości wobec Czarnych, Indian, ludów kolonialnych i półkolonialnych — stanowiły obezwładniający Amerykę syndrom. Do tego dodać należy rosnącą chęć, tak modną wśród oświeconej części społeczeństwa amerykańskiego, aby okazać lepsze zrozumienie i daleko idącą tolerancję dla stylu myślenia i moralności kulturowo obcych, a geograficznie odległych ludów świata. Myśl ta, w zasadzie słuszna i zdrowa, jak to się często zdarza i zdarzało w przeszłości, uległa wypaczeniu. W wyniku działalności wielu jej czynnych wyznawców, głoszących ową ideę z katedr uniwersyteckich, łamów prasy i ekranów telewizyjnych, przemieniła się ona w coś zgoła odmiennego. Zamanifestowała się nie tyle rozumieniem obcych kultur i obyczajów, ale upadającą degradacją i krytyką naszej własnej grecko-chrześcijańskiej spuścizny kulturowej oraz żenującą adoracją metod postępowania i obyczajów niektórych przywódców państw Trzeciego Świata. Rzecz jasna, że taka postawa polityków i intelektualistów naszego świata uznana została nie tyle za symptom dojrzałości Zachodu, ile za dowód jego słabości. Na tle tych zjawisk można lepiej zrozumieć łatwość stop-

niowego podboju świata przez Sowiety, przy usypiającej melodii, tak miłej dla amerykańskich uszu, o pokojowych zamiarach Kremla i groźnych alternatywach, o ile świat sowieckim zapewnieniom i przyrzeczeniom odmówi wiary.

Z czasem, w miarę postępującego procesu kapitulacji, wydawało się, że Amerykanie przestali już być narodem. Że Ameryka jest po prostu rozległym terytorium zamieszkałym przez rozmaite środowiska, nie połączone ze sobą żadną ogólnonarodową więzią społeczną. Temu wrażeniu poddawałem się i ja w wielu artykułach publikowanych w *Kulturze*.

W tym momencie przyszedł kryzys irański. Wydarzenia w Iranie były lodowatym strumieniem wody, który spadł na pogrążone w błogiej niewiedzy głowy amerykańskie. Jednocześnie ów lodowaty strumień podzielał jak papierek lakmusowy, pokazując którzy Amerykanie gotowi są przejść przez tę ciężką kurację, by odzyskać choć w części utracony respekt i szacunek świata — a którzy — porażeni strachem i coraz niedołęzniej maskowanym pseudo-humanitaryzmem — chcą za wszelką cenę wymanewrować się z kryzysu i pod ładą pozorem poddać się szantażowi już nie potężnego, grożącego głowicami nuklearnymi ZSSR, ale oszalałego i zapiekłego w swej nienawiści do Zachodu starca. W ciągu ostatnich 10 dni kryzysu wydaje się, że rosnący wpływ na opinię publiczną mają ci pierwsi i że gniewne otrzeźwienie opinii amerykańskiej rzeczywiście nastąpiło. W tym sensie ponury brodac z „świętego miasta” Qom wyświadczył, być może, Ameryce i całemu światu wielką przysługę¹. On sam, przez swoją nieprawdopodobną arogancję i kłamstwa ułatwia dalsze cementowanie się opinii amerykańskiej i Zachodu. Zachód, gdyby zjednoczył się w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa i okazał wolę walki, mógłby spokojniej reagować na podburzane, a czasem wręcz zorganizowane przez rządy — jak to miało miejsce w Trypolisie — tłumy podpalające placówki amerykańskie w imię wojny z „niewiernymi”. Normalną reakcją w takich sytuacjach, w których udział władz w zorganizowaniu „spontanicznych” demonstracji jest niewątpliwy, powinno być zerwanie stosunków dyplomatycznych.

Ale i Ameryka i tym mniej świat zachodni nie są bynajmniej zjednoczone. Jaskrawym tego przykładem było wystąpienie przed-

1. Niemniej, mimo pewnego optymizmu, należy stwierdzić, że publiczność amerykańska przechodzi niepokojące wahania. Cytowany przez *New York Post* 1 grudnia wynik sondowania opinii amerykańskiej przez ABC News — Harris wykazuje, że na 100 zapytanych 70-ciu uważa, że szacha należy postawić przed sądem ONZ w zamian za zwolnienie zakładników. Oczywiście udział w sondowaniu opinii przez stację telewizyjną ABC może budzić wątpliwości, albowiem wiele zależy od sformułowania pytań.

stawiciela Francji na zebraniu Rady Bezpieczeństwa ONZ 1 grudnia 1979 roku. Delegat francuski, potępiając atak na ambasadę amerykańską w Teheranie, nie szczędził ludowi irańskiemu pochwał, określając mianem „rewolucji” eksplozję najbardziej reakcyjnych, barbarzyńskich żądań i emocji. Tradycyjne wazelinarstwo rządów francuskich wobec bogatych w ropę krajów Bliskiego Wschodu rozciąga się obecnie na Iran.

Od chwili w której piszę te słowa, do ukazania się tego artykułu w druku, upłynęło wiele dni. Nie można, przy tak niezmiennej chwiejnej sytuacji, przewidzieć wszystkich możliwych rozwiązań. Już dziś jednak przy „usztynieniu” stanowiska Ameryki — które znalazło wyraz w żądaniu zwolnienia zakładników jako warunku niepodlegającemu żadnym negocjacom — występuje szereg niepokojących objawów. Poza apelami do zachowania spokoju i równowagi, w których celują nie tylko Carter i *mass media*, wyczuwa się troskę, by Ameryka nie zboczyła, broń Boże, z propagowanej w ciągu wielu lat drogi kapitulacji. To, czego spora część opinii amerykańskiej nie chce zrozumieć, bądź nie życzy sobie zaakceptować, da się przedstawić w kilku punktach.

1. W żądaniu wydania szacha obecnym władzom irańskim nie tyle chodzi o ukaranie wypędzonego władcy, ile o upokorzenie Ameryki. Wymuszenie na niej takiego aktu kapitulacji przekreśliłoby całą jej przeszłość. Gdyby Ayatolli chodziło o ukaranie szacha, zażądałby jego wydania, gdy ten przebywał na Bahamas, w Egipcie, wreszcie w Meksyku. Ayatollah nie uczynił tego, ponieważ nie zależało mu na upokorzeniu tych krajów. To, że Meksyk odmówił obecnie azylu szachowi, wynikało z nowych okoliczności, a przede wszystkim z obawy, aby podekscytowani islamscy „radykałowie”, nie oglądając się już na Ayatollę, nie podpalali placówek meksykańskich. Brak natychmiastowej reakcji amerykańskiej po ataku na ambasadę USA w Iranie, rozuchwalił imama i wpoił w niego przekonanie o własnej potęgę i wielkości misji — którą ma być walka z Zachodem i jego głównym bastionem — Ameryką².

2. Aczkolwiek opinia amerykańska przeciwna jest poddaniu się szantażowi, nie rozumie głębokich korzeni kryzysu. Dla wielu czyn Khomeiniego jest tylko objawem szaleństwa rozzuchwalo-

2. Jeśli można użyć analogii w zgoła zmienionych warunkach, to Ayatollah przypomina trochę dobrze znanego czytelnikom „W pustyni i w puszczy” Mahdiego. Oczywiście w epoce rozległych powiązań międzynarodowych interesów, ropy irańskiej, a przede wszystkim błyskawicznych środków masowego przekazu, popularność Khomeniego jako proroka i chorążego Islamu dojrzała bardzo szybko. Prawdopodobnie dzięki tym samym czynnikom równie szybko zgaśnie jego gwiazda.

nego władcy. Nie wiedzą, że cała sprawa nie jest jedynie niebezpiecznym epizodem w historii Ameryki w rodzaju kryzysu kubańskiego, ale że ma swą genealogię w kształtowaniu i praktykowaniu przez lata filozofii kapitulacji wobec głównego przeciwnika — Rosji i nieuzasadnionych żądań niektórych krajów Trzeciego Świata, licznie zresztą reprezentowanych w składzie etnicznym narodu amerykańskiego.

3. Pokażna liczba Amerykanów myśli tak płytko, że źródła upokorzenia Ameryki upatruje w samym fakcie udzielenia zgody na leczenie szacha w Ameryce („Bo przecież, gdyby szach tu nie przyjechał, nikt by naszych dyplomatów nie porywał”). Krótkowzroczność podobnie myślących ludzi budzić musi niepokój. Przyjęcie szacha jako pacjenta stało się, bez żadnej intencji zapraszających go gospodarzy, bolesnym, ale koniecznym zabiegiem diagnostycznym, który powinien uświadomić Amerykanom jak nisko stoczył się ich kraj, skoro o tym komu mają, a komu nie mają udzielić gościny, decydować ma dyktator trzeciorzędnego kraju, używając przy tym najtchórzliwszych metod szantażu. Gdyby do tego upokorzenia nie doszło, Amerykanie brnęliby dalej w beznadziejnej niewiedzy o własnej bezsile. Niedobrze jest ślepcowi kłaść na drodze kamienie, narażając go na potknięcie lub upadek. Jeśli jednak ślepy nie wie o swym kalectwie, lepiej podłożyć mu kamień, by mu to kalectwo uświadomić. W przeciwnym razie, zamiast potknąć się o przeszkode, w swojej beztroskiej wędrówce wpadnie w otchłań, z której nikt go już nie wyratuje. Dlatego ktokolwiek zaprosił czy też wyjednał na Carterze zaproszenie szacha — czy David Rockefeller czy Kissinger — należy mu się nie nagana, ale najwyższa pochwała. Ci, którzy tego nie pojmują, nie rozumieją niczego. Obecnie, gdy Meksyk odmówił szachowi prawa pobytu, postępowanie rządu USA, które nie zaofiarowały mu formalnego azylu, świadczy o nieprzemijających nastrojach kapitulacyjnych. Przewiezienie szacha do szpitala Wojsk Lotniczych w San Antonio, Texas, jest oczywiście pozytywnym krokiem, oznacza bowiem, że szach jest pod opieką sił zbrojnych Stanów.

4. Szach jest osobą konfliktową. Gromadził osobiste bogactwa jak każdy niemal z monarchów feudalnych lub półfeudalnych Trzeciego Świata. Żyjąc w XX stuleciu wielu z nich traktuje zasoby swojego kraju jak własność swoją lub swojej rodziny. Reza Pahlewi próbował postępować jak Kemal Pasza, po obaleniu sułtanatu w Turcji, ale pozbawiony wyobraźni i rozumu jaki cechował Atatürk, czynił to bardzo głupio. Szach modernizował kraj, kształcił młodzież, nie myśląc o likwidacji absolutnej władzy. Mocą swej monarszej decyzji zmieniał społeczną strukturę

Iranu, podcinając tym samym gałąź, na której wspierał się jego tron. Ponieważ elementy buntu dawały o sobie znać coraz gwałtowniej, konflikt powodował z jednej strony terror opozycji, z drugiej — coraz okrutniejsze represje władz. Jakich rozmiarów były te represje — czy w więzieniach Savaku zginęły dziesiątki czy setki tysięcy ludzi trudno na razie rozstrzygnąć, ponieważ niepodobna opierać się na liczbach preparowanych przez kłamców i fałszerzy, sprawujących obecnie władzę w Iranie. Jedno jest pewne. Polityka szacha, zwłaszcza od momentu gdy skarb jego pęczniał złotem, miała swą samobójczą logikę, która na długo przed jego upadkiem powinna być rozpoznana przez uczonych w Harvardzie i Columbiu politologów. Ponieważ jednak politolodzy przy władzy zajmują się sprawami bieżącymi, dojrzeli wiszącą nad szachem katastrofę na 5 minut przed dwunastą. Wtenczas odwrócili się od niego plecami, przyspieszając jego polityczny zgon. Liczyli na względy nowych władców. Rachuby te, jak wiemy, zawiodły. Szach jest postacią politycznie, a prawdopodobnie i fizycznie, skończoną. Jakim by nie był okrutnikiem, przez 35 lat pozostawał lojalnym sprzymierzeńcem Stanów. Jeśli przyjmowano z honorami koronowanego władcę, elementarna uczciwość nakazywała udzielenia mu schronienia w momencie, gdy koronę utracił i groziła mu nie tyle kara, ile zemsta ze strony nie mniejszych, a prawdopodobnie większych od niego okrutników.

Gdyby bowiem nie wchodziły w rachubę żadne implikacje polityczne, które wykluczają wydanie ex-monarchy w ręce morderców z Teheranu, którzy podnieśli kidnaperstwo do rangi między państwowej polityki, nie byłoby żadnych wątpliwości, że ani szach, ani Bachtiar (krótkotrwały premier), którego wydania domagał się również Ayatollah, nie doczekaliby się żadnego sądu. Jeśli rachunek zbrodni Khomeiniego pozostaje w tyle za listą ofiar ex-szacha, to wynika to tylko z krótkotrwałości rządów Imama. Zresztą liczby rozstrzelanych przez „trybunały rewolucyjne”, podane przez *mass media*, są grubo zaniżone. Nie obejmują doraźnych egzekucji zbuntowanych Kurdów.

5. Sprawa uratowania życia 50 zakładników jest rzeczą niezmiernie ważną, której nikt nie zamierza lekceważyć. Niemniej w obecnym, coraz groźniejszym, konflikcie stawką o którą toczy się gra, nie jest życie i bezpieczeństwo 50 dręczonych ludzi, ale honor i bezpieczeństwo ponad 200 milionów liczącego narodu. Tę niewesołą prawdę muszą zaakceptować Amerykanie. Gdyby godność i dobre imię tego narodu były tylko czystą abstrakcją, cóż stałoby na przeszkodzie w wydaniu szacha terrorystom irańskim? Ale, choć nie wszyscy Amerykanie w pełni to rozumieją, czują instynktownie, że tego uczynić im nie wolno; że cena uwol-

nienia zakładników może być wysoka, ale ma swoje granice. Te granice są określone nie tylko godnością narodu i jego tradycjami, które nie wszyscy chcą wrzucić do lamusa historii, ale konkretnym bezpieczeństwem całej ludności. Z tej prostej i wy-czuwalnej przyczyny, że jeszcze jedno hańbiące ustępstwo może stać się przysłowiową kroplą, przepełniającą czarę amerykańskich upokorzeń. Że podzielać może jak kamień poruszający lawinę, która spadnie nie tylko na Amerykę, ale na cały zachodni świat.



Gdy tak zwani studenci zajęli amerykańską ambasadę, pierwszą i typową dla Cartera reakcją była próba zakłajstrowania całej sprawy przy pomocy tzw. „stanowczej dyplomacji”. Z przykładami tej dyplomacji zapoznaliśmy się już przy okazji owej brygady rosyjskiej na Kubie. Carter zaczął od żebraniiny, próbując wysłać do Teheranu Ramseya Clarka, znanego niegdyś z licznych hołdowniczych podróży do Hanoi, zasłużonego działacza na niwie *appeasement*'u. Ramsey Clark, który już przedtem — poprzez swoje biuro prawnicze — występował jako doradca rządu Bazar-gana w sprawie doboru legalnych środków, przy pomocy których można by uzyskać ekstradycję szacha, wyparł się tego, mimo że odstawiony obecnie minister Spraw Zagranicznych Bani-Sadr za-prezentował ów dokument, pochodzący z prawniczego biura Clarka. Ze swej strony Carter oświadczył, że gdyby nawet o działalności Clarka wiedział, nie powstrzymałoby go to przed wysłaniem go z misją do Iranu. W pierwszej fazie konfliktu Carter liczył wyraźnie na to, że da się całą sprawę załatwić w drodze jakiejś kompromitującej koncesji, którą Amerykanie — jak ich znał — łatwo przełkną jeśli on w prezencie ofiaruje im całych i zdrowych zakładników. A wówczas nic nie stałoby na przeszkodzie w rozkręceniu kampanii wyborczej. Na szczęście przeszkodził mu w tej strategii kapitulacji Khomeini: odmówił przyjęcia wysłannika Cartera, a nawet nie życzył sobie pośrednic-twa PLO, które Carter skwapliwie zaakceptował.

W tym stanie rzeczy Carter z ciężkim sercem — pamiętając wciąż o przyszłych wyborach — zmienił taktykę. Zmusiła go do tego rozbudzona opinia publiczna, która niespodziewanie dla wszystkich ocknęła się ze swego letargu. Do momentu anty-irańskich demonstracji, gdy na uniwersytetach amerykańskich zaczęto palić kukły Khomeiniego, Waszyngton liczył na to, że wszystko da się załatwić metodą Vance'a-Shullmana. Z tej krainy czarów i niespełnionych nadziei wywlekl go sami Amerykanie. Obecnie Carter zaczął używać groźnych słów. Klucz od słów do czynów leży w postawie opinii amerykańskiej. Nikt nie

chce (i nie może) dokonywać podboju Iranu. Niestety, zbrodnie Khomeiniego i jego popleczników nie mogą pozostać bez kary. Tu zacytuje słowa George'a F. Willa z artykułu opublikowanego 27 listopada w *The News World*: „... następnym razem Stany Zjednoczone nie powinny wykluczyć akcji zbrojnej, jeśli zwolnie-nie zakładników na drodze operacji wojskowej (typu Entebbe dop. własny) jest praktycznie niemożliwe. W tym wypadku pierwszą reakcją na zajęcie Ambasady w Teheranie powinno było być posłanie władzom irańskim mapy z zaznaczeniem 100 celów dla lotnictwa — elektrowni, tam i temu podobnych obiektów wraz z dokładnym planem blokady portów, z których odpływają tankowce z ropą”. Do tych słów George'a Willa nie mam wiele do dodania, prócz tego, że skreśliłbym słowo „następnym razem”. Następnego razu może już w ogóle nie być.

Na szczególną uwagę zasługuje w kryzysie irańskim stano-wisko Sowietów. Ich groźby interwencji w wypadku podjęcia kroków militarnych przez Stany nie zasługują na to, by traktować je serio. Na Kremlu wiedzą, że jeśli Ameryka z ciężkim sercem zdobędzie się na udzielenie nauzki szyckim duchownym (przy czym cenę ich szaleństwa zapłaci cały naród irański), uczyni to nie dla przywrócenia swych wpływów w Iranie, ale pod presją opinii publicznej. Ponieważ ani opinia publiczna, ani tym mniej Carter nie myślą o podbojach, ale o zachowaniu oblicza pomiata-nego od lat narodu, zatrudnego superhumanizmem, Kreml nie ma powodu i nie ma możliwości kontrinterwencji zbrojnej, która do-prowadziłaby do konfrontacji globalnej, której Moskwa wcale nie pragnie. Bo i po co? Metoda „salami” czyli stopniowych pod-bojów dawała bardzo dobre wyniki. Jak pisałem w moim po-przednim artykule (*Kultura*, grudzień 1979), w rozsądnie poję-tym interesie Moskwy było unikanie wszystkiego, co mogło za-larmować lub postawić w stan pogotowia opinię amerykańską. Dla nich Khomeini, ze swą prowokacyjną akcją, był przysłowio-wym słoniem w składzie porcelany. Owszem — gdyby sytuacja rozwijała się tak, jak się na to zanosilo na początku; gdyby Carter wytargował zwolnienie zakładników kosztem jakiegoś upo-karzającego Amerykę oświadczenia, (niekoniecznie wydając Aya-tolli szacha), Moskwa byłaby zadowolona z przebiegu wydarzeń, ponieważ oznaczałoby to ostateczne poniżenie Ameryki wobec aliantów zachodnich. Ci, w obliczu kapitulacji o takich rozmia-rach wobec takiego kontrahenta jak Iran, mogłyby z czystym sumieniem skreślić definitywnie Amerykę jako sojusznika i gwa-ranta ich niepodległości. Taka nadzieja była i jako pozytywna ewentualność mogła być brana przez Moskwę pod uwagę. Dla-tego w pierwszych dniach kryzysu irańskiego radiostacja sowiecka w Baku zwana „Głosem Iranu” nadawała podlegające audycje,

włączając się w antyamerykański hymn nienawiści, którym dyrygował Khomeini. W drugiej jednak fazie Moskwa zauważyła objawy niepokojące: gwałtowne poruszenie opinii amerykańskiej, której — zdawało się — nic nie jest w stanie rozbudzić z letargu. To już nie było w interesie ZSSR, ponieważ cierpliwi stratedzy na Kremlu od lat czynili wszystko, by opinię amerykańską uspić. Dlatego mniej więcej w 10 dni po wybuchu kryzysu, sowiecki „Głos Iranu”, dochodzący z Baku, zmienił ton i począł wzywać owych pseudo-studentów, oblegających Ambasadę i trzymających pod strażą jej personel, by wypuścili „amerykańskich szpiegów” ze „względów humanitarnych”. Oczywiście Moskwa, która w oficjalnych wystąpieniach w sprawie kryzysu irańskiego jest wstrzemięźliwa, nie zamierza piętnować Khomeiniego. Tym niemniej, jak sądzę — zgodnie z wyłuszczoneymi przeze mnie racjami — traktuje go prawdopodobnie jak szaleńca. Okrucieństwo i nienawiść — chętnie by mu wybaczone, bo przecież w tajnym dekalogu Kremla — to nie są żadne grzechy. Ale prowokacyjnej głupoty, która wywołała reakcję opinii amerykańskiej i Zachodu, wybaczyć nie może*. Najrzęczniejszy byłoby go usunąć ze sceny rękami swych agentów. Nie jest to jednak ani łatwe, ani proste. Gdyby Rosjanie to zrobili, nie mogliby sobie nawet pozwolić na luksus oskarżenia o ten czyn CIA — bo to wywołałoby istny paroksyzm oburzenia w Stanach, czego właśnie Kreml pragnie uniknąć. Sytuacja jest obecnie w stanie impasu. Wyjście z impasu leży tylko w stanowczej postawie Ameryki.

Zbigniew BYRSKI

Nowy York, 2 grudnia 1979 r.

* No i zapewne Sowiety zaczęły się obawiać by ruch panislamski nie przerzucił się na sowieckie republiki muzułmańskie (Red.).

Korespondencja z Rzymu

PIELGRZYMKA EKUMENICZNA DO TURCJI

Zapytany przez pewnego dziennikarza o „wrażenie” z podróży do Turcji, a zwłaszcza ze spotkania z patriarchą Dymitrym, Jan Paweł II odpowiedział, że „trudno o nich mówić, jesteśmy bowiem w innym wymiarze”. Sedno rzeczy nie polega na wraże-

niach. Zapewne nie brakowało ich w tej krótkiej, ale owocnej podróży, która skłaniała początkowo obserwatorów do sceptycznych uwag na temat jej użyteczności. Zastrzeżenia wzbudził również jej *timing*: uważano niemal powszechnie, że wybrano moment nieodpowiedni z uwagi na rozniecony płomień fanatyzmu mahometańskiego w sąsiednim Iranie. Jak się jednak okazało, czego nikt chyba nie przewidział ta pierwsza ekumeniczna pielgrzymka papieża, nie tylko przyniesie konkretne wyniki, ale i stworzy sprzyjający klimat dla dialogu z islamem... Kto wie (osobiście nie mam wątpliwości) czy nie właśnie dlatego, że w przeciwieństwie do poprzednich podróży, w Turcji nie witały go rozentuzjasmowane tłumy, tym bardziej podróż ta spełniła cele jakie papież sobie postawił. Nie zawsze bowiem zewnętrzne przejawy popularności papieża oznaczają masowy i automatyczny akces dla treści głoszonej przez niego nauki.

W tej podróży trzeba wyróżnić trzy wątki: najważniejszy dotyczył niewątpliwie dalszego zbliżenia z prawosławiem, drugi — stosunków z islamem, trzeci — kontaktów z władzami republiki tureckiej. Zgodnie z pragnieniem papieża — pielgrzymka, przecierającego drogę do następnego etapu dialogu ze Wschodnimi Kościołami, w Fanarze (po turecku „faner” — lampa) dokonano nowego, decydującego kroku naprzód w procesie zmierzającym do pełnej jedności chrześcijan Zachodu i Wschodu, odłączonych od wielkiej schizmy w 1054 roku. Potwierdza to wspólna deklaracja Jana Pawła II i patriarchy Dymitra I oraz utworzenie komisji mieszanej katolicko-prawosławnej dla dialogu teologicznego. Ten drugi, teologiczny etap dialogu ekumenicznego ma — według słów papieża — toczyć się „łącznie z dialogiem braterskiej miłości i obopólnego zbliżenia” (pierwszy etap rozpoczęty był w 1964 roku — przez Pawła VI i patriarchę Atenagorasa). Na liście członków komisji, po stronie katolickiej, znajdują się dwaj Polacy: biskup Alfons Nossol z Opola i ks. prof. Wacław Hryniewicz z KUL-u. Po stronie prawosławnej znajdujemy przedstawicieli dwunastu Cerkwi autokefalicznych i patriarchatów, łącznie z moskiewskim (są delegaci patriarchatów serbskiego, rumuńskiego i bułgarskiego). Brak polskiej Cerkwi ponieważ nie wyznaczyła dotąd swego delegata. Lista członków (tymczasem 23) nie jest jednak pełna i ma być uzupełniona. Watykański Sekretariat d/s jedności chrześcijan przywiązuje dużą wagę do faktu, że wszystkie patriarchaty prawosławne, a zwłaszcza moskiewski, przesyłały depeze na ręce patriarchy ekumenicznego Dymitra, zgłaszając akces do inicjatywy przyspieszenia dialogu z Kościołem Rzymsko-Katolickim, co znalazło wyraz w spotkaniach i obrzędach religijnych celebrowanych wspólnie z Janem Pawłem II-gim.

Wizyta papieża w Fanarze, jak również spotkania i obecność w czasie uroczystości ku czci św. Andrzeja przedstawicieli innych Kościołów wschodnich, jak np. ormiańskiego, otworzyły nowy etap w dialogu ekumenicznym. A *propos* Ormian: wspo-

minając 5 grudnia swe spotkanie z patriarchą Kalustianem, papież nawiązał do wizyty jaką „katolikos” Vasken I z Eczmiadina (w sowieckiej Armenii) złożył w Watykanie w roku 1970. Papież nie zapomniał również o katolikach ormiańskich związanych ze Stolicą Apostolską, a których zwierzchnik, arcybiskup Kolakian, witał go nad Bosforem (ormiańskich katolików jest na świecie ok. 150 tys.). Na spotkaniu z nimi papież przypomniał: „znałem ich dobrze i doceniałem w mojej ojczyźnie”. Wezwał ich do uczestnictwa w ruchu na rzecz jedności ponieważ „należą do obrządku wschodniego i zarazem katolickiego”, a żyjąc w bezpośrednim kontakcie z chrześcijańskimi braćmi prawosławnymi są szczególnie „powołani do realizacji jedności pomiędzy chrześcijanami”.

Dialog ekumeniczny toczył się do tej pory (z dużymi trudnościami) głównie z wyznawcami Reformy, luteranami i anglikanami. Bliższe zaś katolicyzmowi prawosławie pozostawało w cieniu. Jan Paweł II, papież-Słowianin, doskonale obeznany z tradycjami obrządków wschodnich, dowartościowując je, przywraca więc równowagę w dialogu ekumenicznym. Wystąpił on jako rzecznik i obrońca wszystkich chrześcijan żyjących na Wschodzie, biorąc niejako pod swe skrzydła opiekunów również słowiańskich prawosławnych. W ekumenicznej wizji Jana Pawła II-go, papież rzymski, nie rezygnując bynajmniej z prymatu piotrowego (historyczna, ewangeliczna „skała”), jest odpowiedzialny za jedność wszystkich chrześcijan. Pewien teolog prawosławny zauważa: „istnieje pewnego rodzaju powinowactwo fizyczne pomiędzy Janem Pawłem II-gim a chrześcijaństwem prawosławnym: to samo odczucie religijności ludowej, którą należy oświecać, a nie zakłócać odchyleniami teologicznymi, bardzo głębokie odczucie Zmartwychwstania, bardzo silny kult maryjny, idea wspólnoty świętych, wspólny wymiar nieprzerwanej tradycji”.

Wizyta papieża w Istambule, wzmacniając pozycję patriarchy prawosławnego (nie ma on łatwego życia w „laickiej” republice), czym wyświadczył mu na pewno wielką przysługę, przyniosła dodatkowy, doniosły skutek. Wpłynęła mianowicie na polepszenie stosunków pomiędzy prawosławnymi Kościołami autokefalicznymi. „Stosunki te obecnie odtajają” — jak to ktoś słusznie zauważył. Panowała bowiem tam nieufność, podejrzliwość, widoczna zwłaszcza w nastawieniu patriarchatu Moskwy i całej Rosji wobec patriarchatu ekumenicznego, uznawanego wprawdzie jako *primus inter pares*, ale sprowadzanego do funkcji czysto honorowych. A przecież to właśnie ten historycznie uprawniony do pierwszeństwa patriarchat od wielu już lat niestrudzenie działa na rzecz jedności (jego przedstawiciel przy genewskiej Światowej Radzie Kościołów, metropolita Damaskinos, jest członkiem watykańskiej, międzynarodowej komisji teologicznej). Nie tylko patriarchat moskiewski, również grecka Cerkiew odnosiła się nieufnie zarówno do Konstantynopola jak i do Stolicy Apostolskiej. Stare urazy znikły, nic więc dziwnego że Jan Pa-

weł II mógł wyrazić swe „zadowolenie” iż jego spotkanie z patriarchą ekumenicznym zyskało „poparcie i solidarność okazaną przez wszystkich patriarchów prawosławnych”.

Drugi aspekt podróży papieża do kraju zamieszkałego przez wyznawców islamu miał charakter religijno-polityczny. Mimo, że przybył on do Turcji jako przywódca religijny zainteresowany przede wszystkim w postępkach jedności chrześcijan Zachodu i Wschodu, społeczeństwo tureckie (nie tylko władze państwowe) odczytały tę wizytę jako inicjatywę mającą również na celu zmniejszenie napięcia pomiędzy światem zachodnim a światem islamu. Papież nie zawiódł tych oczekiwań. Przemawiając w Ankarze na temat stosunków pomiędzy chrześcijanami a maho-metanami cytował nie tylko deklarację soborową „Nostra aetate” (o wolności religijnej), ale i Koran. Wyrazy uznania i szacunku dla islamu, jednej z trzech wielkich religii monoteistycznych — obok chrześcijaństwa i judaizmu — oraz wezwanie do współpracy „dla wspólnej obrony pokoju i wolności”, były dobrze przyjęte, choć na razie odniosły skutek jedynie w Turcji. Polityczno-religijne skrajne ugrupowania mahometańskie, które początkowo gwałtownie protestowały przeciwko wizycie papieskiej, pod koniec podróży zreflektowały się i próbowały nawet dyskutować politycznie tę podróż. Jedno z pism wyrażające stanowisko mahometańskich integrystów stwierdziło, że premier Demirel znalazł w papieżu sojusznika w walce przeciw marksizmowi (tzn. skrajnej lewicy, kontestującej nowy rząd konserwatywny). Oczywiście pojedynczej i ekumenicznej wizji papieża obce były i są tego rodzaju wyrachowania. W swoim wezwaniu do świata islamu Jan Paweł II nie miał na myśli doczesnej i fanatycznej projekcji porządku Boskiego, opartej na przemocy, a którą utożsamia dziś Khomeini, lecz wyznanie wiary, której walory zostały docenione przez Drugi Sobór Watykański. Tak też je odczytali światli przedstawiciele tureckiej opinii publicznej, którzy w rozmowach z otoczeniem papieża odcinali się od sprawców i zwolenników irracjonalnego, antyzachodniego i antychrześcijańskiego, integryzmu. Wizyta w Efezie, gdzie na Soborze w roku 431 proklamowano Marię, Matką Boską, czczoną także przez mahometan, była symboliczną, bardzo udaną klamrą zamykającą podróż papieża do kraju stanowiącego „drzwi Europy i zarazem Azji”. Czy i jakie owoce wyda ziarno porozumienia, rzucone przez papieża w ziemię islamu — trudno dziś przewidzieć. Umiarowany optymizm jest jednak uzasadniony. Fala fanatyzmu religijnego, miejmy nadzieję, opadnie prędzej czy później. Głos papieża usłyszano nie tylko w Turcji. Dyplomatyczne talenty papieża spowodowały, że i przedstawiciele rządu tureckiego „odtajali”, o czym świadkowie mogli się przekonać obserwując ich miny i zachowanie. Jan Paweł II pochwalił walory nowoczesnej Turcji (podnosząc również antyczne jej tradycje), wyrażając uznanie dla państwa świeckiego, w którym „wyraźny rozdział pomiędzy sferą polityczną i religijną może pozwolić

każdemu na przyjmowanie własnej, specyficznej odpowiedzialności. Zasada wolności sumienia, religii, kultu i nauczania jest uznana przez konstytucję tej republiki". W czasie pożegnania z władzami republiki papież oświadczył, że żywi nadzieję, iż wszyscy wierzący będą korzystać coraz więcej z tej wolności, że poczuwa się do „obowiązku troski o wspólnoty chrześcijańskie, ograniczone wprawdzie liczbowo, ale żarliwe i głęboko zakorzenione w historii swej ojczyzny”.

W czasie tej pierwszej ekumenicznej pielgrzymki papieża nie zabrakło akcentów polskich. Papież przyjął przedstawicieli starej kolonii polskiej z Adampola. Charakterystyczna polska nuta mocno zabrzmiała podczas spotkania z Ormianami. Najistotniejszy jest motyw polski i zarazem uniwersalny, jaki głosił w całej pielgrzymce: spotkanie dwóch wielkich tradycji Kościoła, które nastąpiło w Polsce. Przemawiając na audiencji generalnej w dniu 5 grudnia Jan Paweł II podkreślił „szczególną wymowę historii”, usymbolizowaną w ikonie jasnogórskiej, której „charakterystyczne rysy mówią o duszy chrześcijańskiego człowieka Wschodu i Zachodu... Ojczyzna moja, to prawda, otrzymała chrześcijaństwo z Rzymu i zarazem wielkie dziedzictwo kultury łacińskiej, ale również Konstantynopol stał się dla wielu ludów i narodów słowiańskich źródłem chrześcijaństwa i kultury w ich postaci wschodniej”.

Od wystąpienia na inauguracji nowego pontyfikatu, od bazyliki św. Piotra do małego patriarchalnego kościoła w Fanarze nad Bosforem przewija się ciągła nić. Sens tej pierwszej pielgrzymki ekumenicznej Jana Pawła II, której zamysł (i sukces) jest do dziś dnia dla wielu obserwatorów „nieco tajemniczy”, zawarty jest w papieskiej nici, rozwijanej planowo od pierwszego dnia wyniesienia na Stolicę Piotrową.

Domonik MORAWSKI

Pisane 6 grudnia 1979 r.

Kraj

Sytuacja PRL na międzynarodowym rynku finansowym

Z końcem 1978 roku długoterminowe zadłużenie Polski w walutach twardych przekraczało \$15 miliardów. Wynika to z danych ujawnionych na początku bieżącego roku w związku z uzyskaniem przez Polskę siedmioletniej pożyczki w wysokości \$550 milionów. Należy do tego dodać krótkoterminowy kredyt handlowy, który niewątpliwie wynosi dalsze dwa lub trzy miliardy dolarów. Te ogromne sumy wymagają naświetlenia w szerszej perspektywie, która wyjaśnić może postawę kredytodawców i ich zaufanie do możliwości Polski wywiązania się z tak poważnych zobowiązań płatniczych.

Międzynarodowy rynek finansowy zalany jest niespotykaną dotychczas płynnością funduszy, w głównej mierze spowodowaną przez wielomiliardowe nadwyżki pieniężne, nagromadzone przez kraje eksportujące ropę naftową. Szacuje się, że po ostatniej serii podwyżek cen ropy, roczny nadmiar zasobów finansowych tych krajów, po opłaceniu importu i usług, wzrosł z \$5 miliardów w 1978 do przeszło \$30 miliardów w roku bieżącym. Większość tych nadwyżek, być może 75%, umieszczana jest przez kraje OPEC u międzynarodowych pośredników finansowych, powiększając i tak już ogromną pulę euro-dolarów i innych euro-dewiz. Suma tych funduszy szacowana jest w granicach od \$500 do \$800 miliardów. Osiągnąwszy dotychczas wspaniałe wyniki w produktywnym rozproszaniu tych zasobów, międzynarodowy rynek finansowy zbliża się jednocześnie do momentu, w którym wyczerpać się muszą dalsze możliwości ich roztropnej i rozsądnej lokacji. Ogrom zadłużenia rozwijających się krajów trzeciego świata ogranicza możliwości dalszych w nich inwestycji i pożyczek, podczas gdy obecna słaba koniunktura ekonomiczna państw uprzemysłowionych wytwarza mały popyt na fundusze

Referat wygłoszony na zjeździe Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich w Kalamazoo, Michigan, w dniu 30 czerwca 1979.

zewewnętrzne. Stany Zjednoczone i Japonia przyhamowują tempo aktywności gospodarczej — i mimo że Europa Zachodnia wykazuje pod tym względem pewną poprawę — ogólnie biorąc, przemysł cieszy się dużą płynnością środków płatniczych. Ryzykując uproszczenia, można stwierdzić, że w chwili obecnej światowe instytucje finansowe i banki, dysponując olbrzymimi ilościami zasobów pieniężnych, poszukują klientów, którzy warci są kredytu i skłonni są zobowiązać się do zapłacenia ceny współmiernej do ryzyka.

I tu wchodzi na scenę Polska, a ściślej biorąc Bank Handlowy w Warszawie, jej główny przedstawiciel w kontaktach finansowych z Zachodem. Na przestrzeni lat, Bank Handlowy wyrobił sobie godną pozazdrosczenia opinię dobrze zarządzanej i skrupulatnej instytucji, w codziennej działalności kierowanej przez fachowca poważanego na całym świecie. Aż do tego roku Polsce udawało się zapożyczać na Zachodzie nie publikując danych o swojej sytuacji finansowej, które to dane zwykle ujawniane są kredytodawcom przez kraje dłużnicze. Chodzi przede wszystkim o szczegóły bilansu płatniczego oraz o informacje na temat zasobów złota i dewiz wymiennych. Dane te publikowane są normalnie przez Międzynarodowy Fundusz Monetarny (IMF), do którego należą prawie wszystkie kraje świata. Natomiast państwa RWPG, które z wyjątkiem Rumunii nie są członkami IMF, mogły zaciągać pożyczki na Zachodzie, bez ujawniania powyższych faktów, na podstawie następujących czynników. Po pierwsze — ich potrzeby były skromne w stosunku tak do wielkości ich gospodarek, jak i do ich handlu z Zachodem. Po drugie — zachodni kredytodawcy zakładali i nadal zakładają, że kraje o planowaniu centralnym mają ścisłą kontrolę nad kluczowymi aspektami swych gospodarek i nie dopuszczają do tego, by pożyczki przekroczyły ich możliwości. I w końcu po trzecie — Zachód, mylnie lub nie, przypuszcza, że istnieje samoregulująca się polityka ekonomiczna obozu RWPG, która powstrzymuje i chroni poszczególnych członków przed popadnięciem w tarapaty, które mogłyby zaszkodzić braterskim krajom w otrzymywaniu dalszych pożyczek.

Podczas gdy te ogólne założenia nadal są brane pod uwagę i nie zmieniły się zasadniczo w wypadku szeregu lepiej sytuowanych państw RWPG, sytuacja Polski uległa gruntownej zmianie. Polityka PRL gwałtownego rozwoju gospodarczego, stosowana do połowy lat siedemdziesiątych, stworzyła silne napięcia. Równoległy wzrost inwestycji i konsumpcji wymagał znacznie wyższych importów, szczególnie w dziedzinie technologii, a pożyczki zagraniczne zaakceptowane zostały jako integralna część strategii rozwojowej. Miały one zapełnić lukę między importem i z czasem wytworzonej przez niego zwiększonej siły eksportowej. Tymczasem eksport zawiódł, nie wzrastając w oczekiwanim tempie. Zawód ten był spowodowany częściowo niefortunną sytuacją na rynkach światowych, częściowo małą atrakcyjnością polskiego

eksportu przemysłowego, jak również w pewnej mierze nieudolnym wysiłkiem w dziedzinie sprzedaży dóbr eksportowych. Jako rezultat tej sytuacji, bilans handlowy Polski z Zachodem, wykazujący nadwyżkę jeszcze w latach 1970 i 1971, przeszedł w stan deficytowy, rosnący gwałtownie i sięgający blisko \$3 miliardów w 1975 i ponownie w 1976 roku. Aby pokryć te deficyty uciekano się do coraz to wzrastającej sumy kredytów. Mimo że władze PRL odmawiały ujawnienia stanu zadłużenia wobec Zachodu, nietrudno było dokonać trafnego jego oszacowania na podstawie danych ogłoszonych przez kredytodawców. Stało się niebawem jasne, że obsługa pożyczek, czyli pokrycie spłat i odsetek, wnet pochłonie co najmniej 25% eksportu w dewizach, poziom który zaczyna budzić zaniepokojenie — szczególnie w wypadku kraju cierpiącego na poważny deficyt handlowy. Mimo to, potrafiła Polska uzyskać dalsze kredyty na dużą skalę: \$2,6 miliardy w 1975, \$3,3 miliardy w 1976, a po pewnym zaciągnięciu pasa, \$2,3 miliardy w 1977 roku. Nasuwają się więc dwa pytania. Dlaczego banki czy inne instytucje finansowe są gotowe do udzielania Polsce dalszych pożyczek? Skąd bierze się ich zaufanie do możliwości spłaty przez Polskę długów? Przecież w wypadku prywatnych kredytodawców, którzy rzadko kiedy są ubezpieczeni przez agencje rządowe, marża w wysokości jednego czy półtora procent rocznie zarobiona na pożyczce nie może w żaden sposób służyć jako rekompensata ryzyka w wypadku, gdy istnieje duże prawdopodobieństwo straty całego kapitału pożyczkowego.

Racjonalistyczne podejście zachodnich instytucji kredytodawczych, tak prywatnych jak i państwowych, opiera się na następujących przesłankach. Po pierwsze, jak już zostało wspomniane, istnieje mniemana samopomoc państw RWPG w razie gdyby któryś z członków miał zaznać kryzysu dewizowego. Mniemanie to zostało wzmocnione w 1977 roku przez niepotwierdzoną nigdy pogłoskę, że jakoby Związek Sowiecki miał Polsce udzielić kredytu dolarowego, by jej pomóc wyjść z oparów. Po drugie, rządy zachodnie wspierają handel z Polską i innymi państwami komunistycznymi z przyczyn tak ekonomicznych jak i politycznych. Chcą móc utrzymać własne fabryki na pełnych obrotach, szczególnie w czasach obniżonego popytu na rynkach zachodnich, chcąc rozpowszechnić swą technologię — i wreszcie łudzą się, że zachęcając Polskę do handlu z Zachodem przez udzielanie dogodnych kredytów, osłabią jej więzy z Rosją. Rządowa ingerencja odbywa się pod postacią pożyczek bezpośrednich, lub też w formie ubezpieczeń prywatnych pożyczek eksportowych przez oficjalne lub pół-oficjalne agencje, jak ECGD w Wielkiej Brytanii i Hermes w Niemczech Zachodnich. Na trzecim miejscu należy wymienić chęć ubicia targu przez zachodni koncern przemysłowy, który wyrzucić może duży wpływ na swój bank celem sfinansowania eksportu do Polski. Władze PRL często warunkują zakup danych materiałów otrzymaniem dogodnego kredytu. Eksporter zachodni zwykle znajdzie wśród swych banków choć

jeden, który gotów jest udzielić Polsce kredytu w nadziei finansowania innych, bardziej atrakcyjnych, transakcji oferowanych przez dany koncern. Czwartą przesłanką, jaką kierują się zachodnie banki jest sama intratność finansowania Polski — oraz brania udziału w całokształcie jej międzynarodowych operacji finansowych. Akredytywy, przekazy pieniężne, inkaso i depozyty funduszy płynnych przedstawiają zachęcające *quid pro quo* dla banków zachodnich. Banki, które od lat współpracują z Polską pragną dalej te stosunki rozwijać, podczas gdy inne skłonne są wykazać hojność, aby je nawiazać.

Wszystkie wyżej wymienione okoliczności mogą doprowadzić pozytywne nastawienie kredytodawców tylko do pewnego punktu. Istnieje bowiem granica, której zdrowy rozsądek i odpowiedzialność wobec depozytorów i akcjonariuszy przekroczyć nie pozwala. Z końcem 1978 roku granica ta została osiągnięta. Aby zapewnić sobie możliwość uzyskania dalszych kredytów, Polska musiała zgodzić się na pewne ustępstwa. Do pierwszego odstąpienia od ściśle określonych norm pojmowania socjalistycznej tajemnicy państwowej doszło już w 1975 roku, przy podpisaniu (między innymi przez autora niniejszych uwag) pierwszej \$ 240 milionowej pożyczki na rozwój przemysłu miedzianego. Kredytodawcy uzyskali poważny wgląd w sprawę tego przemysłu i jego planów rozwojowych. Aczkolwiek nie było kwestii jakiegokolwiek kontroli, mieli oni możliwość upewnienia się, że jeśli założenia planowanego projektu sprawdzą się w rzeczywistości, sam projekt doprowadzi do zdobycia przez Polskę wystarczającej ilości dewiz, pozwalających na amortyzację pożyczki. Podobna sytuacja zaistniała przy podpisywaniu drugiej, \$ 250 milionowej, pożyczki dla tegoż przemysłu miedzianego w roku 1978.

Mimo że dostarczenie powyższych informacji było niewątpliwie krokiem we właściwym kierunku, dalekie to było od ujawnienia pełnych danych, które zwykle są podstawą do uzyskania pożyczki czysto finansowej, której celem jest podparcie chwilowego bilansu płatniczego. Był to rodzaj pożyczki, jakiej Polska potrzebowała w 1979 roku, aby sprostać wzrastającej stopie procentowej i piętrzącym się ratom amortyzacyjnym, jak również po to, by pokryć deficyt handlowy. Przełom nastąpił z początkiem bieżącego roku, gdy w trakcie negocjacji o wspomnianą na wstępie pożyczkę „jumbo”, władze PRL ujawniły szczegółowe dane dotyczące bilansu płatniczego, stanu zadłużenia, amortyzacji pożyczek, jak i projekcji po rok 1985. Zapasy złota i dewiz pozostały jednak odkryte tajemnicą. Z ujawnionych cyfr wynikało, że w roku 1979 obsługa długów (spłaty plus odsetki) pochłonęła 66 % dochodu z eksportu do państw zachodnich! Kluczem do wyjścia z dość beznadziejnej sytuacji, jaką te dane potwierdziły jest ostra poprawa w bilansie handlowym, optymistycznie przewidująca małą nadwyżkę już w 1981 roku. W roku 1985 nadwyżka ma wynieść \$ 3 miliardy. Cyfry te wydają się zbyt ambitne i wyniki za pierwszy kwartał 1979 roku nasuwają pyta-

nie, jak dalece są one realistyczne. Na cały rok 1979 przewidywano deficyt handlowy z Zachodem na sumę \$ 600 milionów — jednak już w ciągu pierwszych trzech miesięcy osiągnął on połowę tej sumy. Nawet jeśli złe warunki klimatyczne miały negatywny wpływ, pewien sceptycyzm nie jest bezpodstawny. Chociaż można mieć zaufanie do fachowych kwalifikacji zarządzających finansami kraju, wszyscy zdajemy sobie sprawę, że kierownictwo całością gospodarki pozostawia wiele do życzenia. Sytuację określił w dosadnych słowach Amerykanin polskiego pochodzenia, wysoko sytuowany w bankowości amerykańskiej. Przemawiając w czasie Polsko-Amerykańskiego Dnia w Departamencie Stanu w październiku 1978 roku, w zakończeniu swych uwag oświadczył on: „Jeśli podstawowym celem międzynarodowej wymiany handlowej jest wspieranie ekonomicznego dobrobytu partnerów, nie pozostaje mi nic innego jak dumać nad nieugiętym dogmatyzmem polskiej struktury gospodarczej, która udowodniła swoją niezdolność do zapewnienia polskiemu społeczeństwu możliwego do przyjęcia poziomu życia, struktury, która nie pozwala dostrzec, że przyczyna problemów nie leży w braku lub nadmiarze opadów atmosferycznych, nie w płochości rynków zachodnich, spowodowanej zmianami stylu, chwilowej mody i koniunktury ekonomicznej — jak również nie w nadmiernym apetycie społeczeństwa na mięso — ale w ciągłym i uporczywym tępieniu ludzkiej pomysłowości i inicjatywy, w eliminowaniu wszystkiego co przedsiębiorcze i obdarzone wyobraźnią i zastępowaniu tego przez miernotę, strach przed pobieraniem decyzji i brak oblicza”.

Można więc zapytać, dlaczego Polska w dalszym ciągu cieszy się zaufaniem, które nadal pozwala jej zaciągać pożyczki. Dlaczego kolosalna pożyczka tegoroczna nie tylko doszła do skutku, ale nawet spontanicznie wzrosła z przewidzianych \$ 500 milionów do \$ 550 milionów z udziałem około pięćdziesięciu kredytodawców? Warto więc znów przytoczyć i streścić te wytłumaczenia, które już zostały wymienione, jak i dodać szereg dodatkowych wytycznych, którymi kierują się międzynarodowe sfery finansowe:

— Światowy rynek pieniężny charakteryzuje się obecnie obfitą płynnością i jednocześnie brakiem odpowiednich kredytobiorców, mogących i chcących płacić odpowiednie stawki za pożyczone sumy.

— PRL należy do obozu państw, które prawdopodobnie wywierają wzajemny nacisk, wstrzymujący i chroniący każdego członka przed niewywiązaniem się z płatności.

— W obliczu niepożądanego obrotu spraw — szczególnie w zakresie bilansu płatniczego — władze polskie potrafiły wstrzymać gwałtowny rozwój ekonomiczny kraju. Ostro obcięto nakłady inwestycyjne, ograniczono wzrost zarobków. Powstrzymano wzrost rocznego deficytu handlowego. Polska wykazała umiejętność natychmiastowej reakcji na zaistniałe problemy.

— Państwowe zarządzanie gospodarką, choćby źle kierowaną, pozwala na dalsze zaciskanie pasa — z reguły kosztem konsumenta — aby zagwarantować spłacenie długów. Proporcjonalnie biorąc, Polska nie wydaje więcej na obsługę długów niż na przykład Brazylia. Ogólne zadłużenie Polski nie wyda się tak horendalne, jeśli je porównamy z \$6 miliardowym zadłużeniem Finlandii, która posiada 5 milionów ludności. I w końcu Polska, jako kraj zajmujący pod względem rozwoju gospodarczego jedenaście lub dwunaste miejsce na świecie — i dzięki węglowi jest netto eksporterem surowców energetycznych — na pewno nie stanowi większego ryzyka dla kredytodawców niż większość krajów trzeciego świata.

— Ujawniając swoje dane finansowe, Polska umożliwiła wgląd w swoją sytuację. Choć dane te nie są zadowalające, prosty fakt, że nie są trzymane w tajemnicy wzbudza do pewnego stopnia zaufanie.

— Czynniki finansowe PRL dotychczas wywiązują się skrupulatnie ze swoich zobowiązań. Nie ma żadnych powodów, dla których można by podejrzewać, że podejmą one zobowiązania wiedząc, że nie są w stanie ich wypełnić. Nie wdając się w oceny czy to dobrze czy też źle, sytuacja polityczna Polski jest zasadniczo ustabilizowana. Nic nie wskazuje na to, aby cokolwiek miało się w najbliższej przyszłości zmienić — i aby cokolwiek mogło zachęcić obecne władze kraju do zmiany *status quo* lub do sprawienia kłopotu wschodniemu sąsiadowi.

— No i wreszcie, na lżejszą nutę, można przypomnieć rzekome powiedzenie Lenina o kapitaliście, który dla zysku gotów jest sprzedać stryczek, na którym go powieszają.

Abstrahując od Lenina i spółki — chociaż ich związku z całym zagadnieniem nie da się zaprzeczyć — mimo swej trudnej sytuacji, Polska nadal znajdzie chętnych do udzielania jej pożyczek, szczególnie krótkoterminowych. Uzyskiwanie większych pożyczek długoterminowych będzie sprawiało poważniejsze trudności i wymagało przyjęcia wygórowanej stopy procentowej. Wyżej wspomniana pożyczka \$550 milionowa oprocentowana jest na 1½% do 1⅞% powyżej kosztu międzybankowych depozytów euro-dolarowych na rynku londyńskim (LIBOR), podczas gdy w tym samym czasie ZSSR, Węgry i Czechosłowacja płaciły 5/8% powyżej LIBOR za podobne pożyczki. LIBOR ustalony jest zwykle na okres sześciu miesięcy i wynosi obecnie około 10¾% *per annum*. Marża powyżej LIBOR wymagana od Polski jest wskaźnikiem słabej pozycji, w jakiej ona się obecnie znajduje na międzynarodowych rynkach finansowych. Aby nastąpiła poprawa potrzebna jest zasadnicza zmiana w strukturze gospodarki PRL i jej handlu z Zachodem. Aby do tego mogło dojść niezbędne są śmiałe decyzje kierownictwa, pociągające za sobą konsekwencje polityczne. Wątpić należy, by system i okoliczności na to pozwoliły. W międzyczasie Polska będzie brnęła przez nowe

pożyczki i refinansowanie starych. Stwierdzić można, że wyłączać możliwość jakiejś klęski ogólnościowej, Polska wywiąże się ze swych międzynarodowych zobowiązań finansowych — kosztem polskiego konsumenta i widoków na poprawę jego bytu.

Witold SULIMIRSKI

Szkic do portretu młodego pokolenia

Po okresie ożywionych debat nad problemem młodzieży zainteresowanie tym tematem osłabło — przycichły dyskusje, umilkły polemiki. Po przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nastąpiło uspokojenie.

Nadeszła, wydaje się, właściwa pora na postawienie pytania: jakie jest młode pokolenie Polaków?

Wszystko co na ten temat napisano w Kraju podzielić można na dwie kategorie: do pierwszej należą prace o charakterze naukowym — interesujące dane szczegółowe pozbawione są często interpretacji, gdyż przekreślałaby ona z góry szanse na publikację wyników badań, fałszuje się wręcz wymowę faktów, umieszczając je w niewłaściwych kontekstach; druga, to olbrzymia góra papieru zadrukowana zdawkowymi stereotypami, przestrojonymi często urzędowo-optimistycznymi frazesami. O ile materiały pierwszej grupy udzielają, w pewnym stopniu, odpowiedzi na pytanie: jak jest?, o tyle cała reszta ulega ogólnemu prawu, zgodnie z którym obraz rzeczywistości kształtowany jest według aktualnych wyobrażeń Partii o danej dziedzinie życia społecznego.

W ostatnich latach przeprowadzono szereg badań, których rezultaty, nie zawsze publikowane w pełnym i wyczerpującym zakresie, dostarczyły sporo interesującego materiału i pozwalają uwypuklić istotne dla sylwetki pokolenia rysy psychosocjologiczne. Chodzi tu o pokolenie, którego rodzice swe samodzielną i dojrzałą życie kształtowali w warunkach Polski powojennej.

W latach siedemdziesiątych młodzież ta ukończy szkoły, podejmie pracę zawodową lub rozpocznie naukę w szkołach wyższych. Jest to pokolenie, które zdobędzie pełną dojrzałość

społeczną w latach osiemdziesiątych. Stan duchowy narodu polskiego w wieku XXI określać będą oni oraz na ich obraz i podobieństwo ukształtowane dzieci.



Wniknąć w stan świadomości młodego pokolenia to poznać krystalizujące się typowe dla niego wyobrażenia, poglądy, idee, opinie, specyficzne pojęcia, aspiracje i zainteresowania.

Młodzi, będąc wymienionymi obserwatorami, zachowując równocześnie pewną niezależność w stosunku do wymogów świata dorosłych oraz posiadając dużą wrażliwość emocjonalną przy silnej potrzebie uznania jakichś standardów, łatwo przyswajają nie tylko uznane wzory zachowania, ale często odzwierciedlają napięcia, frustracje, reakcje stłumione, które dorośli ukrywają starannie przed dziećmi, a nierzadko i przed sobą.

Zacznijmy zatem od próby szkicowej rekonstrukcji hierarchii wartości młodego pokolenia.

W badaniach ankietowych S. Nowaka i zespołu, prowadzonych w latach 1972/73 w środowisku typowym uczniów ostatnich klas szkół średnich Warszawy i Kielc, pytano o ideały życiowe, nawet gdyby odpowiadający nie uważali go za realny. Próbowano w ten sposób określić jak daleko sięgają aspiracje dziewcząt i chłopców¹.

Otóż najwyżej ceniono odwzajemnioną miłość i szczęśliwe życie rodzinne, następnie „życie w gronie lubianych i lubiących przyjaciół”, a w dalszej kolejności oczekiwano „ciekawej pracy dającej satysfakcję, zdobycia przyzwoitej pozycji zawodowej oraz prowadzenia spokojnego życia”.

Badania B. Weber, prowadzone wśród młodzieży w wieku 16-19 lat z zasadniczych szkół zawodowych, techników i liceów ogólnokształcących ujawniły również, że większość — 70 % — uważa za udane życie miłość, szczęśliwe małżeństwo, przyjaźń, spokój, bezpieczeństwo².

Zwróćmy z kolei uwagę jakie ideały nie znajdowały uznania: realizacja ważnych ideałów moralnych; w dziedzinie zawodowej — zdobycie stanowiska kierowniczego; osiągnięcie pozycji w dziedzinie politycznej oraz wpływu na kształt spraw społecznych i politycznych.

1. V. artykuł Stefana Nowaka „Niedaleko od jabłoni”, *Polityka*, nr 15 z 1976 r.

2. Barbara Weber, „Ideały i opinie młodzieży szkół średnich w sprawach społeczno-politycznych i moralnych”, Zakład Badań nad Młodzieżą przy Wyższej Szkole Nauk Społecznych, Warszawa, 1972.

Podobne aspiracje widzimy w badaniach podjętych w 1972 roku przez B. Gołębiowskiego³. Dotyczą one ośmiomilionowej rzeszy młodzieży w wieku od 16 do 29 lat. Do celów mało ważnych, do których *nie* aspirują, zaliczają: udane życie rodzinne — 2 %, władzę nad innymi aż 70 %.

Dziesięć lat wcześniej Z. Bauman, prowadząc badania wśród młodzieży warszawskiej płci męskiej w wieku 18-24 lat, stwierdził zjawisko analogiczne: najmniej odrzucał przypadłość „ciekawej pracy i szczęściu rodzinnemu”. Najwięcej oponentów miał wzór sukcesu życiowego związany ze zdobyciem władzy nad innymi ludźmi⁴.

Według B. Weber życie spokojne nad ruchliwe przedkłada 60 % badanych; za umiarem i ostrożnością, unikaniem ryzyka opowiada się 42 %; o wielkich zaś czynach, z których wynikałby jakiś pożytek marzy zaledwie 6,6 %. Na pytanie: dla czego lub dla kogo warto żyć? odpowiadano: dla istoty kochanej, rodziny, ojczyzny — najmniejszą uwagę przyciągała sława, idea polityczna i organizacja.

Tak w badaniach Z. Baumana jak i B. Gołębiowskiego zaraz za władzą, na drugim miejscu w hierarchii antywartości znajduje się życie urozmaicone, pełne przygód i ryzyka.

Uderzająca jest zbieżność niektórych wniosków z badań z końca lat pięćdziesiątych i początku siedemdziesiątych.

Tak więc po pierwsze — widoczna jest tendencja do wiązania aspiracji, planów życiowych z kręgiem o charakterze prywatnym: rodziną, przyjaciółmi, znajomymi. Tego rodzaju dążenia — jak twierdzi B. Weber — są najsilniej rozbudzone i uświadomione. Co więcej, nie stwierdzono chwiejności tych opinii.

Po wtóre — daje się zauważyć zanikanie aspiracji dotyczących sfery życia publicznego.

Po trzecie — brak skłonności do życia pełnego przygód, podejmowania ryzyka, umiar i ostrożność w sposobie realizacji zadań życiowych daje nam wizerunek pokolenia średnich lotów.

Z kolei spróbujmy przyjrzeć się wypowiedziom dającym obraz przyjmowanej hierarchii wartości. Z badań B. Gołębiowskiego dowiadujemy się, że szczególnie ważnymi dla młodzieży wartościami są: sprawiedliwość w stosunkach międzyludzkich (49 %), lepszy poziom życia materialnego (46 %), swoboda dyskusji, jawne głoszenie różnych przekonań (40 %), szczerłość w życiu społecznym, zgodność prawd głoszonych z tym co się czyni

3. Bronisław Gołębiowski, „Młodzież o sobie i o swoich dążeniach”, Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych, Warszawa, 1976.

4. Zygmunt Bauman, „Wzory sukcesu życiowego młodzieży warszawskiej”, Ośrodek Badania Opinii Publicznej, Warszawa, 1961.

(37 %), poszanowanie godności własnej i przekonań każdego człowieka (32 %). Cecha szczególnie ceniona u ludzi: sprawiedliwość (70 %), uczciwość (55 %), pracowitość (49 %), wiedza (41 %). Miejsce ostatnie (piętnaste) zajmuje ideowość. U przyjaciela 77 % chciałoby widzieć takie cechy jak szczerość, wyrozumiałość. Zaś na pytanie: co podziwiasz u ludzi? najczęściej odpowiadano: sprawiedliwość, szczerość, odwagę.

W badaniach światopoglądu i postaw społeczno-politycznych uczniów z terenu woj. katowickiego (3/4 w wieku 18 lat) ustalono, że aż 83 % ankietowanych najwyżej ceni uczciwość, ale zaledwie 1/3 wyraźnie potępia nieuczciwość⁵.

Próbowano również ustalić nasilenie optymizmu bądź pesymizmu w ocenie przyszłości.

W badaniach Ż. Baumana było 14,3 % zdecydowanych optymistów, 4,8 % pesymistów, zaś tych co sądzili, że można spodziewać się w życiu dobrych i złych rzeczy — 81 %, w tym 2/5 umiarkowanych optymistów.

W badaniach prowadzonych kilkanaście lat później około 50 % rodziców wyraziło przekonanie, że od życia można oczekiwać więcej dobrego niż złego — młodzież była bardziej pesymistyczna (24 %). Zadowolonych z życia okazało się 27 % rodziców i tylko 10 % młodzieży.

Wskazuje to na szczególne odczucie niepewności jeśli nie niwiary w przyszłość. Trzeba tutaj podkreślić, że okazywanego braku zadowolenia nie należy mylić z niezadowoleniem i kwestionowaniem *status quo*. Często popełniano błąd (nie tylko w publicystyce) żonglując stereotypami: „pokolenie zbuntowanych”, „młodych gniewnych”.

Okazało się, że młodzież w zasadzie próbuje system wartości swoich rodziców, z oczywistymi różnicami w zakresie stosunku do religii (większy indyferentyzm) i życia seksualnego (mniejszy rygoryzm). Występują jednak i inne, dość znamienne, różnice, a mianowicie młodzież rzadziej niż rodzice sądzi, iż warto narażać się w obronie dobra innych ludzi, prawa do wypowiedania własnych poglądów i stosunkowo rzadko czuje potrzebę angażowania się w życie publiczne i nie wierzy w ludzką wzajemną życzliwość.

Wszystko to świadczy o obniżeniu rangi wartości moralnych i zaufania do ludzi.

Czytelnika zastanawiać muszą niezmiennie pojawiające się na pierwszych miejscach takie wartości jak szczerość, uczciwość i

5. M. Michalczyk, A. Opalek-Orzechowska, J. Szefer-Timoszenko, „Światopogląd i postawy społeczno-polityczne młodzieży”, Górnośląskie Studia Socjologiczne, t. 10 (1972).

sprawiedliwość. Wydaje się, że jest to wskaźnikiem pewnych uświadomionych potrzeb oraz braku ich zaspokojenia w kontaktach międzyludzkich.

Wymaganie większej szczerości, uczciwości, zachowania czystego sumienia wyraża pragnienie rzetelnego, opartego na prawdzie stosunku między ludźmi.

Należy tu zrobić jedno zastrzeżenie. Ankietowana młodzież udzielała często odpowiedzi w zakresie zagadnień, co do których nie mogła mieć w pełni wykształconej opinii własnej, to jest wpływającej z jej biografii, utrwalonej w toku doświadczeń i stanowiącej ich uogólnienie. Przykładowo: pytanie o to czy życie niesie ze sobą więcej dobrych czy złych chwil dla nastolatka jest abstrakcyjne. Na tego typu pytania najpospolitszą reakcją jest ubranie w słowa funkcjonującego stereotypu.

Teoria „schizofrenii społecznej” tłumaczy istnienie w naszym społeczeństwie podzielonej świadomości. Jedną jej sferą gromadzi poglądy przeznaczone na użytek zewnętrzny i opinie oficjalne — wszystko sformułowane w języku gazetowo-urzędowym. Druga natomiast dotyczy wewnętrznie akceptowanych wzorów myślenia i działań na użytek prywatny.

Schorzenie to objawia się pod postacią dwóch praw, dwóch skal wartościowania, a nawet dwóch języków. Oficjalna prawda, oficjalne imponderabilia stworzyły swoisty język (pisał już o tym Orwell).

Różnica między tym co się mówi, a tym co się robi staje się z kolei przyczyną zubożenia i zniechęcenia. Przyznając się do braku wyższych celów (w badaniach Gołębiowskiego aż 64 %) ponad połowa młodzieży tak określa przyczynę tego stanu rzeczy: „Inaczej się mówi, inaczej się robi, więc nie warto się w to mieszać”, zaś 1/4 stwierdza wręcz: „Panuje pesymizm, że i tak to nic nie da”.

Do niepewności co jest słuszne, a co niesłuszne w życiu społecznym i osobistym przyznawała się co trzecia z ankietowanych osób (trudności te występowały zaraz za kłopotami materialnymi). Brak możliwości na wpływanie na losy kraju stwierdziło od 73 % do 90 %.

W meandrach „dwójmyślenia” gubią się proste kryteria prawdy i fałszu, dobra i zła — rodzi się cynizm.

W grupie starszej młodzieży spotkano się z taką wypowiedzią: „Klimat obojętności i niewychylania się temperuje młodego człowieka, a wreszcie kiedy jego głos się liczy, to z jego zapału i aspiracji pozostał tylko popiół. Brak wiary w skuteczność działania, gorzkie doświadczenie z pierwszych nieudanych kroków powodują nikłą aktywność w wieku dojrzałym”.

Pisma młodzieżowe publikują sporo materiałów wspomnieniowych, nadsyłanych na przeróżne konkursy jak „Losy absolwentów” czy „Moja pierwsza praca zawodowa”. Skandaliczne marnowanie zdolności, głużenie talentów lub wręcz demoralizacja w zakresie postaw wobec pracy są niemal obsesyjnym motywem tych wypowiedzi. Zjawisko to nie budzi już oburzenia — stało się powszechne. Kwitowane bywa ironicznym uśmieszkiem, desperackim machnięciem ręki. Pociąga za sobą zniechęcenie i apatię, studzi zapał i paraliżuje inicjatywę⁶, wywołuje konformizm i oportunizm, przyciąga mierność i ambitne beztalentia, które adaptując się utrwalają ten porządek.

Są jeszcze inne skutki, które idą dalej. Bezsilność i bezradność wobec otaczającego świata stwarzają poczucie zagrożenia, a ono z kolei rodzi lęk. Głęboka i nieświadomiona jego struktura i usiłowania wyzbycia się go dają impuls do szukania kontaktu z ludźmi: do porozumienia się z nimi i współdziałania, potwierdzenia swego miejsca w tym świecie przez akceptację ze strony innych, zneutralizowanie tych, u których wyczuwa się niechęć a nawet wrogość. Niektórzy badacze twierdzą, że ma to oznaczać potrzebę „jakieś głębszej komunikacji” i wprowadzają nowy termin — *kontaktywność*⁷. Trzeba jednak spojrzeć prawdziwie w oczy: występuje tu wyraźny motyw neurotyczny.

Tak w badaniach S. Nowaka, jak i Z. Baumana młodzież wypowiedziadała się pesymistycznie co do możliwości liczenia na pomoc innych, nie wierzyła w to, że ludzie są dobrzy, uczynni.

Nic więc dziwnego, że w sprawie wyboru wzoru osobowego przez młodzież na pierwszym miejscu znajduje się umiejętność dobrego współżycia z ludźmi.

Interesującą interpretację tego zjawiska dał I. Krzemiński, jeden z współpracowników S. Nowaka⁸. Stawia on dwie hipotezy: albo jest to istotna wartość moralna związana z tolerancją i altruizmem (przeciwko temu przemawia fakt, że altruizm nie jest uwzględniany w wybranym wzorze osobowym), albo wartość czysto pragmatyczna — „zasada techniki współżycia”. Druga hipoteza wydaje się bardziej trafna, jeśli wziąć pod uwagę z jednej strony negatywną ocenę stosunków między ludźmi, a z drugiej niedoceniając wszystkiego co współżycie to ułatwia i umila,

6. Por. artykuł T. Torzańkiej „Na poboczu” (*Przegląd Techniczny — Innowacje*, nr 7 z 1979 r.), w którym przedstawiono losy 14 laureatów nagrody SARP-u im. S. Nowickiego i S. Skrypija za ostatnie 13 lat. Tylko dla czytelników o mocnych nerwach!

7. „Młodzież a wartości” — praca zbiorowa pod redakcją H. Swidy, WSZiP, Warszawa, 1979.

8. I. Krzemiński, „Obcowanie”, *Polityka* nr 45 z 1977 r.

a trudno je sobie w ogóle wyobrazić bez elementarnej bezinteresowności i życzliwości, na które mało kogo dziś stać.

Wyniki uzyskane przez H. Swidę w badaniach z 1973/74 roku zdają się potwierdzać te hipotezy: młodzież ceni najbardziej „łatwość nawiązywania kontaktów z innymi” (51,1%), mniej „umiejętność przychodzenia im z pomocą” (26,2%) lub „dochowanie wierności w przyjaźni” (28,2%).

Z kolei należy zwrócić uwagę na szczególnie wysoką lokatę sprawiedliwości. Kim są ci, którzy łakną i pragną sprawiedliwości? Młodzi licealiści, studenci, młodzież robotnicza. Czy to możliwe, aby w swoim życiu już doświadczyli niesprawiedliwości? Wyrażanych w tym wypadku opinii nie należy chyba rozumieć jako racjonalny postulat, lecz jako reakcję na symbol.

Ciekawe byłyby badania zgłębiające znaczenie pojęcia sprawiedliwości w świadomości potocznej. Można już podkreślić, że polskie myślenie z przedziwną łatwością myli wartościowanie oparte na egalitaryzmie i na sprawiedliwości, a nawet ściślej — zastępuje. O ile sprawiedliwość niesie z sobą zobowiązanie do oddania każdemu tego, co mu się należy i jest zasadą moralną, o tyle postulat równości ma charakter formalno-prawny. Jesteśmy obecnie świadkami ewolucji, w toku której sprawiedliwość zaczyna przekształcać się w roszczenie: „każdemu tyle samo”. Reguła likwidująca przywileje zaczyna przekształcać się w regułę obdarzającą wszystkich przywilejem. Przywilej zaś jest swoistym uprawnieniem wybranych i jego upowszechnienie nie dając tego, co obiecuje, staje się pretensją wszystkich wobec wszystkich.

Jest to symptom patologii wartościowania, której korzenie psychologiczne i społeczne odsłonił Max Scheler w swojej teorii resentymentu⁹.

Resentyment rodzi się z poczucia krzywdy (rzeczywistej czy urojonej) i w sytuacji, w której reakcja na przyczynę zostaje zahamowana, stłumiona. Uczucie niemożności i bezsilności utrwała się, powodując zazdrość, zawiść, złośliwość, szyderstwo.

Interesującym dla nas źródłem odczucia krzywdy jest różnica między należnym (lub rzekomym) uprawnieniem a faktycznym położeniem. Brak możliwości wyrażenia tego konfliktu, lub reakcji czy to w formie buntu czy zdrowej rywalizacji, powoduje trwałe zahamowanie — jednym słowem resentyment.

Powyzszy krótki wywód pomaga nam wyjaśnić tak częste w życiu codziennym zjawisko: bezinteresowną nieżyczliwość.

I. Krzemiński daje tu ciekawą interpretację: „Spontaniczna nieżyczliwość staje się w chwili obecnej najpowszechniejszą postawą (...) nieżyczliwość ma swoisty i z pewnego punktu widzenia

9. M. Scheler, „Resentyment a moralność”, Warszawa, 1977.

niepokojący rys: jest to reakcja nie tylko „odruchowa” ale i bezinteresowna. Nie jest ona świadomie przybieraną postawą sprzyjającą osiągnięciu korzyści lub pożądanym stanów rzeczy ani też wynikiem świadomego dążenia do określonego celu — pojawia się bowiem nie tylko wobec tych, którzy stoją na drodze do jego realizacji. Nieżyczliwość może być niezależnym motywem działania, celem samym w sobie. (...) pragnienie zlekceważenia kogoś drugiego, wyrażenia w ten sposób swojej wobec niego pogardy (...) a także wszystkie te agresywne działania mają służyć podnoszeniu swej własnej wartości, wzmocnieniu pozytywnej oceny samego siebie”¹⁰.

Na trop tego rozpowszechnionego w polskim społeczeństwie poczucia zagrożenia, trudności w ugruntowaniu własnej wartości, naprowadziły nas już analizy danych uzyskanych w badaniach nad młodzieżą. O ile niezbyt jest przekonujące wyprowadzanie tej patologii z „dynamiki przemian społecznych ostatniego trzydziestolecia” (chyba, żeby traktować to jako eufemizm), o tyle bliższe prawdy wydaje się, że u źródeł wyzwania wrogości wobec innych ludzi leży jednocześnie rozpowszechnienie egalitaryzmu i „nakazu awansowania”. Normy te, wyrażające tendencje sprzeczne, rodzą napięcia emocjonalne. Człowiek, który uważa, że otrzymuje mniej niż mu się należy, pierwszy odruch niezadowolonia kieruje przeciwko innym. Więcej nawet — może się czuć zwolniony z konieczności zdobycia społecznego powodzenia pracą, utrzymując w imię egalitaryzmu, że automatycznie powinien mieć odpowiednią pozycję społeczną i prestiż.

Rzeczywista czy wymaginowana krzywda każe bacznie podsumowywać bliźniego w rubrykach „ma” oraz „należy mu się” i biada tym, którym się w życiu powiodło, tym którzy chcą więcej i potrafią lepiej, biada ludziom nieprzeciętnym. Nieustanna czujność na czyjeś powodzenie, złośliwe próby wypaczenia czyichś zasług, podważanie należnych komuś praw są kierowane ukrytą gdzieś głęboko myślą: niech i mnie nie będzie lepiej, byle by innym było gorzej. To duchowe samozatrucie występuje w różnym natężeniu i przybiera różne formy — od aroganckiej pretensji, poprzez ukrytą zazdrość, złośliwość do zapiekłej zawiści i pogardy, przypominając „Niemyte dusze” St. I. Witkiewicza.

Młodzież odwraca się od wartości prestiżowych. Nawet dla tej części, która ceni wzory prestiżu (5,2 %) jest on mniej ważny od pozostałych. Postawy te są wynikiem działania przynajmniej dwóch istotnych mechanizmów.

10. I. Krzemiński, „Nieżyczliwość”, *Polityka* nr 12 z 1977 r.

Pierwszy — nazwijmy go mechanizmem prywatnych źródeł satysfakcji — objawia się w niemal odruchowej niechęci młodzieży do wszelkich sformalizowanych instytucji społecznych (organizacji, pozycji, wyróżnień, autorytetów). Tak więc, podczas gdy zdobycie „znaczenia społecznego” stawia sobie za cel tylko 5,7 %, to zdobyć uznanie i szacunek ludzi pragnie 27,3 % — tak jakby to były dwie zupełnie różne sprawy. Wynika to m.in. z różnicy semantycznej tych określeń. To co ludzkie jest bliższe, oparte na kontaktach twarzą w twarz, to zaś co społeczne oznacza struktury, więzi formalne, leżące poza zasięgiem bezpośrednich doświadczeń młodzieży¹¹. Upragniony ludzki szacunek i uznanie opiera się na widocznym, podlegającym bezpośrednio kontroli otoczenia związku pomiędzy zasługą a wyróżnieniem. Natomiast charakterystyczna dla pewnych struktur niejawnosc podejmowania decyzji, ich arbitralność, fasadowość instytucji je „firmujących” (za którymi nieraz kryją się różne „instancje”), koniunkturalizm — zmniejszają zaufanie i obniżają wartość „znaczenia społecznego”.

Drugim mechanizmem jest panujące wśród młodzieży przekonanie, że prestiż jako wartość „funkcjonuje w sensie negatywnym”: ceni się nie to, aby być lepszym, ale to by nie być gorszym.

Za tą silną, nieukrywaną niechęcią kryje się spaczony resentymentem odczucie wartości — powodzenie jest „podejrzone”, sukces „niezależny”, a zazdrość i zawiść niemal odruchowe. Przy tak skażonym wartościowaniu jednostka skłonna jest przypisywać swoje uczucia innym. Zatem aby uniknąć zagrożenia z ich strony stwarza pozory *désintéressement* wobec wszystkiego, co mogłoby ją wyróżnić *in plus*. W głębi duszy jednak pragnie tych wyróżnień, które pozwoliłyby jej patrzeć z góry na innych, lekceważąc ich i pogardzać nimi.

Ten specyficzny stosunek Polaków do siebie, to wzajemne pomiatanie i puszenie się — jak mawiał St. I. Witkiewicz — jest zwrotne: kto puszy się i wywyższa ten ściąga na siebie nieżyczliwość innych, którzy widzą to prowokujące lekceważenie i zaczynają żywić wrogość wobec zuchwalca, ten zaś — czując się z kolei zagrożonym — broni się, wzmacniając swój pogardliwy stosunek do otoczenia. Zasada „pięknym za nadobne” z reguły prowadzi do eskalacji wzajemnych świadczeń, które nie są ani piękne, ani nadobne.

Kompleks uznania staje się wyzwaniem dla tych, którzy nie raz i nie dwa doświadczyli na sobie tzw. uziemiania czy zgłębia-

11. Interpretacja A. Uhlig j.w. w pracy zbiorowej „Młodzież a wartości”.

nia. Ta odmiana kompleksu niższości będzie albo wynosiła jednych ponad drugich, albo ściągała do jednego poziomu, stwarzając pozory braku zainteresowania dla impulsów, które są źródłem konfliktu.

W życiu społecznym nie ma układów izolowanych, zatem młode pokolenie należy rozpatrywać na szerszym tle sił i procesów społecznych. Oczywista staje się wówczas stabilność pewnych nastawień psychicznych, mimo zmienności form w zakresie obyczaju i postaw. Na przykład ostrożność w stawianiu sobie wysokich celów, asekuracja i umiar w ich realizacji, pesymizm w ocenie następstw są zapewne wynikiem doświadczeń kolejnych pokoleń.

Dzisiaj dźwigamy w dziedzictwie atrofię cnót obywatelskich, degenerację instynktu ryzyka i inicjatywy oraz nasilenie krzewiącego się resentymetu.

W powyższych rozważaniach starałem się uwydatnić te elementy świadomości (i podświadomości) młodego pokolenia, które kładą się cieniem na naszej psychice nie tylko indywidualnej, ale i narodowej.

Wojciech WOLSKI

Śląski dramat ekologiczny

Górnośląski Okręg Przemysłowy, w skrócie GOP, mający podstawowe znaczenie dla potencjału gospodarczego Polski, jest obecnie najbardziej zaniedbanym i ekologicznie zagrożonym zagłębieniem przemysłowym Europy. Pejzaż śląskiej aglomeracji aktualnie oglądany potwierdza w pełni tę gorzką prawdę.

Platanina zardzewiałego żelastwa, rur, szybów kopalnianych, dymiących kominów i wielkich pieców. Labirynty hańd, torowisk, starych, koślawych wiaduktów i przejazdów kolejowych. Kamienne i betonowe koryta — dzisiaj już tylko z nazwy — rzek, pełne trujących wyziewów i ohydnych ścieków. Zapadliska szkód górniczych, z zastygłą na dnie, nieokreślonej barwy, galaretowatą substancją. Połacie martwej, na zawsze zniszczonej ziemi. Chaos i nędza niekończących się dzielnic pokracznych *slums'ów* i rozpadających się ruder. Popękane od podziemnych wstrząsów i zżarte chemikaliami, brudne ściany domów. Brzyd-

kie, staroświeckie fabryki, kopalnie i huty, eksploatowane dniami i nocą, często w samym centrum zatłoczonych miast. Nieustanny i dręczący hałas. Prawie zawsze obecna, przyćmiewająca słońce, gigantyczna i nieruchoma chmura dymu. Ostra i odrażająca woń gazów. Pył nieustępliwie wciskający się do mieszkań, szkół i sklepów, pokrywający mazistą, grubą warstwą domy, ulice, ławki i skwery. Rozpaczliwie walczące o przeżycie, poszarzałe krzewy i precyzyjnie zabetonowane drzewa. Nadejście nocy nie łagodzi brzydoty krajobrazu, ujawnia płonące szlaką wysypiska i posępnymi łunami oświetla wiecznie zaciągnięte mgłą i dymem śląskie niebo.

Dzisiejszy obraz Śląska, swą widmową ekspresją, wywołuje lęk i przygnębienie. Nawet niezaprzeczalnie pozytywne elementy GOP, jak nowe dzielnice mieszkaniowe, rozbudowująca się sieć dróg szybkiego ruchu, czy zmodernizowane śródmieścia kilku miast śląskich, nie zmieniają wrażenia że ten ogromny organizm jest dotknięty procesem powolnej zagłady. Śląsk obecnie stwarza realną groźbę dla egzystencji swej przyrody i zdrowia 3-milionowej rzeszy mieszkańców GOP.

Zniszczenie środowiska naturalnego Śląska

W wyniku wyniszczenia lasów, spowodowanego nadmierną eksploatacją i zaniedbaniami gospodarki leśnej w pierwszej połowie naszego stulecia, centrum GOP zostało prawie całkowicie ogołocone z drzew (0,08 ha lasu na 1 mieszkańca). Złą sytuację miało poprawić w latach 50-tych, utworzenie wokół Śląska leśnego pasa ochronnego. Pierścień leśny o długości 200 km, oraz zalesienie niektórych obszarów GOP, miały zmniejszyć zanieczyszczenie atmosfery i zapewnić poprawę warunków klimatycznych. Jednak te „zielone płuca” Śląska doznały w ostatnim dziesięcioleciu poważnego uszczerbku. Jedną z „przyczyn” był drastyczny wzrost skażenia atmosfery GOP, pyłami i gazami przemysłowymi*. Zawartość biologicznie szkodliwych substancji w powietrzu znacznie przewyższyła możliwości zneutralizowania ich przez śląską roślinność, oraz zmniejszyła jej zdolność regeneracji. Skrajnym przykładem jest całkowita zagłada dużych połaci lasów lublinieckich, w sąsiedztwie szczególnie toksycznych zakładów metalurgicznych w Miasteczku Śląskim. Ogromną wyrwę w pierścieniu leśnym wokół GOP spowodowała budowa, od samego początku krytycznie przez społeczeństwo śląskie przyjętej, huty „Katowice”. Na placu budowy huty legło kilkadziesiąt tysięcy hektarów starego przeważnie drzewostanu. To gigantyczne karczowisko nie zostało dotychczas wyrównane odbu-

* Dane o zanieczyszczeniu atmosfery GOP — niestety niepełne i sięgające jedynie roku 1973 — podaje J. Wróblon w artykule „O niszczeniu środowiska na Śląsku”, *Kultura* nr 1/376-2/377, styczeń-luty 1979, Paryż.

dową nowego lasu i nic nie wskazuje aby miało to nastąpić gdyż akcja zalesiania GOP, poprzednio prowadzona z dużym nakładem pracy i kosztów, została w ostatnich latach zaniechana.

Istniejące na terenie GOP tereny rekreacyjne, obecnie również ulegają zdewastowaniu. Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku, o powierzchni 600 hektarów, położony między Katowicami i Chorzowem, od czasu gdy stracił swego protektora, w osobie, dobrze wspomnianego przez śląskie społeczeństwo, byłego wojewody śląskiego Jerzego Ziętka, staje się coraz bardziej zaniedbany i spustoszony. Park ten miał zasadnicze znaczenie regeneracyjne dla tego mikroregionu, o największym w niecce węglowej skażeniu powietrza, a także największej w Europie gęstości zaludnienia (wskaźnik ten dla Chorzowa w roku 1971 wynosił 4.670 osób na 1 km kwadratowy). Nowe ośrodki rekreacji, jak na przykład katowicka Dolina Pięciu Stawów, o których śląska prasa od dawna rozpisuje się gorliwie i w tonie zbyt optymistycznym, przedstawiają w istocie niezachęcający do odpoczynku, widok rzadkich, karłowatych drzewek i betonowych klepisk. Podobnie żałośnie prezentuje się szata roślinna nowych dzielnic i osiedli mieszkaniowych GOP. Powszechną bowiem praktyką jest zamienianie terenów budowlanych w krajobraz łąki księżycowy. Przyczyną jest zrywanie życiodajnych, wierzchnich warstw gleby aż do gliniastego podłoża, co powoduje że nowopowstałe dzielnice ogołoczone zostają z krzewów i drzew. Mieszkańcy tych „wzorcowych” osiedli czekają potem dziesiątkami lat na odnowę roślinności.

Należy ponadto zwrócić uwagę na mało znany fakt, że destrukcyjny wpływ śląskiego przemysłu na przyrodę nie ogranicza się jedynie do terenu GOP. Proliferacja przemysłu u podnóża Beskidu Śląskiego, będącego dotąd zielonym salonem wypoczynkowym GOP, stwarza ryzyko niekorzystnych zmian ekologicznych również tego rejonu. Emisja pyłów i gazów nowozbudowanej huty „Katowice” zagraża odległemu zaledwie o 40 km na wschód, parkowi narodowemu w Ojcowie. Ta najpiękniejsza partia Jury Krakowskiej, będąca unikalnym pomnikiem przyrody polskiej, zdaniem specjalistów może w stosunkowo niedalekiej przyszłości zostać zniszczona przez opady przemysłowe, w równym stopniu jak zostały zniszczone zaledwie po 3 latach eksploatacji huty „Katowice”, przylegające do niej tereny leśne. Tragiczny obraz tych lasów wymownie świadczy co może niezadługo zdarzyć się w rezerwacie Ojcowa. Nie można także pominąć możliwości destrukcyjnego działania emisji kominów huty „Katowice” na nieodległy Kraków i jego zabytki, o których rozpaczliwym stanie ostatnio pisze nawet prasa reżymowa. Bardzo wątpliwe czy to nowe, poważne zagrożenie, o którym prasa PRL wstydliwie milczy, pozostanie bez ujemnego skutku dla powodzenia zainicjowanej jesienią 1978, ogólnopolskiej akcji ratowania zabytków starego Krakowa.

Istotnym elementem zagrożenia ekologicznego jest skażenie wód na obszarze GOP. Przepływające przez GOP, największe polskie rzeki Odra i Wisła są w wysokim stopniu zanieczyszczone. Odra spływa na terytorium Polski z czeskiego zagłębia morawsko-ostrowskiego, w zasadzie już jako ściek przemysłowy. Nie przeciwdziała temu kontrolny posterunek rzeczny ONZ, zainstalowany na prośbę PRL na granicy polskiej. Wisła jest obecnie zanieczyszczana przez liczne, nowe zakłady przemysłowe na Podbeskidziu, nawet w swym górnym biegu, a na wysokości Oświęcimia, skażenie rzeki gwałtownie wzrasta z powodu ścieków oświęcimskiego kombinatu chemicznego, oraz dopływu z terenu GOP bardzo skażonej Przemszy. Lokalne, mniejsze rzeki śląskie Rawa, Kłodnica, Bytomka i Brynica z powodu ogromnego zanieczyszczenia mają charakter kanałów ściekowych. Dla przykładu w rzece Rawie przepływającej przez śródmieście Katowic, woda stanowi jedynie 40 % zawartości, pozostałe 60 % stanowią dające się określić oraz niezidentyfikowane płynne chemikalia. W tej sytuacji zaopatrzenie GOP w wodę urasta do niezwykle trudnego problemu. Od dawna wiele rejonów GOP dotkliwie cierpi na niedostatek wody i okresowe przerwy w jej dostawie. Deficyt wody na Śląsku pogłębił się dodatkowo wskutek oddania do eksploatacji huty „Katowice”, której zapotrzebowanie na wodę jest ogromne. Jednocześnie budowa zbiorników retencyjnych wody dla pokrycia potrzeb Śląska jest albo chybiona (zbudowany w 1963 pod Siewierzem zbiornik wodny na Czarnej Przemszy przestał istnieć z powodu złych warunków geologicznych), bądź opóźniona lub ilościowo niewystarczająca. Według nielicznych wzmianek które ukazały się w roku 1978 w codziennej prasie PRL, między innymi w *Życiu Warszawy*, niezwykle groźny deficyt wody, przede wszystkim wody pitnej, ujawnił się na Śląsku w roku 1981, a więc już za 2 lata. Nie trudno odgadnąć jaki to będzie miało wpływ na warunki życia ludności Śląska i jego przyrodę. Wiadomo bowiem z dotychczasowej praktyki stosowanej w PRL, że zakłady przemysłowe nie będą raczej objęte restrykcjami w dostawach wody, a więc poszkodowani zostaną głównie mieszkańcy GOP, którzy mogą być wówczas dotknięci dodatkową plagą — racjonowaniem wody pitnej.

Zbyt duża koncentracja ciężkiego przemysłu na Śląsku, do czego walenie przyczyniły się kontrowersyjne inwestycje ostatnich lat, jak również wtórna zagłada przyrody, spowodowały wystąpienie niekorzystnych zmian klimatycznych w obszarze GOP. Na Śląsku ukształtował się i obecnie utrwał specyficzny mikroklimat. Cechami charakterystycznymi jego są, znaczne i długotrwałe zmniejszenie nasłonecznienia, stale zwiększające się ogólne ocieplenie (średnia roczna temperatura regionu GOP jest wyższa o kilka stopni od analogicznej średniej sąsiadujących z GOP województw), oraz zwiększone wysychanie gleby z wszystkimi negatywnymi skutkami dla roślinności. Ten niekorzystny

mikroklimat, uboczny i niepożądany efekt przestarzałej lub wadliwej działalności przemysłu GOP, wybitnie pogarsza warunki życiowe i zdrowotne ludności Śląska.

Niszczenie infrastruktury Śląska

Głównym czynnikiem mającym destrukcyjny wpływ na obiekty przemysłowe, domy mieszkalne i budynki użyteczności publicznej na Śląsku są rozległe szkody górnicze. Przyczyną szkód są lokalne ruchy tektoniczne wywołane górnictwem eksploatacją złóż węgla i rudy. W ostatnich latach szkody górnicze w obrębie miast GOP wyraźnie nasiliły się. Jest to ściśle związane ze stosunkowo niedawną decyzją eksploatacji pokładów węgla leżących bezpośrednio pod gęsto zabudowanymi śródmieściami Katowic, Chorzowa, Bytomia i innych miast GOP. Wydobywanie złóż o takiej lokalizacji uważane jest powszechnie za ryzykowne i nieekonomiczne ze względu na rozmiary wywołanych tym szkód infrastruktury miejskiej. Eksploatacja złóż węgla, ogólnie zwana w śląskiej gwarze górnictwem „rabunkiem”, dosadnie w tym przypadku oddaje *meritum* nieodpowiedzialnej decyzji, nakazującej wydobywanie węgla spod dużych aglomeracji miejskich. Jest to istotnie rabunkowa gospodarka górnictwa, zupełnie nie licząca się z powstałymi na powierzchni stratami materialnymi. Oficjalne zapewnienia o nieszkodliwości takiej działalności, jak również próby zapobieżenia jej ujemnym skutkom przez stosowanie techniki podsadzkowej, czyli wypełnianie piaskiem wyeksploatowanych pokładów, bynajmniej nie chronią przed znacznymi szkodami górnictwem na terenach miejskich GOP. Świadczą o tym coraz liczniejsze osunięcia ścian budynków na terenie GOP. Przykładem może być załamanie się konstrukcji i zawalenie gmachu szkoły na obszarze eksploatacyjnym kopalni węgla „Pokój” w Nowym Bytomiu, wiosną 1977. O istniejącym zagrożeniu naocznie można się przekonać, chociażby oglądając popękane ściany nowych kilkunastopiętrowych bloków mieszkalnych reprezentacyjnego Osiedla Tysiąclecia w Katowicach. Niedaleka przyszłość okaże ile tych wieżowców trzeba będzie ewakuować i przeznaczyć do rozbiórki. Inne elementy infrastruktury miejskiej, sieć komunikacyjna oraz wszelkiego rodzaju instalacje podziemne również ulegają rozległym uszkodzeniom z powodu ciągle powtarzających się wstrząsów wywołanych działalnością górnictwa.

Szkody górnicze nie omijają także naturalnego środowiska GOP. Rażącem przykładem była konieczność awaryjnego wybetonowania koryta jednej z rzek rybnickiego okręgu węglowego, na odcinku długości około 6 km. Jedyną przyczyną tej nieplanowanej ale drogiej operacji (koszt sięgał kilkudziesięciu milionów złotych) był odgórnie narzucony kopalni rozkaz wydobywania, znajdującego się pod tym odcinkiem rzeki, a poszukiwanego

na rynkach zagranicznych, złoża węgla koksującego. Wydobywanie węgla spod rzeki spowodowało nieprzewidziane skutki w postaci wyschnięcia rzeki i wodnego zbiornika retencyjnego. Jednakże tzw. priorytety eksportowe przeważały, pociągając za sobą tę kosztowną, a w dodatku niepotrzebną inwestycję, której uniknięto by przestrzegając reguł rzemiosła górnictwa.

Stała emisja pyłów i gazów przemysłowych ma, obok szkód górniczych, destrukcyjny wpływ na obiekty powierzchniowe GOP. Erozja tynków oraz zewnętrznych wykładzin ceramicznych i metalowych jest tak duża, że po stosunkowo krótkim czasie elewacje nawet nowych budynków są całkowicie lub w znacznym stopniu zniszczone. Dodatkowym skutkiem emisji jest stale pogłębiające się zanieczyszczenie miast śląskich, co ma zdecydowanie niekorzystny aspekt estetyczny.

Zagrożenie zdrowia ludności Śląska

Medycyna przemysłowa zajmująca się chorobami zawodowymi określiła dostatecznie dokładnie jakie skutki dla organizmu człowieka ma długotrwały kontakt ze szkodliwymi substancjami w postaci pyłów, gazów i innych trujących związków chemicznych powstałych w toku przemysłowych procesów produkcyjnych. Celowe jest przedstawienie w ogromnym skrócie, tego zagadnienia. Pozwoli to zrozumieć co zagraża mieszkańcom Śląska, nawet tym nie stykającym się z **awodowo** z wymienionymi substancjami. Populacja Śląska jest od wielu lat narażona na stały kontakt z szerokim spektrum substancji toksycznych, często o bardzo dużym stężeniu.

Pyły przemysłowe, nawet te nietoksyczne, mogą wywołać pylicę płuc i wielokrotnie występowanie zapalnych schorzeń układu oddechowego. Gazy przemysłowe wywołują efekt ogólnie toksyczny, mogą także wybiórczo uszkadzać poszczególne narządy wewnętrzne człowieka. Stałe związki chemiczne, zwłaszcza sole metali ciężkich jak ołów, kadm, stront oraz silne trujące nieorganiczne arsen, siarka, fosfor, wywołują charakterystyczne zatrucia i często nieodwracalne uszkodzenia organów wewnętrznych. Na szczególne podkreślenie zasługuje obecność w emisji wielkoprzemysłowej ciał radioaktywnych, w postaci uranowców lub izotopów promieniotwórczych. Związki radioaktywne odkładają się często jako trwałe złogi w węzłach chłonnych i kościach. W połączeniu z działaniem organicznych związków chemicznych pochodzenia przemysłowego i spalinami samochodowymi wpływają na wzrost zachorowań na choroby nowotworowe wśród ludności regionów wysokoprzemysłowych, takich jak Śląsk.

Badania atmosfery GOP, wykonane przed 3 laty na użytek śląskiego komitetu partii, wykazały poza znacznie zwiększoną ilością rozmaitych pyłów przemysłowych, obecność ponad 30

gazowych ciał chemicznych, toksycznych dla żywych organizmów. Stężenie tych trujących związków przewyższało wówczas kilka lub kilkanaście razy dopuszczalną normę. Wykazano ponadto że w pewnych obszarach Śląska, zwłaszcza w pobliżu przestarzałych zakładów metalurgicznych, oraz starych i nowszych kombinatów chemicznych, lokalne skażenie niektórymi toksynami przekraczało najwyższą dopuszczalną normę aż kilkadziesiąt-krotnie (!). Tego wstrząsającego raportu nigdy nie podano do wiadomości społeczeństwa śląskiego. Co gorsza, należy podejrzewać że pomimo krytycznej sytuacji władze województwa nie podjęły odpowiednich środków zaradczych, względnie usiłowało usunąć zło jedynie przy pomocy nieskutecznych zarządzeń administracyjnych co nie przyniosło żadnej widocznej poprawy sytuacji. Natomiast wydaje się że skażenie powietrza na Śląsku ostatnio nawet zwiększyło się. Dowodem jest wzmogona emisja gazów przemysłowych dokonywana celowo w nocy, ażeby w ten szczególnie podstępny sposób ukryć przed mieszkańcami GOP nasilenie i rozmiary emisji. Zakłady przemysłowe GOP nie stosowały poprzednio tej praktyki, lub używały jej tylko sporadycznie.

Stałe przebywanie ludności śląskiej w skażonym środowisku wywiera zdecydowanie patologiczny wpływ na stan jej zdrowia. Obecnie coraz częściej wśród mieszkańców GOP stwierdzane są schorzenia pochodzenia przemysłowego podobne do chorób zawodowych. Dawniej choroby zawodowe występowały wyłącznie u osób stykających się bezpośrednio i profesjonalnie z toksynami przemysłowymi. Z braku aktualnych badań naukowych dokładna ocena rodzaju i zakresu schorzeń pochodzenia przemysłowego występujących wśród śląskiej ludności jest jednak niemożliwa. Władze PRL i województwa śląskiego nie podejmują żadnej inicjatywy ażeby badania takie wykonano. Problem ten jest pomijany głuchym milczeniem przez środki masowego przekazu i zakazany w publikacjach naukowych. Zakaz publikowania danych o zagrożeniu zdrowia mieszkańców GOP został narzucony centralnie i jak zwykło się w PRL mawiać, pryncypialnie. Zakaz obowiązuje nadal wbrew żywotnym i podstawowym interesom społeczeństwa śląskiego.

Dla ukazania jak groźna jest obecnie rzeczywistość Śląska i jak nagląca potrzeba przeprowadzenia akcji ratowania Śląska należy ujawnić, starannie dotąd ukrywany w PRL, fakt o wstrząsającej wręcz wymowie. Władze Śląskie zmuszone były w ciągu ostatnich 2 lat ewakuować znaczną część ludności wschodniej dzielnicy Katowic, ze względu na groźbę powszechnego zatrucia ołowiem jej mieszkańców. Dzielnica ta, dawniej 30-tysięczne samodzielne miasto Szopienice, została w latach 60-tych decyzją administracyjną przyłączona do Katowic. Szopienice były i są nadal największym w Polsce ośrodkiem produkcji cynku. Szopienickie zakłady cynkowe produkują wiele tzw. metali kolorowych, w tym ołów. Toksyczność przestarzałych i nadmiernie eksploatowanych zakładów szopienickich, znana jest od dawna

ich załodze. Wśród wielu tam występujących chorób zawodowych, zawsze szczególnie liczne były przypadki zatrucia ołowiem. Sporadyczne przypadki zatrucia ołowiem stwierdzano także u niezatrudnionych w hucie mieszkańców Szopienic. Zatrucie ołowiem jest schorzeniem nieuleczalnym i bardzo złośliwym. Napadowe, trwające czasem wiele dni, silne bóle brzucha nazywane nieadekwatnie do ich natężenia kolką ołowiczą, nie dają się uśmierzyć żadnymi środkami przeciwbólowymi. Zatrucie ołowiem, zwane ołowicą, powoduje nieodwracalne i pełne cierpienia inwalidztwo osób dotkniętych tym schorzeniem.

W roku 1975 wzrosła gwałtownie ilość przypadków zatrucia ołowiem wśród ludności Szopienic zamieszkującej w pobliżu huty ołowiu. Szczególnie często stwierdzano występowanie objawów zatrucia u niemowląt i małych dzieci, co zazwyczaj kończyło się tragicznie. Ze względu na stale zwiększającą się liczbę nowych przypadków ołowicy, władze zmuszone były ewakuować wszystkie dzieci z najbardziej zagrożonych terenów obok szopienickiej huty ołowiu. Dzieci zostały umieszczone w odległych prewatoriach i sanatoriach, co spowodowało wielomiesięczną rozłąkę z rodzicami. Ponieważ stopień skażenia ołowiem terenu Szopienic nadal wzrastał, władze zamiast nakazu natychmiastowego zamknięcia śmiertelnej huty, zarządziły ewakuację dorosłych mieszkańców. W ciągu 2 lat przesiedlono do innych miast Śląska, blisko 6 tysięcy mieszkańców z najbardziej skażonego obszaru dzielnicy Katowice-Szopienice. Całą akcję przeprowadzono z jak największą troską o... ukrycie liczby zatruc oraz nienadawanie rozgłosu temu przymusowemu wysiedlaniu. Równocześnie starano się usilnie o utrzymanie przez hutę produkcji ołowiu na dotychczasowym poziomie, zwiększając bez troski skażenie okolicy. Obecnie w centrum Szopienic straszą opustoszałe, na wpół zrujnowane domy, niemy znak istniejącego nadal zagrożenia ludności tej robotniczej dzielnicy Katowic. Był to pierwszy w historii Śląska, ale na miarę europejską skandaliczny, masowy *exodus* spowodowany zagrożeniem przemysłowym. Jeżeli władze PRL nie podejmą akcji generalnej poprawy warunków ekologicznych i bytowych na obszarze GOP, należy sądzić że precedens szopienicki będzie na terenie Śląska powtarzał się w coraz większej skali.

Niepodobna w ramach pojedynczego artykułu zawrzeć całokształtu zagadnień związanych z ekologicznym zagrożeniem Śląska. Na Śląsku istnieją inne, poza skażeniem środowiska, czynniki ujemnie wpływające na zdrowotność ludności. Wymienić trzeba chociażby — uciążliwy hałas, przeludnienie, odgórnie narzucony pośpiech i frustrację. Zjawiska te przyczyniają się do rozwoju nerwic, nadciśnienia tętniczego oraz powstawania innych schorzeń układu nerwowego i krążenia.

Całkowicie pominiawszy złe warunki pracy, ilość wypadków i chorób zawodowych w przestarzałych lub niebezpiecznych zakładach pracy, znaczne zaniedbanie zaplecza socjalnego i głód

mieszkaniowy na Śląsku, należy tylko wskazać pewne, dotychczas niezbadane, lub nieporuszone, ale istotne dla GOP zagadnienia, stanowiące w PRL rodzaj swoistego tabu. Mianowicie, nadal niewiadomą pozostaje stopień skażenia Śląska radioaktywnością, wpływ przemysłu zbrojeniowego na niszczenie środowiska śląskiego, czy dalekosiężne skutki złamania bariery adaptacyjnej środowiska biologicznego na Śląsku. Systematyczne i kompleksowe badania potrzebne są, nie dla zaspokojenia ambicji czy ciekawości naukowej, lecz w celu stworzenia obiektywnej i specjalistycznej podstawy dla ratowania równowagi ekologicznej Śląska. Pesymistyczne głosy, że ratunek jest spóźniony, nie odpowiadają prawdzie, ponieważ powszechnie znane są przykłady odratowania bardzo zanieczyszczonych i kompletnie ekologicznie zniszczonych regionów przemysłowych w Europie. Dzięki uporczywym, mądrym i zapobiegliwym staraniom w ostatnim dziesięcioleciu odżyły — skażony makroregion londyńskiej Tamizy i czarne zagłębie Ruhry. Piszcie o tym nawet prasa PRL, zawsze niechętna osiągnięciom zachodniej Europy*.

Obiektywnie należy stwierdzić że część zaniedbań GOP pochodzi jeszcze z okresu rozbiorów Polski, część jest spuścizną czasów gospodarowania na Śląsku obcego kapitału. Jednakże władze PRL w czasie swych 35-letnich rządów, niewiele uczyniły ażeby naprawić stare zaniedbania, lub by uchronić Śląsk przed zagrożeniem współczesnym. Przeciwnie, przez nadmierną eksploatację bogactw naturalnych i przemysłu GOP, oraz wyzysk ludności Śląska, ukrywając przed opinią społeczną krytyczną sytuację GOP, doprowadzono do pogłębiającej się ruiny i ekologicznego zniszczenia Śląska.

Przyszłość Śląska uzależniona jest od tego, czy podjęta zostanie akcja racjonalnej, wieloletniej odbudowy i troskliwej ochrony środowiska naturalnego, obejmująca cały makroregion śląski. Akcja taka powinna stać się podstawowym i głównym zadaniem ekologicznym przyszłego dziesięciolecia w Polsce. Obecnie jednak wiadomo, że perspektywy odratowania GOP zostały oddalone — lub nawet całkowicie zniweczone — uchwałą XII plenum KC PZPR o zagospodarowaniu i regulacji rzeki Wisły. Ta, krytycznie przez społeczeństwo polskie przyjęta, decyzja o drugoplanowym znaczeniu, została przez propagandę PRL okrzykana naczelnym problemem nadchodzącej dekady. Górnośląski Okręg Przemysłowy pozostawiono własnemu — z winy reżymowych władz — złemu losowi.

Śląsk był dawniej nazywany perłą w koronie Rzeczypospolitej. Dzisiaj ta perła straciła blask, jutro może zmienić się w bolesny cień. Sprawą wszystkich Polaków jest uratowanie śląskiego klejnotu przyszłej Rzeczypospolitej.

Zygmunt STANKIEWICZ

* M. Podkowiński, artykuł „Ruhra zmienia skórę”, *Perspektywy* nr 9 (496) z 2 marca 1979, Warszawa.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W listopadzie 1979 r. z łamów zachodniej prasy nie schodziły plotki o mających nastąpić zmianach w sowieckim Politbiurze. Zachodni dziennikarze rozumowali logicznie: Breżniew jest stary i chory, szuka zastępcy i chce przejść do historii jako Pierwszy Sekretarz Generalny, który zorganizował spokojną i legalną zmianę władzy. Ale logika zachodnich dziennikarzy i działaczy politycznych wygląda od strony sowieckiej tak śmiesznie, że czytając te przewidywania Breżniew rzeczywiście mógł umrzeć ze śmiechu. Wodzowie sowieccy sami, dobrowolnie, nie przechodzą na emeryturę. Najbardziej jaskrawym przykładem są losy Mikojana. Odszedł dobrowolnie, zdążył nawet podpisać napisane dla niego pamiętniki. Ale nie zmarł przy władzy, został okradziony po śmierci — nie pochowano go przy ścianie kremłowskiej, tak jak się należało komuś na jego stanowisku. Niewątpliwie przykro mu teraz oglądać ze swego kotła w piekle — jemu który przeżył wszystkich od Lenina do Chruszczowa — jak wyrzucano go z historii.

Plenum KC, które zebrało się w końcu listopada, zostawiło wszystko po staremu — tylko Nikołaj Tichonow, były kandydat, został rzeczywistym członkiem Politbiura. Utrzymano go na stanowisku zastępcy przewodniczącego Rady Ministrów, ale ponieważ Przewodniczący, A. Kosygin, jest ciężko chory — Tichonow faktycznie wykonuje obowiązki przewodniczącego. W wypadku śmierci Kosygina automatycznie zostanie przewodniczącym. Ma zresztą do tego wszystkie dane: jest pierwszym zastępcą od 1976 roku, jest starym przyjacielem Breżniewa z Dniepropietrowska, wreszcie ma 74 lata — wiek niezbędny dla dojścia do Politbiura. Niespodzianką było wybranie na kandydata członka Politbiura Michaiła Gorbaczewa, który jest w wieku dzieciennym — ma 48 lat. Jest on prawie dwa razy młodszy od innych członków. Powierzono mu najbardziej niewdzięczną pracę w ZSSR, a mianowicie kierowanie gospodarką rolną. Tak że nie jest pewne czy

dojdzie do stanowiska pełnego członka Politbiura. Tym bardziej, że w tym „klubie wodzów” młodych, próbujących przebić się do góry, zjada się bez żadnej litości. W czasie 15-tu lat panowania Breżniewa zjedzono ich co najmniej pół tuzina. Ale to właśnie brak młodych wilków, które zgrzytając zębami czekają na uchwycenie tronu, nadaje dzisiejszej grupie breżniewowskiej specjalną stabilność.

Cała władza w państwie znajduje się w rękach 14-tu starców (przeciętny ich wiek 70 lat), którzy o problemie władzy decydują tylko we własnym gronie. Wejście do nich, do pokoju Nr 1, jest zakazane nawet sekretarzom KC, nie będącym członkami Politbiura. Sekretarze znajdują się w pokoju Nr 2, itd. Przejście z niższego pokoju do wyższego jest możliwe jedynie na polecenie „wyższego” pokoju.

Stabilność władzy pozwoliła Breżniewowi wystąpić na plenum KC z przemówieniem o sytuacji w kraju, które w każdym innym państwie spowodowałoby natychmiastową zmianę kierownictwa. Breżniew mówił o wykonaniu planu za rok 1979 i o zadaniach na rok 1980. Ponieważ rok 1980 jest ostatnim rokiem 11-tej piątilatki, wystąpienie Breżniewa podsumowało działalność ekonomiczną kraju za okres pięcioletni. Podsumowanie katastrofalne nawet przy danych statystyki sowieckiej.

Plan nie był wykonany we wszystkich zasadniczych dziedzinach przemysłu, tak że trzeba było obniżyć zadania na rok bieżący. Ale położenie w przemyśle wygląda różowo w porównaniu z sytuacją w gospodarstwie wiejskim. Po raz pierwszy wymieniono cyfrę zboża zebranego w ubiegłym roku — 179 milionów ton. Plan przewidywał 227 milionów ton. Breżniew oświadczył, że „zapewnienie regularnego zaopatrywania i produkcji szerokiego asortymentu produktów żywnościowych wysokiej jakości jest jednym z najważniejszych zadań, wynikających z polityki partii dla podniesienia dobrobytu pracujących”. W przekładzie na ludzki język oznacza to, że w bieżącym roku po dawnemu nie będzie mięsa i po dawnemu będą przerwy w dostawie wszystkich produktów żywnościowych.

Generalny Sekretarz wyliczył — zwykle nie robiło się tego — nazwiska 12-tu ministrów ponoszących odpowiedzialność za niewykonanie planu, brak produktów itp. Pośrednio była to krytyka chorego Kosygina, który odpowiada za gospodarkę. Partia, jak zwykle, wszystkie sukcesy zapisuje na swoje konto, a wszystkie niepowodzenia na rachunek organów państwowych. Ale nawet ta lekka krytyka ministrów była raczej zrobiona na pokaz, gdyż na zebraniu Najwyższego Sowietu, które miało miejsce po plenum KC, wszyscy ministrowie zachowali swoje stanowiska.

Przyznanie się do klęsk ekonomicznych nie kosztowało wiele Breżniewa, a to z różnych przyczyn. Przemysł wojenny pracuje dobrze i Związek Sowiecki — według świadectwa wszystkich zachodnich ekspertów — jest obecnie w dziedzinie wojskowej

pierwszym krajem w świecie. Ludności nie grozi głód. Obywatele sowieccy odżywiają się źle i z każdym dniem coraz gorzej, ale to nie jest głód, gdyż USA sprzedaje ZSSR zboże potrzebne dla zaspokojenia niezbędnego minimum. Powstała w tej chwili sytuacja, w której Związkowi Sowieckiemu jest znacznie wygodniej importować produkty rolne, niż rozwijać produkcję własną. Kołchoźnik produkuje rocznie 4 i pół tony ziarna — amerykański farmer 54,7 ton. Kołchoźnik 320 kg mięsa — amerykański farmer — 4.570 kg, itd. Przewiezienie tony zboża z USA jest dwa razy tańsze niż wyprodukowanie jej w ZSSR. Produkcja kukurydzy, soi, jajek i mięsa kosztuje w Stanach Zjednoczonych 25 % ceny produkcji w ZSSR.

Związek Sowiecki zaoszczędziłby poważne sumy, gdyby w ogóle zaczął importować wszystkie produkty. Kto wie, może i do tego dojdzie.

I wreszcie stabilność sytuacji w ZSSR jest również zabezpieczona sukcesami polityki zagranicznej. W dniach kiedy odbywało się plenum KC i posiedzenie Rady Najwyższego Sowietu, cały świat z napięciem obserwował sytuację w Iranie. Prasa sowiecka, radio, telewizja przedstawiały wydarzenia w Iranie jako wyraz prawdziwego gniewu narodu irańskiego przeciw amerykańskiemu imperializmowi, jako porażkę USA.

Związek Sowiecki głosował w ONZ za potępieniem wzięcia amerykańskich dyplomatów jako zakładników. Ale sowieckie *mass media* mówią o tym nieśtychanie mało. O sytuacji w Iranie informuje się jedynie poprzez przedrukowywanie informacji zagranicznych agencji prasowych. Preparuje się je — przykładowo — w ten sposób: „Jedynym warunkiem uwolnienia wszystkich obywateli amerykańskich, znajdujących się w charakterze zakładników w budynku amerykańskiego poselstwa w Teheranie, jest wydanie Iranowi byłego szacha — oświadczył dzisiaj, w wywiadzie udzielonym korespondentom amerykańskich telewizji, Ayatollah Khomeini” (*Izwestia*, 20. XI. 1979). Komunikaty zagranicznych agencji prasowych podaje się bez komentarzy, ale preparuje je się w ten sposób, że słuszność postępowania Khomeiniego i jego stronników nie wzbudza żadnej wątpliwości.

Informacje o wydarzeniach w Iranie podaje się obywatelom sowieckim tak samo jak podawano informacje o wojnie w Europie w latach 1939-1940: na pierwszym miejscu komunikat niemiecki, a pod nim *petitem* skrócone i zniekształcone komunikaty francuskie i angielskie.

Chęć przedstawienia wydarzeń w Iranie jako wybuchu sprawiedliwego gniewu narodu irańskiego przeciw imperialistom amerykańskim doszła do tego, że odłożono obchód 150-letniej rocznicy śmierci wielkiego poety rosyjskiego A. Gribojedowa. 11 listopada 1829 roku mieszkańcy Teheranu — w sprawiedliwym gniewie przeciwko rosyjskiemu imperializmowi — wdarli się do rosyjskiego poselstwa i zabili wszystkich rosyjskich dyplomatów

(z wyjątkiem jednego), a w tej liczbie i posła A. Gribojedowa. Przypomnienie o tym wydarzeniu byłoby pouczające, ale niewygodne. Dlatego o Gribojedowie dzisiaj w Moskwie nie wspomina się.

Pierwszy komentarz o wydarzeniach w Iranie dał zastępca kierownika międzynarodowego oddziału KC KPZS, Wadim Zagładin, który przyjechał z wizytą do Paryża. W wywiadzie udzielonym redaktorowi *Le Monde* (28. XI. 1979), Zagładin — jeden ze strategów międzynarodowej polityki komunistycznej — wyjaśnił, że „jest konieczne zrozumienie narodu irańskiego” nawet jeśli „można się nie zgadzać z niektórymi metodami, wykorzystywanymi przez pewne elementy w tym kraju”.

4 grudnia, dokładnie w miesiąc po wzięciu zakładników, pierwsze komentarze pojawiły się w prasie. Stosunek Związku Sowieckiego do wydarzeń w Iranie wyłożony jest w nich jasno i wyraźnie: wzięcie dyplomatów jako zakładników jest sprzeczne z prawem międzynarodowym, ale pierwsi naruszyli je Amerykanie. A więc winni są tylko oni. Oni są winni, że powstała niebezpieczna sytuacja w świecie, są winni że zwrócili się do Rady Bezpieczeństwa i do Trybunału Międzynarodowego w Hadze. Winni są w tym, że — według ścisłych sowieckich wiadomości — przygotowują napad na Iran. To oni szantażują Iran.

Wypowiedzi Zagładina i komentarze *Prawdy* świadczą o tym, że stratedzy sowieccy doszli do przekonania, że ich sytuacja w Iranie znacznie się wzmocniła.

Stosunki między islamem i komunistami zaczęły się z miejsca po rewolucji październikowej i od pierwszych dni religia i ideologia starały się wykorzystać jedna drugą. Religia istniejąca 15 wieków ma pewne przywileje w zestawieniu z ideologią istniejącą półtora wieku, nie ma jednakowoż wątpliwości, że w ciągu ostatnich 60-ciu lat ideologia wykorzystała religię, a nie odwrotnie.

Historia jak wiadomo niczego nie uczy, ale daje możliwości by wesoło się pośmiać. Oto tekst: „Bracia! Nadszedł dzień w którym możecie zacząć się przygotowywać do prawdziwej świętej wojny przeciw waszym ciemnościom... Bracia! Wzywamy was do świętej wojny, do „dżichadu” przede wszystkim przeciwko imperializmowi...”. Ten tekst czytelnicy znaleźli w swoich piśmie i gazetach w końcu listopada 1979 roku. Tam gdzie postawiłem kropki było „amerykańskiemu”, ale ja zacytowałem wezwanie do świętej wojny, które wygłosił w 1920 roku w Baku, na kongresie narodów wschodu, Grigorij Zinowiew. Przedstawiciel kominternu wzywał muzułmanów całego świata do „dżichadu” przeciw angielskiemu imperializmowi. Niezależnie od wszystkich braków, które można by zaobserwować u Ayatolli Khomeiniego, trudno go podejrzewać o czytanie przemówień Zinowiewa. Zbieg okoliczności jest jednak ciekawy.

W 1919 roku Trocki, z właściwą mu skłonnością do śmiałych

metafor, oświadczył: Droga do Paryża prowadzi przez Kalkutę. Dzisiaj trzeba by dodać — przez Teheran.

W Moskwie zmieniali się generalni sekretarze, zmieniała się taktyka, ale cel pozostawał niezmienny. Na kongresie w Baku, który zgromadził 1891 delegatów, najliczniejszymi delegacjami były turecka i irańska. Istniejąca już wówczas irańska kompartia przysłała 192 delegatów. Historia irańskiej KP przypomina historię wszystkich innych. Wierna Moskwie traciła swych członków rozstrzelanych i zamęczonych w więzieniach szacha i na Łubiance. Okres jej rozkwitu to lata 1941-1948. W 1946 roku, co prawda na krótko — od sierpnia do października — trzech przedstawicieli partii wchodziło w skład rządu irańskiego (precedens o którym zapewne niedługo się przypomni). W 1941 roku partia zmienia swoją nazwę na partię Tudeh. W 1949 roku szach ogłasza partię Tudeh — która próbowała w latach 1945-1946 wprowadzić władzę sowiecką w irańskim Azerbejdżanie — za nielegalną. Szeregowi członkowie partii podlegli najokrutniejszym prześladowaniom, przywódcy znaleźli schronienie w Moskwie. Od 1957 roku KC Tudeh znajduje się w Lipsku i we Wschodnim Berlinie.

Zaburzenia w Iranie, które zaczęły się latem 1978 roku, były dla partii zaskoczeniem, chociaż pierwszy sekretarz Iradj Isanderi w wywiadzie dla pisma *Problemy świata i socjalizmu* (wrzesień 1978) oświadczył: „Wydarzenia nie zaskoczyły naszej partii”. Marksistów, jak wiadomo, nigdy nie można zaskoczyć. Tym niemniej partia chwilowo straciła głowę, nie wiedząc jak się ustosunkować do Khomeiniego. A i w Moskwie jeszcze wtedy nie wypracowano polityki w stosunku do niego. Decyzje były powzięte w styczniu 1979 roku. Został zmieniony pierwszy sekretarz KP Tudeh. Nowy sekretarz Nurreddin Kianouri w pierwszym oświadczeniu dla prasy zachodniej powiedział, że kocha, szanuje Ayatollę Khomeiniego: „Przez ostatnie 20 lat Ayatolla Khomeini walczył z szachem i z imperializmem we wszystkich jego odmianach... My całkowicie podtrzymujemy jego postulaty” (*Newsweek*, 23. I. 1979).

Tudeh całkowicie i bez zastrzeżeń podtrzymał uwięzienie amerykańskich dyplomatów jako zakładników. I dziś partia nabiera coraz większego znaczenia w tym, co można nazwać życiem politycznym Iranu. Prasa irańska przestała krytykować Związek Sowiecki, który uważa się za naturalnego sojusznika przeciw Stanom Zjednoczonym. Wypowiedzenie sowiecko-irańskiej umowy z 1921 roku, które pozwalało Związkowi Sowieckiemu w określonych wypadkach na wprowadzenie wojsk do Iranu, nie było nawet wspomniane w prasie sowieckiej. Jak wiadomo, Związek Sowiecki wprowadza swoje wojska nie tylko na zasadzie układow, ale i na prośbę wdów i sierot wymagających obrony. Nie ma wątpliwości, że w razie potrzeby towarzysz Kianouri może o taką pomoc poprosić.

W chaosie panującym obecnie w Iranie świetnie zorganiz-

wana partia Tudeh reprezentuje dużą siłę mimo swojej małej liczebności. Jeśli dodać do Tudeh Palestyńczyków — którzy przeszli nie tylko wojenne ale i ideologiczne przeszkolenie — kierujących — jak dzisiaj wszystkim wiadomo — zajęciem amerykańskiego poselstwa, sowieckie wpływy w Iranie po upadku szacha bardzo wzrosły. Byłoby niecisłe tłumaczenie rewolucji w Iranie „ręką Moskwy”, ale trudno zaprzeczyć, że „ręka” działała, a przede wszystkim zaczęła energicznie działać w politycznym *vacuum*, które powstało po upadku szacha.

Zachodni dziennikarze i politolodzy, biorąc życzenia za rzeczywistość, kładą nacisk na niechęć Związku Sowieckiego do podtrzymania stronników Khomeiniego argumentując, że: 1) nieporządky w Iranie spowodowały przerwy w dostarczaniu gazu do Związku Sowieckiego i 2) „odrodzenie islamu” w Iranie może się odbić w muzułmańskich republikach sowieckich. Pierwszego argumentu nie można uważać za poważny. Jak dotąd ropy i gazu w Związku Sowieckim nie brakuje. Przerwy w dostawach irańskiego gazu — to tylko drobna przykrość.

Nie można również uważać za poważny — w chwili obecnej — drugiego argumentu. Do rozpowszechnienia mitu o nabrzmiałym kryzysie w muzułmańskich sowieckich republikach przyczyniła się książka Héléne Carrère d'Encausse pt. *L'Empire éclaté*. Książka ta miała we Francji ogromne powodzenie i była z miejsca przełożona na wszystkie zachodnie języki. Autorka zebrała bardzo ciekawy materiał statystyczny, ale wyciągnęła z niego zbyt pochopne wnioski. Głównym powodem powodzenia jej książki był świetny tytuł, wzbudzający nadzieje — niestety przedwczesne. Wszystkie czynniki, które autorka wylicza, działają w kierunku konfliktu między muzułmańskimi republikami a zachodnimi republikami sowieckimi. Ale ten proces może trwać bardzo długo. Islam w sowieckich republikach muzułmańskich reprezentuje niewątpliwie dużą siłę, ale w chwili obecnej znalazł *modus vivendi* z władzą sowiecką. I jak dotąd nic nie wskazuje na powstanie rozłamu. Wręcz przeciwnie. Sowiecki islam działa w interesie sowieckiej polityki zagranicznej w krajach muzułmańskich. We wrześniu 1979 roku w stolicy Tadżykistanu — Duszambie (niegdyś noszącej głośną nazwę Stalinabadu) miał miejsce sympozjon muzułmanów Związku Sowieckiego i islamskiego duchowieństwa z trzydziestu kilku krajów. Sympozjon był zorganizowany z powodu początku 1500-go roku ery muzułmańskiej. Sądząc z informacji prasy zachodniej, jedynie przedstawiciele Arabii Saudyjskiej i Pakistanu mieli zastrzeżenia co do niektórych punktów końcowego komunikatu uchwalonego przez uczestników sympozjonu. Ale wszyscy pozostali muzułmanie z trzydziestu kilku krajów komunikat podpisali. Jak oświadczył przewodniczący islamskiego duchowieństwa Średniej Azji i Kazachstanu, mufti Zjautinchan ibn Iman Babachan, komunikat domagał się: całkowitego wycofania wojsk izraelskich ze wszystkich nielegalnie okupowanych terytoriów arabskich; po-

nadto muzułmanie „potępili chińską agresję wobec narodu wietnamskiego i wyrazili swoją solidarność z narodami Afganistanu i Iranu, walczącymi o stworzenie sprawiedliwego społeczeństwa”.

Komunikat powtarzał więc posłusznie wszystkie punkty sowieckiego programu polityki zagranicznej i był podtrzymany przez muzułmanów z całego świata. Dla nich „sprawiedliwe społeczeństwo” budują i narody Iranu jako „społeczeństwo islamskie” i narody Afganistanu jako „społeczeństwo socjalistyczne”.

Charakterystyczne, że sympozjon był zorganizowany w stolicy sowieckiej republiki, graniczącej z Afganistanem. A więc widocznie przywódcy sowieccy nie obawiają się, żeby iskry rewolty afgańskiej przerzuciły się do sowieckiego Tadżykistanu.

Wadim Zagładin wyjaśnił redaktorowi *Le Monde*, że islam jest główną religią całej ludności Afganistanu i że obecny rząd „podtrzymuje islam” i między innymi „buduje nowe meczety”. Zagładin przyznaje, że niektórzy muzułmanie występują przeciwko rządowi, ale są to wystąpienia jedynie przeciwko innym muzułmanom-prorządowym. Wojna w Afganistanie nie jest obroną islamu, bronionego znakomicie przez rząd komunistyczny, ale przeciwko postępowi i sprawiedliwemu społeczeństwu, o które także walczy rząd.

W chwili kiedy piszę ten przegląd polityka sowiecka w Iranie precyzuje się: partia Tudeh i bliskie jej organizacje podtrzymują bezwarunkowo Ayatollę Khomeiniego, licząc że obejmą po nim spadek. Nie jest wykluczone, że tzw. studenci muzułmańscy, którzy zatrzymali amerykańskich dyplomatów, przekonawszy się, że nie otrzymają od Stanów Zjednoczonych szacha, przekażą ich po rozprawie sądowej Palestyńczykom, którzy będą przynajmniej mogli otrzymać za nich od Stanów Zjednoczonych status uznania. W takim wypadku Związek Sowiecki uzyskałby pierwszy realny rezultat swojej irańskiej polityki.

Prasa sowiecka — bo jakże mogłoby być inaczej! — przemilcza kolejny skandal szpiegowski w Wielkiej Brytanii: rozszyfrowanie kolejnego nazwiska kolejnego przedstawiciela angielskiej elity, będącego szpiegiem sowieckim. Gustaw Herling-Grudziński doskonale wyjaśnił psychologiczne powody tego fenomenu. I nie byłoby potrzeby wspominać Anthony'ego Blunta gdyby nie ujawniło się nazwisko sowieckiego czekisty, który był jego szefem. Nazwisko to jest całkowicie związane z sowiecką prasą.

W latach trzydziestych w prasie sowieckiej pojawiły się artykuły na tematy międzynarodowe, podpisywane cudzoziemskim nazwiskiem „Ernst Henry”. Pod artykułami pisano czasami, że jest to przekład z angielskiego, czasami zaś, że przekład z niemieckiego. W przededniu podpisania umowy z Hitlerem pod tym nazwiskiem ukazały się dwie książki: „Hitler nad Europą” i „Hitler nad ZSSR”, demaskujące plany nazistów. Po podpisaniu umowy z Niemcami książki te naturalnie zniknęły. Ale artykuły nadal publikowano i publikuje się do dzisiaj. W latach sześć-

dziesiątych stały się one nawet popularne gdyż miały charakter z lekka dysydencki. Ujawniono, że pseudonimu Ernst Henry używał dziennikarz Siemion Nikołajewicz Rostockij. W 1967 roku napisał on wraz z akademikiem Sacharowem list o niebezpieczeństwie wojny atomowej, w 1969 roku organizował podpisywanie listów protestacyjnych przeciwko powrotowi kultu Stalina — list ten podpisali najwybitniejsi przedstawiciele sowieckiej nauki i kultury. W *Politiczeskim Dniwniku*, który redagowali Roy i Zores Miedwiediew, przedrukowywano artykuły Rostockiego i jego wypowiedzi.

W grudniu 1979 roku stało się wiadome, że od 1936 do 1951 roku Ernst Henry-Siemion Rostockij pracował w sowieckim poselstwie w Londynie zajmując się działalnością szpiegowską, w szczególności zaś kierował Anthony'm Bluntem. Przypuszcza się, że w Londynie występował pod nazwiskiem Anatolij Gorskij. Od 1951 roku Henry-Rostockij-Gorskij siedział w sowieckim łaźrze, tak jak wszyscy sowieccy szpiedzy wracający do ojczyzny. Zwolniony w 1955 roku, najwidoczniej zaczął wykonywać zadania wewnątrz kraju. Charakterystyczne jest, że w 1965 roku w samizdacie rozpowszechniano jego list do Erenburga, w którym była krytykowana polityka Stalina i Kominternu wobec niemieckiej socjaldemokracji. Ale bardzo szybko Rostockij stał się zdecydowanym przeciwnikiem socjaldemokracji, publikując „demaskujące” artykuły w różnych pismach od *Komunista* do *Literaturnej Gaziety*.

W październiku 1978 roku *Nowyj Mir* opublikował wspomnienie Rostockiego pt. „Pierwsze kroki”. Ernst Henry pisze, że jeszcze w młodości, jako 15-toletni chłopiec, był wysłany z Moskwy do Berlina (listopad 1919 r.) na zjazd organizacyjny komunistycznej międzynarodówki młodzieżowej. Od 1920 roku został agentem KIM'u a potem Kominternu i widocznie od tegoż czasu został agentem wywiadu sowieckiego.

Ernst Henry działał w kręgach sowieckich dysydentów jako stary idealista-antyfaszysta, walczący z narastającym niebezpieczeństwem nazizmu. Swoje wspomnienia zatytułował, jak wspominałem, „Pierwsze kroki”. O następnych krokach milczy. Ale warto o nich wspomnieć. W 1966 roku w piśmie dla młodzieży *Junost'* (Nr 6) Ernst Henry pisał o filmie Kramera „Proces norymberski”. Pisał, że w filmie amerykańskim postawiono pytanie: Czy Niemcy, którzy popierali Hitlera, mogą zrzucić z siebie odpowiedzialność za jego przestępstwa — oświadczając, że o nich nie wiedzieli. Henry twierdził, że Niemcy nie mogą zrzucić z siebie tej odpowiedzialności.

Jak prawdziwy sowiecki dziennikarz-szpieg czy też szpieg-dziennikarz Henry zrzuca z siebie odpowiedzialność za przestępstwa Stalina.

Adam KRUCZEK

Farsa w wykonaniu praskim

W pierwszych latach rządów komunistycznych nie wszyscy członkowie Czechosłowackiego Związku Młodzieży (CSM) wstępowali do tej organizacji pod przymusem i nie wszystkim przyswiecał cel zrobienia łatwej kariery. W owych czasach partia miała sporo młodych zwolenników przekonanych że pod jej przewodem zbliżają się z dnia na dzień do ukoronowania dziejów ludzkości. Śpiewając sowieckie pieśni rewolucyjne i czastuszki oraz ich imitacje proveniencji krajowej, które wówczas niezmiernie pisali oficjalny poeta Pavel Kohout, naśladowali wyidealizowany wzór sowieckich komsomolców zarówno w entuzjazmie, z jakim harowali na budowie czeskiego „Donbasu”, Nowej Huty im. Klementa Gottwalda pod Ostrawą, jak i w fanatycznym poparciu dla surowych wyroków w wielkich praskich procesach politycznych, inscenizowanych według moskiewskiego scenariusza. Otrzeźwienie nastąpiło jednak stosunkowo szybko i w partyjnych poufnych ocenach sytuacji uważano od połowy lat pięćdziesiątych młodzież za czynnik niepewny.

Od tej pory w organizacji młodzieżowej zabrakło elementu ideowego. Przetrwali do dziś wyłącznie wśród „rewizjonistów”, którzy dokonali gruntownej analizy swych przekonań i czynów, dochodząc do wniosku, że ich sumienie jest ważniejszym autorytetem od Komitetu Centralnego lub Kremla. To oni byli najgorętszymi zwolennikami reformistycznego prądu w partii i do dzisiaj należą w Pradze do nieprzejednanej opozycji. Jednak najmłodszy z nich zbliżają się już do pięćdziesiątki, a pozostali, pożegnawszy się ze wszystkimi ideologicznymi iluzjami, w głębi duszy zobojeźnieli, lecz publicznie są demonstracyjnie lojalni wobec partii i poświęcają się budowie swego prywatnego, jak najbardziej realnego socjalizmu, osiągając sukcesy w zdobywaniu posad, tytułów i orderów z prawem do specjalnej emerytury.

Przebieg wydarzeń w ruchu młodzieżowym w czasie Praskiej Wiosny jest powszechnie znany. W okresie okupacyjnej „normalizacji” po sierpniu 1968 roku znów mozolnie starano się utworzyć organizację młodzieży (*Socialistický svaz mládeže* — SSM) na zasadach, które już raz doprowadziły do wyjąłowienia, degeneracji i marazmu. W jakim więc stopniu dzisiejszy „masowy” SSM i cały system wychowania spełnia zadania w dziedzinie indoktrynacji młodzieży? Wpływ propagandy na kształtowanie postaw ideologicznych jest znikomy. Gdyby dowód kulistego kształtu Ziemi przyszedł z Moskwy, to przeważająca część współ-

czesnej młodzieży (trzeba podkreślić, że włącznie z członkami SSM) byłaby uparcie przekonana, że Ziemia jest płaska jak deska. Jedynym „sukcesem” propagandy jest dewaluacja wartości i deprawacja charakterów.

Dla Pragi dnia dzisiejszego, gdzie tylko znikoma część uczącej się młodzieży uczęszcza na naukę religii, typowym zjawiskiem są młodzi ludzie ostentacyjnie noszący na szyi wielki krzyż, a nie zawsze wiedzący ilu było Apostołów i czy byli wśród nich Mojżesz, Savonarola i Tomasz z Akwinu. Reakcją zaś na codziennie działającą propagandę „antyimperialistyczną” jest moda koszul i bluzek amerykańskiego kroju z imitacjami dystynkcji sierżanta, a często i naszywkami U.S.ARMY lub nawet SAN FRANCISCO POLICE. W równie małym stopniu oddziaływanie indoktrynacja na młodych robotników, wśród których panuje bezkrytyczny kult Zachodu, a szczególnie USA, oraz na studentów, którzy obowiązkowo zdają surowe egzaminy z takich dziedzin „naukowych” jak „naukowy komunizm”, a w ostatnich czasach nawet „naukowy ateizm”.

Młodych członków partii uważa się powszechnie za karierowiczów; przynależność do partii jest rzeczywiście bramą do awansu. W ten sposób się ją ocenia i tym się zachęca w akcjach werbunkowych. Członkostwo partii („polityczne zaangażowanie”) można znaleźć w ogłoszeniach jako warunek przyjęcia na bardziej odpowiedzialne stanowiska. Natomiast podejście samych członków do partii i jej ideologii jest otwarcie cyniczne. W Czechosłowacji nie ma narybku partyjnego, nie ma młodych komunistów, są tylko członkowie lub kandydaci partii.

Niestety nie można na podstawie tego wszystkiego wyciągnąć wniosku, że młodzież cechuje odpowiednia odporność moralna.

Któryś z „klasyków” marksizmu-leninizmu napisał, że historia się powtarza: co po raz pierwszy było tragedią, przy powtórzeniu jest farsą. Jednym z przykładów jest przedstawiona przez opozycyjnego praskiego piosenkarza Jaroslava Hutkę (na jesieni 1978 r. zmuszonego do udania się na emigrację) sprawa młodej praskiej studentki Lilian Landovej. Przystępstwo, które popełniła polegało na tym, że na początku 1977 roku zorganizowała w szkole występ Jaroslava Hutki. Obecny na imprezie syn ministra Kultury, Klusáka, dopatrywał się w życiorysie Sokratesa analogii z sytuacją we współczesnej Czechosłowacji, a więc tak zwanej dywersji ideologicznej. Powiadomiony o tym ojciec minister (zięć Ludvika Svobody), od lat uważany w Pradze za agenta KGB, wydał niezwłocznie odpowiednie zarządzenia. Nikt jednak nie spieszył się z ich realizacją; bowiem dzisiaj typowym pragnieniem członków partii rządzącej jest, by niczym nie zakłócano ich spokoju. Latem 1977 roku Lilian Landová zainicjowała akcję zbierania podpisów pod petycją, żądającą zniesienia zakazu publicznych występów, który w międzyczasie wydano Hutce, sygnatariuszowi Karty 77. Spotkała się z pełnym zrozumieniem

i poparciem koleżanek i kolegów. W tej sytuacji rozpoczęto akcję odwetową, planowaną i kierowaną przez dzielnicowy komitet SSM w Pradze 6. Jednakże upłynęło kilka miesięcy, zanim można było doprowadzić do rozprawy. Trzeba było uprzednio przynajmniej zneutralizować kolegów Lilian Landovej. Postępowano systematycznie, metodą rozmów indywidualnych. Nikt bowiem nie miał — poza obiecującym synem ministra Kultury i zawodowymi sekretarzami SSM, którzy niechętnie wróciliby do swoich tokarek — ochoty brania udziału w tej imprezie. W okresie od sierpnia do listopada zapraszano wszystkich członków organizacji SSM, do której należała Landová, i dyskutowano z nimi scenariusz planowanego zebrania. Mówiono im, że los Lilian jest w każdym razie przesądzony i że sprzeciw wobec wniosku o jej wykluczenie z SSM nie przyniesie żadnych wyników, a przeciwnie pogorszy jej sytuację. Jednocześnie podkreślano, że głosowanie przeciw jest równoznaczne z demonstracją wrogiego stosunku do polityki partii, co naturalnie będzie miało konkretne ujemne następstwa dla głosującego. — Więc nie tylko nie pomożesz Lilian, towarzyszu, ale zaszkodzisz zarówno jej jak i sobie, a także rodzicom, rodzeństwu i może nawet dzieciom, które będziesz kiedyś miał. Komunistyczny *Sippenhaft*. Przeważająca większość tych, którzy głosowali pod koniec listopada przeciwko Lilian Landovej usprawiedliwiała się z tego przed nią i prosiła o przebaczenie. Wszyscy wyszli z zebrania z silnym uczuciem upodlenia (co wcale nie wyklucza, że później mogą zniechęcić Lilian za to, że z jej powodu doszło do takiej sytuacji!).

W tym wszystkim odzwierciedla się wiele z atmosfery praskiej. Nie ma młodych komunistów, nie ma owej generacji inkwizytorów, nikt się nie pcha do członkostwa w trybunale. Równie też mało jest odwagi cywilnej.

Argumentacja sekretarzy Związku Młodzieży Socjalistycznej ograniczała się przecież wyłącznie do terenów im bliskich, czyli do sfery interesów osobistych, którym można zagrozić postępując „nierozsądnie”. Przemówienia ideologiczne spełniały funkcję dekoracyjną, rytualną; najmocniejszym atutem był jawny szantaż przez przypomnienie możliwych następstw ewentualnego oporu. *Roma locuta, causa finita!* — To nie my decydujemy, ale wystarcza sama decyzja władz, więc po co się martwić o uzasadnienie czy to w przypadku zakazu występów Jaroslava Hutki, czy wykluczenia Lilian Landovej? Słowacki pisarz, Dominik Tatarka, jest autorem trafnego określenia: „Demon wyrażania zgody” („*Démon souhlasu*”).

Zresztą skąd tu wziąć argumentację ideową, jeśli nie ma ideowców? I reżymowi wygodniej rządzić bez nich; doświadczenia minionych lat z takimi przodującymi jak Kosik, Kohout czy Pelikán nie są budujące. Więzy materialne i prestiżowe wydają się bardziej trwałe i solidne (czy raczej — bardziej realne).

Wśród młodzieży fanatykami jest dzisiaj tylko niewielka ilość funkcjonariuszy bezpieki (co wcale nie oznacza, że tylko fanatycy mają monopol na prostactwo i brutalność!) i w tym przypadku chodzi raczej o zaspokojenie kompleksu niższości i o swoistą autorealizację psychopatów. Najbardziej godnym zaufania fundamentem systemu jest obecnie mentalność drobnomieszczańska, chociaż czasami liturgicznie potępiana przez propagandę. System funkcjonuje jednak głównie na podstawie wymuszonej zgody tych, którzy się z nim wcale nie identyfikują — poparcie świadome należy do niepowrotnej przeszłości.

Cele takiej polityki wychowawczej zupełnie otwarcie zdefiniował w oficjalnym czasopiśmie *Život strany* (Życie partii) spec od „naukowego ateizmu” Jiří Lokoutka. Ten rzecznik nowoczesnego stosowania zasady *cuius regio, eius religio* (będącej kluczem do praskiej interpretacji paktów o prawach człowieka i obywatela) napisał, że w dziedzinie wychowania „celem jest... zautomatyzowanie postaw życiowych, prowadzące do doniosłego zekonomizowania funkcji życiowych”. Lokoutka precyzuje dalej swoją tezę, mówiąc że obywatel socjalistyczny (jak się kiedyś marzyło — „nowy człowiek”) powinien „pewne działania wykonywać machinalnie, bez koncentrowania się na ich uzasadnianiu”.

Trudno o bardziej cyniczne sformułowanie celów, które na długo przed socjalizmem przyświecały każdemu realnie myślącemu właścicielowi niewolników lub pańszczyźnianych chłopów.

Wysiłek w kierunku „automatyzacji” postaw życiowych i ofensywa przeciwko sumieniu (czym bowiem innym jest owo „uzasadnienie” własnych czynów, o którym pisze Lokoutka w swoim partyjnym *newspeak*?) prowadzi do cynizmu, nihilizmu i deprawacji. Tylko w osiągnięciu tych celów komuniści czechosłowaccy mogą pochwalić się pewnymi sukcesami.

Vilém HEJL

W poszukiwaniu Boga

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w swoim czasie w *Kulturze* (nr 11/374, 1978 r.) wspomnienia Józefa Mackiewicza pt. „Powroty”. Z niemniejszym zainteresowaniem przeczytałem niedawno (*Kultura* nr. 7/382-8/383, 1979) „Wśród poszukiwaczy Boga. (Z notatek i wspomnień)” tegoż autora. Autor, barwnie opisując swoje podróże koleją żelazną, wodą i furmankami chłopskimi po Wileńszczyźnie i Polesiu przed ostatnią wojną,

przenosi czytelnika, pochodzącego z tamtych stron, „na Ojczyznę łono”. Jego opisy są tak żywe i plastyczne, że czytelnik, który bywał we wspomnianych przez niego miejscowościach, „podróżuje” wraz z Autorem. Niżej podpisanemu przy tym nasunęło się wiele różnych refleksji i wspomnień. Znałem doskonale stary trakt Wilno - Mińsk, zwany Czarnym, na którym leżą wspomniane przez Józefa Mackiewicza Oszmiana, Soły, Smorgonie, Mołodeczno i Radoszkowicze. Dokładnie w pół drogi między Mołodecznem i Radoszkowiczami leży małe miasteczko Krasne nad rzeką Uszą, dopływem Wilii. Dawna legenda ludowa powiada jak powstały nazwy tych trzech miejscowości. Przejeżdżający tym traktem kniaź spotkał przy studni, pojąc swego konia, piękną dziewczynę, którą powitał słowami: „*Radujsia krasnaja, małada!*” — Radaszkawiczy, Krasnaje, Maładeczna. Jadący tym traktem drabiniastym wozem Józef Mackiewicz w rozmowie ze swym woźnicą, *piacdziesiątnikiem* (zielonoświątkowcem) Kraczkowskim, usłyszał z ust jego, gdy ściągnąwszy lejce patrzył na wschód: „Mienska nie widać, a bywa czasem noc taka podchodząca...”. Właśnie *Mienska* (powiedział), a nie Mińska. Miensk — starodawna nazwa miasta, pochodząca od słowa „miena” (wymiana). W zaraniu swej historii Miensk leżał na ruchliwym wodnym kupieckim szlaku¹ „z *wariah* w *hreki*” (od Waregów do Greków), łączącym Bałtyk z morzem Czarnym. W Miensku odbywała się wymiana towarów. Mińskiem Litewskim zaczęli nazywać go Polacy w odróżnieniu od polskiego Mińska Mazowieckiego. Nazwę tę, ale bez przymiotnika „Litewski”, przejęli Rosjanie. W 1918 roku, z proklamowaniem Białoruskiej Republiki Ludowej została oficjalnie przywrócona stara historyczna nazwa stolicy Białorusi — Miensk, którą zachowały również komunistyczne władze BSSR. Dopiero w 1939 roku KC Komunistycznej Partii Białorusi na rozkaz Moskwy zarządził nazywać znowu Miensk Minskiem.

Byłem wiele razy na festach-jarmarkach w *chramawyje* święta (odpusty) koło cerkwi i kościołów, wokół których stał zgodnie *las hołobli* chłopskich wozów i bryczek z wiosek prawosławnych i katolickich. Władze duchowne — jak ongiś, a czasów Mickiewicza — święta Dziańców na Białorusi, tego zwyczaj, który Józef Mackiewicz uważa za piękny, za takowy nie tylko nie uważały, lecz dbając o „schludny podział wyznaniowy”, patrzyły nań krzywym okiem. Szła walka nie tyle o dusze i ich zbawienie, ile o owieczki. Obce ludowi białoruskiemu duchowieństwo, zarówno katolickie (polskie), jak i prawosławne (rosyjskie lub zrusyfikowane) namawiało swoich parafian, by nie uczestniczyli w festach, odbywających się w obcych wyznaniowo parafiach. Wielki poeta białoruski Jakub Kołas (prawdziwe nazwisko —

1. Czy można powiedzieć, że Mińsk leżał akurat na szlaku „wodnym”? Szlak wodny to Dźwina i Dniepr.

Konstanty Mickiewicz) w swoim pięknym poemacie „Symon Muzyka” pisał:

„Skroż wianoczi dreu wiasioła
Nad miasteczkam ci siałom
Cerkwy, stromkija kaścioły
Wieży uznosić k niebiasom.
A zwanicy pierad światam
U kaścioł, carkwu zawuć,
Kab' prad Boham i prad bratam
Winy usie swaje paczuć.
Rodny kraj! u Boża imia,
U czesc kaściołau i carkwou
Pamiż dziełkami twaimi
Mnoha lehła kamianiou;

Mnoha wyjsła trasianiny —
Miecz, ahoń zniszczali kraj:
Z dwuch bakou „ajey” dubinaj
Zahaniali nas u raj!
Krou liłasia ruczajami,
Zdrada czornaja raśła,
Szo papami i ksiandzami
U sercy kinuta była,
I ciapier nad nami, braćcie,
Jaszce u sile toj razdor —
I papouskaje zakłaćcie,
I ksiandzouski nahawor.

Poeta pisał o dawno minionych czasach. W czasach nowszych, przed drugą wojną światową, ksiądz Karolczak w Chożowie koło Mołodeczna na lekcjach religii w szkołach na terenie swej parafii mówił, że przed cerkwią zdejmować czapki i żegnać się nie należy i drwił z tych, którzy chodzili na fest cerkiewny. „A czemuż to nie idziecie na fest pół krowy?”, zapytał sarkastycznie pewnego razu swoje parafianki, pracujące w polu. Widocznie nie zdawał sobie sprawy, że drwi nie z nich, lecz z Matki Boskiej, bo chodziło o święto Pokrowa (Opieki) Najświętszej Bogurodzicy, uroczyste obchodzone nie tylko przez prawosławnych, lecz również i przez katolików obrządku wschodniego (unitów). W Radoszkowiczach, jak pisze Józef Mackiewicz, kaplicę prawosławną wysadzili dynamitem zapożyczonym z KOP-u członkowie „Legionu Młodych”. W Mołodecznie w 1938 roku w ten sam sposób zniszczył kapliczkę prawosławną proboszcz kościoła garnizonowego ks. Zawadzki. Stanisław Mackiewicz (Cat) grzmiał wówczas w swym *Słowie* i nawet osobiście przyjeżdżał do Mołodeczna, żeby wyrazić staroście powiatowemu swoje oburzenie i zażądać od niego wyjaśnień tej haniebnej sprawy². To wszystko nie przeszkadzało niektórym księżom i popom spotykać się prywatnie i przy wódeczce grywać w karty. Ich wspólnym wrogiem, działającym na terenie ich parafii, byli sekciarze — baptyści, metodyści i pięćdziesiątnicy. Zdarzało się czasem, że w walce z nimi poszczególni wielebnii proboszczowie niezbyt przebiegali w środkach. Proboszcz parafii prawosławnej w dużej wsi Dakudowo, położonej na wysokim prawym brzegu Niemna w powiecie Lidzkim (pisał o niej w wileńskim *Słowie* Jerzy Putrament), poczciwy starszy wiekiem baciuzka, opowiadał mi latem 1939 roku bez najmniejszego zażenowania, jakim prostym sposobem wypędził z terenu swej parafii kaznodziejów baptystycznych. Kosztowało go to litr wódki, który dał kilku miejscowym chłopcom namawiając ich, by przepędzili kaznodziejów, co też

2. Jest to nieścisłe. Sprawą wysadzenia kaplicy zajmował się nie Stanisław a Józef Mackiewicz i on jeździł do Mołodeczna.

oni i uczynili puszczając w ruch pałki i kamienie. „Od tamtego czasu omijają z daleka moją parafię”, powiedział z zadowoleniem. Powtarzanie jawnie oszczerczej plotki o zielonoświątkowcu Niedźwiedzkim („...ludzie mówią, że ma pięć żon...”) przez wielebnego księdza Franciszka Cybulskiego z Radoszkowicz wywołuje niesmak. Niedźwiedzki był na pewno człowiekiem zawnym. W czasie ostatniej wojny został wraz z całą rodziną rozstrzelany przez Niemców za ukrywanie w swoim domu Żydów. Kaznodzieje baptystów, metodystów i zielonoświątkowców byli, tak jak i popi prawosławni, czynnikami rusyfikacyjnym, gdyż ogłosili Pismo św. w języku rosyjskim. Dopiero w 1931 roku Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne w Londynie wydało przetłumaczony na współczesny literacki język białoruski przez kaznodzieję baptystycznego Łukasza Dziekuć-Maleja i Antona Łuckiewicza, znanego działacza białoruskiego, Nowy Testament, który został wydrukowany w drukarni baptystycznej „Kompas” w Łodzi. Przedstawiciel tego Towarzystwa w Północno-Wschodniej Europie, Wilford James Wiseman, który odegrał znaczną rolę w sprawie wydania Nowego Testamentu w języku białoruskim, odwiedziwszy w 1928 roku Wilno, pisał stamtąd do Londynu: „Białorusini byli jednym z pierwszych narodów, które miały Pismo Święte we własnym języku. Było to w 1517 roku, osiem lat przedtem, nim zostało wydrukowane pierwsze wydanie w języku angielskim”. Jedną z przyczyn — ale nie główną — szerzenia się sekciarstwa, zwłaszcza wśród prawosławnych, na którą wskazał w rozmowie z Józefem Mackiewiczem wielebny ks. dziekan Śnieżko z Wilejki, była „drożyzna usług”, udzielanych przez duchowieństwo. Rozpad Cerkwi, o którym on też mówił, miał miejsce po drugiej stronie granicy. Ale i tam, chociaż bolszewicy burzyli lub zamykali świątynie, religii zniszczyć nie zdołali, bo „wiary w Boga rozwalić nie można-żesz”. Głównej przyczyny należy doszukiwać się chyba w tym, że byli ludzie, którzy naprawdę chcieli żyć ściśle według nauki Chrystusa, zawartej w Ewangelii. Formalna przynależność do oficjalnej Cerkwi ich nie zadowalała. Kapłanów uważali za płatnych urzędników-rutyniarzy w sutannach, odprawiających nabożeństwa i udzielających sakramentów. Słowa kaznodziejów ewangelicznych, którzy rekrutowali się przeważnie spośród „Amerykanów” (b. emigrantów zarobkowych, którzy powrócili do Kraju), znających Pismo św. może lepiej od niejednego księdza czy popa, trafiały im do serca. Byli to ludzie szczerze wierzący w odróżnieniu od znacznej większości formalnie praktykujących (uczęszczanie na nabożeństwa, spowiedź i komunie) prawosławnych i katolików, przywiązanych do tradycji i obrzędów religijnych, lecz nie zastanawiających się na czym polega nauka Chrystusa i nie wnioskujących w jej sedno. Brytyjski autor Guy Picarda w swoim studium w języku angielskim „The heavenly fire”, zamieszczonym w białoruskim czasopiśmie katolickim *Bożym Ślacham* (Nr 143/144, 1975) pisze, że korespondent londyńskiej gazety *Times*

J. Hay Colligan (prezes Prezbiteriańskiego Towarzystwa Historycznego w Anglii) po odwiedzeniu Zachodniej Białorusi donosił w 1926 roku: „Tysiące włościan odwracają się od tradycyjnych nabożeństw Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i urządzają zebrańia typu ewangelicznego, znane w ciągu ostatniego półwiecza w Wielkiej Brytanii i Ameryce. Szczególnie popularne są odrodzone pieśni religijne. Takie nabożeństwa wśród 'wierzących', jak oni siebie nazywają, są na tyle popularne — pisał korespondent — że gdy przemawiałem w jednej z wiosek, miejscowa cerkiew prawie opustoszała”. Korespondent gazety *Times* nie bardzo się mylił używając nazwy „Rosyjska Cerkiew Prawosławna”, gdyż mimo że była ona autokefaliczna i jej oficjalna nazwa była — Cerkiew Prawosławna w Polsce wśród przyniatającej większości duchowieństwa, nie mającego bliższego kontaktu ze swą owczarnią białoruską, panował nadal duch rosyjski. Kazania były po dawnemu głoszone po rosyjsku. Jedynie ksiądz prawosławny Aleksander Kouś, znany przed wojną na terenie Wilna białoruski działacz religijno-społeczny, który wydawał czasopismo religijne w języku białoruskim, domagał się otwarcie wprowadzenia języka białoruskiego w kazaniach. Toteż był przez władze duchowne (Konsystorz wileński opanowany przez Rosjan) dyskryminowany. W czasie wojny został za pomoc udzielaną Żydom przez Niemców rozstrzelany. Krążyły pogłoski, że zademonstrował go wileńscy Rosjanie³. Tylko na Wołyniu i Chełmszczyźnie w ostatnich latach przed wojną zaczęła robić postępy ukrajinizacja tej Cerkwi.

Byli też i wśród prawosławnych ludzie żarliwie wierzący. Dwie bogobojne siostry, właścicielki majątku ziemskiego w Turgielach koło Wilna, zbudowały u siebie cerkiew, chociaż istniała tam cerkiew parafialna. W ich cerkwi odprawiał nabożeństwa zaproszony przez nie świątobliwy asceta o. Pontij (Pontiusz). Wieść o nim rozeszła się po całej Wileńszczyźnie. Pobożni ludzie nie tylko z pobliskich, ale i z bardzo odległych wsi szli pieszo, by się u niego wyspowiadać i przyjąć komunię św. Niektórzy z nich pozostawali tam na zawsze. Z czasem powstał tam niby nieoficjalny klasztor, a właściwie prawdziwa komuna. Ludzie — mężczyźni i kobiety, były nawet całe rodziny — żyli w niej, jak pierwsi chrześcijanie. Wszyscy pracowali od wschodu słońca do zmierzchu. Wiedli bogobojny tryb życia. Modlili się i spożywali posiłki wspólnie. Ściśle przestrzegali wszystkich postów. Majątek prosperował świetnie. Jakość produktów, wytwarzanych przez tę wspólnotę chrześcijańską, była najwyższego gatunku. Z niektórych parafii diecezji wileńskiej odbywały się pielgrzymki-procesje do tego przybytku modlitwy i pracy. A także wycieczki.

3. Ks. Kouś był działaczem prokomunistycznej „Hromady” przed wojną i aresztowany bodaj jeszcze przez władze polskie. J. Mackiewicz nie wierzy w donosy „Rosjan wileńskich”. Bolszewicy już w 1940 r. przede wszystkim wyaresztowali i wywieźli wszystkich Rosjan. W tym okresie Polacy, Litwini i Białorusini szli dopiero po „linii” społecznej a nie narodowej.

Wszystkich przyjmowano serdecznie. Każdy gość czy podróżny miał zapewniwszy nocleg i wyżywienie. I oto bolszewicy wkrótce po „wyzwoleniu” zlikwidowali tę wspólnotę chrześcijańską: bogobojne siostry, właścicielki majątku zostały aresztowane (o. Pontiusz już nie żył, zmarł na krótko przed wojną) i wywiezione na Syberię, a wszystkich jej członków rozpędzono na cztery wiatry. A przecież ta wspólnota była faktycznie prawdziwym, powstałym dobrowolnie, kolektywnym gospodarstwem.

Dziś na terytorium b. Zachodniej Białorusi, po przeszło trzydziestu latach nieustannego zwalczania religii, większość cerkwi i kościołów jest nieczynna: zostały przez sowieckie władze zamknięte lub zamienione na wszelkiego rodzaju składy. Wierni z miejscowości, w których nie ma kościoła ani cerkwi, lub są zamknięte, jeżdżą na nabożeństwa nieraz do odległych miejscowości, gdzie jeszcze świątynie pozostają otwarte. Np. z Mińska, gdzie nie ma ani jednego czynnego kościoła katolickiego, dojeżdżają do kościoła w odległym o przeszło 60 kilometrów małym miasteczku Krasne. Baptyści, szczególnie niezarejestrowani (tzw. „inicjatywni”, jak np. znany pastor Wins, niedawno wypuszczony przez bolszewików na Zachód) i pięćdziesiątnicy, którzy nie chcą być uległymi i współpracować z ateistyczną sowiecką władzą, są prześladowani. Często odbywają się procesy „sądowe”, w wyniku których podsądni baptyści i pięćdziesiątnicy zostają skazani na długoletnie więzienie i łagry. Ale mimo wszystko bolszewicy nie zdołali wykorzeni, wiary w Boga, nawet wśród młodego pokolenia. Walka na froncie religijnym wewnątrz Związku Sowieckiego trwa. I wszystko wskazuje na to, że religia zwycięży.

Włodzimierz BRYLEWSKI

Kronika litewska

Uroczystości 400-lecia Uniwersytetu Wileńskiego, obchodzone w Wilnie w dniu 22 września 1979 roku, poprzedziło zbiorowe złożenie wieńców pod pomnikiem Lenina, gdzie ślubowano „święcie strzec ideałów Lenina”. Główna uroczystość odbyła się w gmachu opery i baletu. Patronat nad tymi obchodami objęło Politbiuro z Breżniewem na czele, ale nikt z nich się nie zjawił. Przemawiał generalny sekretarz Litewskiej Partii Komunistycznej i inni dygnitarze. Rektor Kubilius, wymieniając nazwiska osób zasłużonych dla nauki i piśmiennictwa, pomijał te, które by nam przede wszystkim przychodziły na myśl: Śniadeccy, Poczobut, Skarga. Nawiązał też do dziejów kowieńskiego uniwersytetu Witolda Wielkiego, będącego w rzeczywistości odgałęzieniem i kontynuacją Uniwersytetu Wileńskiego. Rektor dziękował za zwrot z Instytutu w Kijowie „unikalnych zbiorów anatomicznych”, wywiezionych z Wilna po zamknięciu uniwersytetu w 1832 roku oraz za przyznanie uniwersytetowi sowieckiemu orderu „Przyjaźni Naro-

dów". Wyeliminowanie polskiego wkładu, jak też nawet litewskiego języka z oficjalnej części uroczystości rzuca pewne światło na to, jak rozumiana jest ta przyjaźń narodów. Następnie odbył się pochód studentów z flagami 16 republik, zakończony majówką na Zakręcie.

Wśród zaproszonych gości byli: przewodniczący Sowietkiej Akademii Nauk i jego odpowiednik z Białorusi, przedstawiciele uniwersytetów sowieckich i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego z Krakowa, M. Hes. Natomiast skreśleni zostali jezuita Rabikauskas z Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie — znawca dziejów uczelni, oraz prof. Greimas z Paryża.

W wypowiedziach premiera Maniūšisa i innych przebiegał wciąż motyw, że głównym zadaniem uczelni jest uświadamianie polityczne i wychowywanie studentów w duchu komunistycznym.

Przypomnieć tu trzeba, że przed bez mała paruset laty nazwa uczelni wileńskiej brzmiała: „Uniwersytet Wileński czyli Wyższa Szkoła Etyki”. Zadania wychowawcze nie były więc tej uczelni obce, ale w zupełnie innym rozumieniu niż dzisiaj. Uroczystości pokazały oficjalne oblicze wykładowców i studentów, ale jest i inne, bliższe prawdy. Staraniem studentów wileńskich ukazują się nielegalny kwartalnik *Alma Mater*, który propaguje odkłamywanie historii, zwłaszcza dotyczącej okresu niepodległości Litwy; oprócz poezji zamieszcza także urywki prac filozoficznych i teologicznych, wydawanych na emigracji i własne wypowiedzi; ujawnia kulisy przygotowań do uroczystości: troski K.G.B., rewelację, że rektor prosił o zwrot z Kijowa niezmiernie cennego księgozbioru, wywiezionego w 1832 roku, który nie został zwrócony; daje różne informacje jak np., że są zakusy aby historyczny podwórzec Skargi nazwać inaczej, wymazując pamięć o jezuitach, że grozi niebezpieczeństwo zabytkom na cmentarzach, które ze względów urbanistycznych mają zostać skasowane, że zagrożona jest część historycznego cmentarza na Rossie, gdzie znajduje się serce Marszałka i grób twórcy litewskiego ruchu odrodzenia narodowego, dr. Basanavičiusa.

Wachlarz litewskiej prasy podziemnej wciąż się rozszerza. *Alma Mater* i *Perspektyvos* omawiają sprawy kulturalne, *Kronika K. K. Litwy* — religijne, *Aušra* — aktualności i politykę. Widać, że mają dostęp do wydawnictw zagranicznych. *Alma Mater*, wspominając bezskuteczne represje za zapalenie świeczek na cmentarzach w Żaduszki i cytując „Dziady” Mickiewicza pisze, że stare pogańskie tradycje litewskie, które przetrwały wieki chrześcijaństwa i carskie represje, przetrwały i ten okres.

18 sierpnia 1979 roku zmarł w Waszyngtonie płk K. Skirpa, były poseł w Warszawie i Berlinie, który we wrześniu 1939 roku razem z rządem niemieckim wywierał nacisk, aby Litwa zbrojnie zajęła Wilno.

E. ŻAGIELL

Kronika niemiecka

W krajowej publikacji *Główne problemy prawne normalizacji stosunków PRL-RFN* (Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa, 1979. Nakład 800 egz.)

— Witold M. Góralski pisze, że w orzecznictwie *Federalnego Trybunału Konstytucyjnego* (siedziba w Karlsruhe) z 1973 i 1975 roku, znajdują się dyrektywne postanowienia, które zobowiązują „konstytucyjne organy władzy RFN do zabezpieczenia propagandowego oddziaływania środków masowego przekazu na NRD”. Dyrektywy te chronią także „działające na terenie RFN dywersyjne rozgłośnie radiowe, jak RADIO WOLNA EUROPA i RADIO SWOBODA”. ■ Tytuł opowiadania Anny Kowalskiej *Z zamkniętymi oczami* (*Mit geschlossenen Augen*) posłużył za tytuł całego tomiku — małej antologii opowiadań polskich wydanych przez *St. Benno-Verlag* w Lipsku w wyborze i tłumaczeniu Karin Wolff (tegoroczna laureatka polskiego *PEN-Clubu*). Na tom złożyły się opowiadania Marii Kunciewiczowej, Ksawerego Pruszyńskiego, Józefa Szczypki, Jerzego Krzysztonia, Jana Dobraczyńskiego, i — wspomnianej już — Anny Kowalskiej. ■ Kwartalnik *Berliner Hefte* (Sept. 1979) zamieścił opowiadanie Joanny Szczęsnej pt. *In der St. Martins-Kirche* (*W kościele Świętego Marcina*). Tłumacz, Günter Mühlensiepen, opatrzył tekst licznymi przypisami i notami biograficznymi. Opowiadanie Szczęsnej ukazało się w czwartym numerze krajowego *Zapisu*. ■ W Kobyłempolu k/Poznania powstaje największy w Polsce browar na licencji RFN. Browar dostarczać będzie ok. miliona hektolitrow piwa rocznie. ■ Z dwutygodniowej podróży po Polsce powróciła 31-osobowa grupa młodzieży z Heilbronn (Badenia-Wirtembergia). Trasa podróży o łącznej długości ok. 4 tys. km wiodła przez Wrocław, Gliwice i Katowice, następnie Oświęcim, Kraków, Warszawę, Malbork i Gdańsk. W programie pobytu w Warszawie figurowały m.in. przedstawienie w *Teatrze Żydowskim* oraz koncert utworów Bacha w *Kościele Ewangelickim*. Najsilniejsze wrażenie wywarły na uczestnikach podróży „wyraży przyjaźni, gościnności i szczerego zainteresowania, z jakim spotykali się w każdym ze zwiedzanych miast polskich” (Helmut Stöppler, kierownik wycieczki). ■ Heinrich Böll, 61-letni laureat literackiej *Nagrody Nobla* zerwał ostatecznie z Kościołem. „Po dłuższym namyśle” wystąpił wraz ze swoją żoną z Kościoła, ponieważ niemiecki katolicyzm „identyfikuje się z CDU”. Böll: „Wszędzie, gdziekolwiek dzieje się coś reakcyjnego, pojawiają się te same typy, mam na myśli biskupów”. Zbiera mu się „na wymioty”, gdy w czasie publicznych wystąpień Otto von Habsburga (*CSU*) „kręcą się wokół tej osoby jacyś biskupi i kardynałowie”. Böll odmówił wydania opinii o „panu Wojtyłe”. (Na podstawie informacji zamieszczonej w tygodniku *Der Spiegel*). ■ W Warszawie przebywała delegacja *Niemieckiego Towarzystwa Badań Naukowych* (*DFG*). Podczas rozmów z przedstawicielami *Polskiej Akademii Nauk* postanowiono rozszerzyć współpracę między naukowcami obu krajów. Formalne umowy stanowiące podstawę tej współpracy zostały zawarte przez *PAN* i *DFG* jeszcze w 1974 roku. Od tego czasu zrealizowano szereg projektów, m.in. wspólne sesje naukowe historyków we Fryburgu, specjalistów prawa administracyjnego w Regensburgu czy też specjalistów nauk inżynierskich we Wrocławiu i Warszawie. W 1978 roku przebywało w Republice Federalnej Niemiec 203 naukowców polskich, którzy korzystali ze stypendiów *DFG*. ■ W ramach polsko-zachodnoniemieckiego porozumienia w sprawie przesiedleń, w listopadzie 1979 przybyło do Republiki Federalnej z PRL — 2.891 osób narodowości niemieckiej. ■ Bilans płatniczy RFN w stosunkach z zagranicą, który w sierpniu 1979 roku wykazywał deficyt 2,5 mld. marek, osiągnął olbrzymią nadwyżkę w wysokości 9,5 mld. marek. ■ Polska przekazała *Generalnej Prokuraturze RFN* materiały dowodowe w sprawie wymordowania przez hitlerowców w dniu 20 czerwca 1942 roku 565 pacjentów ze szpitala dla umysłowo i nerwowo chorych w Kobierzynie. ■ Kanclerz Austrii Bruno Kreisky, w wywiadzie dla tygodnika *Der Spiegel*: „Dla nas, Austriaków, NRD jest z czysto zewnętrznego punktu widzenia jednym z państw komunistycznych Europy.

I gdyby nie to, że względ na Republikę Federalną, zainteresowaną w uznaniu tu specjalnego stosunku, wymaga, by czynić pewną różnicę, nikt by jej nie robił. Jeśli mam powiedzieć prawdę, właśnie ze względu na Republikę Federalną Niemiec wykazywana jest — powiedzmy — pewna ostrożność. Jest to zjawisko godne specjalnej uwagi. Wykazuje ono bowiem, że RFN także na Zachodzie cieszy się dzisiaj takim uznaniem, iż zmusza ono do względów i to także jeśli często nawet interes własny kazałby czynić coś zupełnie innego". ■ Staraniem *Towarzystwa Chopinowskiego* odbył się w *Domu im. Justusa Liebiga* w Darmstadt występ gościnny zespołu muzyki staropolskiej *Fistulatores et Tubicinatores Varsovienses* pod kierownictwem Kazimierza Piwkowskiego. ■ W serii *Zachód z bliska* wydano książkę Stanisława Albinowskiego — *Muellerowie na co dzień (Książka i Wiedza, Warszawa, 1979, str. 369 plus ilustracje)*. ■ Z inicjatywy pastora Richtera z Holtenu (Slezwik-Holsztyn) występował w szeregu miast RFN *Evangelicki Chór Kościelny z Wisły*. Tournée rozpoczęły trzy koncerty w Kilonii i okolicach. W Bordelsholm chór wystąpił wspólnie ze *St.-Stephanus-Chor* z miejscowości Kroog. Wpływy z koncertów przeznaczone zostały na dom starców w Wisle. ■ W Warszawie odbyło się posiedzenie prezydiów Komisji PRL i RFN d/s Rewizji Podręczników Szkolnych w zakresie historii i geografii. Przygotowano plan specjalistycznych konferencji na lata 1981-1985. Następną konferencją poświęconą problematyce epoki oświecenia w stosunkach polsko-niemieckich odbędzie się w 1980 roku w RFN. ■ Podczas sesji zorganizowanej przez *Komisję Historyczną Berlina Zachodniego* na temat *Polska i problem polski w dziejach monarchii Hohenzollernów (1701-1871)*, przedstawiciel Komisji prof. Klaus Zernack przekazał na ręce prof. Andrzeja Tomaszewskiego kolejny, trzeci już mikrofilm z tzw. *ksiąg wielkopolskich*. Jest to filmowa kopia XVII-wiecznego traktatu napisanego przez ariana polskiego, Stanisława Lubienieckiego. *Komisja Historyczna Berlina Zachodniego* zobowiązała się do przekazania naukowcom polskim mikrofilmów z 60 starodruków polskich (łącznie 80 tysięcy stron) znajdujących się w zachodniobermberskiej *Bibliotece Państwowej*. ■ Uniwersytet w Moguncji uruchamia z dniem 1 marca 1980 r. roczne studium z zakresu nauki języka, zagadnień historycznych i politycznych Polski. Zapisy przyjmuje: Prof. Dr Wilfried Schlauf, Universität Mainz, Postfach 3980, D-6500 Mainz. ■ Marek Skwarnicki, publicysta, członek zespołu redakcyjnego *Tygodnika Powszechnego*, reprezentował organizację *Pax-Romana* na zjeździe przedstawicieli wszystkich zachodniemieckich katolickich stowarzyszeń uniwersyteckich, który obradował w *Bawarskiej Akademii Teologicznej* w Monachium. ■ Władze bawarskie odmówiły udzielenia azylu politycznego dwóm obywatelom ČSSR; chodzi o mechanika Vratislava Černaka i o elektrotechnika Jurija Zilke. Obaj zostali wydani władzom czechosłowackim na punkcie granicznym Fürth im Wald 23 listopada ub. roku. Sprawa zawędrowała na tytułowe strony gazet i doprowadziła do ujawnienia skandalicznych praktyk bawarskich biurokratów. Bawarskie *Ministerstwo Spraw Wewnętrznych* przyznało, że w ciągu ostatnich dwóch lat, urzędnicy lokalnych władz w kilku wypadkach nie tylko odmówili uchodźcom przyznania azylu, ale nawet wydalili ich (np. 3-ch Węgrów) z powrotem do krajów, z których przybyli. Rzecznik rządu RFN, Klaus Bölling oświadczył: „Według opinii ekspertów prawnych rządu bońskiego, osoby odpowiedzialne za podejmowanie na własną rękę decyzji odsyłania z powrotem ludzi proszących o azyl, działały niezgodnie z prawem”. Prasa zachodniemiecka podkreśla dwulicowość bawarskiej administracji, która, przez silnie powiązania z CSU, „lubi reklamować siebie, jako forpoczcie antykomunizmu”. ■ W Leverkusen (Nadrenia-Westfalia) odbył się zjazd b. członków *Niemieckiej Socjalistycznej Partii Pracy w Polsce*. Zwołano go z okazji 50-lecia zjazdu połączeniowego socjalistów niemieckich w Polsce, na

którym powołano do życia jednolitą organizację. *Niemiecka Socjalistyczna Partia Pracy w Polsce* miała przez pewien czas 2 posłów w sejmie śląskim, wielu członków władz samorządowych i związkowych; niemieccy socjaliści utrzymywali dobre stosunki z polskim *TUR-em*, *PPS* i żydowskim *Bundem*. Wpływy socjalistów niemieckich wśród niemieckich mieszkańców Łodzi były bardzo poważne; w wyborach samorządowych w 1927 roku uzyskali oni 17 tys. głosów, podczas gdy prawica zaledwie 5 tys. głosów. Dalsze losy ich przywódców były tragiczne. Spośród pięciu jeden (dr Glückmann) zmarł na Syberii, drugi (Kowoll) umarł w czasie pieszego marszu nad Wolgę, a trzeci (Zinser) został stracony przez hitlerowców. Członkowie *Niemieckiej Socjalistycznej Partii Pracy w Polsce*, którzy osiedli w RFN nadal stanowią zwarty zespół; podtrzymują kontakty z *PPS* na emigracji i z *Bundem*. Na zjeździe w Leverkusen *Posłą Partię Socjalistyczną* reprezentował Stanisław Waśnik z Londynu, a *Bund S. Milman* z Nowego Jorku.

Andrzej J. CHILECKI

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować **ZESZYTY HISTORYCZNE**.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F.160 (\$ USA 37; \$ Can. 44) a dla prenumeratorów *KULTURY* F. 140 (\$ USA 33; \$ Can. 40), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

Szczepan Wesoły. Na otwarciu przemawiał p. Aloyzy Mazewski prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Wyjaśnił pewne nieporozumienia:

„Rada Koordynacyjna Polonii Wolnego Świata nie powstała jako jakaś super-struktura ponadorganizacyjna społeczności polonijnych...

Rada nie powstała dla wydawania górnolotnych haseł, oświadczeń i rezolucji, pozbawionych możliwości praktycznego wykonania...”

Natomiast:

„... przywrócenie Polsce wolności, niepodległości, pełnych możliwości rozwojowych w historycznych i zabezpieczonych granicach państwowych, jest naszym głównym zadaniem.

Wykorzystywać musimy wszelkie możliwości w krajach naszego osiedlenia, aby głosić prawdę o Polsce i jej tysiącletnich prawach do wolnego i niepodległego bytu”.

Mówił o obowiązkach Polonii:

„Zarówno indywidualnie, jak i zbiorowo, w sensie organizacyjnym i społecznym, tak winniśmy postępować i działać aby Najdostojniejszemu Przedstawicielowi na stolicy Piotrowej przynieść zadowolenie i zaszczycić”.

Obrazy plenarne Rady trwały przez trzy dni w Domus Pacis, złotowo-konferencyjnym ośrodku mieszczącym się na wschodnich peryferiach Rzymu. Znakomita większość delegatów mieszkała na miejscu, co sprzyjało roboczej atmosferze. Prócz multum spraw związanych ściśle z racjami organizacyjnymi i finansowymi Polonii Wolnego Świata omówiono: 1. Obronę Polaków w ZSSR; 2. Sprawy młodzieżowe; 3. Oświatę; 4. Książkę i Prasę w wolnym świecie; 5. Sprawę Narodów Ujarmionych; 6. Propozycje nowego Polskiego Instytutu Badań Zagadnień Światowych; 7. Podręcznik nowoczesnej historii Polski; 8. Konferencję w Madrycie 1980; 9. Sprawy Krajowe. Listę tę przytaczam nie tylko z powinności reporterskiej, ale także aby zasygnalizować nader szeroki zakres zainteresowań Rady Koordynacyjnej. Uwagi swoje natomiast ograniczam do niektórych problemów na styku Polonia-Kraj.

Sprawa Krajowa: to przede wszystkim dole i niedole, potrzeby i szanse tych kilku tysięcy, którzy wydali w tyłu sferach wojnę państwowemu monopolowi w Polsce. I nie mówię tu o producentach bimbru zwalczających monopol spirytusowy. Sprawy niezależnej kultury i prasy nie figurowały na porządku dziennym i dopiero interpelacja delegatki z Belgii spowodowała ich uwzględnienie, ale gdy przyszło je rozważać wśród natłoku „spraw różnych”, czasu zabrakło, by rzecz głębiej omówić. Demokratyczna Opozycja została potraktowana *en passant*, trochę po macoszemu, bez należytej uwagi. Ani przez chwilę nie suge-

Sprawy i troski

Rzymskie Polaków rozmowy

Dla przypomnienia i ku pamięci. Waszyngtońska konferencja „Polonia 75” ukształtowała profil ideowy Polonii Wolnego Świata, organizacji powołanej w 1978 roku. Konferencja zleciła Kongresowi Polonii Kanadyjskiej przygotowanie zjazdu o zasięgu znacznie szerszym, bo światowym. Za pomocą szeroko zakrojonej akcji ankietowej Główna Komisja Organizacyjna, powołana w Waszyngtonie, aby proponowany zjazd urzeczywistnić — dokonała sondażu poglądów i nastrojów wśród przedstawicieli polskich organizacji na świecie. Akcja ta pozwoliła organizatorom ustalić zakres i program zajęć zjazdu, który odbył się w przewidywanym terminie pod hasłem „Polonia 78 — Polonia Jutra”. Obradował w Kanadzie, w mieście Toronto, w stanie Ontario. Przedyskutowano „szeroki wachlarz zagadnień”, formalnie zawiązano organizację Polonia Wolnego Świata oraz wyłoniono „organ stałego współdziałania”, w tym „stały organ porozumiewawczy” tzn. RADĘ KOORDYNACYJNĄ POLONII WOLNEGO ŚWIATA. Radzie przewodniczy p. mec. Władysław Gertler. Konferencja Waszyngtońska odbywała się od 4 do 11 listopada 1975 roku przy udziale przedstawicieli jedenastu krajów polskiego osiedlenia. Zjazd w Toronto — od 25 do 28 maja 1978 z udziałem 176 delegatów z osiemnastu krajów. Rada Koordynacyjna — dwudziestu siedmiu delegatów z trzynastu krajów — obradowała w Rzymie od 5 do 7 listopada ubiegłego roku. Któż z delegatów w Kanadzie mógł przypuszczać, że pierwsze potorontońskie posiedzenie Rady odbędzie się w blasku nowego polskiego pontyfikatu.

Oficjalne otwarcie rzymskiego spotkania odbyło się w niedzielę 4 listopada „w siedzibie centralnej duszpasterstwa na Emigracji” czyli w Hospicjum św. Stanisława przy via delle Botteghe Oscure 15. Otwarcie poprzedzono mszą, którą celebrował ks. kard. Władysław Rubin i na której kazanie wygłosił ks. biskup

ruję, że zagrała tu zła wola, wręcz przeciwnie, żywy odzew na dwie zbiórki zainicjowane na posiedzeniu Rady (na zagraniczną edycję *Pulsu* i na opozycję *in toto*) świadczy o sympatii i zrozumieniu sprawy. O innych sprawach obradowano po referatach i w związku z nimi. Brak referatu na temat opozycji w kraju utrudnił dyskusję. Było to niedopatrzenie, organizacyjny lapsus. Ograniczając terazniejszą podległość przygotowujemy przyszłą niepodległość powiada krajowy publicysta Marek Tarniewski. Otóż to. Ruch oporu w Kraju nie tylko nadaje nową treść naszemu zagranicznemu hasłom odnoszącym się do nieugiętej woli narodu, ale także kształtuje oblicze przyszłej Rzeczpospolitej. Dzieje się to *hic et nunc*. Krajowy ruch oporu jest naszym naturalnym sprzymierzeńcem. Ta walka jest naszą walką, powinna zagospodarowywać nasze umysły, najgłębiej nas dotyczyć.

„... przyjdzie pora, w której człowiek prawy wyrzucać sobie będzie jeżeli nie był, tyle ile mógł być, pożytecznym”. Jeszcze nie jest za późno. Ale jeśli nie chcemy w przyszłości mieć wyrzutów sumienia musimy zacząć działać już dziś”.

To Jan Dołęga cytujący Jana Tomasza Grossa cytującego Księcia Adama Czartoryskiego. Ale jak działać? Oczywiście, pomoc finansowa. Ale nie tylko. Jeśli stosunki pomiędzy opozycją a Polonią miałyby opierać się li-tylko na rozliczeniach finansowych, zniechęcenie szybko zamieszka w ludzkich sercach. I to przede wszystkim po stronie polonijnej. Oto nawet spotkanie rzymskie dostarcza kilku możliwości. Projektowane jest *vademecum* Polonii Wolnego Świata, mówi się o podręczniku najnowszej historii polskiej, potrzebne są nowe publikacje oświatowe. Są to wszystko pozycje które w części lub w całości można by było zamówić w Polsce u niezależnych pisarzy i publicystów. Aby to uczynić, obie strony winne się bliżej zapoznać. Dobrze by więc było gdyby Prezydium Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata wysyłało do Kraju swych przedstawicieli. Dobrze by było gdyby ich spostrzeżenia i refleksje posłużyły jako podstawa do referatu na temat opozycji demokratycznej na kolejnym spotkaniu Rady.

Sprawy książki i prasy: *Zapis, Puls, Spotkania, Głos* oraz *Opinia* doczekały się przyjaciół i wydawców na Zachodzie. Na takowych czekają *Robotnik, Bratniak, Krytyka, Res Publica*.

Polacy w ZSSR. W broszurze „Nie pomni na braci zza Buga” Cat-Mackiewicz wskazał na nikczemną hipokryzję oskarżycieli sowieckich na procesie norymberskim (Temida selektywna) oraz podniósł larum wokół powojennego losu naszych rodaków na Wileńszczyźnie. W broszurze tej gniew i niemoc. Oto co Cat postulował w beznadziejnym czterdziestym piątym:

„Największy czas, aby rodacy z Ziemi Wschodnich wykazali większą dbałość o interesy swego kraju. W Londynie istnieje Związek Ziemi Północno-Wschodnich. Straszliwe wiadomości z kraju powinny powiększyć jego zespół”.

Półowa lat pięćdziesiątych to przede wszystkim akcja RWE pod hasłem „najpierw muszą wrócić Polacy z Rosji”, potem następują prace o Polakach w ZSSR, w tym prof. Wielhorskiego „Los Polaków w niewoli sowieckiej” (Londyn, 1956), repatriacja gomułkowska i względna cisza. Dopiero dramatyczne pytanie Bolesława Sulika na Zjeździe Polonii w Krakowie w 1974 (tej musztrowanej przez Towarzystwo Łączności Z), list 15 w obronie Polaków w ZSSR, relacje polskich duszpasterzy z terenów ZSSR, oraz źródłowy referat p. Platery-Zyberka w Toronto (referat ten następnie przedrukowuje krajowy *Głos*) nadaje sprawie nowy rozgłos. W Toronto ponadto powstaje Komisja do Spraw Polaków w ZSSR. Program tej Komisji — pióra Jan Nowaka — przedstawiono na spotkaniu rzymskim. Jest to pierwszy koherentny panpolonijny program działania na rzecz najbardziej upośledzonych Polaków. Program proponuje: 1. utworzenie Centrum Dokumentacji i Informacji; 2. wydanie Białej Księgi na podstawie zebranych informacji — do przedstawienia Komisji Helsińskiej; 3. zamówienie szeregu prac, w tym „Sprawa Polaków w ZSSR w świetle układów międzynarodowych”; 4. pełną mobilizację opinii polskiej w Kraju i na świecie; 5. ustanowienie „Dnia Polaków w ZSSR”; 6. zorganizowanie akcji pikietowej (ambasady, oficjalni wizytatorzy ze Wschodu); 7. zainteresowanie krajowej opozycji demokratycznej akcją na rzecz Polaków w ZSSR; 8. akcję paczkową dla Polaków w ZSSR.

Sądzę, że sprawa Polaków w ZSSR posiada dwa zasadnicze aspekty. Jeden czysto humanitarny, drugi polityczny. Oto grunt, na którym mogłaby zawiązać się pożyteczna współpraca pomiędzy Polonią i demokratyczną opozycją.

Sprawa młodzieży: Dlaczego w Prezydium Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata nie zasiada nikt w wieku poniżej 45 lat? Gdzie jest młodzież? Trudno o niej decydować bez niej. Nawet nie należy.

Podczas rzymskiego tygodnia Rady Koordynacyjnej złożono wieńce na cmentarzu polskim na Monte Cassino, na grobie nieznanego żołnierza w Rzymie i pod rzymskim pomnikiem Józefa Piłsudskiego, co wywołało protest członka delegacji z Francji (niestety nie powiedział zebranym, czemu protestuje). Odbyło się spotkanie z ks. prymasem Wyszyńskim oraz audiencja z Janem Pawłem II w sali Konsystorskiej w pałacu Watykańskim. W Domus Pacis pokazano trzy filmy, wszystkie na kanwie nowego pontyfikatu. Jeden ujawniający wszystko co telewizja PRL utaiła z pobytu Papieża w Polsce. Drugi pt. „Oto człowiek” pow-

stały staraniem londyńskiego POSK'u (twórcy pp. Howard Ross i Bolesław Sulik). Trzecim było zgoła uzupatorkie dzieło a raczej kompilacja pod tytułem „Droga od Krakowa do Rzymu”. Sugerowało to coś o Karolu Wojtyła, a pokazano niektóre ludowe i emocjonalne strony polskiego katolicyzmu. W sobotę odbyła się akademicka na okazji 11 listopada. Mowę okolicznościową wygłosił Jan Nowak. Kurier z Warszawy i organizator wolnej fonii zapytany w swoim czasie kiedy opuścił Polskę, odpowiedział podobno bez namysłu: „nigdy”.

Rada Koordynacyjna Polonii Wolnego Świata jest zgromadzeniem obiecującym. Narzekano, co prawda, iż spotkanie rzymskie stąpało po gruncie dobrze już ubitym w Toronto, narzekano także na niski próg cierpliwości niektórych delegatów. Owszem, ale było to przecież pierwsze spotkanie tego gremium w tym składzie. Najistotniejsze jest to, że zaistniało forum, na którym wnikliwie i z troską rozważa się problemy polskiego życia zbiorowego. Spotkanie rzymskie było mozaikowe. Oto przedwzrętniowy starosta mógł spotkać się z byłą posłanką do Krajowej Rady Narodowej, hinduski naukowiec biograf Gomułki i Wyszynskiego z oficerem z brygady „Maiella”, zachodni przedstawiciel *Pulsu* z watykańskim korespondentem *Kultury*, legalista z nie-legalistami, politycy i działacze kulturalni, Ameryka i Europa. Więcej takich spotkań.

Jan DOŁĘGA

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ POŻEGNANIE JESIENI

Warszawa 1926 — F. HOESICK
Lausanne 1979 — L'AGE D'HOMME

Str. 474.

Cena F. 50,00.

Oddając do rąk Czytelnika wznowienie *POŻEGNANIA JESIENI* wydawca napisał:

„Wydanie w języku francuskim całości dzieła Stanisława Ignacego Witkiewicza jest dla L'Age d'Homme więcej niż osiągnięciem wydawniczym. To dzieło, stanowiące całość twórczą i refleksyjną, nie mające sobie równego w naszym wieku, można uważać jako nasz manifest. Wydając w języku ojczystym tę powieść, niewznawianą od wielu dziesiątków lat, L'Age d'Homme oddaje hołd zarówno genialnemu artyście Witkacemu — prawdziwemu jasnowidzowi XX-go wieku — jak i wielkiej literaturze polskiej.

Vladimir Dimitrjewicz”.

Kronika kulturalna

100 picassów

„Picasso panuje nad swoim wiekiem,
jak Michał Anioł panował nad swoim”.

Jean Lemayrie*

Jak łatwo jest pisać pod jednym silnym wrażeniem, starać się wyrazić swój odruch uczucia i myśli. Wszystko wtedy jest tak jasne!

I jak łatwo wtedy wydać sąd nieodwołalny.

Prosta uczciwość człowieka, który chce być sprawiedliwy, wymagałaby czasu, namysłu, konfrontacji, ale ten tak jasno przeżyty, aż świecący pewnik chwili przecie też coś znaczyć musi?



Dwa razy byłem w Grand Palais na wystawie 100-tu picassów. Stanowić one mają główną masę „*dation*”, która została przez spadkobierców oddana Francji zamiast podatku spadkowego, obliczonego na 290 milionów franków.

Stwierdziłem, że już w „*Oku*” pisałem i wspominałem o Picassie ponad 30 razy, że w 1962 napisałem o nim jeszcze artykuł, zestawiając go z Braque'iem. O tym ostatnim pisałem z czułością i zachwytem, o Picassie z podziwem, jak o fenomenie sztuki. Zdawało mi się, że już nigdy do niego nie powrócę.

Wystawa w Grand Palais poderwała mnie przecie, chciałem jeszcze raz, po latach zobaczyć tego, który nazaczył nasz wiek, w masie stworzonych przez niego dzieł.

Wystawa była dla mnie szokiem nieoczekiwanym.

Po obejrzeniu w tymże Grand Palais bardzo słabej wystawy fauvistów (same wybiórki) szedłem ku salom Picassa. Pierwsze

* B. dyrektor Musée de l'Art Moderne, dyrektor Villa Mediceis w Rzymie, wieloletni przyjaciel Picassa.

wrażenie: uczucie radości i ulgi, spostrzegłem na załomie pompatycznych, szpetnych schodów umieszczoną jako wstęp do wystawy uroczą konstrukcję z kartonu Picassa — dwóch grajków grających na fujarkach.

Masa jego dzieł została wystawiona w kolejności chronologicznej. Pierwsze wielkie portrety, obrazy i niezliczone rysunki — świetne w precyzji, nerwie, wyrazie, godne Goyi! Idę coraz dalej — brutalny przeskok w kubizm, wielka data w historii malarstwa. Równocześnie obok przeróżnych malarskich eksperymentów, jak pointylistyczna „kopia” Le Naina, jak skrajnie realistyczny portret jego pierwszej żony, jak przedziwne pudełeczka wklejone w ramki, ze strzępów malowanych deseczek, papierów, czy malowanych kartonów, wszystko przemawia nowym językiem sztuki. Cieszy, bawi i świetność rysunków i wirtuozeria nieustanna inwencji i świadomości w tych początkach rewolucji form z pierwszych dwóch dziesiątków XX wieku.

Dlaczego w miarę posuwania się dalej, od sali do sali, ta zawrotna mnogość form — zapożyczeń, eksperymentów zaczyna nużyć, narasta obojętność, gorzej, nuda, bunt. Nie ma stylu, nie ma epoki poprzez wieki, nie ma mistrza, którego byśmy tu nie spotkali w wersji picassowskiej, to znaczy w deformacji picassowskiej druzgoczącej, fałszującej, czy tylko karykaturalnej.

Więc co to jest Picasso? Klęska!

Lemayrie, we wstępie do wielkiej wystawy Picassa w Petit Palais w 1966, nazywa go największym archeologiem naszych czasów — „wymyśla on na nowo (?) sztukę wszystkich czasów, które przez nas zmartwychwstają (?)”*. Już przed laty Basler nazwał wystawę jego rysunków „*le dessin à travers les siècles*”.

Idąc dalej przez las rzeźb i konstrukcji abstrakcyjnych i pół-abstrakcyjnych z brązu, blachy, desek i kartonów, do płócien coraz to niespodzianych, jakże często puszczonej i beładnych. Te ostatnie sale przynębiają. To lata masakry Velasqueza (*Les menines*), masakry Delacroix (Kobiet algierskich), masakry Maneta (*Dejeuner sur l'herbe*). Te płótna, parafrazy, apoteozy — ależ nie! — to jakaś zdruzgotana przeszłość wieków sztuki, paszkwil czy zabawka.

To wrażenie było tak silne i dla mnie samego nieoczekiwane, że nie mogę go przemilczeć.

Gdzie jest granica między wirtuozerią człowieka ogromnej kultury, sztukmistrza o zwinności cyrkowej, parafrazującego sztukę wieków, a dziełem twórcy, które uszczęśliwia. Już nie mówię o zwyczajnym rysunku Rembrandta, Leonarda czy Goyi, ale bliżej ku nam w czasie cisną mi się wspomnienia przeżyć: szkic do „Pięta” Delacroix w Louvrze, czy „Kobieta w pracowni” Corota, czy Degasa „Ruda kobieta” — ogromne płótno w National Gallery, niezapomniany obraz „Zmarły torreador” Maneta, czy

* *Le plus grand archéologue de notre temps dans la mesure ou il reinvente l'art de tous les temps que nous ressuscitons.*

Cézanne'a martwe pejzaże, jak *Mont Sainte-Victoire*, *Baigneuses*, portrety żony czy „Gracze”, niepowtarzalne w materii malarskiej Bonnardy i Vuillardy aż po odkrywcze obrazki Klee, nieśmiała, do ostatnich granic czujne rysunki Giacomettiego, czy martwe Morandiego składające się z kilku garnuszków, czy pudełeczek — cisną mi się dalsze imiona, o których nie wspominałem, Sutin — Goya naszych czasów, cała plejada malarzy od Braque'a i Matisse'a aż po De Staëla.

Ci wszyscy, których nie nadążę wyliczyć i których głosy bywały to szeptem to krzykiem, wszyscy dawali nam niewysłowny cichy szok przeżycia, nauczyli nas czcić sztukę i czerpać w niej siły do życia. Wszyscy otwierali nam świat innego wymiaru.

Docierając do sali ostatniej zdało mi się, że ten zwycięzca, który osiągnął szczyty sukcesu, który zwyciężył na tym planie wszystkich swoich współczesnych, ilością, różnorodnością, efektywnością produkcji przyćmił dzieła ich wszystkich, przyćmił tych właśnie, którzy nam dali przeżycia innego, głębszego wymiaru. Chciałem to tutaj podkreślić, że nigdy tak jasno tej prawdy sobie nie uświadomiłem, tej różnicy *istoty* działania sztuki Picassa i tamtych, przez niego przyćmionych, artystów.

Picasso wydał mi się nagle postacią tragiczną przez swój nie-nasycony nigdy głód potęgi, głód, by on jeden tylko mógł błyszczeć blaskiem nieporównanym.

W latach 50-tych Matisse pokazał mu serię tylko co z Nowego Jorku otrzymanych reprodukcji dzieł młodych malarzy.

„Co, szukasz młodych malarzy? — zareagował Picasso — ja jestem młodym malarzem”.

Opowiadano mi również, że gdy w ostatnich latach zgodził się wysłać kilkadziesiąt obrazów na wystawę do Nowego Jorku, dyrektor galerii zjechał do Francji, by obejrzeć jakie obrazy mistrz dać mu zechce. Picasso spytał go po co się fatygował — „przecie wiesz, że cokolwiek bym dał będzie uznane i sprzedane”. Ten „Michał Anioł naszego wieku”, posiadacz fortuny, której się już doliczyć nie mógł, osaczony swą sławą, nie mogący ruszyć, wyrwać się poza swój zamek i parę willi, bo mu groziło osaczenie dziennikarzami i tysiącną gawiedzią — miał powiedzieć: „najgorszemu mojemu wrogowi nie życzę życia, które sam prowadzę”. Ten król okryty chwałą zdał mi się królem nagim. Co myślał ten starzec w obliczu śmierci, której nienawdził, ten człowiek, który naprawdę wiek swój nazaczył?

Ściga mnie uporczywie w tej chwili dalekie wspomnienie. Przed bardzo wielu laty odwiedziłem Hiszpanię, Toledo, katedrę tolekańską, byłem przygnieciony jej bogactwem, przeładowa-

niem: las filarów, witraży, złożonych retabli, pokrytych po szczyty niezliczoną ilością obrazów — stalle misternie rzeźbione — późny gotyk, barok, styl mauretański, freski renesansowe. Jedna z kaplic pełna krypt wykładanych porfirem, jaspisem, srebrem, w niej skrzynki drogocenne, trumienki z relikwiami które Filip II z całego świata sprowadzał. Przy wejściu do tej kaplicy jest płyta grobowa wprawiona w kamienną posadzkę, którą wszyscy depczą.

Tu, pod tą płytą, spoczywają zwłoki potężnego kardynała i polityka XVII wieku, Portocarrero. Sam kazał się tak pochować i na tej płycie nie ma nawet jego imienia, nie ma nic, poza napisem:

— *Sic iacet pulvis, cinis et nihil.*

Józef CZAPSKI

KONKURS NA ESEJ O CAŁOPALENIU

American Congress of Jews from Poland and Survivors of Concentration Camps ogłasza piąty doroczny konkurs na esej o Całopaleniu (*Holocaust Essay Contest*). Mogą w nim brać udział studenci szkół wyższych, uniwersytetów, *college'ów* i innych instytucji oświatowych. Wyznaczono trzy tematy. 1. Od milczenia do krzyku: jak tłumaczy się względne milezenie w okresie katastrofy i rosnące stale zaangażowanie trzydzieści lat później? 2. Temat Całopalenia w podręcznikach studiów społecznych: przegląd literatury w danym okręgu uniwersyteckim, jej ocena wraz z własnymi zaleceniami. 3. Całopalenie w książkach tych, którzy przeżyli: należy wybrać do gruntownej analizy co najmniej dwie książki.

Każdy esej powinien zawierać nie mniej niż 4.000 słów, nie więcej niż 7.000. Pierwsza nagroda wynosi \$ 400 druga — \$ 300, trzecia — \$ 200. Eseje winny być pisane na maszynie, z podwójnym odstępem, po jednej stronie arkusza. Do prac konkursowych, opatrzonych godłem, należy dołączyć zaklejone koperty z godłem; w kopercie imię i nazwisko autora, adres, krótka biografia, nazwa zakładu naukowego w którym studiujecie, bibliografia użytych źródeł. Data nadsyłania prac do 13 kwietnia 1980. W skład sądu konkursowego wchodzi: Dr Bernard Cohen, Dr Barry Dank, Dr Judah Pilch, Dr Abraham Zygielbaum. Prace konkursowe należy posyłać na adres:

BENJAMIN GREY, CHAIRMAN OF CONTEST COMMISSION,
6534 MOORE DRIVE, LOS ANGELES, CA 90048.

Prosząc *Kulturę* o ogłoszenie tego komunikatu, p. Grey zaznacza że dopuszczalne są prace w języku polskim.

Ci, co odeszli

Zygmunt Hertz, mój przyjaciel

Zygmunt Hertz był jednym z najbliższych mi ludzi, trudno mi się pogodzić z tym że nie będę już nigdy miał z nim codziennej niemal telefonicznej rozmowy, spotkania po różnych bistrach za każdym jego dojazdem do Paryża, uroczych, żywych, zabawnych listów jakie wymieniał ze mną odwrotną pocztą kiedy czy on czy ja byliśmy w podróży lub na urlopie.

Homilii ks. Józefa Sadzika nad jego trumną w kościółku w Le Mesnil-le Roi słuchałem ze wzruszeniem tak silnym że samo to słowo odzyskiwało swój sens pierwotny poprzez fizyczne wprost przeżycie tych prostych słów prawdy o naszym zmarłym przyjacielu. Echo jego pamięci w Kraju, żywa wdzięczność tylu ludzi potwierdzają moje przekonanie, że nowe pokolenie „nie pokornych” już sobie wywalczyło wolność wewnętrzną i szacunek dla siebie samych — cechy które przerastają kategorie polityczne i świadczą o tym że nie sposób oceniać pewnych form zaangażowania racjonalną analizą ich bezpośredniej „skuteczności”.

Nie zabieram się tutaj do pisania „nekrologu”. Brzydkie to słowo, a w dodatku forma której Zygmunt nie znośił. Chodzi mi raczej o możliwie wierne nakreślenie sylwetki mego przyjaciela w świetle pozornych kontrastów jego natury i kaprysów narzuconego mu przez historię losu. Polską skłonność do werbalnego idealizmu określa Miłosz w *Ogrodzie Nauk* jako „pobożne pienia na pokładzie okrętu, we wnętrzu którego przewozi się niewolników”. Idiosynkrazja Zygmunta Hertza do górnolotnych deklaracji, jego przekonanie o samolubnych pobudkach ludzkiej natury stanowiły podobne, lecz do góry nogami odwrócone przenieństwo między jego hobbesowską niemal „filozofią” i franciszkańskim sercem: w jego wypadku nasuwa się porównanie do pirackiej karaweli z czarnym sztandarem na maszcie, wiozącej pod pokładem ładunek darów dla głodnych i uciemnionych. Jestem przekonany że *Kultura* doczeka się — raczej prędzej

niż później — szeregu historycznych monografii, słusznie identyfikujących ją z Jerzym Giedroyciem, gdyż nigdy chyba żadne pismo nie było do tego stopnia dziełem i zasługą jednego człowieka. Ale przyszły historyk zajmie się również dziejami instytucji, jej „zespołową genealogią od Wydziału Propagandy i Kultury Armii Andersa w Związku Sowieckim, poprzez Bliski Wschód, Włochy, aż do Instytutu Literackiego w Rzymie i Maisons-Laffitte. Jeśli teraz tego nie uczynię, nikt temu historykowi nie powie, że jednym z pierwszych kroków w kierunku zespołu *Kultura* było nadeptanie przez Zygmunta Hertza na tzw. „szczątkową” ostrogę kroczącego przed nim eleganckiego rotmistrza w piechym szeregu wziętych do niewoli przez armię sowiecką polskich oficerów na wschodnich rubieżach, po 17 września 1939. Trzeba tu dodać że Zygmunt był niemal równie jak ja niezgrabny w chodzie, czego często doświadczaliśmy obaj na wspólnych spacerach. Po pierwszym nadeptaniu rotmistrz burknął; po drugim odwrócił się gniewnie; po trzecim spojrzął piorunującym wzrokiem na nieuważnego podporucznika artylerii przeciwlotniczej i oświadczył, że po dojściu do celu przyśle mu świadków, aby sprawę załatwić honorowo. Zygmunt nie wiedział, że ostatecznym „celem” tego marszu jest katyński las. Ale w sukurs mu przyszedł jego humor i odraza do tego rodzaju polskich błazeństw. Zwrócił się do idącego obok kolegi i powiedział głośno: „No nie! Bozewicz — tutaj? To nie dla nas!”. To m.in. spowodowało, że obaj uciekli z niewoli w Czortkowie w chwili gdy miano ich załadować do pociągów idących na wschód. Po wielu przygodach Zygmunt doszedł do Stanisławowa, gdzie dołączyła do niego z General-Gubernatorstwa niedawno poślubiona żona, Zofia, wstępując nieświadomie na szlak wędrówki do Maisons-Laffitte. *Kultura* powstałaby i bez tego? Zapewne. Ale bez Zosi i Zygmunta Hertzów, nie byłaby to ta *Kultura* jaką znamy. Nie jedyny to paradoks wojennych losów Zygmunta. W czasie kampanii włoskiej, w Anconie, dowódca Zygmunta, płk Angerman, dał mu do wglądu przed spaleniem donosy, jakie na niego składano. Wynikało z nich, że od zamierzcztych czasów Buzułuku jego humor i niezależność sądu wywoływały podejrzenie że jest... agentem komunistycznej propagandy: „Widzi Pan teraz, Panie Zygmuncie, dlaczego Pan nigdy nie awansował do stopnia kapitana?”. Zrozumiał wtedy również Zygmunt dlaczego jego żartobliwa korespondencja z żoną z tego pierwszego okresu została posądzona o „zdradę tajemnicy wojskowej” — do tego stopnia ich świetnie zgrany humor wydał się ówczesnym cenzorom bliski groźnego szyfru.

Zygmuntów poznałem w roku 1946 w Rzymie, gdzie ściągnął mnie z Pierwszej Dywizji Pancerniej Emeryk Czapski, szef polskiej placówki wojskowej przy Ambasadzie Brytyjskiej, zajmującej się emigracją z Włoch żołnierzy Drugiego Korpusu Żonaty z Włoszkami, którym odmówiono prawa osiedlenia się w Wielkiej Brytanii. Z tego spotkania pamiętam głównie urodę

tej młodej wówczas, idealnie dobranej pary i to że już wtedy bardzośmy się z czegoś razem śmieli.

Łódzka rodzina Hertzów zbyt jest znana — członkowie jej zaśluzeni społecznie czy kulturalnie zajmują kilka stron Polskiego Słownika Biograficznego — by trzeba było wprowadzać czytelnika w środowisko w którym wychował się Zygmunt. Ojciec Zygmunta, Mieczysław, który również figuruje w Słowniku Biograficznym, był prezesem łódzkiej Izby Przemysłowo-Handlowej i przedstawicielem na Polskę firmy Solvey (w przedstawicielstwie tym pracował przy ojcu przed wojną Zygmunt). Jeśli o tym wspominam, to dlatego że europejskie koncerty tej miary z otwartymi ramionami przyjmowały po wojnie zdemobilizowanych na Zachodzie polskich żołnierzy poprzednio z nimi związanych. Ze swymi doskonałymi kwalifikacjami, biegłą znajomością angielskiego, Zygmunt miał u Solveya zapewnioną świetną karierę zawodową i materialną. Ale podczas gdy Zygmunt służył w swym liniowym pułku, Zosia była już wówczas od lat związana z akcją kulturalno-polityczną, prowadzoną w różnych formach przez Jerzego Giedroycia i Józefa Czapskiego, nie było mowy dla niej o tym by nie przystąpić do założenia Instytutu Literackiego i *Kultury*. Dla Zygmunta wybór był oczywisty, a zaważyła na nim nie tylko solidarność z żoną, poczucie że nie ma prawa oderwać jej od pracy do której była wprost idealnie stworzona, gdyż pozwalała jej oddać swe wybitne zdolności na służbę sprawie, która nadawała jej życiu znaczenie. Dla Zygmunta zasadniczą wagę miały stosunki „miedzyludzkie”, ich obserwacja, zdolność ich harmonizowania. Niczego się bardziej nie obawiał w życiu jak „nudy”. Nigdy nie traktował swego wyboru jako poświęcenia. „Co by mi z tego przyszło — mówił mi czasem — mieć eleganckie mieszkanie i Mercedesa? Nigdy bym nie miał tylu ciekawych przyjaciół, korespondencji, poczucia że się zawsze coś nowego dzieje”.

Marek Hłasko żartował, że Zosia Hertz jest Don Kiszotem *Kultury*, a Zygmunt jej Sanczo Pansą. Ale nie trzeba zapominać o tym że Zosię — „Don Kiszota” łączył z Zygmuntem podobny, bardzo żywy zmysł humoru, ani że Zygmunt „Sanczo Pansa” był z *Kulturą* solidarny do tego stopnia że nigdy nie zdradził mi zawartości następnego numeru pisma, jednej z niewielu skutecznie strzeżonych tajemnic na świecie.

Polski przedwojennej Zygmunt nie idealizował i podobnie jak ja dziwił się i niepokoił zbyt daleko idącą rehabilitacją „Dwudziestolecia” przez najlepsze elementy młodego pokolenia w Kraju. Żałuję że nie mogliśmy się już razem pośmiać i ucieszyć ze świetnego wyboru przez Zdzisława Baua tekstów z *Gazety Polskiej* w przededniu wojny, ogłoszonego przez *Kulturę*, po którym trudno doprawdy nie nabrać odpowiedniego dystansu do smutnej rzeczywistości, której nie maskuje niezadarna retoryka, sformułowana w polszczyźnie godnej najgorszych współczesnych pism krajowych. Słusznie podkreślił ks. Józef Sadzik w

swojej homilii wyjątkową skromność Zygmunta, jego wyrozumiałość dla cudzych błędów, pobłażliwość i tolerancję. W przeciwieństwie do wielu innych emigrantów, Zygmunt nigdy się nie oburzał na „niebohaterskie” zachowanie takich czy innych rodaków w Kraju w najgorszym stalinowskim okresie. Miał dość wyobraźni na to, by wiedzieć że jedynie osobiste doświadczenie — którego nam brak — mogłoby nam dać prawo do sądów.

Zygmunt miał przy tym bardzo żywe i naturalne poczucie czasu historycznego. Kiedy mówiliśmy czasem o wojennych przeżyciach, „jakby to było wczoraj”, wybuchał śmiechem: przecież dla młodych to czasy przedhistoryczne — tak jakbyśmy w roku 1939 słuchali wspomnień o roku 1905!

Przyznam że ze wzruszeniem przyjąłem inicjatywę *Kultury* ustanowienia dorocznej nagrody literackiej imienia Zygmunta Hertza. Zygmunt był nie tylko utalentowanym czytelnikiem, którego zawsze pytałem co warto z nowych krajowych książek przeczytać. Znał je wszystkie, miał niezawodne wyczucie wartości literackich, odrzucając z miejsca cokolwiek trąci fałszem, zakłamaniami, pretensjonalnością. Miał również wszystkie dane by zostać pisarzem z prawdziwego zdarzenia, choć nigdy nie wyraził swego talentu inaczej niż w listach, pisanych świetną, jędrną polszczyzną, z kapitalnym zmysłem obserwacji rewelacyjnego szczegółu. Nie znam dziś chyba nikogo kto prowadzi tak rozległą, zawsze żywą, zawsze spontaniczną, bezinteresowną korespondencję. Jestem przekonany że listy zebrane Zygmunta Hertza stanowiłyby jedną z najbardziej wartościowych kronik polskiego życia w Kraju i na emigracji na przestrzeni trzydziestu z górą lat.

W parę dni po śmierci Zygmunta mówiłem o nim z przyjacielem który mniej go znał ode mnie, ale równie wysoko cenił. Doszliśmy obaj do wniosku, że jeśliśmy czasem coś zrobili aby pomóc przyjezdnym z Kraju na terenie paryskim, to w większości wypadków na skutek telefonów, nalegań, argumentów Zygmunta. Był nie tylko ważnym członkiem instytucji jaką jest *Kultura*, której był całkowicie oddany. Był sam w sobie instytucją, której jedyny, ale niewyczerpany kapitał stanowił — żeby znów zacytować ks. Sadzika — „jego niepojęty zmysł dobroci”.

K. A. JELEŃSKI

Przez morze przepłynął

Pamięci Hilarego Krzysztofiaka

Dopiero parę lat temu odkryłem tego artystę i jego malarstwo, w Monachium, w jego pracowni. Moje pierwsze wrażenie to

bogactwo, różnorodność dźwięku kolorystycznego, zdało mi się do żadnego innego nie podobne, zaskakiwało mnie za każdym nowym płótnem, skala barw niesamowitych form, pozornie naturalistycznych, a rzeczywiście całkowicie zmyślonych.

Surrealizm?

Jeżeli już trzeba mówić o *izmach*. Szkodzi to bardzo, jeżeli na nich się zatrzymać, pomaga gdy je wspomnieć jedynie jako pierwszy punkt orientacyjny. Długo myślałem od jakiej strony Hilary o surrealizm zawadził, bo ta nazwa jest dziś zresztą jak worek, do którego się pakuje cały nowoczesny ekspresjonizm i każdą sztukę fantastyczną. Ale o tym potem.

Niestety nie znam pierwszego etapu pracy malarzkiej Hilarego w Polsce. Wiem tyle, że jest Ślązakiem, że przeszedł przez Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, że był w 1953 roku współzałożycielem grupy „St-53”, która za punkt wyjścia wzięła unizm Strzemińskiego — więc czystą, od Malewicza idącą abstrakcją, skrajną formę protestu przeciw narzucanemu socrealizmowi.

W Warszawie Hilary wystawia w Arsenale, w Salonie Współczesnych, w Krzywym Kole. Zdobywa sobie tam nazwisko, powraca na Śląsk, do Katowic. Krytycy ówczesni mówią o jego związkach ze sztuką ludową, ze świątkami, o wpływach meksykańskich (Siqueiros w Polsce), jak również Picassa. Już w Polsce maluje to, co nazywa swoimi „totemami”. Te wielkie, ciężkie formy abstrakcyjne, w ciemnych, gęstych tonacjach widywałem przeważnie z reprodukcji, malowane jakby w porywie żywiołowym i zmysłowym.

W Monachium, gdzie ustawił swój namiot po wyjściu z Polski, mogłem już oglądać dalszy rozwój jego pracy. Wszystko co wzrokiem przeżył i doświadczył przemienia w pejzaże abstrakcyjne, bukiety fantastyczne, nieba niesamowite etc.

Białe pełne kwiaty, róże przypominające, przyjrawszy się z bliska to kule zwinięte z zadrukowanego delikatnego papieru rzucone na stos mikroskopijnych trawek i gałązek. Czarna płaszczyna, na której czerwona pomarańcza staje się księżycem w pełni. Albo nieba o kolorycie niezmiernie delikatnym, na którym znów rozkwita ogromny, biały tulipan. Tulipan? Ale to tylko rozwinęty jak kwiat biały tiul. Duże płótno o szarych brązach — widzimy tylko dwa skrzydła, ale te skrzydła syntetycznie ujęte nie mają nic ani z materii ani z koloru skrzydeł — i ich ruch jedynie, są one może z dykty czy z papieru do pakowania? Artysta to płótno nazywa „Nike”. Zarośla, dżungle, stale malowane z prawie mikroskopijną precyzją. Pierś biało-złota kobiety, której tu nie ma, pierś w wieńcu delikatnych fioletołów.

Te formy abstrakcyjne, jakby wyrastające z lasów tropikalnych, ze snów niesamowitych, przypominały mi nagle zadziwiający obraz Max Ernsta, tego już klasyka surrealizmu. Jego „Wielki las” robiący wrażenie potężnego tropikalnego gąszczu, w rzeczywistości to parę deseczek w centki chyba na stole usta-

wionych, na szarym tle ze świetlistym kołem. Skąd to złudzenie potęgi? Sekret proporcji?

Ale nie tylko surrealista Max Ernst wiąże mi się w pamięci z obrazami Hilarego, bo nawet Dali, którego Breton nazwał *avida dolar* i który zdobywa nadal dolary na ludzkiej głupocie, był malarzem dużej miary i autorem szeregu zaskakujących i prawdziwie malarskich płócien (Żyrafy w płomieniach, martwa gdzie widzimy główkę i szkielet śledzia leżący przy telefonie z wielką górą w tle i malusieńkimi postaciami ludzkimi, czy nawet jego miękkie, jak zwisające ścierki, zegarki). Siła koloru lokalnego, gładkość płótna i zupełna fantastyczność mają z Hilarym pokrewieństwa. Przypomina mi się również Magritte, ale ten surrealista gdy mu odjąć zaskakującą anegdotę każdego płótna (np. Panowie w melonikach spacerujący po chmurach nad banalnym i banalnie namalowanym pejzażem), to materia obrazu zdaje się nam z taniej pocztówki, w najlepszym razie Boecklin siódma woda po kisielu — kiedy Hilary, niewspółmiernie mniej zaciekawiony tematyką swych płócien, uderza za każdym razem nową kolorystyką i nowymi niespodziankami formy. Ten kolor jest u niego nieraz gwałtowny aż do egzasperacji, nie zawsze zwycięski, czasami staje się jak gdyby krzykiem wypadającym z malarstwa, ale bo też każde nowe płótno jest próbą stworzenia nowej harmonii form i kolorów, a artysta prowadzi je z uporem i odwagą zawsze do końca, do skraju swego eksperymentu. Ale ogromna większość tych obrazów ma zadziwiająco pełnię i jakże nieraz wielką delikatność gry. W Niemczech artysta wystawia w szeregu miastach, przeważnie w Monachium, Kolonii i Düsseldorfie, poza tym w Holandii, gdzie go zakupuje szereg kolekcjonerów. Ale i tu, w Niemczech, mu ciasno. Cierpi na brak akustyki, na brak oddźwięku.

Nagroda Jurzykowskich otwiera mu Amerykę. To trzeci etap. Porzuca Niemcy, tracąc już tam zdobyty teren. Trafia do Waszyngtonu, organizuje tam wielką wystawę w Franz Bader Gallery, gdzie nieznany nawet z nazwiska malarz sprzedaje dziewięć obrazów, w tym dwa wielkie — to jest sukces. Ma drugą wystawę w Cambridge w Bank Gallery i zamierza wystawiać w Nowym Jorku, jest pełen wiary w przyszłość. Pisz do mnie zwycięsko — „zerwałam pępowinę z Europą”, kupuję na długie spłaty dom w Virginii, gdzie osiąść zamierzam z żoną, najbliższym towarzyszem.

Przez morze przepłynął, u brzegu utonął.

Dwa nagłe ataki serca i śmierć. Tak się kończy trzecie wcieleństwo tego malarza.

Jego dorobek jest dziś rozsypany po Niemczech, po Holandii i w Ameryce; nie ma prawa być zapomniany przez nas, bo ten malarz — tak mało jeszcze znany — należy do czołowej grupy malarzy swojego pokolenia, należy do Polski.

Józef CZAPSKI

Polemiki

List do Redaktora

Warszawa 8 września 1979.

Szanowny Panie Redaktorze.

Ostatnio dostałem do rąk na bardzo krótko czerwcowy numer *Kultury* z bieżącego roku, gdzie ze zdziwieniem, a w końcu nie ukrywam, że i z irytacją, przeczytałem artykuł p. Andrzeja Koraszewskiego pt. „Nasi protestanci”. Ze względu na forum na jakim się ukazał postanowiłem napisać na ten temat kilka uwag, które w trakcie pisania dosyć się rozrosły. Mam nadzieję, że zechce je Pan zamieścić „bez skreśleń i poprawek”, mimo że z powodu braku czasu mają taką formę, że niejedna poprawka by się im przydała. Oto one:

Artykuł p. Koraszewskiego dotyka warstwy historycznej i współczesnej. Zaczniemy od historii. Mowa w nim jest o obowiązującej jakoby w Polsce „katolickiej wersji historii naszego społeczeństwa”. W moim przekonaniu rzecz ma się zupełnie inaczej. Opinie o historii naszego narodu kształtuje w nim historiografia i publicystyka, a nade wszystko literatura polska, nie wcześniejsza jak z okresu ostatnich dwustu lat. Z tych trzech, na pewno ani historiografia ani publicystyka Kościoła nie rozpierzchły. Jeżeli ktoś był przez nie rozpieszczany to właśnie, w moim przekonaniu, nurty lewicowe i antylerykalne. Byłoby zresztą dziwne, gdyby było inaczej. Historiografia i publicystyka oświeceniowa z natury entuzjastką Kościoła nie była. Romanizm miał do czynienia z Kościołem *ancien régime*'u, pozytywizm i socjalizm, niechętnie nastawione do religii w ogóle, w Polsce zwracały ostrze swej niechęci do głównego tu eksponenta religijnej postawy — a więc Kościoła. Marksizm — wiadomo. Litera-

tura nie była tak jednostronna, ale też bywała mocno krytyczna. To co zdaje się p. Koraszewski eksponować, to znaczący nurt bałwochwalczy w stosunku do Kościoła katolickiego w historiografii polskiej, było nurtem stosunkowo wąskim. W tym lesie było nieco takich drzew, ale nie tak dużo, na ogół nie pierwszej wielkości i las w całości prezentuje się inaczej.

Nie twierdzę, że Kościół, zwłaszcza jako podmiot dziejów politycznych, był zawsze niewinnie prześladowany przez historiografię polską, ale mimo tych czy owych posunięć o które słusznie historiografia nasza zgłasza pretensje, schemat: antyklerykalny = antykościelny = postępowy, jeśli słowo postępowy ma jeszcze jakiś sens, słusznie jest dziś rewidowany. Stereotyp Polak katolik wytworzony w ciągu dziejów jest już dziś inaczej, nie tak wulgarnie rozumiany, jak to zdaje się sugerować artykuł. Natomiast sam fakt powstania takiego stereotypu, oraz niepodważalne zasługi katolicyzmu w obronie polskości, domagają się dalszych badań i refleksji, uwzględniających cały kontekst historyczny. Czyżby znalazło się tu potwierdzenie marksistowskiej teorii o obiektywnej roli podmiotu historii, niezależnej od intencji czy poglądów jakim ten podmiot hołduje?

Co do kontrreformacyjnych mitów, na których według autora artykułu bazują do dziś dnia stosunki między katolikami a protestantami, ja dodałbym jeszcze mity reformacyjne i odesłał p. Koraszewskiego do tekstu który ogłosiłem w *W Drodze* nr 1, 1974. Zacytuję tu jeden fragment: „Historyczny egzamin naszych sentymentów i resentymentów musi skierować się dalej w wiek XVIII i XVII. I tu pytania adresowane do naszych braci rozłączonych. Czy nie należałoby wybielić trochę w ich świadomości „czarnego luda” polskiej kontrreformacji? Wydaje się mało prawdopodobne, by słabnące państwo, bezsilne w egzekwowaniu od swoich obywateli najbardziej nieraz elementarnych powinności, zdołało drogą presji, w tak delikatnej i drażliwej sprawie jak wyznanie, osiągnąć rezultaty, których bez wojny domowej i innych drastycznych kroków nie potrafiły uzyskać o wiele sprawniej działające organizmy państwowe — choćby Francja Ludwika XIII-go i XIV-go. Może więc upadek protestantyzmu w Polsce w XVII wieku jest bardziej sprawą jego kryzysu wewnętrznego — przy jednoczesnym niewątpliwym odrodzeniu katolicyzmu, w którym Sobór Trydencki wyzwolił nowe siły — aniżeli kwestią naszej nietolerancji, wmawianej nam potem tak uporczywie przez dobraną parę Fryderyka i Katarzynę. Nie zapominajmy, że nawet w XVIII wieku, gdy narzucane nam były obce gwarancje dla „dysydentów”, cieszyli się oni u nas większymi prawami niż na przykład we Francji czy katolickich krajach niemieckich i więk-

szymi niż katolicy w krajach gwarantów. Może więc po prostu odwróciła się proporcja sił wewnętrznych, duchowych, która w XVI wieku korzystna była dla Reformacji, a w XVII wieku dla Kościoła katolickiego?

I tu dochodzimy do drugiego i ważniejszego kierunku naszych pytań. Do pytań o siłę Reformacji w XVI wieku, jeśli nie zrzućmy jej wygodnie na żądę zagrabienia majątków kościelnych i siłę katolicyzmu w XVII wieku, jeśli znowu nie załatwimy ich przemocą bezsilnego skądinąd państwa i makiawelizmem jezuitów, mogą nam dać odpowiedzi ważne nie tylko na wczoraj, ale na dziś i na jutro. Są to bowiem pytania o żywe wartości, o ideały, których obrona i wierność którym, były wewnętrzną siłą danego wyznania, a odejście od nich, czy też zmumifikowanie ich, stawało się źródłem słabości. Są to pytania na dziś o żywotność naszego dziedzictwa, o naszą wierność nie literze, nie formule, ale duchowi naszej tradycji. Obawiam się, że nikt z nas nie jest w stanie dać sam na te pytania odpowiedzi obiektywnej i wszechstronnej. Poszukiwanie odpowiedzi musi odbywać się wspólnie, a ich szukanie i znalezienie jest sprawą naszego elementarnego zobowiązania nie tylko wobec naszej przeszłości, ale także teraźniejszości i przyszłości, a nade wszystko wobec jedynego Pana Kościoła”. Cytowanie siebie nie jest w dobrym guście, ale chodzi o to, że nikt na moje wyrażone wówczas wątpliwości i sugestie jak dotąd mi nie odpowiedział, uważam je więc za aktualne.

Jeszcze słów kilkoro o zarzucie „sprymitywizowania zarówno religii jak i kultury narodowej” — oraz fatalnego piętna rodzimej cenzury katolickiej która rzekomo ciąży na całej naszej historii.

Powtarzam — obraz Kościoła katolickiego jaki rysuje historiografia polska daleki jest od idealizacji. Istniało między takim obrazem, a dechrystianizacją inteligencji polskiej niewątpliwe sprzężenie zwrotne. Jeśli w tym samym okresie postępującej dechrystianizacji górnych warstw społecznych (aż do końca drugiej Rzeczypospolitej) sytuacja w masach była inna, Kościół był tam ostoją narodowej świadomości czy nawet katalizatorem jej powstawania, jeśli polski ksiądz znacząco katolicki ksiądz, to nie trzeba się na tę rzeczywistość obrażać, tylko trzeba ją zrozumieć i uznać wszystkie jej pozytywne walory, nie zamykając też oczu na negatywy. Co do tych ostatnich można stwierdzić, że zawsze wypełnianie roli politycznej przez Kościół niesie ze sobą niebezpieczeństwa dla jego misji religijnej. Widzimy to w skali całego Kościoła katolickiego choćby w systemie powieńskim Europy i co najmniej równie ostro na przykładzie innych Kościołów, czy

to będzie Kościół anglikański, czy protestantyzm pruski czy rosyjskie prawosławie. Kościół w Polsce był na nie również narażony, ale też nie można nie zauważyć, że w każdym razie od dwustu lat, rola polityczna nie jest tą po którą sięga z własnej woli, lecz jest mu narzucana z zewnątrz. Sądzę ponadto, że nie podjęcie tej roli, tak ją w ciągu owych dwustu lat podejmował i nadal podejmuje, byłoby zdradą podstawowych wartości religijnych i humanistycznych jego misji, nie mówiąc już o tym, że byłoby również działaniem politycznym z punktu widzenia interesów narodu i jego kultury jednoznacznie negatywnym. Ktokolwiek dziś nieuprzedzonym okiem spojrzy na życie duchowe Polski przyznać musi, że i na płaszczyźnie religijnej, mimo wszystkich problemów i trudności, Kościół katolicki swą misję religijną dzięki Bogu w sposób zaskakująco nieraz dobry wypełniał i wypełnia. Że są w tym obrazie i cienie dowiedzieć się można nie tylko z prasy chrześcijańskiej niekatolickiej, ale może nawet więcej, a na pewno głębiej, choćby z listów pasterskich Episkopatu. Świadczy to, że Kościół choć słusznie jest wdzięczny Bogu za swe osiągnięcia, to jednak nie jest sobą bez reszty zachwycony.

Zaś co do kultury polskiej ostatnich lat dwustu to też, mimo wielu potknięć i zahamowań jakim podlegała, czyżby przede wszystkim z winy Kościoła? nie jest tak beznadziejnie sprymitywizowana jak to się zdaje sugerować artykuł. Znowu zapytać można czy od tej prymitywizacji uchroniła się wyłącznie wbrew Kościołowi — czy może także dzięki niemu. Wystarczy przytoczyć plejadę znakomitych naszych myślicieli religijnych XIX wieku: Liebert, Cieszkowski, Trentowski, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, by stwierdzić, że i w tej dziedzinie Kościół nas nie stłamsił, choć rzekomo tak bardzo chciał. Na pociechę przeciwnikom katolickiego dyktatu można zauważyć, że żaden z nich, z wyjątkiem Norwida, nie może być uznany za wzór katolickiej ortodoksji, co wcale nie dezawuuje ich w oczach katolików jako religijnych myślicieli i nie wyklucza ich z Kościoła, a znalazł się w tej grupie i entuzjasta Reformacji — Trentowski.

To tyle na temat zniewolonej przez Kościół kultury i ocenzonej przez Kościół historii.

Przejdźmy teraz do współczesności i przyszłości, które stanowią drugą, a właściwie pierwszą płaszczyznę zarzutów wysuniętą przez p. Koraszewskiego, a których już nieco dotknąłem wyżej.

Najpierw sprawa wrogości, z jaką spotykają się dziś podobno protestanci „w szkole, w wojsku, w urzędzie i w życiu prywatnym”. Tak się składa, że mam sporo znajomych protestantów, a nawet i krewnych. Żaden z nich nie mówił mi nigdy, że czuje

się dyskryminowany z powodu swego wyznania, poza takimi „dyskryminacjami” jak ta, że dawniej nie mógł być ojcem chrzestnym w Kościele katolickim, czyli gwarantem właściwej wyznaniowej edukacji katolickiego dziecka. Teraz już może, jeśli w wypełnieniu tego obowiązku pomoże mu drugi katolicki „współrodzic” chrzestny.

Pomińmy tu sprawę małżeństw mieszanych, która jest trudnym problemem dla wszystkich wyznań i w której Kościół katolicki też poszedł w spełnieniu żądań chrześcijan niekatolików, choć nie tak daleko, jak tego pragnęli. W każdym razie z ich punktu widzenia jest lepiej niż było.

Pozostaje dyskryminacja towarzyska. W mieście problem nie istnieje i nie słyszałem żeby istniał przed wojną. Na wsiach i w małych miasteczkach być może były czy są takie wypadki jako rezultat pewnego prymitywizmu kulturowego. Społeczności prymitywne niełatwo tolerują jednostki odbijające od przeciętnego wzorca, ale to sprawa zanikająca, a ponadto właśnie sprawa stopnia ogólnej kultury, tylko „obiter” dotykająca problematyki ekumenicznej. Podobny charakter ma sprawa mogących się tu i ówdzie zdarzyć trudności z kolegami w szkole, zwłaszcza podstawowej, jako że społeczności dziecięce to właśnie takie społeczności prymitywne. Czy znaczy to, że Kościół nie interesuje się tym bardziej niż „prześladowaniem” w szkołach rudzielców, tłuściochów i jakałów? Oczywiście nie. Zwłaszcza gdy wydobywa to nieraz ukryte i zdawałoby się zapomniane resentymenty, niekoniecznie zresztą natury wyznaniowej. Do tych niewyznaniowych resentmentów jeszcze wróć. Jeśli natomiast szkoła interesuje się czy dziecko jest wierzące i czy chodzi na katechizację i jeśli z tego powodu ono lub jego rodzice mogą mieć przykrości, to przykrości powodu ono lub jego rodzice mogą mieć przykrości, to przykrości takie raczej dotkliwiej uderzają w katolika niż w protestanta. To samo jest z wojskiem czy urzędem — jeśli powstaje tu jakiś problem, to w pytaniu wierzący czy nie wierzący, a nie w pytaniu jakiego kto jest wyznania. Pomijając jednak ewentualne dyskryminujące wierzących posunięcia czy indagacje władz, przecież nie kościelnych, ludzie w Polsce, spotykając się na terenie zawodowym czy towarzyskim, najczęściej nie spotykają się jako chrześcijanie, a już tym mniej członkowie określonego wyznania. Można przepracować z kimś wiele lat nie wiedząc jakiego kto jest wyznania, a jeśli o kimś wiemy, że jest wierzący to na zasadzie zwykłego rachunku prawdopodobieństwa przypuszcza się, że jest katolikiem. Niezależnie od tego w jakim stopniu uznamy to za sytuację właściwą, nie jest to na pewno gleba sprzyjająca dla kultywowania dyskryminacji wyznaniowych.

To sprawy stosunkowo proste. Bardziej skomplikowane to

te, o których pisze p. Koraszewski powołując się na swe doświadczenia z Mazur, Kaszub i Śląska. W tym wypadku optyka autora wydaje się bardzo charakterystyczna i w niej widzę źródło tego ciągu co najmniej nieporozumień jakie tworzą artykuł „Nasi protestanci”. Jest to problem klucza waśni międzywyznaniowych według którego interpretuje on oglądane sytuacje konfliktowe. Tymczasem do konfliktów między autochtoniczną i protestancką ludnością Mazur a katolicką ludnością napływową dodać można konflikty wewnątrz ludności katolickiej, czy to między ludnością dwóch obrządków na Ziemiach Odzyskanych, czy to między rzymskokatolickimi autochtonami i rzymskokatolickimi przesiedleńcami „za Buga” na Śląsku, zwłaszcza opolskim. Do dziś dnia ta odrębność się utrzymuje, choć jedni i drudzy rzymscy katolicy. Kościół katolicki na Ziemiach Odzyskanych był istotnym elementem integrującym różne grupy ludności i integrującym te ziemie z resztą kraju, ale i on nie jest dyktatorem ludzkich sentymentów i resentymentów, może je wychowywać, zmieniać stopniowo, ale nie arbitralnie z dnia na dzień. Do tego jeszcze dołączyły się błędy polityki władz — nie tylko tzw. „minionego okresu” — i tu trzeba szukać korzeni ruchu ekspatriacyjnego najpierw Mazurów po 1956 roku, a obecnie katolickich przeciw Warmiaków i Ślązaków, z księżmi włącznie. Dodajmy jeszcze własną autonomiczną atrakcyjność Zachodu, którego obraz, niekiedy przesadnie wyidealizowany, nie z winy Kościoła przecież ani tutejszej ludności, w zestawieniu z doświadczanymi codziennymi trudnościami bytowymi, też gra swą rolę, a otrzymamy o wiele bardziej skomplikowany zespół przyczyn emigracji. A zatem „inni szatani byli tam czynni” i niedostrzeżenie tego, ale zwalanie wszystkiego na „najbardziej obrzydliwą dyskryminację” ze strony Kościoła polskiego jest oczywistą dezinformacją. Również taką dezinformacją jest twierdzenie, że wobec zdarzających się w tej masie konfliktowej konfliktów wyznaniowych „hierarchia Kościoła katolickiego bynajmniej nie zachęcała” swych księży i wiernych do zajmowania właściwych postaw. Dezinformacja ta wskazuje po prostu na to, że aby wyrobić sobie pogląd na to co działo się i dzieje na Ziemiach Odzyskanych czy gdzie indziej (np. Górny Śląsk) na odcinku stosunków międzywyznaniowych, nie wystarczy czytać *Zwiastuna*. Dobrze byłoby sięgnąć nie tylko do innej prasy protestanckiej (np. *Jednota*) ale też do źródeł katolickich (listy Episkopatu i poszczególnych biskupów — szczególnie warmińskiego, katowickiego, opolskiego, prasa katolicka).

Wreszcie i o tym trzeba pamiętać, że spotykane niekiedy przejawy nieufności czy może nawet wrogości do protestantów są tylko z pozoru wyznaniowe, a w gruncie rzeczy opierają się

na owych dwóch stereotypach, wulgarnie rozumianych, Polak-katolik i protestant-Niemiec. Zauważmy, że oba powstały nie jako rezultat chytrej polityki Kościoła, lecz narzuciły się w toku ciężkiej walki narodu o przetrwanie. Ich wulgarnie rozumienie stawiające automatycznie kwalifikacje „dobry” przy jednym, a „zły” przy drugim jest rezultatem demoralizacji, jaką zawsze niesie ze sobą ucisk i niewola. Kościół w Polsce pracuje nie nad tym aby pierwszy z tych stereotypów zlikwidować, choćby dlatego że zachowuje on nadal *fundamentum in re*, ale pogłębić i oczyścić z owego wulgarnego rozumienia i szowinistycznego napatu, zniuansować jego rozumienie tak, aby nie wykluczało z polskiej rodziny wszystkich niekatolików — wierzących i niewierzących. Takie pogłębienie i zniuansowanie, nie bez udziału Kościoła, zasadniczo już nastąpiło. To iż tak zniuansowany stereotyp zachowuje podstawę w rzeczywistości nie jest powodem do zmartwień ani dla katolików, ani dla protestantów, ani dla Polaków w ogóle, wręcz przeciwnie.

Drugi z tych stereotypów nigdy nie miał pełnego oparcia w danych statystycznych, gdyż np. w 1931 roku około 26 % protestantów w Polsce jako swój język ojczysty podawało polski¹ (*nota-bene* rzymskokatolików ponad 98 %). Dziś denominacje protestanckie w Polsce są czysto polskie, stereotyp więc protestant-Niemiec jest całkowicie *sine fundamento in re*. Ujemna kwalifikacja aksjologiczna opierała się tu jednak bardziej na przesłance narodowościowej niż wyznaniowej. Dlatego, choć nikt nie zapomina, a tym mniej nie stara się o zapomnienie, wkładu polskich protestantów w zachowanie polskości Śląska Cieszyńskiego czy Mazur, ani nie pokrywa milczeniem męczeństwa wielu polskich pastorów i świeckich protestantów w okresie drugiej wojny światowej, choć nowa sytuacja narodowościowa polskiego protestantyzmu jest znana i niekwestionowana (dodajmy — jest wynikiem radykalnego zmniejszenia się liczby protestantów w Polsce), to jednak zasadnicze znaczenie dla zdrowia duchowego narodu ma, związana z pogłębieniem rozumienia tropu Polak-katolik, sprawa właściwego stosunku do Niemców jako takich. Nie trzeba sięgać pamięcią daleko by zdać sobie sprawę, że jest to zadanie równie konieczne co trudne. Kościół się od tego zadania nie uchyla, ale je odważnie podejmuje; w jakich warunkach, o tym świadczy choćby niesławna reakcja oficjalnej opinii w Polsce na list biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965

1. Por. Bolesław Olszewicz, *Obraz Polski dzisiejszej*, Warszawa, wyd. M. Arcta, 1938, tablica między stronami 112 i 113 pt. „Ludność Polski według wyznania i języka ojczystego (1931)”.

roku. Dziś sytuacja nieco się zmieniła, ale i dziś czytelnik prasy niezwiązanej z Kościołem, słuchacz radia i telewizji, łącznie sobie może, że choć wyrósł mu podobno pod bokiem jakiś nowy „naród NRD” i to naród „dobry”, to Niemcy (scilicet za Łabą) w dalszym ciągu takie nie są i stanowią dla nas zagrożenie. Co najważniejsze, stereotyp podziału na narody dobre i złe w oficjalnej propagandzie pozostaje w mocy. Choć więc skłonność do ulegania propagandowym schematom, a tym mniej mściwa pamięć, nie należą do cech Polaków, to jednak praca Kościoła, mimo wszystko owocna, przebiega w trudnych warunkach. Tyle o resentymentach i niewyznaniowych.

Pozostaje jeszcze sprawa laickiej lewicy. P. Koraszewski ma żal do Kościoła, że nie zasiada do okrągłego stołu z protestantami, tak jak zasiada podobno z „byłymi marksistami znajdującymi się w ekstazie ekspiacji”. Ja też sądziłem dawniej, że łożenie wzajemnych stosunków należy zacząć od stołu obrad, przy czym nie oczekiwałem ani od partnera ani od siebie „ekstazy ekspiacji”, a tylko rzeczowości i obiektywizmu, autentycznej, nie-deklaratywnej, świadomości choćby minimum wspólnoty. Pod wpływem stosunków z lewicą laicką zmieniłem zdanie. Wbrew twierdzeniom p. Koraszewskiego bowiem Kościół z lewicą laicką nie do stołu obrad zasiada, ale w oparciu o owo minimum wspólnoty przystępuje do wspólnej pracy tu i teraz i w poczuciu wspólnej odpowiedzialności za przyszłość. Okrągły stół jest ważny o tyle, o ile tego owa wspólna praca się domaga. Ani „Rody wody niepokornych” Cywińskiego, ani „Kościół, lewica, dialog” Michnika nie są tej pracy początkiem, lecz rezultatem, choć obie nie przestając być kontrowersyjne i dla katolików i dla lewicy laickiej, są zarazem dla rozwoju owego poczucia wspólnoty istotnym impulsem. Dodam, że według mojej opinii istnieje aż nadto wystarczająca baza dla wspólnej, czysto religijnej, pracy katolików i protestantów w Polsce. Wiem również, że jest ona w minimalnym jedynie stopniu wykorzystywana i wiem, że dzieje się tak nie z winy Kościoła katolickiego. Jeśli moje informacje są ścisłe, to nie mogę również całej winy za ten stan rzeczy składać na Kościoły protestanckie.

Jedno jest dla mnie pewne, protestantyzm polski, nie wchodząc w nowy spór z p. Koraszewskim, od jak dawna — dziś w każdym razie — nie jest traktowany przez Kościół katolicki jako przeciwnik, tak jak nie jest też „fizycznie zniszczony”, jak twierdzi autor, podając jednocześnie zawyżoną liczbę protestantów w Polsce. Dlatego też tym ostrzejszy sprzeciw budzić musi efektowne przyrównanie sytuacji Chrześcijańskiej Akademii Teo-

logicznej i *Zwiastuna* do sytuacji Teatru Żydowskiego w Polsce. Efektowne nie znaczy uczciwe. Chcę wierzyć, że podając nieścisłą liczbę protestantów w Polsce p. Koraszewski jeszcze mniej wie o prawdziwej liczbie Żydów. Nie wie też zapewne, że Teatr Żydowski gra coraz więcej sztuk po polsku, a w *jidisz* gra dla widowni ze słuchawkami na uszach, słuchającej tekstu w polskim tłumaczeniu. Nie wie też pewnie ilu w zespole Teatru Żydowskiego jest ludzi związanych z żydowską kulturą i żydowskim narodem jedynie kontraktem o pracę i ewentualnie sympatią. W przeciwieństwie do Teatru Żydowskiego ani ChAT ani *Zwiastun* nie są skansenem czy kulturową atrapą. Powtarzam, być może p. Koraszewski tego wszystkiego nie wie, ale polskiemu publicyście, przy takiej niewiedzy dotyczyć tego tematu nie wolno. Ma on obowiązek przynajmniej wiedzieć, że nie wie, gdyż to co napisał jest głęboko krzywdzące i dla tych nielicznych Żydów którzy w Polsce są i dla tych, o wiele liczniejszych, których już w Polsce nie ma.

Wiem jak często Polska, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich 10 lat, obwiniana jest o fanatyczny czy żywołowy antysemityzm, że te oskarżenia posuwają się aż do ekscesów przypisywania nam współudziału w zbrodniach hitlerizmu. Dlatego chciałem się tu stanowczo zastrzec przed traktowaniem tego co napisałem wyżej jako potwierdzenia tych zarzutów, których nie podzielam i które również uważam za głęboko krzywdzące. Jednak nie mogę wchodzić tu w analizę historii stosunków polsko-żydowskich na przestrzeni ostatnich 40 lat, gdyż musiałbym zacząć pisać nowy artykuł.

Muszę przyznać, że właśnie doświadczenie nagonki antypolskiej z powodu polskich Żydów, skłoniło mnie do wystąpienia z tą polemiką. Dostrzegłem bowiem w artykule „Nasi protestanci” — obok powstrzymującej raczej od podejmowania dyskusji tendencji i niewiedzy — podkreślony przez klamrę spinającą całość — paralela losów polskich Żydów i polskich protestantów, oraz teza o protestantach jako fizycznie pokonanym przez Kościół przeciwniku — nowy pretekst dla ewentualnego antypolskiego larum, tym razem ze strony prasy jeszcze i protestanckiej na dodatek. Przy dezinformacji opinii publicznej na Zachodzie, właśnie w związku z problemem żydowskim w Polsce, tym łatwiej będzie wymyślać nowe nonsensy o tym egzotycznym wciąż jeszcze kraju. Nie powinniśmy własną dezinformacją przyczyniać się do tego. I nic nie pomoże ewentualne tłumaczenie, że artykuł jest materiałem krytycznym pod adresem Kościoła katolickiego, a nie Polski w ogóle. Polski i Kościoła katolickiego w Polsce nie da się w opinii publicznej Zachodu oddzielić, choć

w tym trzeba jej oddać sprawiedliwość. Ktokolwiek więc szyje buty temu Kościołowi, chce czy nie chce szyje Polsce. Chodzi więc o prawdę, choćby i krytyczną, nie o laurki, ale o prawdę rzetelną. Inaczej będziemy znowu „chłopcem do bicia”, a choć jako katolik, ksiądz i zakonnik powinienem może umieć cierpliwie znosić takie bicie, jako Polak bardzo tego nie lubię.

Łączę wyrazy szacunku,

o. Aleksander HAUKE-LIGOWSKI O.P.

Szkielet w narodowej szafie

Dziwny to kraj ta nasza ojczyzna. Wielkopolska jest tu mniejsza od Małopolski, nazwa — Polska obejmowała niegdyś Polskę, Litwę, Zachodnią Ukrainę, Białoruś i Prusy chociaż kraje te znalazły się w granicach Rzeczypospolitej nie w drodze podboju. Człowiek uważany za największego zdrajcę wśród Polaków to Litwin Radziwiłł. Największe polskie dzieło literackie zaczyna się od słów „Litwo! Ojczyzno moja!”, a w dziele tym Litwin Mickiewicz pisze o litewskim Żydzie Jankielu, że ten miał sławę dobrego Polaka.

Większość naszych historyków słusznie chyba powiada, że sami byliśmy upadku Polski przyczyną, a wybijając się na niepodległość nieraz wybijaliśmy się nawzajem.

Jeszcze Polska nie zginęła. Zdołaliśmy przetrwać chociaż próbowano nie tylko wymazać Polskę z mapy Europy ale i zniszczyć polską kulturę. Nie sądzę przecież abyśmy kiedykolwiek zdołali odzyskać dawną świetność największego państwa Europy ani, co wydaje mi się ważniejsze, abyśmy prędko poradzi sobie z psychicznymi konsekwencjami utraty dawnej świetności. Przetrawiliśmy w niemałym stopniu dzięki mitom, ale też trudno otrząsnąć nam się z mitów i powrócić do rzeczywistości. Zadanie nie jest łatwe. Wydaje się, że od śmierci Jana Zamoyskiego nie mieliśmy po temu tak sprzyjającej okazji jak właśnie dziś.

Czy możemy sami wyciągnąć się za włosy z tej topieli, w którą wpadliśmy z własnej czy nie z własnej winy, ale w której

tkwimy pospołu od stuleci, na domiar złego pilnie strzeżeni przez sąsiadów? Nie utraciliśmy wiary i jeśli pewnego dnia nasze działania przestaną się nawzajem znosić, ciągle istnieje nadzieja, że mogą być skuteczne.

Obawiam się, że moja odpowiedź Ojcu Hauke-Ligowskiemu na jego uwagi o moim artykule pt.: „Polscy Protestanci” będzie chaotyczna i bardzo niepełna. Trzeba by tu bowiem powiedzieć znacznie więcej aniżeli pomieścić może artykuł w *Kulturze*.

Muszę przyznać, że artykuł Ojca Hauke-Ligowskiego sprawił mi wielką radość. Wcześniej moja skromna publicystyka wywołała ataki pod moim adresem ze strony *Życia Warszawy*, emigracyjnego pisma *Czas*, emigracyjnego pisma *Narodowiec* oraz niewiadomego pochodzenia pisma *Polak*. W atakach tych odmawiano mi polskości podejrzewając, że jestem Żydem, protestantem lub komunistą. Z rozumowania takiego na mocy dziwnej logiki wynikało, że gdybym był Żydem, protestantem lub komunistą, to nie mógłbym być Polakiem. Między tymi artykułami a artykułem Ojca Hauke-Ligowskiego znajduje się przepaść, której głębina jest m.in. przedmiotem naszej kontrowersji.

Zacząć muszę od kilku uwag autobiograficznych. Jak głosi historia rodzinna mój pradziad Koraszewicz zbiegł w roku 1863 ze Żmudzi i osiadł na Kujawach pod nazwiskiem Koraszewski. Jego syn, Bronisław założył *Gazetę Opolską*, a o wiele lat młodszy od niego brat Jan (ojciec mego ojca) działał w kręgu tej samej tradycji.

Moja matka urodziła się w roku 1914 w Charkowie, gdzie jej ojciec zatrzymał się na pewien czas wraz z rodziną wracając z syberyjskiego zesłania. Ojciec przeszedł Kampanię Wrześniową jako kapitan W.P., a zakończył wojnę w stopniu majora A.K. Brat mojej matki, Zbigniew Jasiński, brał udział w Powstaniu Warszawskim w stopniu porucznika.

Na imię dano mi Andrzej — na pamiątkę pana Andrzeja Kmityca. A moim patronem na chrzcie świętym został polski święty — ksiądz jezuita Andrzej Bobola.

A więc tradycja rodzinna jednoznaczna — i polska i katolicka. Ani chciałem ani mogłem uwolnić się od tej tradycji, ani też żyć z nią w zgodzie nie zadając pytań. Zawilości tych pytań i trudność sformułowania odpowiedzi na te pytania skłoniły mnie kolejno do zainteresowań literaturą inną niż dzieła Sienkiewicza, do odejścia od Kościoła, do studiów socjologicznych, do wstąpienia do PZPR w roku 1960, do uczucia oportunistu w latach 1965-1967, do spóźnionej odwagi protestu w roku 1967, do uczucia beznadziei i emigracji w roku 1971, a wreszcie do wniosku, że emigracja była największym błędem mego życia. W moim dziw-

nym sporze z tradycją rodzinną cały czas uciekałem w kierunku wspomnianej przez Ojca Hauke-Ligowskiego literatury i historiografii antyklerykalnej.

Wprowadzali mnie tu tacy nauczyciele jak pani Maria Baranowska — nauczycielka z gimnazjum, małżeństwo Ossowsky na uniwersytecie, a wreszcie niejedną wskazówkę otrzymałem od spotkanego już na emigracji profesora Wiktora Sukiennickiego.

Do wstąpienia do PZPR nie przekonały mnie przemówienia Gomułki, ale wykłady Kołakowskiego i Hochfelda. Decyzję o wystąpieniu z tej partii przesądziły ostatecznie propartyjne i antysemickie zachowania bezpartyjnych.

Im bardziej czułem się związany z owym antyklerykalnym nurtem literatury i historiografii rodzinnej tym bardziej zastanawiało mnie dlaczego literatura ta odgrywała tak znikomy wpływ na losy naszego społeczeństwa? Tym bardziej drażniło świętowanie rocznic Konstytucji 3 maja bez żadnego pojęcia o co tam chodziło, bałwochwalcze uwielbienie dla Mickiewicza i kompletna nieumiejętność jego odczytania, nieskończona odległość między intelektualną elitą a resztą społeczeństwa, a wreszcie kompletne zagubienie się owej intelektualnej elity w ostatnim pokoleniu. (O tym zagubieniu bodaj najlepiej pisał Miłosz w „Zniewolonym Umyśle” i Michnik w swojej książce pt. „Kościoł, Lewica, Dialog”). Jako socjologa interesowały mnie pytania o spłoty postaw i reakcji. A więc, nie czy mieliśmy w Kielcach do czynienia z sowiecką prowokacją, ale dlaczego prowokacja ta była skuteczna? Nie jakie były faktyczne proporcje w UB i w aparacie partyjnym (bo te znamy), ale dlaczego udało się z Żydów zrobić symbol stalinowskiego terroru w Polsce i co najmniej umniejszyć winy naszych rasowo czystych rodaków? Nie czy Katarzyna Wielka i Fryderyk popierali dysydentów, ale jaka była gra naszych sąsiadów i czy zachowaliśmy się zgodnie z cudzym planem? Jaka jest siła owych wulgarnych stereotypów, o których Ojciec Hauke-Ligowski sądzi, że zostały przewyciężone, a o których ja sądzę, że są nadal niebywale silne i że mogą być nadal w dowolnym momencie używane dla prowokacji mających na celu zniszczenie naszych prób uniezależnienia się od naszych wrogów. Dowodów na poparcie swoich odmiennych przekonań Aleksander Hauke-Ligowski i ja szukamy w luźnych obserwacjach, w literaturze, w prasie, w zachowaniach politycznych, w cząstkowych badaniach socjologicznych, itp. Znalezione dowody porządkujemy wedle pewnej teorii — każdej innej. Możliwość porozumienia zależy od szacunku dla faktów, szacunku dla poglądów przeciwnika, a wreszcie od skłonności do kompromisu i weryfikacji co najmniej niektórych elementów własnej teorii.

Istota sporu dotyczy odmiennego sposobu widzenia historii naszej wspólnej ojczyzny. Zdecydowanie inaczej postrzegamy historię reformacji i zapewne inaczej wyjaśniamy sobie przyczyny upadku Rzeczypospolitej. Odmiennie postrzeganie struktur i odmienna interpretacja niektórych wydarzeń współczesnych wydaje się mieć w tym przypadku główne źródło w odmiennym interpretacji zdarzeń znacznie odleglejszych.

Wydaje się, że stosunkowo nietrudno znaleźć odpowiedź na pytanie czym była Polska atrakcyjna dla swoich różnojęzycznych i wyznających rozmaite religie obywateli. Do dziś lubimy się szczycić naszą niegdysiejszą tolerancją. Nie sądzę aby ta tolerancja, na którą zdobyliśmy się przed paroma stuleciami, a z której niewiele pozostało, była jakąś cechą przyrodzoną. Jedne okoliczności skłoniły nas do tolerancji, inne wepchnęły w nietolerancję. Trudno tu mówić o zasługach i winach, raczej wolę mówić o sympatiach i niechęciach dla pewnych postaw, zaznaczając, że moje sympatie i niechęci wyrażane są z punktu widzenia dnia dzisiejszego. Nie wszystko co dobre było wyłącznie naszą zasługą i nie wszystko co złe wynikało ze złej woli.

Po Bitwie pod Grunwaldem Zakon Krzyżacki oskarżył Polskę o współpracę z poganami. Zarzut był co najmniej częściowo prawdziwy. Przed agresywnością katolickich sąsiadów broniliśmy się wchodząc w sojusz z niezupełnie katolicką Litwą, z prawosławną Ukrainą, a nawet z całkiem niechrześcijańskimi Tatarami.

Proces toczył się w roku 1414 przed soborem w Konstancy. Stronę polską reprezentował na nim Paweł Włódkowic, przedstawiając traktat o niemożności pogodzenia zasad chrześcijańskich z metodą nawracania pogan przemocą. Przed agresywnością sąsiada broniliśmy się nie tylko orężem, ale również własną myślą teologiczną i filozoficzną. Nasza tolerancja, jak wiele innych zjawisk w naszej historii, była wynikiem naszego położenia geograficznego — na rubieżach katolickiej wspólnoty. To położenie zadecydowało, że Polska stała się państwem opartym nie na zasadzie religijnej ani narodowej, ale na zasadzie wspólnoty obronnej, której głównym spoiwem wewnętrznym było prawo. Prawo to, chociaż klasowo niesprawiedliwe, w równym stopniu chroniło obywateli różnych wyznań i różnych narodowości. Zasada ta umożliwiła Unię Lubelską i równie ważną Unię Brzeską, była głównym powodem rozkwitu polskich szkół i uniwersytetów zarówno w Krakowie jak i w Królewcu. Ta niezwykła w owych czasach praktyka ekumeniczna była potężnym bodźcem rozwoju tak myśli katolickiej jak i niekatolickiej w naszym kraju. Szalejące wokół wojny religijne zdawały się tylko wzmocniać naszą wewnętrzną spójność.

Po śmierci Zygmunta Augusta chciano zabezpieczyć tę polską tradycję postanowieniami Konfederacji warszawskiej, które wchodząc do Artykułów henrykowskich zyskały moc postanowień konstytucyjnych. Cudzoziemcy patrzą na nas z niedowierzaniem kiedy mówimy im, że w roku 1573 najwyższa ustawa w Polsce chroniła wolność wyznania, a dyskryminacja religijna karana była prawem. Różne są dane na temat statystycznych proporcji między wyznaniem w ówczesnej Polsce, różna też była waga tych proporcji w poszczególnych stanach. Tak czy inaczej, proporcje te przypominały układ względnej równowagi charakterystyczny dla współczesnych demokracji. Kontrreformacja w Polsce rozpoczęła się łamaniem przez Zygmunta III Wazę postanowień Artykułów henrykowskich i była znacznie głębszym ciosem w nasz system społeczny aniżeli w innych krajach.

Z pozoru była kontrreformacja w Polsce mniej krwawa aniżeli gdzie indziej. Z pozoru, ponieważ rozciągnęła się u nas na lat z górą dwieście, a suma tumultów i pogromów złożyłaby się bodaj na niejedną noc świętego Bartłomieja.

Przechodząc od zasady prawnej do zasady religijnej jako głównego spoiwa naszego społeczeństwa, połowę tego społeczeństwa pozbawiono podstawowych praw obywatelskich. Równocześnie tradycja polskiej wolności była zbyt silna aby tę akcję można było przeprowadzić szybko i sprawnie. Pozbawieni części swych praw obywatelskich obywatele byli jeszcze dość silni aby paraliżować działanie państwa. Sytuacja prowadziła do coraz głębszego sfanatyzowania stron, do coraz głębszych frustracji, do obustronnego fałszowania historii i nijaczenia naszej kultury. Nadal pojawiały się w tym społeczeństwie umysły wybitne. Te przecież albo grzęzły w naszych coraz bardziej prowincjonalnych sporach albo uciekały za granicę albo wreszcie wchodziły w skład coraz bardziej oddzielonej od społeczeństwa i żyjącej własnym życiem elity intelektualnej.

Czytając artykuł Ojca Hauke-Ligowskiego odnoszę wrażenie, że Autor przecenia znaczenie literatury w naszym społeczeństwie, a nie docenia znaczenia oddziaływania Kościoła. Powyższe zdanie nie jest atakiem na dzisiejszy Kościół Katolicki. Odnosi się ono do polskiego Kościoła Katolickiego po zwycięskiej kontrreformacji; do Kościoła, który zatrzymał się na pozycjach obronczych swych zdobyczy, próbując zachować monopol wpływów na umysły; do Kościoła izolującego wpływy owej antyklerykalnej elity dziedziców tamtej, wcześniejszej tradycji.

Zapewne grzeszę ignorancją, ale chyba nie aż tak wielką o jaką posądza mnie Aleksander Hauke-Ligowski. Z pewnością nie darzę sympatią kardynała Hozjusza, a już serdecznie nie lubię

Zygmunta III Wazy. Nie będąc jednak ani katolikiem, ani protestantem, ani wreszcie wojującym ateuszem zwracam się nie przeciw katolicyzmowi, a przeciw temu co przez pewien czas było w polskim Kościele Katolickim niesympatyczne.

Twierdzę, że zwycięstwo kontrreformacji doprowadziło do sprymitywizowania naszej kultury jak również, że ciąży na nas piętno rodzimej cenzury katolickiej. Podobieństwo stylów Jędrzeja Giertycha i Stanisława Wałacha, *Trybuny Ludu* czy *Żołnierza Wolności* oraz niektórych pism emigracyjnych wskazuje wyraźnie, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem na które pracowano dłużej niż przez ostatnich lat trzydzieści.

Zwycięstwo innego obozu religijnego mogłoby dać podobne efekty. Z chwilą zwycięstwa kontrreformacji kultura polska przestała być kulturą pluralistyczną, otwartą, w której zwykło się używać argumentów a nie pałki.

Sfanatyzowanie prowadziło do ukształtowania się trwałych stereotypów-symboli. Tak więc symbolem zdrady będzie kalwin Radziwiłł a nie Radziejowski czy Opaliński; o popieranych przez Katarzynę dysydentach będzie głośniejsz aniżeli o przekonaniach religijnych uczestników Targowicy. Winy skorelowane zostają na stałe z kształtem nosa, pochodzeniem narodowym i przekonaniami religijnymi.

Jeśli Konfederacja barska była próbą obrony Rzeczypospolitej przez nietolerancję, to Konstytucja 3 maja była rozpaczliwą próbą obudzenia tradycji Konfederacji warszawskiej. Próba rozpaczliwą i beznadziejną wobec skuteczności katolickiej cenzury. Zwycięstwo kontrreformacji doprowadziło bowiem do zahamowania rozwoju oświaty, do zahamowania rozwoju oficyn wydawniczych, do sprymitywizowania programów szkolnych tak, iż reformatorski wysiłek Stanisława Augusta i jego zwolenników okazał się zbyt trudny dla naszego społeczeństwa.

Kościół był i jest przepięknym nośnikiem kultury. Kościół zmieniał czasami stanowisko, ale skutki uprzednich działań pozostawały. W końcu doszło do trwałego konfliktu między literaturą, między elitą kulturalną a owym głównym nośnikiem kultury. Społeczeństwo było rozdarte między wpływami owej antyklerykalnej literatury, z której rozumiało coraz mniej i wpływami antyintelektualnego Kościoła.

Z wzorów literackich pan Andrzej Kmicic niejednemu zastąpił wzór Jacka Sopolicy-Robaka zaś cikliwa piosenka „Patrz Kościuszkę na nas z nieba” zastąpiła lekturę broszury pt.: „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość”. W polityce natomiast zwolennicy co łatwiejszych poglądów Dmowskiego zbierają się

dziś pod portretem Piłsudskiego względnie pod portretami różnych przywódców partyjnych.

Jeśli rację ma ks. Aleksander Hauke-Ligowski reformacja cofnęłaby się w Polsce i bez kontrreformacji. Kto wie, może tylko w Polsce była taka szansa. Nigdzie nie obserwowano pokojowego regresu reformacji, ale też i druga strona nie żałowała przemocy. Nie warto się zastanawiać co by było gdyby. Warto natomiast zastanowić się raz jeszcze nad naszym wspólnym, nieprosty dziedzictwem.

Spadły na moją głowę gromy za słowo przepraszam pod adresem Polaków-Zydów i takie same gromy lecą na mnie za słowo przepraszam pod adresem Polaków-protestantów. „Kto-kolwiek szyje buty (temu) Kościołowi, chce czy nie chce szyje buty Polsce” — pisze ksiądz Hauke-Ligowski. „Chodzi więc o prawdę — pisze dalej Autor — nie o laurki, ale o prawdę rzetelną”.

Jeśli idzie o pierwsze z tych zdań czuję się urażony. Nie było moją intencją szycie butów Kościołowi. Przeciwnie jest w moim artykule o protestantach dość wyraźnie zaznaczona niekłamana sympatia do tego Kościoła. A, że z Jego tradycji większą odczuwam sympatię do Pawła Włodkowica aniżeli do kardynała Hozjusza, większą do ks. Staszica aniżeli do ks. Marka, a z współczesnych większą do ks. Bozowskiego aniżeli do ks. Sroki — to sprawa inna, to spór o wybór nurtu w ramach pewnej tradycji. Ksiądz Hauke-Ligowski nie bywał pod budkami z piwem ani w portowych knajpach gdzie się przekleństwa mieszają z Imieniem Bożym jak wiśniówka z piwem. Stąd też zapewne ma Ksiądz skłonność do przeceniania wpływów literatury antyklerykalnej. Pod budką z piwem nie dyskutuje się jednak ani książki Cywińskiego ani książki Michnika, a z dwóch nurtów kościelnej tradycji jeden ma w tych dyskusjach wyraźną przewagę nad drugim. W rejonach bardzo odległych od tych budek z piwem ów drugi nurt polskiego Kościoła przeżywa swój renesans. Proszę mi wierzyć, że jestem pilnym obserwatorem tego renesansu i gorącym miłośnikiem książki Cywińskiego.

Jeśli idzie o współczesnych polskich protestantów to przyznaję, iż zjawisko to jest bardziej złożone aniżeli przedstawiłem w moim, liczącym trzy strony maszynopisu artykułiku anonsującym nowe pismo emigracyjne. Będę szczęśliwy jeśli artykułik ten spowoduje szerszą dyskusję na temat tego problemu, dyskusję bez laurki i inwektyw.

Niniejsza wymiana zdań między ks. Aleksandrem Hauke-Ligowskim i mną stanowi zaledwie wstępne czyszczenie przedpoła do takiej dyskusji. Problem protestantów w Polsce jest

zarówno problemem samym w sobie jak i pretekstem do podjęcia spraw szerszych — sporu o nasze dziedzictwo. Lepsza znajomość protestanckiej wersji przebiegu reformacji w Polsce i dalszej historii naszego kraju, przedstawionej z innego niż nasz własny punktu widzenia, zapewne bardzo dobrze by nam zrobiła. Myślę, że niejedno ziarno gorzkiej prawdy znajduje się również po drugiej stronie, która niegdyś odegrała większą rolę aniżeli dziś jesteśmy gotowi to przyznać. Czas winien już uspokoić namiętności tych sporów, mimo iż nadal mają one na nas wpływ większy aniżeli niektóre współczesne wydarzenia.

Ostatnio pojawiło się kilka wypowiedzi na temat szkieletów w szafach (patrz *Kultura* nr 380-384). Szkielet w szafie sąsiada niejednemu sen spędza z oczu. Ten szkielet w szafie sąsiada jest bytem realnym i bez większego trudu potrafimy udowodnić jego istnienie. Oczywiście sobie i innym, bo dyskusja z sąsiadem nie ma szans powodzenia.

Odnoszę wrażenie, że znajdujemy się w punkcie, w którym obsesja szkieletów w szafach sąsiadów prowadzi do zantagonizowania ugrupowań opozycyjnych w kraju oraz do zaostrzenia antagonizmów wśród ugrupowań emigracyjnych.

Stopień i formy tych antagonizmów zadecydują o tym czy w przyszłości będziemy mogli używać zbiorowej nazwy „opozycja demokratyczna”, czy też spory o to kto jest prawdziwym reprezentantem prawdziwie demokratycznego ruchu doprowadzą do fanatyzmów stawiających pod znakiem zapytania demokratyczny charakter wszystkich zainteresowanych stron. Jeśli tak się stanie będzie to tylko kolejny wariant dobrze znanej nam historii.

Podejrzewam, że mamy tylko jedną szafę i jeden szkielet we wspólnej szafie. Tego szkieletu nie możemy się pozbyć, możemy jednak podjąć próbę jego unieszkodliwienia. Po czterystu latach byłby już na to czas.

Andrzej KORASZEWSKI

Lund, 6 listopada 1979 r.

Wołania na puszczy

Gadulstwa rok nowy

Warszawa, w grudniu 1979.

Idzie Rok Nowy a z nim zaleje Polskę nowa fala Gadulstwa Odogórnego, czyli stała powódź drętwej mowy. Okazji będzie po temu wiele: kampania przed Zjazdem Partii, Zjazd, Wybory do Sejmu, słowem szereg imprez pozorowanych i maskujących, które zatopić należy w powodzi słów pięknych, ale mówiących o niczym. Jest to coraz trudniejsze, wobec porażek ekonomicznych, widocznych gołym okiem przez najbardziej nawet odpolitycznionego, szarego człowieka, jednakże obecna ekipa ma w aplikowaniu ludziom ogólników i frazesów ogromne osiągnięcia. „Ofiarna praca narodu decyduje o osiągnięciach”, „ciągłość strategii społeczno-gospodarczego rozwoju”, „solidarne, patriotyczne współdziałanie władz i społeczeństwa”, „we wszystkich dziedzinach osiągnęliśmy postęp znaczny, a w wielu — wręcz decydujący dla dalszego rozwoju Polski” — oto pierwsze z brzegu zdania-plastery, mające zaklajstrować niemiły obraz, wyłaniający się nie tylko z dookolnych trudności i absurdów, ale nawet z owych, katastrofalnie perspektyw zarysowujących Wytucznych na VIII Zjazd PZPR, z pesymistycznego przemówienia sejmowego Jana Szydłaka na temat energetyki, z artykułu prof. dr. Pawła Bożyka „Cele i warunki rozwoju” w *Trybunie Ludu*. Ten ostatni esej wręcz napomyka o błędnym planowaniu inwestycyjnym, niewiadomym zużytkowaniu kredytów zagranicznych, fiasku eksportowym, gdzie w istocie tylko surowce jak węgiel, siarka, miedź utrzymały się na placu, o chaosie w dziedzinie cen i płac etc. etc. Ale te najbardziej nawet w istocie krytyczne, wręcz defetystyczne wypowiedzi toną w powodzi państwotwórczych sloganów i uspokajających haseł, w których rozmydlana zostaje sprawa najistotniejsza: KTO źle zaplanował inwestycje, ILE dostaliśmy kredytów zagranicznych, KIEDY rentować się zacznie huta „Katowice” i inne kolosy, ILE płacimy miesięcznie procentów od

zagranicznych pożyczek, DLACZEGO jest tak źle w rolnictwie i czy wytrzymamy miliardowe wydatki na zakup pasz, CZEMU leży budownictwo mieszkaniowe i walą się stare dzielnice zabytkowych miast, KTO nie umiał sporządzić właściwego bilansu w energetyce i transporcie? i tak dalej i dalej.

Te konkretne pytania o konkretny stan rzeczy, konkretną odpowiedzialność ludzi i konkretną niewydolność systemu muszą być utopione w tajemniczych ogólnikach: „zużycie większe niż prognozowano”, „nie zdołano uzyskać założonego postępu”, „nastąpiły niedobory mocy”, „niezbędne będzie bardziej radykalne wykorzystanie”, „nie dość wcześniej podjęto prace nad modernizacją urządzeń” etc. Ale KTO? Nie wiadomo — tajemniczy X. W socjalizmie decyzje są anonimowe, państwo nie bankrutuje, ciężar zaś plajty, spowodowanej błędnymi decyzjami rozkłada się na obywateli — tych oczywiście, którzy nie potrafią dać sobie rady z pomocą „kombinacji”. Śmierć frajerom, w ogóle i w szczególności. A największy frajer — ten co się pyta o przyczyny. Wszak tajemnica dziwnej mowy obowiązuje. Na Węgrzech co prawda złamał ją ostatnio sam Kadar, mówiąc wprost o błędach doktrynerstwa i konieczności zmiany założeń gospodarczych. U nas też tak mówiono w roku 1970, ale o... błędach Gomułkowszczyzny. (Ostatnia anegdotka: — Co słyhać w Polsce? — Śmiech Gomułki). Winnych nie ma (do kiedy?!).

Tak więc, żelazna pokrywa drętwej mowy, konwencja szlachetnego mówienia o niczym i pomijania spraw najważniejszych przytłacza tysiączne przedjazdowe zebrania, przytłacza telewizję, radio, prasę, rzadko przemknie się jakaś wiadomość istotna, jak np. wymuszona przez Amerykanów notatka o dorocznej półmiliardowej pożyczce dolarowej na zakup zboża. Do tego nasz osobliwy komentarz: „Wymiana handlowa w dziedzinie artykułów rolnych zajmuje istotne miejsce w polsko-amerykańskich stosunkach gospodarczych”. Ciekawa to swoją drogą wymiana — że oni dają a my bierzemy... A kto płaci procenty?! I kto centralnie zawinił?

Czy pokrywająca niezbadane, wewnętrzne walki partyjne (jakieś wszakże być muszą — tak mówi dialektyka) skleroza obrzędowych haseł i sloganów, czy owa sztuczna, magiczna mowa może być złamana? W Partii naszej na pewno nie — kto ją chce złamać, wyleci, jak ów przedwczesny ryzykant Tadeusz Grabski, sekretarz Partii w Koninie. O jego dymisji ogłoszono na pierwszej stronie *Trybuny Ludu* — ku przestrodze towarzyszy. Powołać tu się można na chlubną praktykę Wielkiego Brata, gdzie obrzędową Nowomowę stosuje się od lat 60-ciu i jakoś to idzie — ba, nawet świat zewnętrzny tę mowę przyjmuje, choćby jako fakt stały, realny. Umowna skleroza udziela się i partnerom: skleroza niezmiennych dogmatów taktycznych, niezmiennych abstrakcyjnych ujęć, sformułowań, haseł, to sprawdzony czynnik stabilizacji władzy. Drętwe słowo rządzi, nikt nie będzie go zmieniał, zwłaszcza przed Zjazdem, ono gwarantuje niezmienną

ność władzy, a ktoś by zrezygnował z władzy: chyba zwariowani burżuje ze swymi wyborami... Odpowiedzialność?! Obwinić można, drobnych ludzi!

Tak więc żelazna pokrywa słów nie ustąpi. Żywe może być tylko to, co nielegalne. Z przywileju mówienia całej prawdy pilnie więc korzysta gazetkowa opozycja: to inny świat, świat przemilczanego marginesu, gdzie się mówi tylko prawdę i całą prawdę. — Bawią się, dzieciaki, bo za nic nie odpowiadają! — mówią co dobrotliwsi uczestnicy *establishment*'u. Inni czytają chciwie a skrycie, po czym, pilnie niszcząc, wzdychają: — Że też prawda do niczego się nie przydaje w polityce! Nawet prawda realna, statystyczna i ekonomiczna! Byłaby więc polityka tylko sferą słów i gestów udawanych, umownych, poczwarnych?!!

Tak, mowa prawdziwa, to jest siła opozycji ale i jej społeczna słabość. Język ten bowiem w żadnym punkcie nie spotyka się z językiem oficjalnie powszechnym, językiem masowej konwencji, przemówień, prasy, radia, telewizji, do którego całe społeczeństwo mechanicznie się przyuczyło, wszakże dziesiątki milionów ludzi, z niżej podpisanym włącznie, trawi swe wieczory przy telewizorach, jeśli nie wyłączą prądu. Inna tam zgoła mowa, niż w gazetkach i biuletynach, a kto mówi inaczej niż wszyscy, ten nie może wzbudzić zaufania — fantasta, dziwak, uparciuch, może nawet zgoła wróg? Optymiści zapytują, czy Gierek wytrzyma w swym przemilczaniu, czy żelazna pokrywa nie pęknie pod naporem ukrywanych walk i napięć, czy nie będzie zmuszony zacząć nazywać rzeczy po imieniu, mówić o opozycji? Pod tym względem lakmusową próbą był ów głośny w pewnych kołach memoriał DiP-u („Doświadczenie i Przyszłość”). Ludzie legalni, opowiadający się za socjalizmem, ba, członkowie Partii nawet, wystosowali memoriał-ankietę, który by kamień nawet z grobu poruszył — raport wszechstronny o stanie społeczeństwa. Ale oto, na konferencji z zagranicznymi dziennikarzami, zapytany redaktor *Interpressu* oświadczył, że o żadnym „DiP-ie” nikt, nigdy i nigdzie nie słyszał. A więc dwa światy — izolacja kompletna... O kim się nie mówi, ten nie istnieje — istnieją tylko obecni.

Tak — godzina prawdy następowała u nas wyłącznie przy zmianie ekipy — inaczej jest niemożliwa. Walka więc o ubezpieczającą izolację dwóch światów myślowych przybiera nieraz formy absurdalne. Na przykład polowanie na lubiącą historię młodzież w przeddzień rocznicy 11 listopada: cóż komu szkodzi, wydawałoby się, obchodzenie rocznicy słynnej w całym świecie, kiedy to Wilhelmińskie Niemcy kapitulowały w pierwszej wojnie światowej, zaś Polska niepodległa po 120 latach wróciła na mapę Europy? A jednak... Podobnie, cóż komu szkodzi, że Władysław Bartoszewski w dawnym mieszkaniu Wańkowicza wygłosił dla 60 osób wykład o walce narodu polskiego z Niemcami w latach 1939-45? A jednak... Prelegent dostał 5 tysięcy złotych grzywny, główny lokator także. Komedia to, czy tragedia?

Tak więc, Nowy Rok zapowiada się pod znakiem przemilczenia win centralnych oraz batalii na słowa tudzież maskowania — co do zmian w faktach na razie się nie wypowiadam. Jedna sprawa też znajdzie odbicie w słowach: wybory w Niemieckiej Republice Federalnej. A co będzie, jak Strauss zostanie kanclerzem? Nielada problem dla naszych niemcologów, którzy od 30 lat przyuczili nas do swej sztampy słowno-interpretacyjnej. A właśnie największy problem może nastać w dziedzinie słów. Bo w pojałtańskiej i pohelskiej, Amerykańsko-Radzieckiej Europie, utrwalonej w podziale na Łabie atomową równowagą, każdy niemiecki kanclerz, czy to Schmidt czy Strauss, będzie robił to samo — rozumieją to dobrze Rosjanie. Różnica ujawnia się tylko w stylu: Schmidt mówi powściągliwym językiem pragmatycznego funkcjonariusza, Strauss, wypoczęty od odpowiedzialności za całość, będzie sobie początkowo hulał w mowie szczerej, od drastycznych wspominków historycznych nie strojącej. Jaką znaleźć receptę na ten nowy dialog? — oto dla sklerozy naszych propagandystów problem nader karkołomny. Jak zagadać na przykład przykrą prawdę, że słuszna (bo konieczna dla życia Narodu) sprawa granicy Odra-Nysa połączona została nie z naszej winy z niesłuszną ideą podziału Europy i że Polacy nic do owego konkurencyjno-mocarstwowego podziału nie mają, po prostu chcą gdzieś mieszkać, przejechawszy z Wilna do Szczecina. Postanowiłem zastąpić tutaj niemrawą naszą propagandę i napisałem do *Die Welt* artykuł o sytuacji w Europie, apelując do Franza Josefa Straussa, aby swą kampanię wyborczą zaczął od podkreślenia, że bez zastrzeżeń, jako Europejczyk właśnie, uznaje polską granicę. U nas różni Podkowińscy od lat robili błąd, powołując się na Poczdam, gdzie w istocie zasiano główną wątpliwość i dano okazję niemieckim rewizjonistom, odkładając ostateczne zatwierdzenie granic do traktatu pokojowego z Niemcami (w domyśle: z Niemcami prowadzącymi wojnę, czyli z granicami 1937). Proponowałem Straussowi, aby w imię europejskiego dialogu naprawił ten błąd Poczdamu i Podkowińskiego...

Tyle, że *Die Welt* artykułu mi nie umieściła. A więc liberalny Zachód też się już zaraził wschodnią cenzurą, oraz politycznie skonwencjonalizowaną mową nieszczera, „mową trawą”?! Czego w Nowym Roku nikomu, włącznie z miłą sercu Redakcją *Kultury*, nie życzę.

KISIEL

*Do you remember that first step which you are still
taking all the time?*

Szymon z Cyreny na tle profilu Chrystusa; te dwa profile łączą się, rozdzielają. Inny poemat, który też jest cyklem, to spojrzenie wstecz, *Kamieniołom* — pochodzi z roku bardzo znaczącego dla Polski. W 1956 napisany, rok potem wydany. Jest to spojrzenie wstecz w przeżycie, kiedy młody Karol Wojtyła był robotnikiem w kamieniołomach pod Krakowem. Ale gdy czytamy ten utwór teraz, spojrzenie wstecz na siebie samego otwiera poemat filozoficzny, widać profil człowieka, który swoją energię przekazuje materii. Kamień, który ma energię — i człowiek, który ma energię. Te energie się mijają, przenikają, materia się uduchawia, gniew człowieka przetwarza się w miłość. Na szali stale jest gniew — miłość. Kończy się ten bardzo trudny ale i bardzo mądry poemat elegią na śmierć towarzysza pracy. Wśród strasznych utworów soc-realistycznych byłej epoki jedyny, jak mi się wydaje, uczciwy wiersz o robotniku, pokłon wobec pracy robotnika. Czytam teraz fragment z *Kamieniołomu* — jak wygląda on, jak brzmi po angielsku, zanim będę mówił o tym czym jest praca tłumacza.

*Man, his eyes tired, his eyebrows sharp,
and stones have edges sharp as knives.
Electric current cuts the walls,
an invisible whip. And the sun,
July sun: white fire in the stone.*

A potem:

*Beware of hollows in stone. Electric current
fells columns, pouring them like dust through a sieve.
The young look for a road. All roads
drive straight at my heart. Do stones forgive?*

Czy kamienie przebaczą?

Konkret tego wiersza istnieje w przedmiocie, w człowieku. Krajobrazem serca są ręce, jak mówi Wojtyła, a jednocześnie jest to poemat myśli, która przenika inną myśl, która przechodzi z myśli w myśl, która tworzy profile myśli. I stąd cykl jest naturalną formą wypowiedzi dla Karola Wojtyły, dlatego że cykl pozwala na medytację, na rozważanie, nawet na interpretację, które są zaprzeczeniem poprzednich rozważań. Jeżeli myślimy o klasyku — takim są *Sonety krymskie* w literaturze polskiej — to jest przecież cykl w którym człowieka postawiono na tle

Książki

Profil poetycki Karola Wojtyły

Panie prezesie, drodzy państwo. Wśród wierszy Karola Wojtyły jest cykl, który nosi tytuł *Profile Cyrenejczyka*, napisany w 1957 roku. Jeżeli patrzemy na tytuły tych 14 wierszy, są to tytuły zastanawiające. „Dziewczyna zawiedziona w miłości”, „Schizotypik”, termin wzięty z typologii Kretschmera, „Robotnik z fabryki samochodów”, „Robotnik z fabryki broni”, „Magdalena”, tzn. Maria Magdalena, „Szymon z Cyreny”. Są to profile ludzi na tle profilu człowieka, który pomógł Chrystusowi dźwigać krzyż. Profile Szymona z Cyreny są w nas, wśród nas. I na początku tego cyklu, czytam po polsku, jest taka fraza:

*Weź myśl — jeśli potrafisz — weź myśl, pozakorzeniaj
w palcach rękodzielników albo też w palcach kobiet
piszących na maszynie po osiem godzin codziennie,
czarne litery u zaczerwienionych powiek.*

*Weź myśl i dokończ człowieka
lub też mu pozwól rozpocząć siebie na nowo,
lub też inaczej: niech on Ci tylko pomaga,
a Ty go prowadź.*

A zaraz potem pytanie, które poniekąd tłumaczy tytuł cyklu:

*Dlaczego nie jest tak? Magdaleno, Szymonie z Cyreny?
Czy pamiętasz ów pierwszy krok, którym dotąd idziesz bez
przerwy?*

* Odczyt wygłoszony w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie, 23 maja 1979.

natury; człowiek jest częścią medytacji, w której się zawiera i natura i jego myśl, jego przeszłość i jego obecność.

Cykle są ważne — a jest ich kilka w twórczości Andrzeja Jawienia od 1950 roku do 1966 — ponieważ ukazują proces myślenia poety-filozofa, a jednocześnie ukazują zmieniające się profile poety. Gdy zacząłem je czytać w okolicznościach bardzo osobliwych, kiedy po pierwszej mojej wypowiedzi w telewizji wszyscy nagle chcieli wiedzieć jakie są te wiersze Karola Wojtyły — zauważyłem że studiuje profil poety.

Skała, kamień, u fundamentu osobowości. Kamień, *pétros*, *Petrus*, *Piotr*, Piotrowa stolica. Są wiersze bardzo znamienne w cyklu, który napisał Wojtyła kiedy już był biskupem, podczas Drugiego Soboru watykańskiego. Krótkie to wiersze, pisane jesienią 1962 roku, wiersze takie jak *Ściana*, czy *Przepaść*, gdzie *Abyssus abyssum invocat* służył za motto, czy też *Posadzka* — ta posadzka Bazyliki Św. Piotra, marmurowa, która prowadzi do krypty. I tu mamy po raz pierwszy przeżycie które przejmuję dreszczem emocjonalnym, takim jaki przeżywamy czytając romantyków polskich. Jest tam także element proroczy. Widzimy nagle że coś się dzieje niejako poza historią, na tej posadzce marmurowej, i w krypcie do której ona prowadzi. Takim jest fragment — czytam po polsku — kiedy autor mówi o posadzce w Bazylice Św. Piotra:

*To Ty Piotrze. Chcesz być tutaj Posadzką, by po Tobie
przechodzili (idąc
przed siebie niewiadomo dokąd), by szli tam, gdzie
prowadzisz ich stopy,
by łączyły się w jedno przestrzenie poprzez wzrok [...]*

Następuje potem bardzo niezwykły wiersz, *Krypta*, gdzie mówi nam autor iż trzeba przedrzeć skałę, tę *pétros*, skałę trzeba przedrzeć by dojść do człowieka, który jest w tej krypcie. To stosunkowo krótki wiersz, i czytam fragment, tym razem w przekładzie:

*We must go below the marble floor,
with its generations of footsteps,
and drill through the rock to find the man
trampled by hooves of sheep.*

A tak kończy się ten lakoniczny wiersz:

*The crypt speaks: I am bound to the world and besieged;
the world is an army of exhausted soldiers
who will not pull back.*

Obleżona krypta w tajemnicy człowieka i w Bożej tajemnicy świata. „Posadzka marmurowa” i „Krypta” mają w sobie wydzwięk proroczy. Pierwsza encyklika papieża Jana Pawła II to *Redemptor hominis* — Odkupiciel człowieka. W *Profilach Cyrenejczyka* i w innych cyklach — w *Kamieniołomie* na przykład, jest człowiek, człowiek w różnych swoich przejawach, w różnych swoich obrazach, w różnych swoich profilach. Odkupiciel to odkupiciel wszystkich ludzi. Kiedy, tłumacząc te wiersze, myślałem jaką znaleźć do nich drogę, często wracał do mojej pamięci Norwid, który mówi o profilu Bożym — piękno jest profilem Bożym — Bóg objawia się w profilach na ziemi; nie można Stwórcy oglądać twarzą w twarz bo by nas oślepił swoją miłością. I te cykle w układzie tomu *Easter Vigil* (Wigilia wielkanocna) są dla mnie drogą człowieka, który odnajduje różne profile.

Wigilia wielkanocna jest dużym cyklem złożonym z siedmiu części. Napisana była w 1966 roku, na rok przed ważnym momentem w życiu Karola Wojtyły, kiedy został kardynałem. Droga do papieżstwa zaczyna się od tego faktu. Zdecydowałem żeby tylko krótkie fragmenty dać z *Wigilii* dlatego że inne wymagałyby komentarzy, przypisów, wyjaśnienia całej genealogii historii polskiej, bo o tym jest cykl, i stąd decyzja, żeby tom który miał być krótki i popularny, do którego mógłby dojść każdy czytelnik, Polak, nie-Polak — żeby taki tom był uniwersalnym tomem, tak jak uniwersalna jest umysłowość tego niezwykłego człowieka. Dlaczego trzeba było się spieszyć z wydaniem? Nie chcę państwa wprowadzać w arkana rzeczy z współczesnych, takich jak prawa autorskie. Chodziło o ochronę praw autorskich. Przeszły one na Watykan i zależało kompetentnym ludziom, żeby taki tom autoryzowany ukazał się jak najszybciej. Poczęły się już pojawiać tu i ówdzie w prasie wersje bez żadnego zezwolenia.

Miałem sześć tygodni czasu. 42 dni, 42 wiersze. Praca tego rodzaju rzadko się w życiu zdarza, że trzeba coś zrobić rzeczywiście pod presją, pod koniecznością, a jednocześnie człowiek wchodzi w głąb innej duszy ludzkiej. Następuje jakieś uczestnictwo, żeby użyć jednego z ulubionych wyrazów Karola Wojtyły, uczestnictwo w czymś ważnym choć jeszcze się nie wie do czego ono prowadzi. I ta koncentracja, intensywność pracy, nad zrozumieniem myśli drugiego człowieka w przekładzie, jest czymś co według mnie stoi bardzo blisko modlitwy. Modlitwa jest koncentracją. Modlitwa jest wchodzeniem w przemiany własnej osobowości. W siebie samego.

Co mi pomagało? Wspólnota pokolenia, proszę państwa, pokolenia skazanego na zagładę. A także poetyka ostatnich lat trzydziestych, przedwojennych, już poza Skamandrem i Awangardą, na której wychował się Karol Wojtyła. A Norwid był

głównym poetą tej generacji. To był wzór poezji która miała być poezją nie tylko serca ale także i intelektu. Bez serca i bez intelektu poezja nie może istnieć. Ale poezja, która łączy te dwa nurty osobowości: serce bijące i intelekt rozważny, jest poezją wielką, taką jaką jest poezja Norwida. Jak jednak, proszę państwa, oddać głos, oddać głos innego człowieka w przekładzie, pomijając fakt, że się ma wspólnotę tła, wspólnotę pokolenia, wspólnotę dykcji poetyckiej, do której należało owo szczególne pokolenie?

Trudnością największą jest danie rezonansu głosowi autora. Żeby były pewne luzy w przekładzie, tak żeby czytelnik, czytając w innym języku mógł przeżyć podobne różnice interpretacji. Przekład który tłumaczy, tłumacząc za dużo, czyni czytelnika zbyt biernym odbiorcą. Przekład, który pozwala na to, że czytelnik staje się aktywny, że współpracuje z tekstem, ma dopiero jakieś szanse zbliżenia go do przeżycia poetyckiego. To mi przypomina bardzo piękną frazę z listu Norwida do Bronisława Zaleskiego z 15 listopada 1867 roku, kiedy mówi on o liryce polskiej, narzekając na to że cały czas jest tylko siekanka i mazurek, siekanka i mazurek, siekanka i mazurek, hop dziś dziś! I pisze w tym liście tak:

„W doskonałej liryce powinno być jak w odlewie gipsowym: zachowane powinny być i nie zgładzone nożem te kresy, gdzie forma z formą mija się i pozostawia szpary. Barbarzyniec tylko zdejma te nożem z gipsu i psowa całość”.

Chodzi więc Norwidowi o to, żeby forma z formą, mijająca się w tekście literackim, była uszanowana. Żeby przekład zachował te kresy, te rysy, które są w oryginale. Linijki wierszy Wojtyły są długie, czasami nawet niezwykle długie jak na tradycję literatury polskiej, niektóre mają 20 sylab, 18 sylab. W przekładzie na rytm angielski gdzie decyduje przycisk a nie ilość sylab, trzeba było — jak na przykład w *Kamieniołomie* — rozdzielić te linie i użyć kresów rytmicznych innego typu. Tak jak w odlewie gipsowym, o którym mówi Norwid. Jednocześnie chodzi o istotę słownictwa, które może samo w sobie powodować ogromne trudności.

Ulubione wyrazy w wierszach Wojtyły — *dno, żrenica, rdzeń, waga* — przetłumaczone bez zważania na kontekst mogą wprowadzić ogromne pomyłki. Całą wielką trudnością koncentracji o czym wspominałem, było zrozumienie całości koncepcji poetyckiej Karola Wojtyły. Jak wszystkie te słowa naprawdę działają w różnych kontekstach? Niewątpliwie trudnym wyrazem jest *dno* zależne od różnych kontekstów w poezji Wojtyły. Są łatwiejsze w przekładzie rzeczy, które się wydają pozornie trudne — kiedy następuje analogia dźwięków, kiedy Wojtyła używa bardzo do-

brych metafor, bardzo intrygujących zwrotów i wydobywa efekty muzyczne na tle tak bardzo intelektualnych wierszy. Dlatego czasem trudnych. Jeżeli weźmiemy taką frazę jak *kołyska zwiewnych pszczoł*, bardzo piękny zwrot, to jeżeli ktoś potrudzi się i da taki zestaw na przykład jak *a breezy cradle of bees*, dźwięk *-b* wychodzi w tej frazie po angielsku, oddaje istotę muzyczną frazy. Ale inna jest sprawa, kiedy mamy wiersz pełen aluzji, a przy tym bardzo krótki, w którym sama składnia polskiego języka wymaga takiej interpretacji w innym języku, żeby właśnie składnia — jak mówi Norwid o odlewie gipsowym — przechodziła z jednej frazy w drugą, żeby zarówno nie zamazywała konturu jak i go nie wygładzała. Najgorszy według mnie przekład jest ten wygładzony, wyklepany, zalizany. Gdzie jest wtedy osobowość człowieka? Dam państwu dla przykładu rzecz bardzo krótką, mianowicie wiersz o aktorze. Z tego co słyszę od czytelników moich przekładów, *Aktor* stał się już bardzo popularnym wierszem. Przeczytałem końcowe zdania, najpierw po polsku, a potem po angielsku. To bardzo mądry wiersz. Czym jest osobowość aktora, która się zmienia, i kim jest ten człowiek w środku, poza rolami, poza maską?

[...] czyż natłok tych innych ludzi mnie samego jakoś nie
wykrzywił?
Jeśli każdym z nich byłem niedoskonale, wciąż za bardzo zostając
sobą —
czyż ten, który ze mnie ocalał, może patrzeć na siebie bez trwogi?

Po polsku dosyć trudny tekst składniowo. A teraz jak ten sam fragment wygląda po angielsku?

*Did not the others crowding in, distort
the man that I am?
Being each of them, always imperfect,
myself to myself too near,
he who survives in me, can he ever
look at himself without fear?*

Współpraca której poezja się domaga, szczególnie poezja czytana w przekładzie, przypomina często czytelnikom, nie znającym polskiej literatury, poezję mistyczną XVII-tego wieku, poezję mistyczną hiszpańską, ale także poezję suficką, w której namysł niedopowiedzenie — to co się dzieje między liniami wierszy — jest bardzo istotne dla sensu wiersza, dla niespodzianki wiersza. Jeżeli weźmiemy nawet utwory, które pozornie wydają się bardzo

proste, jak *Robotnik z fabryki samochodów*, ostatnie trzy linijki są bardzo interesujące w pytaniu, kończącym wiersz. Pytanie to jest niemal sufickim zaskoczeniem, bo jaka na to zdanie może być odpowiedź? Jedna, kilka, nieskończona ilość odpowiedzi?

*Just be back every day at six in the morning.
What makes you think that man
can tip the balance on the scales of the world?*

Cytuję owo pytanie po polsku:

Skąd wiesz, że na wadze świata przeważa człowiek?

Skąd o tym wiesz? Pytanie bardzo dzisiaj istotne w każdym kraju Wschodniej Europy i nie tylko Wschodniej. W wierszu o niewidomych, także dziwnym w swoich aluzjach i niedopowiedzeniach, koncept całości kończy się zdaniem:

*Will you convince us there is happiness
in being blind?*

Pytanie ślepego wobec Boga — *is there happiness in being blind?* Czy może być szczęście w ślepotcie?

W wierszach tego typu, szczególnie w cyklach, cały czas słyszymy dialog wewnątrz tekstu. Niektóre wiersze są trudne dlatego, że dialog nie jest oznaczony tak jak w dramacie; głos przechodzi w głos — i to może jest dla mnie najbardziej intrygującą i tajemniczą techniką Karola Wojtyły, trochę podobną do tych wierszy gnomicznych, które znajdujemy w *Vade-mecum* Norwida. Mianowicie, jeżeli patrzymy na takie utwory jak *Schizotypik (Schizoid)* w moim wyborze) czy też na drugą rozmowę z człowiekiem z *Wigilii wielkanocnej*, dialog w nich przechodzi z frazy we frazę, potem się te głosy zlewają. W drugiej rozmowie z *Wigilii wielkanocnej*, na przykład, można zauważyć w tych głosach że jeden jest głosem materialisty, który nie wierzy w Boga a wierzy tylko w materię, bezduszną materię, a drugi jest głosem człowieka, który wierzy w uduchowanie materii, który wierzy w Boga. I gdy taki wiersz czyta się do końca, dochodzimy do jakiegoś dziwnego wniosku, że właściwie dialog jest dialogiem, który musi trwać dalej. Co więcej, dialog jest stale powtarzany, bo życie powtarza się w podobny sposób, stawia te same problemy.

Jak jednak poezja działa wobec tajemnicy wiary? Poezja dobra chroni intelekt od wulgaryzacji, chroni intelekt od propagandy, która zabija myśl. W wypadku Karola Wojtyły mamy zjawisko

w literaturze fenomenalne, dlatego że następuje tutaj jakieś sakramentalne zbliżenie — używam tych słów w sensie istotnym sakramentu — między poetycką wizją świata a wizją kapłana. Sam Wojtyła, pisząc wstęp do antologii wierszy napisanych przez księży (w tej antologii *nota-bene* nie ma żadnego jego wiersza), zastanawia się nad tym jaka jest współzależność między powołaniem kapłańskim a powołaniem poety. Jak one na siebie wzajemnie działają — i zostawia to pytanie, także w stylu sufickim, bez odpowiedzi. Było kilku dobrych poetów i kapłanów w literaturze. W angielskiej literaturze od razu przychodzi na myśl Hopkins, Jezuita. Między jego poezją a poezją Wojtyły można znaleźć pewne analogie, jedną szczególnie. Bo u Wojtyły, tak jak u Hopkinsa, wielkie jest poszanowanie konkretności, istoty rzeczy, istoty przedmiotu, to co Hopkins nazywa *inscape*. Oraz przeświadczenie o ważności energii, energii duchowej, energii materii, którą duch przenika.

To samo sakramentalne zbliżenie które czujemy w poezji Św. Jana od Krzyża, widać w wierszach Karola Wojtyły, szczególnie w bardzo wczesnych może więcej niż w późniejszych, myślę o utworach które były drukowane ale jeszcze nie pod nazwiskiem Jawienia. W tradycji Św. Jana od Krzyża jest sakramentalna mądrość negacji i paradoksu. Kim jest ten Stwórca który stworzył paradoksy i tajemnice, pyta poeta-ksiądz uwięziony przez swój własny zakon? Św. Jan od Krzyża podczas niewidomej nocy duszy szukał Boga w ciemności. W Polsce Karol Wojtyła szukał Boga w ciemności Polski lat 50-tych, gdzie noc duszy, *noche oscura*, była przeżyciem każdego wierzącego. Sam, jak państwo wiedzą, napisał tezę doktorską o problemach wiary u Św. Jana od Krzyża. Jest bardzo znamienne, niesłychanie ciekawe, że jednym z tych którzy wskazywali drogę młodemu kapłanowi Karolowi Wojtyłce był wielki mistyk hiszpański, poeta i jednocześnie kapłan: Św. Jan od Krzyża.

Jawień. Do tej pory są jeszcze dyskusje czy to był zbieg okoliczności że wybrał nazwisko które istnieje w powieści Parandowskiego. Chyba przypadek. Ale dla mnie jest to mniej istotne. Co jest natomiast bardzo istotne to symbolizm samego imienia, które przybrał. Andrzej Jawień. Ten na jawie. Który był ukryty pod pseudonimem — i nagle, po wyborze na papieża, Jawień się wyjawiał jako poeta, jako Karol Wojtyła. Co fascynuje ludzi, którzy czytają przekłady, to to, że mamy papieża-poetę. Dla mnie jednak o wiele bardziej fascynujące jest pytanie, jaka była droga poety-kapłana do niezwyklej przygody duchowej, którą przeżywamy razem z nim jako Polacy i jako chrześcijanie.

Można już oceniać Jego wiersze? Mnie się zdaje, że byłoby fałszywe, prosić państwa, próbować oceniać zaraz czy styl, czy

też motywy tych wierszy. Dobra poezja ma to do siebie, że wymaga perspektywy. Potrzeba lat żeby umieć spojrzeć na nią właściwie. Lepiej teraz rozumiemy wczesne wiersze Karola Wojtyły, bo widzimy w nich jaką trudną drogą szedł ten bardzo młody człowiek — poprzez naukę i poprzez poezję — do realizacji swojej osobowości, bardzo bogatej, bardzo złożonej osobowości. Są duchowe spotkania w życiu. Życie się tylko właściwie liczy wedle duchowych spotkań. Wielki filozof, który już nie żyje, Martin Buber, mówił że właściwie każde istnienie człowieka wobec drugiego człowieka jest istnieniem spotkań. Każde spotkanie jest przygodą duchową.

Dla mnie, proszę państwa, tłumaczenie, ów zaszczyt że mogłem tłumaczyć wiersze obecnego papieża, był niezwykłą przygodą duchową. Nagle wszedłem w nurt, w nieznaną przedtem nurt innej osobowości — i musiałem myśleć jego myślami, czuć jego sercem. I kiedy pod koniec marca mogłem z Autorem rozmawiać na audiencji, to poczułem potem to, co on sam wypowiedział, kiedy w inauguracyjnym kazaniu do Polaków zwrócił się i mówił o milczeniu. Milczenie niech to pokryje, przeżyłem wtedy. Milczenie jest tym nurtem, tym źródłem, o którym mówi w swoim wielkim eseju filozoficznym Norwid. Esej o milczeniu. Proszę państwa, poezja i modlitwa rodzą się z milczenia. Należy uszanować dystans w sobie samym wobec tajemnic, których człowiek nie rozumie. W pojęciu którym jest milczenie istnieje i pytanie i zagadka.

Zacytuję teraz po polsku bardzo prosty, pozornie prawie naiwny, wiersz „Dziewczyna zawiedziona w miłości”. Poeta zastanawia się nad tym dlaczego młoda dziewczyna, która straciła miłość, myśli że kończy się świat dla niej, że jej troska jest osiłą spraw — jak mówi tekst. A potem niemal brutalne powiedzenie, tak jak często w poezji mistycznej — żeby powiedzieć prawdę trzeba powiedzieć ją w sposób wyrazisty:

*Gdybyś zdołała pojąć, że osiłą tych spraw nie jesteś,
a Ten, kto nią jest
też nie znajduje miłości —
gdybyś zdołała to pojąć.
Po cóż jest serce ludzkie?
Temperatura wszechświata i serce ludzkie — i rtęć.*

Zaczyna się ten wiersz od frazy, że cierpienie ludzkie często mierzy się słupkiem rtęci, podobnie jak mierzy się ciepło powietrza i ciepło ciała. Autor przesuwając te sekwencje myśli na tragedię osobistą dziewczyny dla której skończyło się wszystko, i pyta jak mistyk by zapytał — czy ty naprawdę rozumiesz co

się teraz stało w twojej duszy? Czy to jest ta głębia, której dotknęłaś, czy jest inna głębia pod tą głębią? Czy jest pod dnem jeszcze inne dno? Czy pod tym drugim dnem jeszcze jest trzecie dno? Dlatego w tym wierszu jest owa fraza niezwykła. On, który jest osiłą wszechświata, ten *redemptor*, też nie znajduje miłości, też jej nie ma.

Kiedy Karol Wojtyła miał 30 lat, napisał cykl wierszy pod tytułem *Matka*. Na jego kardynalskim herbie, a także na herbie papieskim, jest litera M. Znajduje się pod ramieniem Krzyża. I kiedy patrzymy na tę literę M, jest to litera, która w polskim języku nasuwa analogie oczywiste — Maria, matka, miłość, miłosierdzie. Maryjny kult Karola Wojtyły jest w symbolu tej litery, która oznacza nie tylko jedno pojęcie: oznacza nam inne pojęcia, bo one są ze sobą zrośnięte.

Był to pierwszy poemat, który zauważyłem lata temu, dlatego że to był jedyny wiersz Andrzeja Jawienia, a raczej fragmenty, jakie ukazały się w antologii poezji polskiej. Teraz ludzie szukają po antologiach — nie ma tekstów, a starych numerów *Tygodnika Powszechnego* znaleźć nie można. Mówię o antologii poezji maryjnej, gdzie wśród wierszy na końcu znajdują się wyjątki z cyklu *Matka*. Zwróciłem na nie uwagę trochę także z powodów egzystencyjnych, dlatego że akurat w tym mniej więcej czasie *Tygodnik Powszechny* przedrukował mój poemat o Matce Boskiej z lat przedwojennych. Napisał *Matkę* Wojtyła mając 30 lat, w 1950 roku. Przeczytałem teraz państwu utwór należący do tego cyklu — cykliczność wierszy Wojtyły jest bardzo znamieną dla jego sposobu tworzenia konstrukcji poetyckiej — woli on cykl niż pojedynczy wiersz — potrzebuje jak gdyby większego oddechu dla myśli. Tytuł tego wiersza z cyklu *Matka* brzmi *Zdumienie nad jednorodnym*. Otwiera on mój wybór przekładów poezji Wojtyły. Proszę zwrócić uwagę, gdy będę czytał ten utwór, jak bardzo należy poetycko do stylu, do poetyki ostatnich lat trzydziestych — 38-ego, 39-tego roku w Polsce, kiedy Wojtyła był studentem pierwszego roku nie teologii, ale polonistyki.

ZDUMIENIE NAD JEDNORODZONYM

*Owo światło przebijają zwolna poprzez zdarzenia codzienne,
do których przywykają od dziecka oczy i dłonie niewieście —
lecz zwolna w tych samych zdarzeniach taki blask się odstąpił
niezmierny,
że dłonie się same związały, kiedy słowa zgubiły swą przestrzeń.*

*Mój Synu — w tamtej mieścinie, gdzie ludzie znali nas razem,
mówiłeś do mnie „matko” — i nikt nie przejrzał w głąb
mijanych dnia każdego zdumiewających zdarzeń
— a życie twoje się złąło z życiem ludzi ubogich,
do których chciałeś należeć przez ciężką pracę rąk.*

*Lecz ja wiedziałam, że światło, które snuje się w owych zdarzeniach
jak włókno iskry głębokie pod korą dni,
jest Tobą.
Nie było ono ze mnie —*

*o ileż więcej miałam Ciebie w tym blasku i w tym milczeniu
niż miałam Ciebie w owocu ciała mojego i krwi.*

Tak mówi mistyk. Tak rozumie macierzyństwo Matki Boga mistyk, ale także człowiek, który stracił matkę mając 9 lat. Ja od wielu lat studiuję biografie piszących i artystów z tego punktu widzenia. Następuje jakiś kryzys w człowieku w dzieciństwie, ten kryzys zwykle jest śmiercią rodziców, albo matki albo ojca, albo obojga, i cała owa tragedia, którą dziecko ma przeżyć do głębi, często przetwarza się dramatycznie w talent artystyczny. To co Anglicy nazywają *deprivation* tkwi u podstawy twórczości, w genezie, u podstawy największych geniuszy. Fakt, że Wojtyła stracił matkę mając 9 lat jest psychologicznie niesłychanie ważny. Nie tylko jest ważny w Jego kulcie Matki Boskiej, w mistycznej transformacji tego kultu: wiedzie od jednego profilu do drugiego profilu człowieka, daje umiejętność patrzenia na ludzi, na profil mistyczny człowieka. Każdy z nas, jak powiedziałem, jest Szymonem z Cyreny. Ale także wczesna strata, przeżycie tragiczne dziecka, formuje styl, wpływa na język, daje młodemu poecie dojrzałość bardzo wczesnie, której nie ma często artysta co przeszedł tak zwaną normalną drogą swoje dzieciństwo.

Jest to skok w nieznanne. Wielka sztuka jest skokiem w nieznanne. Całe życie Karola Wojtyły jest jednym wielkim skokiem w nieznanne. W filozofię, w poezję, wreszcie w to co zaskoczyło cały świat, co było wielką niespodzianką, może największą niespodzianką naszego wieku — kto wie?

Są dwa poematy, może najtrudniejsze do tłumaczenia, które mówią o bierzmowaniu. Jako młody biskup — państwo wiedzą, że Wojtyła został biskupem bardzo wczesnie, był najmłodszym w episkopacie polskim — jedzie do jednej z podgórskich wsi, prawdopodobnie w swoich stronach, komponuje potem dwie medytacje. Data: 1961 rok, przed jego obecnością na Soborze watykańskim. Pierwsza medytacja jest o myślach biskupa udzielającego sakramentu bierzmowania, jak to on nazywa, w pewnej

podgórskiej wsi. Odpowiedzią są myśli człowieka przyjmującego sakrament bierzmowania w tej właśnie wsi. Niektóre wydzźwięki obu medytacji mają w sobie koloryt i abstrakcje typu poezji Eliota. Przeczytałem państwu dwa fragmenty, tym razem po angielsku, myśli człowieka przyjmującego sakrament bierzmowania w podgórskiej wsi, początek i koniec tej medytacji:

*How am I to be born?
Will I go with the light that flows
like a mountain stream,
saying: dry, dry, dry is the river bed,
then, suddenly, stumble
like a child on a taut rope,
stumble over a thought, a threshold,
the water beating my heart and taking my peace away.*

*Must I ask for a spring? Is it enough to walk
with the stream, never stop, never counter a wave?*

I koniec tego wiersza, gdzie ten sam człowiek przeżywający akt sakramentalny w Polsce, w Polsce obecnej, prosi Boga — o co? O cierpliwość.

*Wait. Have patience. I will draw You
from all river-beds, streams, springs of light,
from the roots of trees, and the plains of the sun.
When all this is in me,
when I contain the dual weight of terror and hope
and reach depths translucent as sky,
then no one will say
that I simplify.*

Głos człowieka, który nosi na sobie znamię wiary w sakramencie bierzmowania. Ten głos dla mnie nie jest tylko głosem człowieka z pewnej podgórskiej wioski; nie jest tylko głosem człowieka z Polski, gdzie katolicyzm musi być katolicyzmem walczącym, nie pasywnym. Ale to jest także głos człowieka — czy to z pewnej podgórskiej wsi, czy to ze wsi na nizinach — z Meksyku, ze Stanów Zjednoczonych, z Afryki, głos człowieka proszącego Boga o cierpliwość. Z Rosji i z Chin. *Redemptor hominis*. Odkupiciel, który jest centrum wszechświata. Odkupiciel wszystkich ludzi. Papież nie jest papieżem polskim. Papież jest papieżem z Polski. I widzimy tu profil Boży, o którym tak pięknie mówił Norwid. Jak błyskawicę, jak zygzak błyskawicy

dostzegamy nagle profil Boga w istnieniu codziennym, w cierpieniu i w cierpliwości. Bo cierpliwość jest bardzo trudną cnotą, proszę państwa. Dziękuję.

Jerzy PETERKIEWICZ

Przytoczone cytaty chroni Copyright:
 Libreria Editrice Vaticana, Vatican City, 1979.
 Translation Copyright, Jerzy Peterkiewicz, 1979.

Edukacja kołymska

W roku 1967 dotarła do *Kultury* z Moskwy ocalona przez kogoś odbitka szcztokowa *Huraganu* Galiny Sieriebriakowej, którego gotowy do druku skład rozsypany został natychmiast po upadku Chruszczowa. Książeczka ukazała się po polsku w przekładzie Łobodowskiego, z moim krótkim wstępem zatytułowanym *Partyjna droga przez mękę*. Pisałem w nim: „Lektura *Huraganu* przywodzi naturalnie na myśl przemycony w zeszłym roku z Rosji i głośny już dziś na Zachodzie pamiętnik Jewgienii Siemionowny Ginzburg *Stroma droga* (w oryginale rosyjskim *Krutoj marszrut*, w pierwszym na Zachodzie tłumaczeniu włoskim *Viaggio nella vertigine*). Materiał wyjściowych sytuacji życiowych i dalszych doświadczeń obu autorek jest niemal identyczny: oddane całym sercem partii komunistki, żony wysokich dygnitarzy (mężem Sieriebriakowej był moskiewski komisarz ludowy, mężem Jewgienii Ginzburg kazański prominent partyjny Paweł Aksjonow), pisarki i dziennikarki o zacięciu popularyzatorskim, aresztowane u progu wielkich czystek i oderwane od dzieci (syn Jewgienii Siemionowny, młody i znany prozaik Wasilij Aksjonow, spędził po aresztowaniu rodziców część dzieciństwa w *dietdomach*), włączone po więzieniach, łagrach i zesłaniach przez dwadzieścia blisko lat, zwolnione i „zrehabilitowane” po Dwudziestym Zjeździe. Podobieństwo nie kończy się na tym. *Stromą drogę* otwiera motto z wiersza Jewtuszenki *Spadkobiercy Stalina*: „Zwracam się do naszego rządu z prośbą: podwoić, potroić straż nad tym grobem”. W słowie wstępnym do książki Jewgenia Ginzburg powiada: „Spisywałam te wspomnienia jako list do mojego wnuka. Wydawało mi się że dopiero w roku

1980, kiedy mój wnuk będzie miał dwadzieścia lat, wszystko to stanie się na tyle zamierzczą przeszłością by mogło dotrzeć także do innych. Jak to dobrze, że się omyliłam! W naszej partii, w naszym kraju, na nowo panuje wielka leninowska prawda. Już teraz można opowiedzieć ludziom o tym co było, a co nie powtórzy się nigdy więcej. Oto one — wspomnienia szeregowej komunistki. Kronika czasów kultu jednostki”. Analogiczną nutę słysząc, jak daleki akompaniament, w *Huraganie* Sieriebriakowej... Odnoszę się sceptycznie do szczerości tych partyjnych zaklęć magicznych; i mój sceptycyzm zdają się potwierdzać rzucone mimochodem wyznania w obu książkach. W *Stromej drodze*: „Leżę z otwartymi oczami na środkowej pryczy i do głowy przychodzą mi najbardziej heretyckie myśli o tym jak umowna jest granica między wiernością szczytnym ideałom i tępą nietolerancją, i o tym jeszcze jak względne są wszelkie światopoglądy a jak — na odwrót — absolutne te straszne męki, na które ludzie skazują się nawzajem”. W *Huraganie*: „Przypominałam sobie (w więzieniu) słowa Büchnera o Dantonie: „Rewolucja, jak bóg czasu Saturn, pożera własne dzieci”. W każdym razie istnieją dwie możliwości: albo Jewgenia Ginzburg i Sieriebriakowa nie wyniosły ze swoich przeżyć więziennych i obozowych głębszej nauki, albo nie ośmieliły się czy nie potrafiły doprowadzić jej do ostatecznych konkluzji. Oba pamiętniki są więc, mimo ich znacznej wartości dokumentarnej, tylko połowicznym wkładem do procesu „destalinizacji”. Ludzkiego, a nie jedynie partyjnego, obrazu drogi przez mękę czasów „kultu jednostki” szukać będą wnuki Jewgienii Ginzburg i Sieriebriakowej w *Dniu Iwana Deni-sowicza* Sołżenicyna, w *Opustoszałym domu* Lidii Czukowskiej, w *Requiem* Achmatowej, w epilogu *Doktora Żiwago*”.

Pisząc tę przedmowę w roku 1967, dysponowałem skromną jeszcze listą lektur dla wnuków obu autorek. Dziś jest bogatsza i wydłuża się z roku na rok. *Krąg pierwszy, Oddział chorych na raka* i trzy tomy *Archipelagu* Sołżenicyna, *Opowiadania kołymskie* Szałamowa, *Wspomnienia Nadieжды* Mandelsztam, *Zejście pod wodę* Czukowskiej, *Wierny Rustan* Władimowa, *Fakultet* rze-czy *niepotrzebnych* Dombrowskiego. A także wydany właśnie we Włoszech drugi, pośmiertny już, tom *Stromej drogi**.

Gdyż mój sceptycyzm, przynajmniej w stosunku do „partyjnej drogi przez mękę” Jewgienii Ginzburg, był w pełni uzasadniony. Sama opowiada pod koniec drugiego tomu o „wewnętrznym redaktorze”, który podczas pisania pierwszego ciągle szepotał jej na ucho: „Tego nie puści cenzura”. Marzyła o druku książki w ZSSR, za zgodą Chruszczowa. I na tyle ulegała ostrzeżeniom swego „wewnętrznego redaktora”, że nawet Twardowski burknął po przeczytaniu manuskryptu: „Uprzytomniła sobie że coś nie tak, kiedy zaczęto wsadzać komunistów; ekster-

* Evgenija Ginzburg, *Viaggio nella vertigine* 2. Mondadori, Mediolan, 1979, str. 416.

minację chłopów rosyjskich uważała za fakt zupełnie naturalny". Zarzut niesprawiedliwy, chociaż jakąś część prawdy pewnie zawierał, o czym wie każdy kto w więzieniach i łagrach spotykał więźniów partyjnych, bredzących ustawicznie że „padli ofiarą omyłki, która zostanie niebawem naprawiona”; i podkreślających przy byle sposobności swoją „bezporną niewinność” wobec więźniów z pozapartyjnego motłochu, czyli być może „winnych”. Tak czy owak, „wewnętrzny redaktor” na nic się pierwszemu to mowi nie przydał, zresztą wkrótce wykopano Chruszczowa z urzędu, kładąc kres natłokowi byłych „zeków” do wydawnictw i czasopism sowieckich. Książka krążyła w odpisach, drukiem wyszła za granicę, po rosyjsku i w przekładach. A skoro klamka zapadła, Jewgienia Ginzburg mogła zasiąść do pisania dalszego ciągu już bez odwoływania się do „panującej na nowo wielkiej leninowskiej prawdy” i bez wzywania rządu by, „podwoiwszy i potroiwszy straż nad tym grobem”, zezwolił „szeregowej komunistce” ogłosić „kronikę czasów kultu jednostki”. Mogła, innymi słowy, więcej uwagi poświęcić swoim „heretyckim myślom”; i przypomnieć sobie, że mottem z Jewtuszenki zastąpiła pierwotne motto z Błoka „dwudziesty wiek, jeszcze rozpaczliwsze i straszniejsze są ciemności życia...”.

Drugi tom *Stromej drogi* zaczyna się na Kołymie w roku 1940, w trzy lata od aresztowania, siedmiominutowego „procesu” i wyroku skazującego na dziesięć lat. Książka dzieli się na dwie części: siedem pozostałych lat w łagrach kołymskich; osiem lat na „wolności warunkowej”, bez prawa wyjazdu z Kołymy.

„Białe piekło” obozów kołymskich, „sowieckiego Oświęcimia”, było opisywane wielokrotnie: przede wszystkim w mistrzowskich opowiadaniach Szałamowa, ale także w pamiętnikach Elinor Lipper, Anatola Krakowieckiego, Władimira Pietrowa, generała Gorbatowa, oraz w monografiach Kazimierza Zamorskiego *Kołyma — Gold and Forced Labour in the USSR* i Roberta Conquesta *Kołyma — The Arctic Death Camps*. Niewiele zatem nowego o łagrach kołymskich można się dowiedzieć z książki Jewgienii Ginzburg, co oczywiście w niczym nie osłabia wrażenia z jakim śledzi się opowieść autobiograficzną o jej losach. Stosunkowo mniej natomiast znana jest „wolność warunkowa” na Kołymie opisana w drugiej części drugiego tomu *Stromej drogi*, toteż ewokacja lat spędzonych przez autorkę na „wolnej stopie” w Magadanie poszerza trochę naszą wiedzę z zakresu „gułagologii”. Jak wiadomo, „gułagologia” ogólna posługuje się za przykładem Sołżenicyna podziałem na „wielką zonę”, którą jest cały Związek Sowiecki, i „mniejszą zonę” odgradzoną od „wolności” kratami i drutem kolczastym. Życie byłych więźniów i ich nadzorców w Magadanie stanowi w tym układzie styk bezpośredni, dzięki czemu szczególnie jaskrawy, między dwiema zonomi. Jest to życie dusz pańszczyźnianych we władzy feudalnych kacyków, podczas gdy za drutami łagrów kołymskich było to po prostu życie absolutnych niewolników poganianych i zadre-

czanych na śmierć przez batożników. W miarę oddalania się od „mniejszej zony” i zagłębiania w „wielką zonę” zmieniają się odcienie i proporcje układu, lecz nie zmienia się jego istota. Jewgienia Ginzburg stara się ją uchwycić, pisząc o „niesłychanym systemie korupcji dusz za pośrednictwem Wielkiego Kłamstwa”.

Niewolników kołymskich zabija się pracą, głodem, mrozem, okrucieństwem, grzebie codziennie tysiącami w zbiorowych mogiłach, dopóki jednak zdolni są jeszcze jako żywe trupy aspirować do przyszłego „swobodnego” uczestnictwa w „budowie socjalizmu”, należy im się — w imię „szczytnych ideałów” — reedukacja. Próbkę takiej reedukacji podaje Jewgienia Ginzburg na początku drugiego tomu *Stromej drogi*. Jest rok 1940, rolę wykładawczyni w *kulturno-wospitatelnoj czasti* spełnia lekarka Jewdokia Iwanowna: „Pamiętam doskonale jedną z tych lekcji. Studiujemy przemówienie Mołotowa. W tekście mowa o postępowym znaczeniu reżymu hitlerowskiego dla wzmocnienia gospodarki niemieckiej. Zlikwidowano bezrobocie. Zbudowano nowe autostrady. W ciągu ośmiu lat rządów narodo-socjalistycznych Niemcy z kraju biednego, przygniecionego traktatem wersalskim, przeobraziły się w jedno z czołowych mocarstw europejskich. Jewdokia Iwanowna przycisza nieco głos i tonem poufnym radzi nam, w obecnym wyjątkowym momencie naszych stosunków z potężnym sąsiadem, używać zwrotu: niemieccy narodowi socjaliści zamiast zwrotu: niemieccy faszyści”.

Według Szałamowa piekło kołymskie było „wielką próbą sił moralnych człowieka, zwykłej ludzkiej moralności, i dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi tej próby nie wytrzymało”. Jeden zwycięski procent rezerwował Szałamow w całości dla *religiozników*: „Bardziej godnych ludzi niż wierzący w łagrach nie widziałem; deprawacja ogarnęła dusze wszystkich, trzymali się tylko wierzący”. *Stroma droga* (naturalnie drugi tom) jest w jakimś stopniu potwierdzeniem tej obserwacji. Trudno powiedzieć czy Jewgienia Ginzburg, komunistka rosyjska pochodzenia żydowskiego, nawróciła się na Kołymie. Ale nie ma wątpliwości, że jej prawdziwa edukacja kołymska związała się nierozdzielnie z osobą zruszczonego lekarza niemieckiego Antona Waltera, gębokobowierzącego katolika i „wesołego świętego” łagrów kołymskich: „Wesoły święty stał się później moim drugim mężem. Wśród nieustannych śmierci, smrodu gnijących ciał, mroków polarnej nocy, dojrzała nasza miłość. Przez piętnaście lat szliśmy ramię w ramię tą samą drogą, pokonując wszystkie otchłanie i wszystkie burze. Dziś cały jego niezwykły i jasny świat, wszystkie skarby jego duszy, pokrywa uboga kupka ziemi na cmentarzu Kuzminskim w Moskwie. A może znów się myślę, popełniam ten sam błąd przed którym mnie ostrzegał. Szukam niemiętelnej duszy tam, gdzie spoczywa tylko niedoskonałe ciało obrócone w proch”. A w ostatnim rozdziale: „Podczas mojej drogi krzyżowej widziałam dziesiątki, może setki, najbardziej uczo-

nych i ortodoksyjnych marksistów, którzy w strasznych chwilach swego życia zwracali twarzą naznaczone cierpieniem ku Temu, kto był niegdyś przedmiotem ich dłużej negacji. Lecz ci, którym udało się ocaleć, nie dziękowali za to Bogu. Dziękowali w najlepszym razie Nikicie Sergiejewiczowi, albo nie dziękowali nikomu. Taka jest nasza natura". Byli i tacy co, za radą „wewnętrznego redaktora”, dziękowali zmartwychwstałemu cudownie Leninowi. Motyw spowiedzi z grzechów „naszej natury” przewija się w drugim tomie *Stromej drogi*, kulminując w zdaniu: „Zdarzało mi się widzieć jak z otchłani barbarzyństwa moralnego wznosi się nagle okrzyk: *Mea maxima culpa!*, i jak ten okrzyk przywraca człowiekowi prawo nazywania się człowiekiem”. Nie najmniej ważna zaleta książki Jewgienii Ginzburg polega na tym, że edukacja kołomska przyuczyla partyjną ofiarę „kultu jednostki” do bicia się we własne a nie w cudze piersi.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

WITKIEWICZ (Stanisław Ignacy).

Pożegnanie jesieni. Powieść. Po-słowie: *Katastrofizm w literaturze międzywojennej* — Alain van Crugtena przeł. M. Pankowski. Str. 473 i 3 nlb. (Wyd. Editions l'Age d'Homme, Lausanne, 1979 — przedruk z wydania F. Hoesicka, Warszawa, 1927). Cena: F. 50.

Kulisy twórczości. Listy 14 pisarzy emigracyjnych do Juliusza Słowackiego 1945-1977. Str. 280. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż, 1979).

Polonia 78 — Polonia Jutra. Opracowanie Marii i Stanisława Brodzkich. Str. 326 i 2 nlb. (Wyd. Kongres Polonii Kanadyjskiej, Toronto, Ont., 1979).

Kontynent. Wybór artykułów. Przekład z rosyjskiego i opracowanie Adam Mazur. Str. 331 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd., Londyn, 1979).

BODEK (Stefan). *Igraszki*. Wiersze. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Ofi-

cyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).

Historia rodziny Szygowskich herbu Trzaska. Koneksje Szlachty Mazowieckiej od 1439 roku na podstawie relacji sądowych, oblat, zapisów, nadań Królewskich etc. Materiały zebrał i opracował Juliusz Szygowski. Str. 464 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).

WYGODZKI (Stanisław). *Pożegnanie*. Wiersze. Str. 52 i 4 nlb. Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).

GACKI (Stefan). *Wiersze dla Ire-ny — rozmyślań część czwarta*. Str. 40. (Wyd. Sigma Press, Albany, N.Y., 1979).

Jakie korzyści daje polska szkoła twojemu dziecku. Polska Szkoła im. Tadeusza Kościuszki w Londynie na Ealingu, utrzymywana przez Komitet Rodzicielski Polskiej Macierzy Szkolnej (Wyd. P.M.S., Londyn, 1979).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

19-11-79

Nagrody im. Władysława Pietrzaka zostały przyznane w 1979 roku m.in. prof. Konradowi Górskiemu, prof. Stanisławowi Helszyńskiemu, Maciejowi Wrzeszczowi.

20-11-79

Min. Kultury PRL założyło sprzeciw przeciwko przyznaniu przez Polski PEN-Club Wiktorowi Woroszyńskiemu nagrody za tłumaczenia.

1-12-79

W Warszawie kanclerz austriacki, Bruno Kreisky, wystąpił z inicjatywą zainstalowania na Śląsku centrali elektrycznej o mocy 1000 megawatów. Dla stworzenia tej centrali Austria dostarczyłaby *know how* i kapitały przy ewentualnym współudziale innych zainteresowanych państw zachodnich. Polska natomiast aprowidowałaby Austrię w elektryczność, która byłaby potem rozdzielana między inne kraje biorące udział w tym „moście energetycznym Wschód - Zachód”.

6-12-79

W Warszawie zmarł, w wieku 75 lat, prof. Józef Chałasiński. Przed wojną był on redaktorem *Przeglądu Socjologicznego*, dyrektorem Państwowego Instytutu Kultury Wsi i profesorem Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Od 1945 roku był profesorem łódzkiego uniwersytetu i organizatorem łódzkiego Ośrodka Socjologicznego. W 1952 roku został członkiem PAN. Do wybitniejszych prac prof. Chałasińskiego należą: „Młode pokolenie chłopów” oraz „Drogi awansu społecznego robotnika”.

15-12-79

W roku 1977 Kościół katolicki liczył 3.700 biskupów, 421.859 księży (w tym 529.965 diecezjalnych a reszta zakonnych), 4.456 stałych diakonów, 66.311 braci zakonnych i 986.786 sióstr zakonnych. ■ Doroczną nagrodą edytorską Polskiego PEN-Clubu została przyznana Marianowi Bizanowi i Czesławowi Zgorzelskiemu. Pierwszy jest wydawcą i komentatorem Słowackiego, a drugi badaczem pre-romantyzmu i romantyzmu polskiego — zwłaszcza sztuki poetyckiej Mickiewicza i Słowackiego, wydawcą „Dzieł” Brodzińskiego, „Archiwum Filomatów”, pt. „Miscellanea z lat 1800-1850”. Po raz pierwszy nagroda edytorska PEN-Clubu przyznana została w roku 1978 J. W. Gomulickiemu i Pawłowi Hertzowi.

ZACHÓD — EMIGRACJA

10-11-79

Cenzura w Watykanie. W czasie pierwszego plenarnego zebrania Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata, jej przedstawiciele zostali przyjęci przez Papieża na audiencji. Przed odczytaniem przez prezesa Gertlera tekstu oświadczenia, które miało zostać złożone Papieżowi, przedstawiciel Sekretariatu Stanu zażądał skreślenia słowa „wolna” w zdaniu głoszącym, że reprezentuje „wolną Polonię świata”. Żądanie to zostało uwzględnione.

15-11-79

Ponad 30 osób — studentów brazylijskich pochodzenia polskiego — korzysta ze stypendiów rządu PRL. Najwięcej osób wybiera studia medyczne (około 30 %), na drugim miejscu są studia inżynierskie na politechnikach polskich.

25-11-79

Zmarła w Versoix, Szwajcaria, w wieku 83 lat, Maria Mościcka, wdowa po b. prezydencie Polski, Ignacym Mościckim.

27-11-79

Władze duńskie deportowały do Polski Krzysztofa Kryńskiego, który w 1970 roku zmusił samolot pasażerski, kursujący na trasie Gdańsk - Warszawa, do lądowania na Bornholmie. ■ W szczecińskim Domu Stocznioewca wystawiono model statku, który w przyszłości ma zastąpić „Stefana Bato-rego”. Jest już gotowy model nowej jednostki, która otrzymała roboczą nazwę „Polonia”.

28-11-79

W dniu 28 listopada 1979 roku została podpisana w siedzibie Prezydenta R.P. i Rządu Polskiego w Londynie deklaracja o solidarności polsko-ukraińskiej. Ze strony polskiej podpisali ją Prezydent Edward Raczynski, Premier Kazimierz Sabbat oraz Podsekretarz Stanu Tadeusz Lasko w zastępstwie ministra Spraw Zagranicznych. Ze strony ukraińskiej podpisy złożyli Mikołaj Lewickij, Prezydent Ukraińskiej Republiki Narodowej, Dr Teofil Leontij, Prezes Rządu U.R.N., oraz prof. Jarosław Rudnycki, min. Spraw Zagr. Deklaracja Polsko-Ukraińska stwierdza, że wspólny cel wyzwolenia z ucisku imperializmu sowieckiego stwarza więzy solidarności między narodami pod dominacją Moskwy, posiadającymi wolę wywalczenia własnego wolnego i niepodległego państwa. Wola zwalczania imperializmu Moskwy w każdej jego odmianie kształtuje stosunek Polski i Ukrainy, w których istotnym interesie leży wolność i niepodległość wszystkich walczących o nie narodów europejskich pod dominacją sowiecką. Na całym obszarze winna zapanować demokratyczna równość narodów, sprawiedliwość społeczna i poszanowanie praw narodu i jednostki. Solidarność narodów obszaru ma charakter stały, a nie koniunkturalny, gdyż jest niezbędna nie tylko dla wyzwolenia, ale i dla zabezpieczenia obszaru przed odrodzeniem lub odwetem imperializmu. Jest też podstawą stabilizacji politycznej i przyszłych poprawnych stosunków z Zachodem i Wschodem Europy. Podstawowe stwierdzenie deklaracji jest sformułowane w sposób następujący: „W żywotnym interesie Narodu Polskiego i Narodu Ukraińskiego, odwiecznie ze sobą sąsiadujących, a pozbawionych dziś wolności i niepodległego bytu, leży wywalczenie i trwałe zabezpieczenie państwowego bytu wolnych i niepodległych narodów Polski i Ukrainy”.

30-11-79

Jeden z czołowych dysydentów ukraińskich, Swiatosław Karawański, przybył do Wiednia wraz ze swoją żoną Niną — mikrobiologiem, która była uwięziona od 1971 do 1975 roku. Karawański w 1942 roku był skazany na 25 lat łagrów, amnestiowany w 1960 roku, został ponownie aresztowany w 1965 bez sądu dla dokończenia swojej kary. W 1970 roku był ponownie skazany na 10 lat więzienia za opracowanie dokumentu, przypisującego odpowiedzialność za masakrę katyńską Związkowi Sowieckiemu. Uwolniony na kilka tygodni przed uzyskaniem zezwolenia na emigrację. Karawańscy zamierzają osiedlić się w Stanach Zjednoczonych.

1-12-79

Główna Komisja Skarbu Narodowego w Londynie postanowiła złożyć Papieżowi w darze złoty medal z jego podobizną. Inicjatywa wydaje się nam niezbyt szczęśliwa.

8-12-79

Księgarnia Polska w Paryżu zorganizowała tradycyjny Kiermasz Gwiazdkowy który trwał od 8 do 31 grudnia 1979. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 82 lat, prof. dr Henryk Paszkiewicz, historyk, wiceprezes Fundacji Lanckorońskich i wiceprezes Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie. ■ Mediolański *Giornale* donosi o próbie władz PRL stworzenia w Rzymie specjalnej placówki Interpressu dla zbierania „materiałów krytycznych” o papieżu. Miałyby nią kierować Mirosław Wojciechowski, a w jej skład miałby wchodzić Zenon Kurowski, Zdzisław Morawski i Mikołaj Rostworowski. Jak dotąd rząd włoski, podejrzliwy wobec planowanej imprezy, nie wyraził swojej zgody. Wobec tego, według dziennika mediolańskiego, władze PRL zmieniły pierwotny plan. Kurowski, Morawski i Rostworowski działając będą w Rzymie jako indywidualni dziennikarze, a nie jako przedstawiciele Interpressu. Wojciechowski zaś przewidywany jest na nowego *attaché* prasowego ambasady PRL w Rzymie, co pozwoliłoby mu odgrywać rolę nieoficjalnego szefa i koordynatora trójki. ■ Według statystyki SCB Orebro w Szwecji znajduje się obecnie 9.550 obywateli polskich i 10.657 obywateli szwedzkich pochodzenia polskiego.

14-12-79

Staraniem Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Paryżu odbył się odczyt red. Mykoły Styranki z Monachium pt. „Próba charakterystyki ukraińskich sił politycznych”.

19-12-79

W Paryżu, staraniem pism rosyjskich *Wiestnika RchD*, *Kontinentu* i *Russkoj Mysli*, odbył się wieczór poświęcony spotkaniu z Aleksandrem Ginsburgiem, jednym z czołowych przedstawicieli ruchu demokratycznego w ZSSR.

2-1-80

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu w końcu ubiegłego roku rozwinęło dużą działalność odczytową, a mianowicie z okazji 140-tej rocznicy Powstania Listopadowego zorganizowano uroczystą Akademię na której przemawiali: prezes Towarzystwa Eugeniusz Zaleski, red. Witold Nowosad i prof. Edmund Marek. 7 grudnia Andrzej Paczkowski wygłosił odczyt „Społeczeństwo i prasa polska we Francji 1920-1940”; 11 grudnia prof. dr Wiktor Sukiennicki wygłosił odczyt „Rzeczpospolita wielokulturowa i polskie państwo narodowe” i wreszcie 21 grudnia odbył się koncert Barbary Strzeleckiej, którą wprowadzał Adam Sutkowski.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Waszyngtonie zorganizowało 24.11.1979 uroczysty wieczór, poświęcony 40-tej rocznicy wybuchu 2-giej wojny światowej. Wieczór nosił nazwę „Za Niepodległość, Wolność i Sprawiedliwość 1939-1945”. Wieczór opracował red. Andrzej Pomian. ■ Na posiedzeniu Board of Trustees Fundacji Kościuszkowskiej wybrano nowego prezesa tej instytucji. Został nim młody profesor filologii polskiej, dr

Wojciech Juszcak. Dr Juszcak jest absolwentem Uniwersytetu w Chicago i doktorantem prof. Tymona Terleckiego. ■ 24 października 1979 w Departamencie Stanu przyjęto przedstawicieli centralnych organizacji Amerykanów pochodzenia bułgarskiego, czechosłowackiego, estońskiego, litewskiego, łotewskiego, polskiego, rosyjskiego, ukraińskiego i węgierskiego, tworzących waszyngtońską Komisję Porozumiewawczą wschodnio-europejskich organizacji etnicznych. Przedstawiciele przedłożyli wspólnie opracowane postulaty w związku z zapowiedzianą na wrzesień bież. roku Konferencją w Madrycie w sprawie weryfikacji wprowadzania w życie Układów w Helsinkach. Wysłuchali oni kandydaturę kongresmana Dante Fascella'a na przewodniczącego delegacji amerykańskiej oraz zgłosili kandydatów z ramienia grup etnicznych na członków delegacji i konsultantów amerykańskich. Kandydatem społeczności polsko-amerykańskiej jest prof. Janusz K. Zawodny. ■ Zmarł w Nowym Jorku Henryk Landowski, żołnierz Brygady Karpackiej, dziennikarz i publicysta. Został pochowany na cmentarzu amerykańskiej Częstochowy w Doylestone.

KRONIKA SZWEDZKA

Połączenie promem między Ystad a Świnoujściem stało się wielkim sukcesem. W roku 1978 przewieziono 23.498 wagonów, załadowanych 440.000 ton towarów, a w ciągu pierwszych 3-ch kwartałów roku 1979 — 26.700 wagonów. Linia ta należy do mieszanego towarzystwa polsko-szwedzkiego POL-LINE AB. ■ Córka uchodźców polskich Jadwiga Koba została zaangażowana przez Operę w Sztokholmie i wystąpiła po raz pierwszy w operze Giancarlo Menotti. Szereg pism szwedzkich zamieściło entuzjastyczne krytyki. ■ Dwumiesięcznik *Artes*, wydawany przez Akademię szwedzką, poświęcił swój grudniowy numer głównie polskiej poezji i literaturze. Zawiera on m.in. utwory Stanisława Grochowiaka, Stanisława Barańczaka, Karola Wojtyły, Jerzego Ficowskiego, Bruno Schulza, Leszka Kołakowskiego. Inicjatorem tego numeru jest redaktor naczelny pisma Östen Sjöstrand, przy doborze materiału współpracowała z nim Katarzyna Gruber, która razem z prof. Knutem Ahnlundem tłumaczyła teksty na język szwedzki. Poezje i eseje ilustrował Jan Lebenbaum. ■ W listopadzie 1979 ukazała się w Sztokholmie książka w języku szwedzkim pt. „Walka o demokrację. Artykuły i dokumenty polskiej opozycji demokratycznej pod redakcją Marii Borowskiej i Jakuba Świącieckiego”. Książka ta stanowi nie tylko prezentację działalności i myśli politycznej polskiej opozycji, lecz jest również wyrazem poparcia szwedzkiej socjaldemokracji dla polskich dążeń demokratycznych. Wydawcą książki jest znane wydawnictwo socjaldemokratyczne „Tiden”. Słowo wstępne napisał profesor Sten Johansson, ideolog szwedzkiej partii socjaldemokratycznej. Sten Johansson wyraża się z wielkim uznaniem i sympatią dla polskiego ruchu demokratycznego. Wyrazem zainteresowania książką jest fakt, że poświęcono jej omówieniu półgodzinny interesujący i bardzo życzliwy dla polskiej opozycji program radiowy. ■ Według statystyki SCB, Orebro 1979 w Szwecji znajduje się obecnie 9.550 obywateli polskich i 10.657 obywateli szwedzkich pochodzenia polskiego, a więc ogółem 20.207 osób polskiego pochodzenia. ■ Sprawa PRL-owskiego szpiegostwa w Szwecji zatacza coraz szersze kręgi. Po zatrzymaniu na początku listopada 1979 roku 10 Polaków, 14 listopada zatrzymano w Sztokholmie dalsze 4 osoby. Przy jednej z nich znaleziono 200 tysięcy koron. Zatrzymani interesowali się zwłaszcza okręgiem Skaraborg, bardzo ciekawym pod względem wojskowym. Znaleziono u nich wiele obciążającego

materiału, świadczącego że niewątpliwie zajmowali się wywiadem, m.in. mapy, na których znaczni obiekty o znaczeniu strategicznym, a nawet obszar, na którym tej jesieni odbyły się szwedzkie manewry wojskowe. Polacy ci podróżowali po Szwecji, sprzedając obrazy. Jest to w Szwecji doskonały interes — czasami potrafili zarobić do 4 tysięcy koron dziennie. Informacje te pochodzą z znalezionych przy nich odpisów listów do Polski, w których m.in. pisali, że „łatwo jest Szwedów nabierać”. W sumie skonfiskowano 330 tysięcy koron. Najdziwniejsze w tej sprawie, że ci młodzi ludzie nie mieli nic wspólnego z malarstwem, niektórzy „podpisywali” importowane z Hong-Kongu obrazy. Wśród zatrzymanych byli fizyk nuklearny, magister chemii, inżynier elektronik itp. Do winy się nie przyznali. Działali w trzech grupach i żadnemu z nich nie można było udowodnić indywidualnego przestępstwa, a ustawodawstwo szwedzkie nie przewiduje odpowiedzialności zbiorowej. Większość z nich wypuszczono i wydano do Polski. W więzieniu w Halsbergu znajduje się jeszcze 3-ch Polaków. Świadczy to, że sprawa nie jest zakończona. ■ Także w Norwegii wykryto działalność szpiegowską kilku Polaków. Skazano ich na grzywny w wysokości tysiąca koron a 3-ch wydano do Polski. ■ 7 grudnia 1979 roku zapadł wyrok skazujący Stig Berglinga (o którym pisaliśmy w poprzednich „Kronikach szwedzkich”) na dożywotnie więzienie. Bergling był najpierw oficerem wywiadu szwedzkiego Sztabu, a następnie urzędnikiem policji i bezpieczeństwa przy szwedzkich oddziałach O.N.Z. na Środkowym Wschodzie. Motywacja wyroku stwierdza, że „wyrządził on Szwecji ogromne szkody”. W historii współczesnego sądownictwa szwedzkiego zapadło tylko 5 wyroków skazujących na dożywocie. Podając szczegóły wyroku telewizja szwedzka przeprowadziła wywiad z Dragą Joviussem, autorem głośnej książki pt. „Szpiegostwo sowieckie w Szwecji”. Jovius oświadczył, że jest na tropie nowej, poważnej sprawy. Po tym stwierdzeniu telewizja przedstawiła go w rozmowie ze świeżo przybyłym do Szwecji małżeństwem polskim, które prosi o azyl. Para ta była odwrócona plecami do kamery. Młody uchodźca powiedział, że miał duże trudności z uzyskaniem paszportu. W końcu go jednak otrzymał, zobowiązując się do wykonania zlecenia składającego się z czterech punktów: 1) nawiązanie kontaktu z Polakami przebywającymi od dłuższego czasu na Zachodzie; 2) nawiązanie kontaktu z policją szwedzką i zapoznanie się z jej metodami pracy. Gdyby to było inaczej niemożliwe, może popełnić niewielkie przestępstwo; 3) obserwacja środowisk społeczno-gospodarczych na Zachodzie; 4) dokładne studiowanie zakazanej w Polsce literatury zachodniej i emigracyjnej. Żona uchodźcy nie miała trudności z uzyskaniem paszportu i wyjechała wcześniej. Dopiero w Sztokholmie dowiedziała się o zamiarze męża poproszenia o azyl. Ta część wywiadu była przeprowadzona w lokalu Rady Uchodźstwa Polskiego, a redaktorem był dziennikarz szwedzki Goransson, specjalizujący się w sprawach polskich. Audycja odbyła się w ramach popularnego „Tele-raportu”.

POD AUSPICJAMI
TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU
z KOMITETEM WYDAWNICZYM w składzie:

Czesław Miłosz z University of California — Berkeley, Piotr Wandycz z Yale University, Henryk Wereszycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jacek Woźniakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — KSIĘGARNIA „LIBELLA” W PARYŻU, rozpoczęła nową serię wydawnictw pod nazwą ogólną: „HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ”.

Dotychczas ukazały się:

HENRYK WERESZYCKI
„HISTORIA POLITYCZNA POLSKI”
1864-1918

Stron: 336. Cena F.fr. 60,00 (lub równowartość).

ANDRZEJ MICEWSKI
„WSPÓLRZĄDZIC CZY NIE KŁAMAĆ”
Pax i Znak w Polsce 1945-1976

Stron: 269. Cena F.fr. 50,00 (lub równowartość).

MARCIN KRÓL
„STYLE POLITYCZNEGO MYŚLENIA”

Stron: 128. Cena F.fr. 30,00 (lub równowartość).

ROMAN ZIMAND
„DZIENNIK ADAMA CZERNIAKOWA —
PRÓBA LEKTURY”
„W nocy od 12 do 5 rano nie spałem”.

Stron: 79. Cena F.fr. 25,00 (lub równowartość).

Książki do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na Emigracji u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

„LIBELLA”
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris.
Métro: Pont Marie lub Saint-Paul.
Telefon: 326-51-09.

Listy do Redakcji

Listopad 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jest pewien istotny problem, na który chciałabym zwrócić uwagę. W jednej z rezolucji Rada Koordynacyjna Polonii poparła działalność RWÉ. Zgadzam się z tym i nie. Dlaczego nie? Ponieważ dobór informacji i komentarza WE wyraźnie uprzywilejowuje działaczy i ludzi pióra, wywodzących się z grup uprzywilejowanych i dziś, choć już z innych pozycji. Zdominowali np. za zgodą reżymu tak ważną dla kultury instytucję, jak Związek Literatów Polskich. Dysponują znacznymi zasobami środków i kontaktów zagranicznych, zatem są widoczni.

Niechże Rada Koordynacyjna nie zapomina o istnieniu w kraju katolickiej — co nie znaczy „prawicowej” w sensie pejoratywnym — większości Polaków, pozbawionych dotąd możliwości wypowiedzi. Są to ludzie — często bardzo młodzi, jak grupa Ruch Młodej Polski, jedno z odgałęzień Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela — o dużych walorach intelektualnych i moralnych. Są i inni, jak grupa skupiona wokół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i pisma *Spotkania*.

Uwagi te nie oznaczają, że zamierzamy przeciwdziałać istnieniu tzw. laickiej lewicy, skupionej w KSS „KOR”. Przeciwnie. Są niezbędni, w pewnej mierze jako potencjalny w wielu sprawach sojusznik, w pewnej mierze jako ideowy przeciwnik, wzbogacający kulturę kraju o inny punkt widzenia. Protest i mój i nasz — dotyczą zasłużonej skądinąd WE — odnosi się jedynie do stronniczych i w sprawach kultury praktyk rozgłośni. Przykład drastyczny: nieobecny niemal w przekazach WE Gombrowicz i nad miarę obecny np. Kazimierz Brandys, którego „Nierzeczywistość” była wielokrotnie rozreklamowana. Takie chwytły odnoszą skutek odwrotny od zamierzonego i zniechęcają do pisarza, którego rangę sztucznie się podnosi, zaniedbując innego, o randze nieporównanie wyższej. Do tego Gombrowicz jest — jak wiadomo — w kraju na indeksie, podczas gdy Brandys i podobni są drukowani od zarania PRL — długie lata oficjalnie, ostatnio nieoficjalnie, ale drukowani. Poza tym, co do Gombrowicza, czas już wreszcie rozproszyć nieporozumienie, dotyczące braku patriotyzmu (co skądinąd, gdyby było zgodne z prawdą, nie dyskwalifikuje, bo trudno komuś narzucać — także nie lubiącemu Polaków K. Brandysowi — takie czy inne emocje. Wystarczy uczciwość). Rzecz w tym, że Gombrowicz jest patriotą w swoim własnym — twórczym! — stylu, a do tego kulturę polską tak wzbogaca, że już to samo wystarczyłoby za najbardziej patriotyczną działalność. Wzbogacenie kultury Polaków tak w kraju, jak na emigracji, uważamy za sprawę kluczową przy zastanawianiu się nad kształtem przyszłej, prawdziwie niepodległej Polski.

Zwracamy się zatem do WE z propozycją nadania (np. w audycji „Na czerwonym indeksie”) „Dzienników” Gombrowicza. Studenci — i nie tylko — będą tego zakazanego dzieła słuchać z wypiekami na twarzy. Tekst Gombrowicza mogłaby też uzupełnić dyskusja. Rozgłośnia ma przecież kontakt z Marią Danielewicz-Zielińską, Tadeuszem Nowakowskim, Włodzimierzem Odojewskim. Po Gombrowiczu: Czesław Miłosz, „Inny świat” Herlinga-Grudzińskiego, „Sprzysiężenie” Stefana Kisielewskiego, teksty Leszka Kołakowskiego, Henryka Skolimowskiego itd. itd. z wyżej wymienionymi dyskutantami włącznie.

Jest czym zafascynować. Rozpowszechnione są też w świecie i podziwane „Osoba i czyn”, poezje, teksty filozoficzne i utwory dramatyczne Papieża Wojtyły. Czekamy zatem na kulturę wysokiej rangi.

Wanda CHYLICKA
(Polska)

10 grudnia 1979.

Drogi Panie Redaktorze,

List z Warszawy Antoniego Powolnego w grudniowej Kulturze jest częściowo polemiką z moimi uwagami o opozycji krajowej w październikowej Kulturze.

Nie twierdziłem, że opozycja jest „trzecią siłą”, żeby coś podobnego napisać musiałbym najprzód upaść na głowę. Nazwałem opozycję „trzecim czynnikiem”, dodając nawet „słabym i wątłym”. A to jednak różnica. Nie jest „czynnikiem”? Czym wobec tego jest? Pochwalam wstrzemięźliwość w ocenach, nie lubię przesady, ale za niebezpieczną i szkodliwą uważam także skromność posuniętą do masochizmu. Niepotrzebnie więc autor Listu z Warszawy przestrzega mnie przed „porównywaniem” opozycji z rządzącą partią i z kościołem katolickim, pouczając mnie że partia liczy trzy miliony członków i kandydatów, a kościół tysiąc lat historii. Niepotrzebnie, bo ani mi przez myśl nie przeszło jakiegokolwiek „porównywanie”. Powiedziałem tylko, że wobec „zaostrożonej tendencji do polaryzacji kościół-partia”, jest dla opozycji kwestią życia i śmierci „obronienie i podwyższenie swej wagi trzeciego czynnika”. Cóż w tym takiego dziwnego, co świadczy w tym o moich „wielkich złudzeniach”? Przecież autor Listu z Warszawy nie posądza mnie chyba o snucie wizji trójstronnej narady, z udziałem Gierka, prymasa Polski i przedstawiciela opozycji? Raz jeszcze powtarzam: złą jest przywarą polskie nadmierne wypinanie piersi, ale złą jest również na nie odtrutką polskie „jestem taki mały, mały, maciupęński”.

Antoni Powolny zapewnia mnie dalej, że w Polsce „kompromis historyczny w ogóle nie wchodzi w rachubę”. Szczerze chciałbym mu wierzyć na słowo honoru. Ale na miejscu Powolnego — który, sądząc z jego Listu, jest wytrawnym obserwatorem politycznym — byłbym nieco powolniejszy w posługiwaniu się zapewnieniami kategorycznymi.

Gustaw HERLING-GRUZIŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

O kosztownej i co najmniej dyskusyjnej decyzji wysłania przez Radio Free Europe i Radio Liberty sprawozdawców sportowych na Olimpiadę do Moskwy (choć ich tam nie chcą i stale obrażają, ale kto dba dzisiaj

w wolnym świecie o godność?) — dziennikarze z Europy Środkowej i Wschodniej, zatrudnieni w tych radiostacjach, dowiedzieli się z artykułu w *New York Times*. Nikt ich o zdanie nie pytał. A więc jeszcze jedno naruszenie obowiązującej niegdyś zasady „partnerstwa”, działanie ponad głowami i plecami zainteresowanych, w myśl niezawodnej zasady: „Wszystko o was bez Was!”. Afronty, upokorzenia i szykany spotykały reporterów Free Europe i Radio Swoboda zarówno na igrzyskach w Innsbrucku jak i w Montrealu, gdzie zatraskiwano im brutalnie drzwi ku ucieście wschodnioeuropejskich oficerów policji politycznych, przydzielonych do danych ekip krajów bloku. Jeśli się ktoś chce na koszt amerykańskiego podatnika przejechać bezpłatnie do Moskwy, niechaj nie miesza do tego radiostacji cieszących się szacunkiem w Polsce i innych krajach rządzonych przez komunistów.

Grupa Polaków, Rosjan i Ukraińców z Monachium.

16 listopada 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czy nie czas skończyć z andersowskim „Pozostaniemy wierni naszym sojusznikom nawet wbrew ich chwilowej woli”? Chwila, która trwa 36 lat, przestaje być chwilą.

Były dyrektor polskiej sekcji amerykańskiego radia Free Europe nie chce się z tym pogodzić: odepchnięty od amerykańskiego garnuszka, trzyma się nadal amerykańskiej gry.

Jakto! — zawoła oburzony — czyż nie krytykuję amerykańskiej polityki? — Zapewne, krytykuje, ale — z amerykańskich pozycji.

Bo czego się najbardziej obawia? Żeby jego krytyka nie rozwiała nadziei. Jakich? Nadziei na wyzwolenie z rąk Ameryki. Oto jego świętość. Że ta nadzieja nas paraliżuje, przyznać nie chce.

I upiera się, że jest realista, że „patrzy trzeźwo”. „Amerykanie winni zrozumieć...” — od trzydziestu lat czytamy kazania w tym stylu, a Amerykanie wybierają rządy coraz bardziej „niekompetentne” (i to z udziałem Amerykanów polskiego pochodzenia, ba, byłych współpracowników *Kultury!*).

Dlaczego taki realizm jest bezsilny? Bo się trzyma narzuconej dialektyki. Kto nie z nami, musi być z nimi, *tertium non datur!* Czyli, jak to ujął kiedyś znany publicysta: kto nie chce słuchać amerykańskiego kapitana, niech skacze do wody!

Chomeini jest anty-amerykański, ale w takim razie powinien być pro-sowiecki, a nie chce! Czy spotka go los Lin-Piao, który był anty-sowiecki ale nie chciał być pro-amerykański? W Pekinie udało się przywrócić dialektykę Systemu, dlaczego nie w Teheranie? Wbrew polskim masochistom powiadam: należy mieć nadzieję, że to się nie uda.

Zarzuci mi Pan Redaktor, że już raz radziłem taką linię postępowania zalecając politykę de Gaulle'a i Lin Piao, i fakty mi zaprzeczyły. W istocie, de Gaulle'a i Lin-Piao nie tylko my osamotniliśmy: zostali zdradzeni — i jak haniebnie! — przez własnych rodaków. Czy z tego wynika, że powinniśmy iść w ślady Giscarda i Deng-Xiaopinga, spadkobierców tej hanby? Kult faktów tak samo paraliżuje jak błędne nadzieje. Czyż emigracja nie powstała z protestu przeciwko faktom — i to dokonany przez najpotężniejsze w swoim czasie mocarstwa. Wołam o powrót do źródeł!

Przedstawianie podziału świata — który jest w toku od 36-ciu lat! — jako klęski Ameryki nie jest realizmem. Jedynym partnerem Ameryki ma być Rosja, i to sowiecka. Tego kolosa na glinianych nogach trzeba podtrzymywać za wszelką cenę. Realistyczny jest pogląd Raymond Arona: „Nigdy

nie było solidniejszego sojuszu niż sojusz rosyjsko-amerykański". To jest punkt wyjścia, tego nie można obejść.

Pierwszy krok od tego pieca prowadzi do realistycznej obserwacji, że Amerykanie odstępują Sowietaom co mogłoby wpaść w ręce innych, tj. przyszłych (i przeszłych!) rywali Ameryki i Rosji. Drugi krok prowadzi do pewnika, że wojna rosyjsko-amerykańska jest ostatnią rzeczą jaka grozi światu, ale że zagrożenie tą ewentualnością jest szantażem, którego sprawdzona skuteczność kompromituje inteligencję reszty świata.

Następny krok ujawnia prawdę, że modny w Ameryce spór zwolenników i przeciwników „odprężenia” nie jest sporem, ale mydleniem oczu, bo zimna wojna i odprężenie nie są przeciwieństwami, ale alternatywnymi formami kondominium: gdy opornym trzeba grozić katastrofą, mamy zimną wojnę, gdy trzeba im grozić dyktatem rosyjsko-amerykańskim, mamy odprężenie. Bat na opornych, taki czy inny, nie zmienia stosunków rosyjsko-amerykańskich, owszem zacieśnia je.

Rację mieli de Gaulle i Lin-Piao, rację mają Chomeini i Wojtyła. Ci ostatni przegrają jak ich poprzednicy, jeżeli będą źle interpretowani. A jaka jest dobra interpretacja? Przeciwna amerykańskiej i sowieckiej.

Łączę wyrazy poważania,

Jan ULATOWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Wacław Borowiec, Detroit (USA): Przysłanego komunikatu nie zamieścimy, gdyż nie podzielamy Pana oceny.

J. P. Waurzyńska, Jersey City (USA): Nie zamieścimy. Pani oceny są zbyt emocjonalne i nie zawsze ścisłe. Ponadto jest przyjęte podawanie swego dokładnego adresu.

J. W., Kraków: Wiersze Pana nie nadają się do druku.

S. D., Fort Collins (USA): Listu Pana nie zamieścimy, choć uwagi w nim zawarte są bardzo słuszne (z wyjątkiem sprawy Zaolzia, którą oceniamy inaczej), ale problem stosunków polsko-żydowskich był już bardzo szeroko poruszany w *Kulturze*.

Zb. D., Dartford, Anglia: Nie zamieścimy. Zaznaczaliśmy już, że zamknęliśmy dyskusję na temat stosunków polsko-żydowskich.

J. R., Detroit (USA): Dziękuję za wycinek z prasy (chyba polonijnej). Listu nie zamieścimy, gdyż na ten sam temat pisał obszernie w *Kulturze* Zbigniew Byrski.

SPROSTOWANIE

W numerze 6/381 *Kultury* z czerwca 1979 roku, w „Kronice kanadyjskiej”, podaliśmy, iż prof. Wiktor Szyryński zorganizował w Ottawie odczyty Ryszarda Matuszewskiego. Z otrzymanych informacji wynika, że organizatorem tych odczytów było Stowarzyszenie Techników Polskich, a nie prof. Szyryński.

Dokumenty

PO WIZYCIE

Do wszystkich analiz i rozważań nad możliwymi skutkami wizyty Jana Pawła II w Polsce, chciałbym dodać kilka hipotez i refleksji. Zaczynając od banału, że wizyta będzie miała wiele skutków politycznych, chciałbym wysunąć następujące hipotezy: a) możliwe skutki w polityce państw NATO wobec Polski; b) skutki dla polityki wewnętrznej PZPR; c) skutki dla politycznego ruchu katolickiego w Polsce.

Założenia. Przyjmując kilka uproszczonych założeń: wizyta oddziałała przez mobilizację różnych sił społeczno-politycznych w Polsce; przez nowe spojrzenie na sytuację społeczno-polityczno-ideologiczną w Polsce przez inne kraje; przez stworzenie sytuacji politycznej w relacji państwo-Kościół.

Hipotezy. Ad a) — Rola Polski w polityce NATO polega przede wszystkim na tym, że Polska jest traktowana jako czynnik stałej i łagodnej destabilizacji obozu państw socjalistycznych. Z tego punktu widzenia państwa te orientowały się na podtrzymanie przede wszystkim różnych form opozycji, powodujących sianie małego niepokoju lekko promieniującego na inne kraje socjalistyczne, lecz nie stwarzającego ostrych napięć i kryzysów. Mówiąc inaczej, państwa NATO są zainteresowane przede wszystkim siłami anty- lub akomunistycznymi. Otóż wizyta papieża pokazała im rzeczywistą siłę Kościoła, który na Zachodzie jest z definicji uważany za przeciwnika ustroju lub jako siła alternatywna. Ta demonstracja siły politycznej będzie prawdopodobnie oddziaływała w kierunku budzenia nadziei czy też rozważań jak można by Kościół aktywniej wykorzystać dla destabilizacji bloku. Zmieni też to prawdopodobnie nastawienie polityki wobec opozycji w Polsce, gdyż wizyta pokazała w ostry sposób marginesowość grup opozycyjnych. Wizyta pokazała najwyraźniej, że w Polsce liczy się partia i Kościół jako zorganizowane siły walące w polityce, mogące mobilizować masy, czy też kierować nastrojami społeczeństwa, postawami ideologicznymi i dążeniami politycznymi. Dla analityków zachodnich wizyta była i będzie rozpatrywana także jako konfrontacja ideologiczna, jako swoisty plebiscyt ludności i stąd będą starali się wyciągnąć wnioski dla taktyki oddziaływania na postawy i dla strategii propagandy w Polsce. Będą oni uważnie obserwowali reakcje rządu i partii i wnioski wyciągane przez władze z przebiegu wizyty. Bowiernie politycznie biorąc wizyta była „inwazją” Zachodu.

du do jednego z ważniejszych państw bloku, w którym dokonała wielkiej mobilizacji sił politycznych, mimo że siły te zachowały się ze spokojną godnością. Fakt, że Kościół w Polsce mógł zorganizować we współpracy z władzami sprawne kierowanie masami, musi nasuwać wnioski, jak Kościół mógłby zorganizować podobne kierowanie masami bez udziału władz, lub przeciw władzom.

Można także przypuszczać, że wizyta zostanie oceniona jako demonstracja rzeczywistej niezależności Polski od ZSRR. Zachód zaczyna niedowierzać niezależnym gestom rumuńskim. Ludność Polski pokazała rzeczywisty stopień samodzielności. Wpływie to prawdopodobnie na politykę gospodarczego popierania Polski, nie z jakiegokolwiek troski o interesy Polski, ale z dążenia do podporządkowania sobie Polski gospodarczo, co w połączeniu z nastawieniem ludności wobec partii, może w przyszłości okazać się w jakiś sposób politycznie korzystne dla Zachodu. Słowem w rozważaniach polityki Zachodu wobec Polski, skutki wizyty pójdą w kierunku analiz wykorzystania siły katolicyzmu jako siły politycznej, bez względu na to jaki jest jej stopień aktywności, w ustalaniu strategii politycznej wobec bloku radzieckiego w Europie. Po prostu, strategia Zachodu nie może nie starać się wykorzystać tak wielkiej siły, niezależnej od partii, wewnątrz państwa komunistycznego. Ta hipoteza powinna być rozważana zarówno przez Kościół jak i przez partię, gdyż zbyt daleko idąca współpraca nie jest w interesie Zachodu.

Ad b) — Skutki idą polityki partii wewnątrz kraju mogą być także dosyć daleko idące. Przede wszystkim zdolność organizowania mas została zademonstrowana w sposób uderzający, przy czym opierała się ona na realnym posłuchu wobec Kościoła, na możliwości powołania służb ochotniczych pracujących sprawnie i z oddaniem, co władzy sprawowanej tak jak władza partii musi dać wiele do myślenia. Partia może traktować wizytę jako także pokaz swojej siły — że wizyta nie zmieniła niczego w funkcjonowaniu władzy, że partia mogła „sobie pozwolić” na zorganizowanie masowych nabożeństw i zebrania ogromnych skupisk, bez jakichkolwiek zaburzeń. To oczywiście jest prawda, ale prawdą jest także, że ten „historyczny kompromis” był także przez wielu ludzi z różnych pozycji określany jako „historyczna kompromitacja”, że był także mobilizacją sił skrajnych, które chociaż nie ujawnione, to pozostały jako potencjalna możliwość wystąpienia, być może w chwilach najmniej przewidywanych. Z tym także partia musi się liczyć tak samo jak i Kościół. Można więc przypuszczać, że wizyta stworzyła „konflikty odłożone”.

Skutki wizyty mogą się ujawniać w refleksji ludzi religijnych co do ich miejsca w społeczeństwie i państwie. Jest rzeczą jasną, że człowiek religijny w Polsce znajduje miejsce w społeczeństwie tylko przez Kościół, poza Kościołem nie ma dostępu do wielu stanowisk, do wielu form życia publicznego, ograniczony udział w czynnościach politycznych itp. Otóż po wizycie, a raczej już w czasie jej trwania, powstawały takie rozważania: jaki

będzie wpływ na politykę partii i rządu tej potężnej demonstracji mas katolickich, pokazujących jawnie czym są ludzie religijni jako czynnik społeczno-polityczny w Polsce. Jakie partie wyciągnie wnioski? Czy uzna i stworzy ludziom religijnym status polityczny w państwie czy też będzie podtrzymywała dotychczasowe uprzywilejowanie ludzi deklarujących się jako marksiści, bez względu na to, co rzeczywiście praktykują. Oczywiście siła Kościoła wynika także i z tej polityki braku miejsca w życiu publicznym dla ludzi religijnych, co powoduje, że muszą szukać tego miejsca przez Kościół i są niejako przez politykę partii wiązani z Kościołem i przez tę politykę stwarzają niejako automatycznie polityczne zaangażowanie Kościoła. Czy partia zechce zmienić swoją politykę? Bardzo wątpliwe.

Czy można będzie prowadzić politykę wewnętrzną w Polsce „jak gdyby nigdy nic”? Polityka udawania, że nic się nie stało, była stosowana bardzo często po różnych wstrząsach, zwłaszcza gdy partia stawała wobec ostrego konfliktu. Wizyta nie była konfliktem — wprost przeciwnie, była manifestacją współpracy, lecz właśnie przez fakt tej współpracy stworzyła zasadniczo nową sytuację. Konflikt byłby czymś „normalnym”, współpraca tak daleka i harmonijna była zaskoczeniem dla wielu. Czy zatem nic się nie stało? Wysunięta tu hipoteza orzeka, że stało się coś istotnego, że wizyta wyzwoliła bieg procesu nieodwracalnego. Może to być proces wzajemnej adaptacji Kościoła i państwa socjalistycznego, analogicznie do adaptacji między Kościołem i państwem liberalnym, także po okresach ostrych konfliktów i walk, może jednak być ten proces rozpatrywany przez siły skrajne jako erozja i marksizmu i katolicyzmu. Skutki wizyty odczuje każdy nauczyciel, każdy lektor wykładający „przedmioty ideologiczne”, każdy działacz polityczny FJN stojący wobec pytań obywateli, pytających co dalej? Czy postępowanie władz w czasie wizyty ma być traktowane jako przejaw stałej polityki partii wobec dążeń mas katolickich, czy też jako „gest grzecznościowy” wobec Polaka papieża i głowy państwa watykańskiego? Jeżeli był to „gest”, to jego skutki będą daleko sięgające i wbrew wszelkim intencjom może, był to akt polityczny wyzwalający wiele zjawisk politycznie doniosłych. Gdyż taki gest wobec gościa, był działaniem na masy i nie osoba Papieża była tu ważna z punktu widzenia polityki wewnętrznej, ale setki tysięcy ludzi skupiających się by go posłuchać, manifestować wierność Kościołowi.

Jakie mogą być skutki dla ustroju? Ostatecznie można sobie powiedzieć, że to co w Polsce zrobiono w zakresie budowy techniczno-gospodarczych podstaw ustroju socjalistycznego było wykonane przez te masy wyrażające swoją wierność religii i Kościołowi, a zatem papież wyjechał a katolicy wrócili do pracy zawodowej i będą robili nadal to, co robili dotychczas. Jeżeli jednak uznamy, że wizyta była manifestacją pluralizmu ideologicznego, że zarówno uczestnicy nabożeństw jak i uczestnicy

spotkań z papieżem zademonstrowali, że poza działalnością zawodową nie mają dla partii i ideologii marksistowskiej ani uznania ani wiary, to czy partia może nadal udawać, że nie widzi co się stało? Bo w skrajnej postaci można wysunąć przypuszczenie, że to co się stało polega na tym, że partia przestaje być alternatywą polityczną dla Polaków poza Kościołem i albo stworzy dla nich taką alternatywę, albo straci poparcie na rzecz Kościoła. Dalej — marksizm przestaje być alternatywą dla religii — a więc strategowie propagandy i inżynierowie dusz ludzkich mają o czym pomyśleć!

Ad c) — Skutki dla politycznego ruchu katolickiego w Polsce? Można tu wysunąć wiele hipotez. Dalsze udawanie, że nie ma takiego ruchu i że w Sejmie zasiada 11-tu przedstawicieli „społecznego ruchu katolickiego” nie będącego partią, staje się po prostu komiczne. Polityka partii wobec Sejmu spowodowała, że jest to jedyna grupa polityczna w Sejmie „słuchana” przez Sejm i rząd, bo przecież nie zdarzyło się, że poseł z partii lub stronnictw powiedział coś, czego już wszyscy nie umieją na pamięć. Zatem i tak w naturalnym procesie te trzy grupy przekształcają się w partię polityczną, wprawdzie grzeczną i potulną, ale partię *de facto*. Otóż ta partia *de facto* znajdzie się pod naciskiem sytuacji stworzonej przez wizytę papieża i współpraca władz z Kościołem, pod naciskiem sił przez tę wizytę wyzwolonych i zmobilizowanych, a żądających nie tylko „my chcemy Boga”, bo w tym wołaniu było także, że chcemy tego wszystkiego co dla nas z wiary w Boga wynika. Nawet jeżeli na spotkaniach stowarzyszeń katolickich nie padnie wyraźnie sformułowane pytanie, to sama sytuacja pokazuje, że te trzy grupki pozostają w jakiejś żałosnej proporcji do okazanej siły mas katolickich.

W przemówieniach w dniu 28. VI. 1979 posłowie katolicycy w Sejmie okazali się grzeczni, respektujący reguły gry ustalone przed wizytą, udzielili rządowi absolutorium za to, jak przeprowadził wizytę papieża. Także pierwsze oceny sporządzone przez te grupy są utrzymane w tym duchu. Ale co dalej? Tu znowu trzeba przyjąć, że wizyta papieża była początkiem procesu politycznego, który będzie się systematycznie wysuwał spod kontroli Kościoła a dla wielu biskupów będzie stwarzał pokusę by stanąć na jego czele i pokierować nim inaczej, zwłaszcza że naciski w tym kierunku pójdą i od ambitnych polityków świeckich w ruchu politycznym katolików i bardzo zręcznie sterowane naciski z zagranicy. Masy katolickie uświadomiwszy sobie swoją siłę polityczną, zechcą istniejące formy polityczne trzech stowarzyszeń przekształcić w politycznie sprawne organizacje odpowiadające potrzebom rozbudzonych mas. Byłoby czymś nienormalnym gdyby stało się inaczej. A wtedy partia stanie nie w obliczu grupek dysydentów ale w obliczu masowego ruchu politycznego. Fantazje? Może, ale nie można wykluczyć zachodzenia takiego procesu. Istniejący ruch polityczny katolicki musi podjąć działania, by nie zostać zmiecionym przez tę falę. Będzie więc pod

tym naciskiem się przekształcał, by zaspakajać rosnące potrzeby polityczne, potrzeby uczesnictwa we władzy, zwłaszcza w okresach narastających trudności gospodarczych, które muszą rodzić jako skutek niezadowolone polityczne a stąd dążenie do tego, by inaczej pokierować polityką i aby wziąć czynny udział w tym „inaczej”. Polityczny ruch katolicki będzie więc „musiał” występować z alternatywnymi programami, które poparte przez katolicką ludność staną się czynnikiem politycznym zupełnie innych wymiarów niż „memoriały” pisane przez zaniepokojonych członków partii oraz krytyki dysydentów.

Oczywiście w Polsce nie ma mowy o zorganizowanej chrześcijańskiej demokracji czy innej partii katolickiej zorganizowanej na wzór partii Zachodniej Europy. Ale to nie wyklucza innych form katolickiego ruchu politycznego i to nie ruchu pozornego, sterowanego i potulnego, ale rzeczywistego, niezależnego, chociaż partnerskiego. Próba podjęta przez PAX zawiodła, gdyż partia nie chciała dopuścić do realizacji wizji Piaseckiego. Ale to nie znaczy, że musi zawieść próba podjęta w latach 80-tych, w sytuacji zupełnie innej niż lata 50-te. Wtedy nie do pomyslenia był wielki krzyż na Placu Zwycięstwa i papież celebrujący pod nim mszę i wygłaszający kazanie. Dziś papież stworzył warunki dla realizacji nowej wizji politycznej roli katolicyzmu, która pod naciskiem mas może „stać się ciałem”. Chowanie głowy w piasek nie likwiduje tej możliwości.

Jan SZCZEPAŃSKI

3. VII. 1979 r.

MOŻLIWOŚCI LAT OSIEMDZIESIĄTYCH

I

Jak będzie się rozwijała Europa, świat i na tym tle Polska w latach 80-tych? Niewąskie pytanie — powiedziałyby Teoś Piecyk i nie bardzo wiedział co odpowiedzieć. Jestem w podobnej sytuacji, ale przypominając sobie znaną literaturę związaną z prognostyką, zacznę od kilku pytań: Co się rozwinie spośród obecnie istniejących elementów rzeczywistości gospodarczej, społecznej, politycznej i kulturalnej? Jakie obecnie istniejące elementy znikną lub ulegną pełnemu przekształceniu? Jakie nowe elementy rzeczywistości się pojawiają? Jakie elementy pozostaną niezmiennione?

Zaczynając od tego ostatniego pytania, mogę dość zasadnie przypuszczać, że wiele z istniejącego stanu rzeczy nie ulegnie zmianie. Np. istniejące obecnie drogi, linie kolejowe, lotniska, linie przemysłowe, telefoniczne itp. będą istniały nadal w tej

postaci, tylko że przybędzie trochę nowych. Nie zmieniają się także wybudowane budynki mieszkalne, budynki szkolne, szpitalne, pocztowe, gmachy ministerstw i innych urzędów, nie zostanie wybudowany nowy gmach KC itp. Wiemy także, że nie zmieni się funkcjonowanie ludzkich organizmów, ich cechy genetyczne, a zatem także rzeczywiste potrzeby ludzkie z nich wynikające. Nie zmieniają się cechy struktur psychicznych i zasoby ludzkie — inteligencji, uczuć, zazdrości, zawiści, próżności, głupoty, ambicji, mądrości itp. — także nie ulegną poważniejszym zmianom. Nie ulegnie zmianom ani treść wierzeń religijnych, ani też treść doktryn ideologicznych. Nie zmieniają się struktury małych grup, takich jak rodziny, kręgi koleżeńskie, kolektywy pracy. Można także przypuszczać, że organizacja partii, zasady sprawowania władzy w państwie socjalistycznym, funkcjonowanie wielu organizacji masowych i wiele innych sformalizowanych elementów życia zbiorowego ulegnie nieznacznym zmianom. Wiemy także jaki odsetek ludzi żyjących dzisiaj w naszym kraju zostanie przy życiu, ilu prawdopodobnie umrze, wiemy ilu będzie uczniów w szkołach średnich i wyższych, gdyż kandydaci już żyją i wiemy kiedy wejdą do tych szkół. Wiemy zatem także, czego się spodziewać na rynku pracy i jaki będzie skład siły roboczej, bo te sprawy przesądza ustrój dzisiejszego szkolnictwa, jego programy i treść nauczania. To wszystko można znaleźć chociażby w ekspertyzach składanych przez Komitet „Polska 2000” działający w PAN.

Przechodząc od tego, co wiemy i co się nie zmienia, lub ulegnie zmianom nieznacznym, przeważnie ilościowym — chociaż nigdy nie można wykluczyć nagłych sytuacji — do systematycznych rozważań nad hipotezami dotyczącymi możliwego przebiegu procesów i zjawisk w latach 80-tych, przyjmujemy następujący porządek analizy: 1) gospodarka, 2) polityka, 3) nauka i technika, 4) struktury społeczne, 5) filozofia życia i styl życia. Będą to oczywiście rozważania bardzo skrótowe, ograniczone do wyliczania i punktowania zakresów możliwego przebiegu rozwoju w w/w dziedzinach. Dalej trzeba podkreślić, że będą to wyłącznie *osobiste impresje*, a nie wynik badań i postępowania naukowego. Korzystam oczywiście z posiadanej wiedzy naukowej w poszczególnych dziedzinach, chociaż jest rzeczą oczywistą, że nie mogę być specjalistą we wszystkich z nich, staram się użytkować zasady metodologicznego postępowania i logicznego rozumowania, ale w sumie jest to zbiór raczej luźnych uwag i refleksji niż opracowanie naukowe.

II

GOSPODARKA. Jak będzie wyglądała gospodarka polska w latach 80-tych. Najpierw kilka uwag o gospodarce światowej. Aktualnie gospodarka światowa znajduje się pod wpływem na-

pięć wynikających z: inflacji, rozprzężenia systemów monetarnych, braku surowców i zmiennych cen surowców, braków energii, a przede wszystkim wzrostu cen ropy i innych materiałów energetycznych, braku żywności dla setek milionów ludzi, nieuporządkowanej konsumpcji w krajach zamożnych prowadzącej do olbrzymiego marnotrawstwa żywności, surowców oraz energii, dalej problemem staje się spadek motywacji pracy — stałe dążenie siły roboczej w krajach rozwiniętych do ograniczania intensywności i wydajności pracy, unikanie prac „brudnych”, angażowanie „gastarbeiterów” do tych prac, a więc niestałość siły roboczej itp.; rodzące się napięcia i konflikty krajów wysoko rozwiniętych z krajami trzeciego świata i dążenie do stworzenia „nowego ładu gospodarczego” przewidującego rozsądne gospodarowanie zasobami globu w interesie wszystkich.

Jednym z istotnych „odkryć” lat 70-tych było spostrzeżenie, że nie „rewolucja naukowo-techniczna” sama przez się była przyczyną rozwoju lat 50-tych i 60-tych, ale tanie surowce i ropa „rabowana” w krajach postkolonialnych lub gospodarczo zależnych. Wzrost cen ropy, zwłaszcza w roku 1979 spowoduje — jak można przypuszczać — znacznie głębsze zmiany niż w roku 1973 i następnych, kiedy Zachód sądził, że środkami gospodarczymi czy militarnymi przywróci stan poprzedni. Jest dość trudno rozważać te skutki bez łatwego uogólniania i wysuwania fantastycznych prorocztw, gdyż zasadnicze fakty nie są dokładnie znane (mniej przynajmniej). Można jednak przewidywać, że w gospodarce krajów kapitalistycznych nastąpi reorientacja stylu gospodarowania, gwałtowne poszukiwania rodzimych źródeł energii (słonecznej, geotermicznej itp.), że zatem zmieni się rola wielkich organizacji gospodarczych (multinationale), zmieni się styl życia i styl konsumpcji i skończy się mit stałej affluence wynikającej z organizacji, kwalifikacji, postępu naukowo-technicznego, rzekomo same przez się produkujących obfitość. Skończy się pogląd, że każda konsumpcja, bez względu na to, czy uzasadniona pracą czy też nie, jest dobra, ponieważ przyczynia się do utrzymania produkcji a więc wzrostu gospodarczego — a nastąpi era gospodarowania oszczędnego, co będzie już samo przez się szokiem. Nie zostanie szybko opanowana inflacja, gdyż zbyt wiele przyczyn będzie ją nadal pobudzało, zwłaszcza błędne koła podnoszenia cen, płac, nacisk sił społecznych nie chcących rezygnować ze zdobytych przywilejów. Osobiście jestem skłonny do przewidywań pesymistycznych, nie podzielanych przez wielu uczonych mających raczej poglądy optymistyczne, mianowicie sądzę, że wkrótce wzrost cen surowców i energii zmusi gospodarki do zwiększenia nacisku na sytuację siły roboczej, że zjawią się dążenia do obniżania płac, likwidacji przywilejów, ograniczania zdobyczy socjalnych, przedłużania czasu pracy, zwiększania zatrudniania młodocianych i kobiet za mniejszą płacę itp. Dalej rosnące uprzemysłowienie krajów Trzeciego Świata także zwiększy konkurencję i przemysł krajów europejskich i amerykańskich

już dzisiaj z trudnością radzący sobie z konkurencją Japonii, Korei Południowej, Malezji, Taiwanu i innych krajów stanie w obliczu przemysłu Afryki czy Ameryki Południowej, gdzie płace będą wynosiły drobny ułamek płac krajów ze starą klasą robotniczą. Przewiduję także poważne napięcia wynikające z produkcji żywności, a raczej braku żywności. Możemy się śmiało godzić z informacjami o 400 milionach ludzi stale głodujących, dopóki ci głodujący zachowują się biernie. Jest znanym faktem dziejowym, że ludzie głodni nigdy i nigdzie nie organizowali rewolucji, ale w tej chwili dość jest w świecie sił rewolucyjnych umiających wykorzystać ludzi głodnych dla swoich celów i otwierających tę puszkę Pandory pełną huraganów. Wzrost cenropy może wywołać recesję w krajach uprzemysłowionych w początkach lat 80-tych i wywołać reperkusje systemowe w wielu kierunkach. To są sprawy znane i prasa międzynarodowa poświęca im wiele miejsca. Sądzę, że jednym z ważniejszych skutków będzie zmniejszenie roli badań naukowych i ich organizacja i powiązanie z gospodarką, wpływ na zbrojenia (w zależności od tego, czy wydatki i produkcja zbrojeniowa będą traktowane jako środki napędowe utrzymania gospodarki w ruchu). Zmieni się także pogląd na rolę wykształcenia i na użytek, jaki można zrobić z wysokich kwalifikacji siły roboczej w warunkach drogich surowców i energii.

Jak na tym tle może się rozwijać *gospodarka polska*?

Trudności ostatnich lat 70-tych stawiają ostro problemy nie rozwiązywane od początku lat powojennych, a zwłaszcza od planu 6-letniego i po odrzuceniu propozycji organizacji i planowania gospodarki przedstawionych przez CUP. Są to: problem motywacji pracy i brak rzeczywistego powiązania efektywnej pracy z płacami. Po zniesieniu przymusu ekonomicznego i dążenia do zysku jako podstawowych czynników skłaniających ludzi do efektywnej pracy w kapitalizmie, gospodarka socjalistyczna nie znalazła jeszcze sposobów równie skutecznych skłaniania pracowników do pracy intensywnej i wydajnej. Dlaczego ludzie mają pracować, kiedy bez pracy można również urządzić się i to nie raz lepiej? Jest to oczywiście pytanie bardzo upraszczające, ale ci wszyscy, którzy w naszej gospodarce nie pracują w akordzie trzymają płace mało skorelowane z rzeczywistym wkładem pracy.

Drugi problem nierozwiązany, a który w okresach recesji światowej może wystąpić wzmocniony to metody i techniki planowania, a mianowicie plany przewidują nie tylko regulowanie wielkości czysto gospodarczych, ale także przyjmują założenia co do wielkości psychicznych (zdolność i wola wykonywania planów, postawy, wielości emocjonalne itp.) oraz społecznych (dążenie do uznania, zaangażowanie moralne, nacisk opinii publicznej itp.), które wywierają istotny wpływ na realizację planów gospodarczych, ale regulowanie których jest zupełnie poza możliwościami kierowników zarządzających gospodarką i kierujących pracą ludzi. Dlatego doskonalenie metod planowania, ich

realność i przestrzeganie pozostają nadal problemem oczekującym na rozwiązanie.

Trzeci podstawowy problem gospodarki to jest jej organizacja, koordynacja, bilansowanie, dyscyplina kierownictwa gospodarki wobec planów, rozliczanie i pociąganie kierownictwa do odpowiedzialności za naruszanie i dowolne zmiany planów. To dysponowanie inwestycjami bez koordynacji spowodowało rozchwianie i rozżew między potrzebami produkcji a możliwościami energetyki i transportu. Nie zdarzyło się aby Sejm zażądał wyjaśnień odstępstw od planu, ale to jest problem funkcjonowania ustroju, który musi być rozwiązany, jeżeli gospodarka chce wyjść z obecnych trudności, zbilansować się w latach 80-tych i odnaleźć możliwości wzrostu.

Czwarty problem to jest prymat polityki nad ekonomią, zrozumiały i konieczny w okresie budowania podstaw ustroju, ale wywołujący trudności, kiedy gospodarka socjalistyczna zaczyna funkcjonować zgodnie ze swoimi mechanizmami i koniecznościami ekonomicznymi. Otóż każda decyzja polityczna, naruszająca te prawidłowości musi wywoływać zaburzenia w gospodarce. Będzie rzeczą bardzo trudną zmienić przyzwyczajenia polityki w latach 80-tych.

Przechodząc do szczegółów: czy uda się opanować *inflację* i wzrost cen? Zajmie to chyba cały następny okres 5-letni, pod warunkiem że uda się w tym okresie *uporządkować stan złotego* i uczynić z niego pieniądź w ścisłym tego słowa znaczeniu, tzn. pieniądź mający jedną wartość, a nie cztery różne: złoty dewizowy, złoty wymieniany po kursie oficjalnym, złoty wymieniany po innych kursach (turystyczny, PKO), złoty wymieniany w Pewexie na poziomie czarnego rynku. Oczywiście będzie to wymagało dość zasadniczej zmiany w polityce gospodarczej i raczej nie przewiduję, by takie zmiany można było rychło wprowadzić. *Inwestycje* to przede wszystkim problem dyscypliny planu, koordynacji i bilansowania. Czy uda się przewyciężyć pogląd, że rozwój gospodarczy to nowe inwestycje? Z trudem i dlatego nie przewiduję w następnym pięcioleciu poprawy, gdyż w tym wypadku mentalność ludzi decydujących jest czynnikiem gospodarczym wielkiej wagi, a ta nie ulegnie zmianie.

Przewidywania stanu gospodarki polskiej w latach 80-tych można opręć na przewidywaniu działania kilku grup czynników: czynniki *materialne* jak surowce, wyposażenie maszynowe, energia, środki transportu, środki łączności, materiały budowlane itp.; czynniki *kierowania i planowania* jak metody planowania i zarządzania, organizacja gospodarki, metody organizowania pracy w zakładach pracy, metody sprawowania kontroli, sprawozdawczość, odpowiedzialność itp.; czynniki *subiektywne* jak poziom kwalifikacji kadr kierowniczych i siły roboczej, ich motywacja, zdolność do wykonywania pracy i moralność pracy itp.; czynniki *zewnętrzne* jak wpływ sytuacji światowej, umowy i rodzaje współpracy międzynarodowej, polityka innych krajów wo-

bec gospodarki polskiej, itp.; czynniki *socjalne* jak sfera konsumpcji, zaspakajania potrzeb, zdrowia, kształcenia, zasoby żywności, mieszkania itp.; czynniki *gospodarki komunalnej* jak transport, komunikacja, łączność, zaopatrzenie w wodę, oczyszczanie skupisk ludzkich. Można więc pytać, co w tych dziedzinach się rozwinie, co powstanie nowego, co zaniknie i jakie mogą wystąpić sytuacje jakościowe?

Stan gospodarki światowej — jak już sugerowałem — będzie nadal stwarzał trudności eksportu i spłaty zadłużenia. Oczywiście Polska może liczyć na dalszy kredyt uwarunkowany kalkulacjami politycznymi, na uzależnienie ważnego członu obozu socjalistycznego od Zachodu. Lecz rosnące zadłużenie, trudności spłaty rat powodują także wybitne skutki na rynku wewnętrznym na powstawaniu w niektórych kręgach gospodarczych nastroju nihilizmu, zrodzonego z beznadziei.

Jakie są możliwości wyjścia z trudności: szybka poprawa stanu organizacyjnego gospodarki, zmiana systemu płac i cen tak, by ceny były cenami, a płace płacami. Uregulowanie płac i uproszczenie, by pracownik wiedział za co otrzymuje pieniądze, a następnie powiązanie płac z rzeczywistą wydajnością pracy. Możliwe? Z trudem, a więc mało prawdopodobne, by się to dokonało w latach 80-tych. Mało prawdopodobne jest także udokonalenie planowania i zarządzania po sinusoidach reform w latach 70-tych.

Raczej przewiduję, że gospodarka lat 80-tych pójdzie początkowo drogą „jakoś to będzie”, aż do poważnego wstrząsu, który spowoduje radykalne zmiany metod planowania, zarządzania i kierowania, co oczywiście najpierw da pewien stopień dezorganizacji, ale przy konsekwentnym działaniu może doprowadzić gospodarkę na lepszy poziom.

POLITYKA lat 80-tych będzie oczywiście kontynuacją tego, co się dzieje w latach 70-tych. Nie przewiduję poważniejszych zmian w polityce wewnętrznej kraju, ale przewiduję narastanie konfliktowych sił. Przede wszystkim wizyta Papieża może wywołać w przyszłości powstanie silnego ruchu politycznego, katolickiego. Dokonała ona bowiem polaryzacji sił, uaktualnienia potencjalnej siły politycznej katolicyzmu i należy się liczyć z rozwojem partii katolickiej *de facto* i jej silnym naciskiem na politykę wewnętrzną partii.

W zakresie demokracji socjalistycznej nie nastąpią żadne zmiany, chyba wymuszone kryzysami i wstrząsami, ale nie naruszą one skostniałych form ustroju, mających sankcję ideologiczną. Nie zmieni się zasada kierowniczej roli partii, stąd też partia nie zechce zrezygnować z żadnych praw politycznych na rzecz jakichkolwiek instytucji przedstawicielskich. Sejm pozostanie nadal ciałem bez żadnej wagi politycznej i gospodarczej i jego postanowienia nie będą nadal wiązały ani rządu ani partii. Tak

samo partia nie pozwoli na wybór Przewodniczącego Wioskowej Straży Pożarnej bez swojej akceptacji.

Grupy opozycyjne w rodzaju KOR zostaną zużyte w jałowej walce przy częściowej tolerancji, a ich działalność przyniesie tylko narastanie literatury politycznej. Natomiast rzeczywistą siłą polityczną może się stać ruch katolicki i może powstanie sprzyjająca sytuacja do realizacji wizji Piaseckiego.

Polityka zagraniczna Polski będzie pod wpływem gry między supermocarstwami oraz ich blokami. Można przypuszczać, że Stany Zjednoczone będą kontynuowały politykę wyścigu zbrojeń i wyścigu w Kosmos, aby uniemożliwić ZSRR i krajom socjalistycznym poważne inwestycje w rolnictwie umożliwiające im usamodzielnienie się w zakresie produkcji żywności. Trzymając w rękę spichlerz zboża, z którego dokarmiają kraje socjalistyczne, USA zapewniają sobie także rzeczywistą kontrolę wielu ważnych procesów w tych krajach.

Wpływ elektroniki na metody zarządzania i kontroli powstające w KK będą także miały swój wpływ na Polskę i inne kraje socjalistyczne. Kontrola skomputeryzowana (taka jaką opisywała seria artykułów w *Der Spiegel*) będzie w krajach socjalistycznych nie ograniczana przez żadne ciało i samodzielność aparatu bezpieczeństwa w stosunku do Partii będzie nadal rosła, gdyż mając w rękach technikę i aparat kontroli Służby Bezpieczeństwa będą kontrolowały Partię, a nie odwrotnie.

W polityce światowej lobbies produkujące broń będą nadal traktowały handel bronią jako ważny czynnik polityki. Stąd będą podsycaty istniejące antagonizmy polityczne, rasowe, religijne, imperialne a nawet plemienne dla wywołania wojen. Supermocarstwa będą nadal starały się wywoływać wojny zastępcze dla zbycia przestarzałej broni, dla wypróbowania woli przeciwnika, jako ruchy na globalnej szachownicy politycznej. Stąd nie przewiduję, by nastąpiło rychłe uspokojenie w Południowo-Wschodniej Azji, na Bliskim Wschodzie, w Ameryce Łacińskiej, a przede wszystkim w Afryce. Ponieważ w krajach postkolonialnych armie są jedyną zorganizowaną siłą, a na ich czele stoją ludzie najczęściej starający się naśladować dawne kraje kolonialne, słuchający doradców z tych krajów, więc przewiduję, że sytuacja z lat 70-tych będzie kontynuowana ze zmienną intensywnością. Czy jest możliwy konflikt między supermocarstwami? Moim zdaniem bardzo mało prawdopodobny, wymagający aberracji umysłowej jakiejś elity kierowniczej. Ale jak mówią psychologowie, myślenie zbiorowe dopuszcza zbiorowe decyzje szaleńcze, więc nie można całkowicie wykluczyć wojny między supermocarstwami. Polityka odprężenia będzie jednak kontynuowana, współpraca gospodarcza będzie wymuszana recesją, opinie publiczne we wszystkich krajach będą nadal manipulowane przez prasę, tv, radio, propagandę — z efektem zależnym od stosowanych metod. Nie zostaną w latach 80-tych przezwyciężone wrogie stereotypy „imperializmu” w krajach socjalistycznych i „ko-

munizmu" w KK, a zatem nie zniknie podejrzliwość we wzajemnych stosunkach i wzajemne zaufanie będzie bardzo ograniczone.

NAUKA i TECHNIKA będą się rozwijały nadal, chociaż zmniejszy się zaufanie w cudowną moc nauki. Lata 70-te pokazały, że nauka i technika same przez się nie wywierają wielkiego wpływu, lecz wpływ ich zależy od wiedzy, wyobraźni, inteligencji elit politycznych i gospodarczych. Będą się nadal rozwijały badania wojskowe i przemysłowe, najczęściej tajne, także najważniejsze osiągnięcia nauki pozostaną poza szkołami wyższymi i poza szeroką społecznością uczonych. W dłuższym okresie może to mieć daleko sięgające skutki.

Trzeba się liczyć z istotnymi postęпами w elektronice, chemii, biologii, genetyce, medycynie i ich zastosowaniami w broniach ziemskich i technice kosmicznej. Nadal względy militarne pozostaną najsilniejszym czynnikiem powodującym nakłady na badania. Nawet groźba głodu nie spowodowała istotnego zwiększenia nakładów na badania rolnicze. Nauki społeczne i humanistyczne nadal pozostaną pod kontrolą ideologii czy religii. W filozofii można się spodziewać wystąpienia kierunków irracjonalistycznych i mistycyzujących jako reakcji na rozwój wyścigu zbrojeń i perspektywę zagłady nuklearnej.

Będzie się rozwijała polityka naukowa, kładąca przede wszystkim nacisk na kierowanie organizacyjne i administracyjne badaniami, a mniej zwracająca uwagę na to, co jest istotne tzn. na merytoryczne rozwiązywanie zagadnień przez pracowników nauki. Zdolności naukowe pozostaną w tej samej ilości wśród pracowników nauki, a metody ich wykorzystywania przez politykę naukową nadal pozostaną raczej na prymitywnym poziomie. Natomiast rzeczywisty postęp w badaniach podstawowych będzie nadal się dokonywał dzięki zainteresowaniom i pasjom uczonych, chcących się dla siebie rozprawić z zagadnieniem.

Nadal najważniejszym wpływem nauki na życie społeczeństwa pozostanie system szkolny i cały system oświaty, poprzez który wiedza naukowa dociera do każdego obywatela. Jakość systemu szkolnego rozstrzyga wiele spraw w gospodarce, polityce, a także i w badaniach, strukturach społecznych itp.

Nie przewiduję, aby reforma rozpoczęta w roku 1978 przyniosła radykalną poprawę — ciągle jest zbyt dużo niewiadomych: czym ma być 10-latka, czym 2-letnie szkoły kierunkowe, jak dopasowane szkolnictwo wyższe?

Wykształcenie będzie nadal wywoływało różnicowane skutki w życiu społeczeństwa: a) tworząc kwalifikowaną siłę roboczą, b) kształcąc kadry kierownicze, specjalistów, c) przygotowując kadry naukowe, d) przygotowując ludność do aktywności kulturalnej, e) wywołując różnicowanie statusu i pozycji w społeczeństwie. Można przewidywać, że trudności gospodarcze zmniejszą zaufanie do oświaty jako samodzielnego czynnika wzrostu gospodarczego, ale niewątpliwie będzie się szukało także wyjścia

z trudności przez podniesienie jakości wykształcenia społeczeństwa. Nie zmniejszy się przekonanie, że wykształcenie upoważnia do pewnych przywilejów, że zatem jest podstawą hierarchii wyższości i niższości w społeczeństwie.

Nauki społeczne, mające walor ideologiczny, prawdopodobnie nie wejdą w okres większego rozwoju. Treść ideologii pozostanie bowiem niezmienna i tylko konieczności gospodarcze i polityczne mogą spowodować uchwały KC PZPR mające charakter zmian w ideologii. Pracownicy nauki raczej nie będą wprowadzali zmian w treści ideologii i marksizm-leninizm pozostanie w latach 80-tych w tej samej postaci jak dzisiaj. Natomiast można przewidywać ożywioną twórczość w naukach społecznych, analizującą rzeczywistość społeczno-gospodarczą, dającą diagnozy, szukającą przyczyn. Można się także spodziewać prac naukowych starających się dać syntezę dziejów PRL po 40-tu latach i uogólnienie badań empirycznych nad społeczeństwem prowadzonych w tych latach. Zróżnicowanie społeczne i uwarstwienie społeczeństwa będą w latach 80-tych rozwijały się w podobnym rytmie i w podobnych procesach jak w latach 70-tych, z tym tylko że kryzys gospodarczy pogłębiający się na początku lat 80-tych zahamuje proces bogacenia się inicjatywy prywatnej, wyspecjalizowanych gospodarstw rolnych oraz pracowników gospodarki uspołecznionej, którzy w jej ramach potrafili zorganizować własne przedsiębiorstwa ściągające zyski do ich kieszeni, a wydatkami obciążające państwo oraz urzędników ciągnących wysokie dochody z łapownictwa.

Będą ciągle trwały dwa procesy: przekształcanie tradycyjnych klas społecznych wykształconych w poprzednich formacjach tzn. inteligencji, robotników, chłopów i drobnomieszczanstwa oraz będą się rozwijały procesy tworzenia uwarstwienia uwarunkowanego funkcjonowaniem uspołecznionej i planowej gospodarki i instytucji politycznej. W tych warunkach istotnymi czynnikami różnicującymi społeczeństwo są: zakres decyzji politycznej powodującej zróżnicowanie w zakresie praw politycznych i możliwości decydowania o sprawach państwa i społeczeństwa. Drugim czynnikiem uwarstwienia społeczeństwa socjalistycznego będzie w coraz szerszym zakresie zakres decyzji gospodarczej tzn. dysponowania własnością uspołecznioną. Nadal będzie się utrzymywała skłonność do traktowania tej własności przez decydentów jako własności osobistej tzn. o której mogą decydować bez składania komukolwiek odpowiednich wyjaśnień. Biuro Polityczne, po podporządkowaniu N.I.K. Premierowi nie ma praktycznie żadnej kontroli nad działalnością gospodarczą Rządu, ma tylko te informacje, które Rząd lub aparat partyjny zechcą mu przekazać.

Dalszą formą uwarstwienia jest struktura stanowisk i z nimi związanych przywilejów, płac i korzyści marginalnych. Wykształcenie staje się czynnikiem uwarstwiania przez to, że warunkuje dostęp do stanowisk. Również system płac i organizacja gospo-

darki z konieczności wywołują różnicowanie pod względem wysokości dochodów, zakresu wpływów, prestiżu, dostępu do dóbr pożądaných, jakości konsumpcji, dostępu do dóbr kultury itp.

W latach 70-tych tendencje egalitarne zostały zahamowane, nie sądzę żeby w latach 80-tych nastąpił jakiś wyraźny zwrot w kierunku egalitaryzacji. Pogłębi się także świadomość, że stosunek do narzędzi produkcji nawet identyczny, nie wyklucza dużych różnic ekonomicznych i społecznych. Nie przewiduję także by na szerszą skalę odrodziły się dyskusje nad społeczeństwem bezklasowym. Pozostanie bowiem różnica własności prywatnej w rolnictwie i drobnej wytwórczości, a także w ramach gospodarki uspołecznionej różnicowanie płac najwyższych i najniższych nie ulegnie zmniejszeniu, a raczej zwiększeniu, nacisk trudności gospodarczych będzie skłaniał do szukania dróg wyjścia przez apelowanie do elementów gospodarki rynkowej, częściowe wracanie do bodźców zysku, a więc do czynników działających przeciw egalitaryzacji. Również nacisk wzorów przenikających z krajów wysoko rozwiniętego kapitalizmu będzie powodował cofanie się wzorów i stylu życia socjalistycznego, a poziom konsumpcji będzie się stawał czynnikiem różnicującym i stwarzającym bariery międzywarstwowe.

Nie można także przewidywać, aby jakiś poważny wstrząs mógł odrodzić tendencje egalitarystyczne. Bowiem proces różnicowania antyegalitarny występuje we wszystkich krajach socjalistycznych i jakaś rewolucja egalitarystyczna jest mniej prawdopodobna — chociaż nie można jej wykluczyć — niż rewolucja antyegalitarna.

SOCJALISTYCZNY STYL ŻYCIA będzie się nadal rozwijał jak obecnie i będzie się potwierdzała teza, że socjalistyczna *Produktionsweise* może współistnieć z kapitalistyczną *Lebensweise*. Na czym będzie się opierała siła ustroju w latach 80-tych? Niestety będzie to nadal siła militarna i wojsko pozostanie rzeczywistą tarczą osłony ustroju. Bo ani gospodarka, ani polityka sama przez się, ani nauka i technika nie będą mogły dorównać wydajności, zdolności do innowacji, sprawności organizacyjnej i inicjatywom krajów wysoko rozwiniętego kapitalizmu. Dążenie do podniesienia poziomu konsumpcji, podobnie jak w latach 70-tych, nie będzie związane z intensywną i wydajną pracą, ale z dążeniem do przywilejów i zarobków dodatkowych, lewych zysków i kombinacji osłabiających gospodarkę uspołecznioną. Nie przewiduję także radykalnej zmiany w poziomie moralnym społeczeństwa i ani Kościół ani partia nie są w stanie wpłynąć na zmniejszenie alkoholizmu, korupcji, nadużyć i dążenie do bogacenia się lewymi sposobami. Poczucie odpowiedzialności pozostanie w narodzie niewielkie i Polacy będą nadal z zapałem oskarżali o powodowanie zła Sowietów, partię, rząd, inne kraje, Niemców czy kogokolwiek, tylko nie siebie. Nie przewiduję także odrodzenia się czy narodzenia zdolności do realizmu politycznego

i zawsze opinia publiczna będzie łatwiej ulegała mitologiom niż realistycznej analizie. Będzie trwało zahipnotyzowanie społeczeństwa przekonaniem o powszechnej niemożności zrobienia czegokolwiek i zamiast działać obywatele PRL będą wskazywali „kolegów” oskarżając ich o brak działania. Ani w partii ani w innych stronnictwach, ani w żadnych grupach społecznych czy kategoriach zawodowych ani w Kościele katolickim nie ma odwagi podjęcia inicjatywy i daleko więcej energii poświęca się na wykazanie, że wszystko jest mniej więcej w porządku, że nie trzeba właściwie nic wielkiego podejmować, lepiej nie naruszać istniejącego stanu, gdyż skutki mogą być niepożądane, niż na obmyślanie i szukanie dróg wyjścia. Uderzającym przykładem tej postawy jest radio, tv i prasa, ale pochodzi ta postawa z postawy kierownictwa partii. Nie jest to nic nowego w dziejach Polski. Od początku XVIII-go wieku naród szlachecki trwa w tym samym przekonaniu, podobnie było w okresie międzywojennym, a jedynie akt rewolucyjny Piłsudskiego, pucz wojskowy był uzasadniony demoralizującym wpływem demokracji parlamentarnej na stan społeczeństwa i gospodarki, prowadzący do rozkładu państwa. Może warto aby krytycy widzący obecnie przyczyny zła w braku demokracji porównali stan społeczeństwa polskiego z 1926 roku ze stanem z roku 1979.

Ten stan rzeczy może trwać jeszcze przez pierwsze lata 80-te, ale nie może się utrzymać zbyt długo. Przewiduję więc nowy kryzys polityczny, ale nie przewiduję, aby mógł on doprowadzić do rzeczywistej zmiany. Bowiem podstawowe wartości ustroju tzn. ideologia marksizmu-leninizmu i zasady działania partii są niezmiennie, a ich niezmiennosc wyklucza rozwój ustroju. A więc rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne pozostanie w sferze deklaracji. Zamiast reform, po kryzysie przyjdzie znowu udawanie, że nic się nie stało. Prawdziwe zmiany może wywołać wojna między supermocarstwami, wojna z Chinami, czy jakieś wielkie zmiany w sytuacji światowej. Kto chce niech wierzy, kto nie chce — nie musi.

Jan SZCZEPAŃSKI

9. VII. 1979

Powyższe dwa dokumenty, które otrzymaliśmy z kraju, drukujemy bez wiedzy i zgody autora (Red.).

(Dalszy ciąg Wpłać ze str. 2-giej)

Anna Jakubowicz, Szwecja — zamiast kwiatów na grób Marii Warekiej — na Kasę Pomocy Naukowej TKN	F. 100,00
Witold Osinski, Lund (Szwecja) — na opozycję w Kraju ..	F. 150,00
Bezimiennie z USA — na opozycję w kraju — \$US.20,00 ..	F. 80,00
Komitet Pomocy Obroncom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (przewodn. Bonawentura Migafa, skarbnik Jan Jurewicz) — w związku z licznymi aresztowaniami w Kraju w ostatnim czasie, a specjalnie w listopadzie 1979 roku, na doraźną pomoc aresztowanym i ich rodzinom — \$ 1.000,00	F.4.000,00

WPLATY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z Kassel (RFN) — DM.20,00	F. 44,00
Bezimiennie z Monachium — zamiast kwiatów na grób śp. Hilarego Krzysztofiaka — DM.20,00	F. 44,00
Inż. Krystyna Eichler, N. Hollywood, Cal. (USA) — dla uczczenia pamięci mego Przyjaciela Delberta Larsona w trzecią rocznicę Jego zgonu — \$ 100,00	F. 400,00
Inż. Władysław Holcman, Kopenhaga	F. 220,00
Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Stanisława i Henryk Lepucy, Battle Creek, Mich. (USA) — zamiast kwiatów na grób Przyjaciela Zdzisława Serbińskiego — \$ 30,00	F. 120,00
J. Wiśniewski, Frankfurt/Main (RFN) — DM.80,00	F. 176,00
W. Z., z USA — \$ 50,00	F. 200,00

WPLATY NA ROPCİO

Tadeusz Brzostek, Paryż — na Radę Sygnatariuszy Ruchu Oporu W. Z., USA — \$ 50,00	F. 100,00
W. Z., USA — \$ 50,00	F. 200,00



Na Apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: Oddział Boston — \$ 72,00. Komitet Obywatelski przy „Konfederacji 76” — \$ 145,00. Redakcja „Listów do Polaków” — \$ 15,00. Ogółem: \$ 232,00 z czego na: KSS „KOR” — \$ 50,00	F. 200,00
Rada Funduszu Praw Człowieka (ROPCİO — L. Moczulski) — \$ 72,00	F. 288,00
Rada Sygnatariuszy Praw Człowieka (ROPCİO — A. Czuma) — \$ 50,00	F. 200,00
Studenckie Komitety Solidarności — \$ 60,00	F. 240,00

Podajemy do wiadomości naszych Czytelników, że w roku 1979 otrzymaliśmy na Fundusz „Kultury”	F.54.553,49
i na pomoc dla Opozycji w Kraju ogółem	F.84.223,90

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt Légal: 1^{er} Trimestre 1980.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien I, Schönla-ternergasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » 1 w księgarniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01134) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakzowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.			
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland., Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski. Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103			
POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av., apt. 27, Los Angeles, Cal. 90038, tél. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.180; półroczna — F.95.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

TOM 308 — GEORGE ORWELL

1984

(Wydanie III-cie)
Ze wstępem M. Brońskiego

Str. 304.

Cena F. 75,00.



TOM 309 — CZESŁAW MIŁOSZ

DOLINA ISSY

(Wydanie 2-gie fotograficzne)

Str. 196.

Cena F. 50,00.



TOM 310 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘDZIESIĄTY

zawiera

Tom II-gi PISM gen. Wacława Stachiewicza.
ROK 1939

Spis rozdziałów: U progu wojny — Kampania Wrześniowa 1-8 września — 9-30 września — Warunki prowadzenia działań wojennych — Listy prywatne gen. Stachiewicza. *Przedmowa* Bogdana Stachiewicza — *INDEKS nazwisk i instytucji.*

Str. 328.

Cena F. 50,00.



TOM 311 — MAREK TARNIEWSKI

(Seria „Dokumenty”)

PORCJA WOLNOŚCI

(Październik 1956)

Str. 144.

Cena F. 35,00.